



JANE HELLER

załatwić byłego



Heller Jane

Załatwić byłego

Melanie Banks, finansistka z Manhattanu, wprost ubóstwia swojego męża Dana Swaina, zawodowego futbolistę, którego sylwetkę sportowca wspaniale dopełnia seksowny południowy akcent z rodzinnej Oklahomy. Ale gdy kariera sportowa nieoczekiwanie i nieodwołalnie się kończy, a Dan kolejne kilka lat pozostaje bezrobotny i co gorsza, wydaje się zupełnie tym nie przejmować, Melanie powoli odkochuje się w przesiadującym na kanapie pasożycie, który przejada jej pensję, i decyduje się na rozwód.

Niestety, okazuje się, że kobieta musi płacić alimenty, dzięki którym jej były mąż nadal żyje jak król. Rozgoryczona ową niesprawiedliwością, postanawia zagrać nieczysto. Zwraca się do ekskluzywnego biura matrymonialnego i zleca mu znalezienie niczego niepodjęwającej kobiety, która zamieszka z Danem na dziewięćdziesiąt dni, by on w ten sposób naruszył jedno z postanowień ugody rozwodowej.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pozwólcie, że zacznę od ostrzeżenia skierowanego do kobiet trzydziestoparoletnich i młodszych: jeśli sądzicie, że równouprawnienie płci to temat dawno nieaktualny, relikw z czasów palenia biustonoszy, a więc sprawa zamierzchłej przeszłości, zastanówcie się lepiej raz jeszcze. Temat wraca, i to w nowej, szczególnie podstępnej postaci. Stąd moja przestroga. Już słyszę, jak wzdychacie: „Co? Równouprawnienie? To jakaś panikara”. Ale ja wiem, co mówię.

I nie chodzi mi o to, że kobiety nie mogą odnieść sukcesu w pracy. To nie ulega wątpliwości. Chodzi o to, ile taki sukces nas kosztuje, o to, czy fakt, że zarządzamy dużymi firmami, zasiadamy w senacie i wykonujemy precyzyjne operacje na ludzkim mózgu, nie oznacza przypadkiem, że padamy ofiarą facetów, którzy chcą się dostać do naszego konta zamiast do naszych wdzięków.

Ale bardziej konkretnie. Byłam trzydziestoczteroletnią kobietą w świecie wielkich finansów, niegdyś zdominowanym przez mężczyzn, i zarabiałam sześciocyfrową sumkę jako wiceprezes firmy Pierce, Shelley i Steinberg z siedzibą na Manhattanie. Byłam szanowana i dobrze wynagradzana, bo z powodzeniem pomagałam zamożnym klientom pomnażać ich majątki. Kwestia równouprawnienia ani razu nie przeszła mi przez myśl.

Potem jednak coś zburzyło to samozadowolenie. Zaczęłam zauważać, że w miarę jak kobiety zajmują coraz więcej wyższych stanowisk, mężczyźni coraz częściej odsyłani są do tych tak zwanych babskich zajęć. Nagle

to kobiety były lekarkami, prawniczkami i dyrektorami, a mężczyźni pielęgniarzami, asystentami czy bibliotekarzami. W naszej kulturze nastąpiło przesunięcie o sto osiemdziesiąt stopni, a ja zdałam sobie sprawę, że nie może ono nie wywołać reperkusji.

I reperkusje są. Mężczyźni, zniechęceni naszą rosnącą dominacją, coraz częściej wzruszają ramionami i zupełnie porzucają pracę, nam zostawiając utrzymanie nie tylko siebie samych, ale i ich. Jeśli mi nie wierzycie, wystarczy rozejrzeć się wokół. Popytajcie znajomych. To fakt. Zaczyna się to wymykać spod kontroli i wpływa na sposób, w jaki wiążemy się ze sobą i w jaki się rozstajemy.

Wciąż do was nie dociera? Szczerze mówiąc, do mnie też nie dotarło, dopóki nie dotknęło mnie osobiście.

W pierwszych latach mojego trzynastoletniego małżeństwa zarabiał na nas mój mąż. Potem jego kariera się nagle załamała i ja zostałam głównym żywicielem rodziny. Początkowo nie przejmowałam się tą zamianą ról. Właśnie opublikowano badania, które informowały, że rodziny, w których żony zarabiają więcej od mężów, stanowią trzydzieści procent całej populacji, więc wiedziałam, że nie jestem jedyna. Uznawałam, że jako partner, któremu wiedzie się lepiej, odpowiadam za partnera, któremu akurat wiedzie się gorzej, niezależnie od płci.

Ale z czasem bezrobocie męża okazało się stanem przewlekłym - innymi słowy, nie ruszył palcem, by znaleźć sobie jakieś nowe zajęcie. Małżeństwo się rozpadało i w końcu nie potrafiliśmy już poradzić sobie z tą sytuacją. Było fatalnie, ale rozwód okazał się jeszcze gorszy. Dlaczego? Bo nadał musiałam brać odpowiedzialność za partnera, któremu wiedzie się gorzej — mimo że już dawno przestaliśmy być partnerami!

Zostałam zmuszona nie tylko do oddania byłemu całkiem sporej części moich aktywów, ale jeszcze do pła

cenia mu alimentów. Przez osiem lat miesiąc w miesiąc miałam wypisywać mu czeki. Byłam dobrym i hojnym człowiekiem, ofiarowałam pieniądze wielu organizacjom charytatywnym i nigdy nikogo nie okradłam. Ale coś takiego? No cóż, wzdragałam się na samą myśl o tym, mówiąc delikatnie.

A może uważacie, że teraz, kiedy to my zarabiamy prawdziwe pieniądze, powinniśmy przestać narzekać i w przypadku rozvodu po prostu wybulić kasę? I tu dochodzimy do sedna: kiedy przychodzi twoja kolej, nie chcesz bulić kasy, dokładnie tak samo jak nie chcieli tego robić faceci, kiedy to oni ją zarabiali.

Czy uciekłam się do ostateczności, by wymigać się jakoś od swoich prawnych zobowiązań? Ależ oczywiście. Czy żałuję tego, co mu zrobiłam? Nawet nie wiecie, jak bardzo. Ale zwyczajnie się pogubiłam, wierząc w tę szaleńczą fantazję, że nawet gdy my, kobiety, podbijamy świat, oni i tak powinni pozostać tymi silnymi facetami, którzy zawsze potrafią nas uratować, a przynajmniej utrzymać.

To wszystko jest bardzo zagmatwane, prawda? Może moja historia chociaż w pewnym stopniu pomoże sprawę rozwikłać.

A może potwierdzi jedynie, że równouprawnienie, tak jak piękno, jest w oku patrzącego.

— Podpisz jeszcze tutaj - powiedziała moja adwokat od rozvodu, Robin Baylor, Murzynka po czterdziestce z najlepszymi referencjami. Licencjat na Harvardzie. Potem prawo w Yale. A kasztanowe pasemka, wspaniale komponujące się w jej krótkiej nastroszonej fryzurce, zrobiła u Louisa Licariego. Obie siedzimy w jej eleganckiej sali konferencyjnej, której ściany obite zostały drewnem, przy stole długości boiska. Dopiero co skończyła podsuwać mi

setki dokumentów w sprawie Melanie Banks (to ja) przeciwko Danowi Swainowi (mój były). — To już ostatni.

- Obiecujesz? - powiedziałam z błaganiem w oczach, spoglądając na grubą teczkę z dokumentami moimi i Dana. Tyle papieru. I jakie marnotrawstwo lasów.

- Uwierz mi, wasz nie był tak skomplikowany jak niektóre - odparła Robin.

I mówiła poważnie. Zajmowała się też rozwodem mojej koleżanki Karen, który stał się naprawdę nieprzyjemny, kiedy wyszło na jaw, że mąż Karen nie tylko nielegalnie wykorzystywał poufne informacje i komisja papierów wartościowych deptała mu po piętach, ale był też bigamistą z dwoma rodzinami, jedną na wschodnim i drugą na zachodnim wybrzeżu. — Przeczekałaś rok separacji, a dziś podpisujesz dokumenty. Kiedy zostaną mu doręczone, będziesz rozwiedziona. Sprawa zamknięta.

- Zamknięta? - zareagowałam. - Chciałabym. Przecież dzięki tej ugodzie będę z nim związana przez następne siedem lat. Płacenie mu w czasie separacji to żadna przyjemność, ale wypisywanie czeków przez kolejne... jak o tym pomyślę, od razu robi mi się niedobrze.

- Nie mamy wyboru. Gdybyśmy poszły do sądu, sędzia mógłby mu przyznać nawet więcej, biorąc pod uwagę różnicę w waszych zarobkach i długość trwania małżeństwa. Przecież już ci to tłumaczyłam.

- Wiem, wiem. - Skinęłam głową przygnębiona. Robin, mimo że jej sala konferencyjna przywodzi

skojarzenia z restauracjami w country clubach, do których wstęp mają wyłącznie mężczyźni, i aż prosi się, by zapalić w niej cygaro, nie jest krwiopijcą. To osoba wrażliwa, a do tego bardzo skrupulatna. Piecze ciasteczka i przynosi do pracy dla swoich klientów, możecie uwierzyć? Jak kobiety na tak wymagających stanowiskach znajdują czas, nie mówiąc już o motywacji, żeby włączyć piekarnik, pozostaje

dla mnie tajemnicą, bo sama nie mam aż tak podzielnej uwagi. Ale kiedy tam siedziałam, na stole stał półmisek ciasteczek domowej roboty - czekoladowych i owsianych z rodzynkami — i w czasie spotkania pochłonęłam po kilka sztuk z każdego rodzaju. A przecież ja nie lubię rodzynek. Akurat tu lubienie nie miało jednak nic do rzeczy. Odkąd rozstałam się z Danem, przytyłam z siedem kilogramów i choć nie można mnie było nazwać grubasem, zauważyłam, że to właśnie jedzenie oraz planowanie jego śmierci dawały mi niesamowite zadowolenie.

— O nic cię nie winię, Robin — dodałam między gryzami. - Po prostu nie trawię tej sytuacji — wyjaśniłam, unikając spojrzenia na swój brzuch, bo sześć z tych siedmiu kilogramów usytuowało się właśnie tam.

- Trawisz czy nie, Dan ma prawo do alimentów — powiedziała Robin. — Mamy dwudziesty pierwszy wiek, nowe tysiąclecie. Wiele się zmieniło. Mężczyzna nie musi się dzisiaj wstydzić, że bierze pieniądze od kobiety, jeśli potrzebuje ich, by utrzymać swój poziom życia.

— „Potrzebuje”. To dopiero pojemne słowo. Dan mógłby zachować swój poziom życia, gdyby zabrał się za uczciwą robotę.

- Miał uczciwą robotę. Był skrzydłowym w drużynie Giantsów.

- No tak, a teraz zamiast odbierać piłkę na boisku, odbiera ode mnie kasę. Ja rzucam, a on łapie.

Robin się roześmiała.

— Daj spokój. Przecież nie uszkodził sobie tego kolana specjalnie.

Fakt. Grali wtedy przeciwko Redskins, to był dopiero trzeci sezon Dana jako skrzydłowego, a ten mecz zgasił światło jego wschodzącej gwiazdy. Przed wypadkiem był bohaterem Nowego Jorku, fani wykrzykiwali jego pseudonim - Trafne! Trafne! — gdziekolwiek się pojawił.

Potem nadeszło gorzkie rozczarowanie. Właśnie szykował się, żeby odebrać piłkę, gdy zaatakowało go dwóch graczy drużyny przeciwnej. Jeden skoczył mu na ramiona, a drugi owinął mu się wokół nóg, w wyniku czego górna połowa jego ciała poszła w jedną stronę, a dolna w przeciwną. W loży dla żon wręcz słyszałam chrupnięcie jego chrząstek. Kiedy kobieta zostaje żoną zawodowego sportowca, musi zachować spokój za każdym razem, gdy jest on kontuzjowany, musi powtarzać sobie, że mąż robi w życiu to, co kocha, i być wdzięczna za pieniądze, które zarabia. Ale potem przyszła diagnoza, operacja i koniec tej obiecującej kariery wraz z rozwiązaniem lukratywnego kontraktu. Był skończony i taki pozostał.

- Oczywiście, że nie specjalnie, ale powinien był potem spróbować czegoś innego, a tego nie zrobił — powiedziałam.

-Jak to? Przecież próbował relacji na żywo.

- Nawet mi nie przypominaj.

- Dlaczego? Nie był taki zły.

Obydwie się roześmiałyśmy, zdając sobie sprawę, że sobie nie radził. W czasie dwóch transmisji, na które wynajęto go jako dodatkowego komentatora, jąkał się, zapominał o uśmiechu i był dezorientowany wskazówkami ekipy — nigdy nie wiedział, w którą kamerę patrzeć. Te nieudane wystąpienia wprawiały go w przygnębienie, ale jeszcze bardziej destrukcyjnie wpływał na niego brak telefonów z kolejnymi ofertami. Robiłam, co mogłam, żeby podnieść go na duchu i wzmocnić jego wiarę w siebie. Kochałam go i nie mogłam patrzeć, gdy był taki nieszczęśliwy. Ale on nie umiał się otrząsnąć po tej porażce.

- Powinien był wziąć lekcje - zauważyłam. - Mają przecież specjalistów od komunikacji, którzy uczą ludzi zachowania przed kamerą, ale on się uważał za twardziela, więc nie mógł poprosić o pomoc.

— Ciekawe, czy poszłoby mu lepiej, gdyby dostał jeszcze szansę — zastanawiała się Robin.

— Miał szansę, nie pamiętasz? Był po czterech szklaneczkach whisky i zwrócił się do dziennikarki per „słodziutka”. A potem jeszcze zagroził, że pokaże wszystkim swój goły tyłek.

Skrzywiła się na to wspomnienie.

-To nie był dobry dzień. Okropnie mu wtedy współczułam. Dlaczego właściwie nigdy nie zabrał się za trenowanie?

— Dobrze pytanie. Wciąż mu powtarzałam, że przecież kocha tę grę, więc niech idzie trenować jakąś szkolną albo uczelnianą drużynę, niejedna skakałaby z radości, mając go za trenera. A on za każdym razem mnie zbywał i tylko jęczał, że nie zostanie jednym z tych nieudaczników. Ale i tak został nieudacznikiem. A teraz, nie licząc kilku przecięt wstęgi tu i ówdzie czy zjazdów kolekcjonerów, on imprezuje, a pracuję ja. Czy to sprawiedliwe, że jeszcze muszę mu płacić?

— Tak samo sprawiedliwe jak to, że mężczyzna musi płacić kobiecie, jeśli ta nie pracuje.

— Zaraz, czy ty aby nie powinnaś być po mojej stronie?

Uśmiechnęła się.

— Ależ jestem, ale mam też sporo klientów przeciwnej płci, więc muszę również patrzeć z ich strony.

— Farciara.

I sięgnęłam po kolejny herbatnik. Gdy przeżuwałam pierwszy kęs, postanowiłam przyjrzeć się sytuacji z perspektywy Dana, żeby udowodnić sobie, że potrafię być równie obiektywna jak Robin. Ale nie potrafiłam, nie mogłam po prostu przejść obojętnie obok pojawiających mi się przed oczami obrazków — jak wypisuję dla niego czek, a potem patrzę na coraz mniejsze saldo na koncie.

Nie mogłam pozbyć się widoku tych znikających zer. Sama myśl o stracie pieniędzy powodowała u mnie koszmary, już od dzieciństwa. Mama umarła, gdy miałam dwa lata, zostawiając mnie z ojcem, który tylko od czasu do czasu miewał pracę, często znajdował się w stanie upojenia alkoholowego, leżąc na kanapie w otoczeniu pustych puszek po piwie, i wciąż przeprowadzał nas z jednej nory do drugiej - czasem w środku nocy - żeby nie zdążyli nam doręczyć zawiadomienia o eksmisji. W bardzo młodym wieku ustaliłam raz na zawsze, że pieniądze to bezpieczeństwo, stabilizacja i szczęście i że moim życiowym celem jest zebranie jak największej ich ilości. Jak miałam oddać choć cząstkę tego bezpieczeństwa facetowi, który umiał je tylko przepuszczać?

- Mel, wszystko w porządku? — spytała Robin.

— Tak — skłamałam.

Poklepała mnie po ramieniu swoją dłonią z nienagannym manikiurem - tą samą, która piecze ciasteczka. Przypuszczam, że należy do tych kobiet, które w kuchni nakładają gumowe rękawiczki.

- Zanim wypuszczę cię w świat - powiedziała - chciałabym, żebyś przestała się opierać i zaczęła akceptować rzeczywistość.

Roześmiałam się.

— Bawisz się w terapeutkę? Za to kasujesz ekstra?

- Nie. I powinnaś posłuchać mojej nieodpłatnej porady. Przestań robić z Dana wroga. Może i nie ma już świetnej pracy, ale jego sława ułatwiła ci trochę zrobienie kariery. Dzięki niemu skończyłaś studia, przedstawił cię zamożnym kolegom, zapewnił pierwszych dużych klientów. Pod pewnymi względami był idealnym mężem i te osiem lat alimentów to sądowe uznanie jego zasług.

— Idealnym mężem? — prychnęłam. — To on zniszczył nasze małżeństwo. Nie tylko sam się poddał, ale jeszcze

miał mi za złe, że długo siedzę w pracy, i wymawiał mi mój — jak on to nazywał? — korporacyjny światopogląd. Cóż za ironia. Chciał, żebym mniej pracowała, ale ani chwili się nie zastanawiał, gdy przyszło do korzystania z owoców tej pracy. Żyje teraz jak jakiś książe dzięki mnie i to jest obrzydliwe. On jest obrzydliwy. — Zgarbiłam się na krześle i zaczęłam się bawić końcówkami włosów. Były jasnobrązowe, falujące, sięgały do ramion. Zawijanie ich wokół palca wskazującego stało się moim kolejnym nerwowym nawykiem. Tak jak jedzenie.

— Opuść sobie, Mel. Opuść sobie Dana. Skup się na swoim życiu i znajdź kogoś innego.

— Po takim fiasku nie chcę już nikogo — wymamrotałam.

— No to módl się, żeby on kogoś znalazł - nie poddawała się Robin.

— Dlaczego jeszcze miałabym chcieć jego szczęścia? - zapytałam, coraz mocniej okręcając włosy wokół palca.

Potrząsnęła głową, jakbym czegoś nie zrozumiała.

— Nie czytałaś ugody?

— No tak. Jeśli się ponownie ożeni, nie muszę mu więcej płacić. Akurat. — Zmusiłam się do położenia obydwu rąk na kolanach. - Przy takim obrocie spraw spieszy się do małżeństwa tak samo jak ja.

Robin znów potrząsnęła głową.

— Mówię o klauzuli o wspólnym pożyciu. Jeśli Dan zamieszka z kimś na dłużej niż dziewięćdziesiąt dni, zapis o alimentach ulega unieważnieniu.

Wyprostowałam się trochę.

— Rzeczywiście - powiedziałam, teraz sobie przypominając. — Nie musi się ożenić. Wystarczy, że z kimś zamieszka.

— Na pełne dziewięćdziesiąt następujących po sobie bez przerwy dni. Tak mniej więcej to brzmi. Co oznacza,

że od czasu do czasu może sobie od niej odpocząć, ale jeśli wytrzyma dziewięćdziesiąt, umowa w tym punkcie przestaje obowiązywać.

Zamrugałam gwałtownie, czując coś, czego nie potrafiłam zidentyfikować. Nadzieja? Radość? W każdym razie coś czułam.

- Czyż to nie byłoby cudowne, gdyby wdał się w trzymiesięczny romans, a ja nie musiałabym go już utrzymywać?

- Miałabyś go z głowy, to fakt - odparła Robin. - Ale skoro jest taki zrażony do związków, nie liczyłabym, że od razu rzuci się w czyjeś ramiona. Zresztą może i jest bezrobotny, ale nie jest przecież głupi. Na pewno nie zaryzykuje utraty comiesięcznego dochodu, chyba że bez pamięci się zakocha. A jakie są na to szanse?

- Równe zeru - przyznałam, czując, jak nadzieja, radość czy co to tam było, błyskawicznie ze mnie wyparowuje.

- No dobra, złóż ten ostatni podpis i kończymy formalności.

Nagryzmołam go pomiędzy wszystkimi „niniejszym” i „wspomnianymi poniżej”, odłożyłam pióro i głośno westchnęłam.

- Nareszcie. Jestem oficjalnie rozwiedziona. Jeszcze nie zdążyłam w pełni wypowiedzieć tego

oświadczenia, a już dopadła mnie melancholia - coś w rodzaju ciężkiego wszechogarniającego smutku. Bo przecież kiedyś kochałam Dana. Bo okres naszego małżeństwa to jedyny czas w moim życiu, kiedy czułam tę stabilizację, o której tak marzyłam w dzieciństwie. Bo teraz już nieodwołalnie musiałam dzielić z Danem opiekę nad Busterem, moim słodkim mopsem, psiakiem, którego dostałam od niego z okazji naszej piątej rocznicy ślubu. Właśnie — przecież Buster powinien być mój. Ale gdy tylko rozpo-

czeliśmy negocjacje ugody rozwodowej, Dan stwierdził, że pracując po dwanaście godzin na dobę, nie nadaje się na jedyne go opiekuna. Po miesiącach szarpaniny — on twierdził, że to jemu należy się opieka i ja mogę Bustera odwiedzać, a ja, że opieka należy się mnie, a on niech idzie do diabła — zgodziliśmy się na sprawowanie wspólnej opieki. Zmieniamy się co tydzień. Co dwa tygodnie w poniedziałek wskakuję rano do taksówki i po drodze do pracy odwożę Bustera do Dana, a tydzień później Dan wskakuje rano do taksówki i odwozi Bustera do mnie po drodze do — hm — gdziekolwiek wybiera się w poniedziałkowe poranki. Na siłownię najprawdopodobniej, a potem na lunch z kolegami, po którym udaje się pewnie na pokerka i wreszcie na masaż i/lub drzemkę, by skończyć na czadowym nocnym wypadzie do miasta. A wszystko to za moje pieniądze, jakby ktoś zapomniał.

Po namyśle muszę powiedzieć, że słowo smutek nie oddaje jednak w pełni uczuć, jakie ogarnęły mnie tamtego grudniowego poranka. Cierpienie byłoby bardziej odpowiednie. Ja naprawdę cierpiałam.

— Mel? - powiedziała Robin, wstając i przyglądając mi się uważnie.
— Ty płaczesz?

- Nie bądź śmieszna. Ja nigdy nie płaczę - odparłam, wstając. I natychmiast z mojej spódnicy posypały się na dywan okruszki. — Przepraszam — powiedziałam. — Zapłaciłabym za sprzątaczkę, ale większość wolnej gotówki wędruje wiesz do kogo.

Robin westchnęła, sfrustrowana, że nie udało się jej mnie naprostować.

- Nie słuchałaś, kiedy mówiłam, że czas odpuścić i zająć się sobą, prawda?

— Owszem, słuchałam. — Zmusiłam się do szerokiego uśmiechu. — I postaram się skorzystać z twojej rady. Naprawdę.

Pomijając wymuszony uśmiech, rzeczywiście taki miałam zamiar. Nie chciałam stać się jedną z tych zgorzkniałych rozwódek, które pięciu minut nie mogą wytrzymać bez obrzucania błotem swojego byłego - kobietą, która zatruwa związki swoim jadem, zanudza wszystkich na śmierć powtarzaniem tych samych historyjek i kończy jako samotna i nieszczęśliwa żałosna ofiara. O nie, zacisnę zęby i zachowam się jak kobieta dumna i szlachetna, taka, jaką byłaby moja matka, gdyby żyła, przynajmniej tak myślałam o niej jako dziecko, i zajmę się swoim życiem, zamiast babrać się w przeszłości. Taki w każdym razie miałam plan.

Pożegnałyśmy się i uściśniły jak prawdziwe bizneswoman - czyli objęłyśmy się na ułamek sekundy, uważając przy tym, by nie rozmazać szminki.

Kiedy wychodziłam, czułam na sobie jej wzrok. Wiedziałam też, że nie uwierzyła w moją deklarację dobrej woli i sklasyfikowała mnie jako jedną z tych klientek, które uwolniły się od męża tylko po to, by zatruć się własnym jadem.

Rozgryzła mnie, fakt. Tak, wyszłam z jej gabinetu z najlepszymi intencjami, ale z przykrością informuję, że sprawa Melanie Banks przeciwko Danowi Swainowi nie została jednak zamknięta pomimo wszystkich podpisanych papierzysk. Wręcz przeciwnie. Jad dopiero zaczął się saczyć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Weekend spędziłam pracowicie przed komputerem, w domu. No, w tymczasowym domu. Od separacji z Da-nem wynajmowałam ponurą i zupełnie pozbawioną smaku umeblowaną kawalerkę na drugim piętrze pięciokondygnacyjnego budynku bez windy na Czterdziestej Szóstej Ulicy między Ósmą i Dziewiątą Aleją, w rejonie znanym jako Hell's Kitchen ze względu na gangsterską przeszłość, Clinton z powodu późniejszych powiązań z DeWittem Clintonem, poprzednim burmistrzem miasta, albo Midtown West. Tę ostatnią bezbarwną nazwę wymyślili agenci nieruchomości, by przyciągnąć ludzi, których nie stać na nic więcej. Położona na zachód od dzielnicy teatrów i niedaleko Times Square Hell's Kitchen, z jej barami topless i rodzinnymi knajpkami serwującymi narodowe kuchnie różnorodnych krajów, nie była moim wymarzonym miejscem na ziemi. (Obok mojego domu znajdowała się węgierska restauracja, w której do wszystkiego dodawali paprykę — do deserów również). Na ulicy można było minąć striptizerkę w stringach, babcię w chustce na głowie i transwestytę w balowej kreacji. Za dużo w tym bohemy jak dla mnie, ale od rozstania z Danem miałam dość ograniczone środki. To smętne i maleńkie mieszkanko było wszystkim, na co mogłam sobie pozwolić, jeśli chciałam zostać na Manhattanie.

A chciałam, musiałam zostać na Manhattanie. Po pierwsze dlatego, że powinnam mieszkać blisko swojego psa, który kiedy nie był ze mną, mieszkał z Danem

w naszym dawnym mieszkaniu - słonecznym, uroczym, profesjonalnie urządzonej apartamencie z trzema sypialniami na trzydziestym drugim piętrze trzydziestosześcioletniego budynku przy Siedemdziesiątej Ósmej i Madison, w bardzo cywilizowanej Upper East Side. Po drugie, chciałam mieszkać w pobliżu biura, które znajdowało się przy Czterdziestej Ósmej na wysokości Park Avenue. I wreszcie po trzecie, musiałam zostać w mieście, bo zwyczajnie nie dałabym rady przenieść się z powrotem do Brooklynu albo Queens. W tamtych dzielnicach spędziłam dzieciństwo, marząc o przekroczeniu mostu na Manhattan, gdzie pewnego dnia odniosę sukces i ucieknę od ponurej przeszłości. Fakt, mieszkanie w Hell's Kitchen nie było rajskim zakątkiem, ale dawało nadzieję na spełnienie marzenia — że zostanę partnerem w firmie Pierce, Shelley i Steinberg, a potem kupię sobie fantastyczne mieszkanie, przy którym lokum Dana może się schować.

W międzyczasie koczowałam w norze wielkości szafy w budynku nazywanym przez właściciela Hotelem Złamanych Serc, bo prawie wszyscy mieszkańcy byli rozwiedzeni albo w separacji i przeczekiwali do lepszych czasów. Wesoło tam bynajmniej nie było.

Ponieważ nadszedł akurat grudzień, należało przejrzeć roczną dokumentację podatkową klientów - z których wszyscy wzbogacili się dzięki podejmowanym przeze mnie decyzjom, nawet w czasie kryzysu. Jeśli inwestycja była rozsądna, natychmiast cała się jej poświęcałam, wydzwaniałam, analizowałam, robiłam co tylko mogłam, żeby dobrze zająć się aktywami ludzi, którzy mi zaufali. Taki miałam modus operandi — kobieta, która nigdy nie ustaje w wysiłkach — dlatego szef nazywał mnie swoim atutowym asem.

Oprócz rozliczeń podatkowych zajmowałam się też sprawą Jeda Ornbachera, siedemdziesięcioletniego tek-

saskiego wdowca, który zrobił fortunę na ropie i zastanawiał się, czy nie powierzyć zarządzania swoimi milionami firmie Pierce, Shelley i Steinberg. Pochlebiali mi, że mnie powierzono przygotowanie tej prezentacji, bo znaczyło to, że dostałam zadanie złowienia go dla naszej firmy. A w tym byłam dobra. Może jeśli złapię nafcjarza, zostanę wreszcie partnerem. Całkiem przyjemna premia, przynajmniej tyle.

- Patrzcie tylko, kto przyszedł rozpracować ze mną pana Ornbachera - powiedziałam, śmiejąc się, kiedy Buster zeskoczył z kanapy, na której się wylegiwał, przydreptał do prowizorycznego biurka urządzonego na łóżku, wskoczył na nie i usadowił się tuż przy mnie.

Odsunęłam papiery. Kończył się mój tydzień z Busterem, więc chciałam wykorzystać ten czas, jaki mi jeszcze został. Możliwe, że znacie mopsy tylko z filmu „Faceci w czerni”, ale mówię wam: to słodkie małe klauny. Już sama mordka - płaska, czarna i pomarszczona - wystarczy, żeby człowieka rozśmieszyć, nawet rozwódkę w depresji.

-Głodny? - zapytałam. Podczas gdy mój apetyt zdecydowanie wzrósł po rozstaniu z Danem, Buster najwyraźniej go stracił. Weterynarz mówił, że to skutek zaburzenia psychicznego, które staje się w Nowym Jorku coraz częstsze, a wynika z kłótni o opiekę nad zwierzęciem w przypadku separacji opiekunów. Buster nie tylko musiał co tydzień podróżować pomiędzy moim lokum mieszkaniopodobnym a rezydencją Dana, która spokojnie mogłaby się znaleźć na łamach „Architectural Digest”, ale musiał się także przyzwyczaić do dwóch transporterów i zestawów zabawek oraz misek na jedzenie. Na pewno było to frustrujące.

Przyniosłam mu krakersa i przez chwilę się z nim bawiłam. W pewnym momencie spojrzał na mnie tymi

swoimi oczami - wielkimi, czarnymi, okrągłymi koralami potrafiącymi tak wiele wyrazić — i niemal słyszałam jego pytanie: „Gdzie jest tatuś?”. Możecie się śmiać, ile chcecie, ale kiedy człowiek kocha swojego psa, jest przekonany, że wie, co tamten myśli.

— Jest w naszym starym domu — odpowiedziałam. — On i mamusia nie mieszkają już razem, pamiętasz? Ale to nie ma nic wspólnego z tobą, to nie twoja wina, ani trochę.

Wiem, wiem. Tak mówi się do dziecka, którego rodzice się rozwiedli. Ale ze zwierzakami jest tak samo. Naprawdę.

Buster głośno prychnął, jakby domagał się szczegółów.

— Dlaczego nie mieszkamy już razem? Hm, najkrócej mówiąc, tatusiowi nie podoba się, że mamusia lepiej sobie radzi w pracy niż on. Tatuś jest prawdziwym twardzielem, jeśli nie brać pod uwagę faktu, że bierze od mamusi jej pieniądze.

Buster puścił bąka. Na szczęście siedziałam po zawietrznej.

— No dobrze, nie będę źle mówiła o tatusiu. — Buster zawsze nas w ten sposób upominał, kiedy Dan negatywnie się o mnie wypowiadał i vice versa. Cóż za lojalny słodki piesek. Poza tym przecież obiecałam Robin zmienić nastawienie. — Trudno wytłumaczyć, co poszło nie tak, ale zasadniczo mamusia powiedziała tatusiowi, że nie jest już tą samą osobą, którą był kiedyś, a tatuś powiedział, że mamusia też się bardzo zmieniła. Przecież obcy sobie ludzie nie powinni być małżeństwem.

Wyglądało na to, że chwilę się nad tym zastanawia. Potem znów spojrzął na mnie pytająco.

— Jak to się stało, że tak się zmieniliśmy? — Wzruszyłam ramionami. — A jak to się dzieje, że ludzie się od

siebie oddalają, szczególnie gdy na początku tak świetnie do siebie pasowali? Szkoda, że nas wtedy nie widziałeś, mówię ci, Buster. Kiedy mamusia poznała tatusia, to był najszcześniejszy dzień w jej życiu.

Miałam wtedy dwadzieścia lat i nie planowałam szczęścia, tylko ciężką pracę, żeby skończyć szkołę. Pracowałam, odkąd pamiętam. Podczas gdy ojciec nie przejmował się zaopatrzeniem domu, ja roznosiłam gazety, pilnowałam dzieci, załatwiałam ludziom sprawunki. Kiedyś, gdy był pijany, powiedział mi, że skończymy w więzieniu dla dłużników, jeśli nie „ruszę tyłka”, a ponieważ byłam za młoda, żeby wiedzieć, że nie ma takiego więzienia, całe dzieciństwo panicznie się bałam, że w końcu mnie tam zamkną.

W wieku lat dwudziestu miałam w planach skończyć studia na uniwersytecie nowojorskim jako stypendystka, zrobić MBA i zacząć wspinaczkę po korporacyjnej drabinie. Jedną z moich dorywczych prac było kelnerowanie w restauracji uczęszczanej przez zawodowych sportowców. Nie miałam pojęcia o sporcie i nic mnie on nie obchodził, ale byłam ładną ciemnowłosą dziewczyną o zgrabnej figurze, więc zwracałam uwagę męskiej części klienteli.

- Dzień dobry. Co podać? - zwróciłam się do czterech dobrze zbudowanych facetów w moim wieku, którym pięć minut wcześniej przyniosłam karty dań. Była niedziela, wpół do dziesiątej wieczorem, a ja byłam padnięta, bo pracowałam drugą zmianę z rzędu, ale przepisowo uśmiechnęłam się radośnie, mając nadzieję na radosny napiwek.

-Jakiś wolny pokój - powiedział jeden z nich, patrząc na moje piersi. - Ty i ja w wielkim łożu, słoneczko.

Pozostali uznali to za świetny żart. No, oprócz blondyna o najbardziej niebieskich oczach, jakie zdarzyło mi się widzieć. Był niesamowicie przystojny w swoim żółtym

swetrze i sportowych spodniach, jak jeden z tych promiennych chłopców z reklam Ralphi Laurena. Pochylił się w moim kierunku, uśmiechnął przepaszająco, pokazując duże, proste białe zęby, i powiedział z leciutkim akcentem wskazującym, że pochodzi z południa:

— Proszę cię, nie zwracaj na nich uwagi. Maniery zostawili dziś w domu.

I nagle byłem oczarowana. Może z powodu tego „proszę”, a może z powodu szacunku w jego głosie. A może chodziło o to, że był nie tylko przystojny, ale i uprzejmy, a ta kombinacja okazała się bardzo zaskakująca.

— Nie ma sprawy - odparłam, zauważając niewielką bliznę z lewej strony jego prawego oka. Tylko dodawała mu uroku, bo czyniła jego idealną twarz bardziej ludzką. - Na zapleczu mamy klatkę dla zwierzaków, które nie przeszły jeszcze szkolenia.

Tym razem roześmiał się blondyn.

— Jeden zero dla pięknej damy. Komplement. Czułam się dziwnie podniecona.

- No więc podać coś? - zapytałam rzeczowo, wracając do pracy.

- Tak, ty i ja zamówimy do pokoju i możemy jeść nago - odezwał się tamten palant.

Westchnęłam.

- Jestem pewna, że bez ubrania stanowisz istne dzieło sztuki, ale muzeum jest kilka przecznic dalej, OK?

— No dobra, wystarczy, Ernie — odezwał się autorytatywnie blondyn.

— Twoje szczęście, że dziewczyna ma poczucie humoru.

Poczucie humoru? Nikt mi o tym nie mówił. Kiedy uciszył na chwilę kolegę, zapytał, czy mogę mu coś polecić.

- Mamy dziś doskonale spaghetti - odparłam, uświadamiając sobie, że jest liderem tej grupy.

- W takim razie cztery razy spaghetti - zdecydował.
- I cztery szklanki wody.
- Wody? - zaprotestował Ernie.
- Wody - powtórzył. - Już dość się dziś naświetowaliśmy.
- Co takiego świętujecie?
- Naszą pierwszą wyprawę do Wielkiego Jabłka - odparł blondyn i zaraz się leciutko zaczerwienił, dodając:
 - Gadam jak idiota, przecież żaden nowojorczyk tak nie mówi, prawda?
- Przystojny, uprzejmy i skromny? O tak, byłam oczarowana.
- Zazwyczaj nie, ale witamy w takim razie w Nowym Jorku - powiedziała, jak przystało na gościnną gospodynię. - Mam nadzieję, że się wam podoba.
- Zapytasz, po co przyjechaliśmy, czy od razu chcesz mnie pocałować?
- O matko. Facet nie potrafi skończyć. Miałam ochotę znów go usadzić, ale się powstrzymałam. Odkryłam już, że pijanym klientom lepiej się specjalnie nie sprzeciwiać.
- OK, powiedz mi, po co przyjechaliście.
- Na ceremonię wręczenia Nagrody Heismana. Zachowywał się tak, jakby to było oczywiste, że
wiem, o co mu chodzi, ale jedyny Heisman, jakiego znałam, był kobietą. Starsza pani Sophie Heisman mieszkała nad nami jeszcze w Queens. Często przelewała się jej woda w wannie, a na naszym suficie kwitł grzyb.
- Nasz bohater zdobył drugie miejsce - kontynuował palant, klepiąc po plecach blondyna. - Jest drugim najlepszym zawodnikiem uniwersyteckim w kraju.
- Naprawdę? - Spojrzałam na blondyna i ze zdziwieniem skonstatowałam, że nie przechwala się tym sam na prawo i lewo, tylko pozwala innym wychwalać swoje osiągnięcia.

- Naprawdę - przyznał. - Grałem drugie skrzypce.

- Tak czy siak należą ci się gratulacje — powiedziałam, rzeczywiście pod wrażeniem. — Zapewne niedługo przeczytam o tobie w gazetach. Jak się nazywasz?

- Dan Swain.

- Ale wszyscy nazywają go Trafne - uzupełnił informację Ernie.

- Trafne?

- To taka ksywka. Nikt tak jak on nie odbiera piłki. Potrafi to zrobić bardzo spokojnie, nawet jak dziesięciu go atakuje.

- O, rozumiem — powiedziałam, przyglądając się Danowi Swainowi. Zaczynałam się ślinić. To znaczy nie mogłam w nim znaleźć nic, co by mi się nie podobało.

- Przyznaj się, uważasz, że to głupie, co? — zapytał.

- Wcale nie - odparłam. - Jeśli potrafisz zachować spokój, gdy wokół szaleje chaos, uważam, że to dar.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo.

Może nie była to poezja, ale coś między nami zaiskrzyło i zaczynałam się pocić. Mówię poważnie, pod pachami miałam mokro.

- A ty jak się nazywasz? - wskazał na mnie. - Jestem pewien, że któregoś dnia to ja przeczytam w gazetach o tobie.

- Gdy uznają mnie za drugą najlepszą kelnerkę w kraju?

- Coś mi mówi, że zawsze mierzysz najwyżej — stwierdził, a potem delikatnie wyjął mi z rąk ołówek i notes, wziął moją prawą dłoń i uścisnął ją. - Więc jak się nazywasz?

- Melanie Banks - powiedziałam, a on przytrzymał moją rękę kilka sekund dłużej, niż to było konieczne. Poczułam motyle w brzuchu.

Kiedy w końcu mnie puścił, zupełnie zapomniałam, co miałam robić, aż w końcu Ernie wrzasnął, że jest głodny.

- Cztery razy spaghetti, już się robi - zapisałam zamówienie, z trudem zmuszając się do wypełnienia obowiązku.

- Do zobaczenia - powiedział Dan, gdy skierowałam się do kuchni - Melanie.

Kiedy się odwróciłam, uśmiechnął się do mnie, czym wytrącił mnie z równowagi, i to dosłownie — chwiejnie stałam na nogach, trochę mnie mdliło, czułam się cudownie. Normalnie nie byłam podatna na głupie zauroczenia. Jak już wspomniałam, miałam swoje plany, ale miłość wśród nich nie figurowała. A tu proszę, zakochałam się. Szybko i niespodziewanie.

Odeszłam i obsługiwałam innych klientów, ale tak naprawdę odliczałam minuty do chwili pojawienia się spaghetti, żeby móc wrócić do Dana. Kiedy już minęła cała wieczność, zaniósłam tacę do jego stolika i podałam makaron. Stawiając przed nim talerz, zapytałam, skąd jest.

- Z Minco w Oklahomie. Założę się, że nigdy o nim nie słyszałaś.

- Wygrałbyś ten zakład. Ilu macie mieszkańców? Was czworo plus rodziny?

- Jest nas około tysiąca sześciuset, ale tylko tysiąc pięćset to krewni - odparł ze złośliwym uśmiechem. — Minco jest uroczym małym miasteczkiem. Powinnaś kiedyś przyjechać.

- Czy to zaproszenie? - pytałam upokorzona, że z nim flirtuję. Nigdy przecież tego nie robiłam.

- Oczywiście. Przyjedź na wielki targ w Minco, nasze wydarzenie roku. Może pozwolą ci sędziować w konkursie na najlepsze ciasto.

Kiedy tak patrzył mi w oczy, pomyślałam, że poszłabym za nim do Minco, a może i na księżyc. Już miałam go zapytać, jak długo zostaje w Nowym Jorku, gdy pojawiło się trzech chłopaków, którzy oglądali wczoraj wręczenie nagród i chcieli autograf.

Zmyłam się więc i zajęłam innymi stolikami, obserwując, z jaką łatwością Dan radzi sobie z zafascynowanymi nim naiwniakami. Większość sportowców, których obsługiwałam, cierpiała na przerost ego, uważali, że wszystko im się należy. Ale nie Dan. Po prostu akceptował takie spotkania, uścisk dłoni, jakieś pytania, odpowiedzi, pozwalał naruszać swoją prywatną przestrzeń, ale bez tego poczucia, że świat kręci się wokół niego. Nie prezentował żadnej pozy, bo tę musiałby sobie wypracować, a to wymagało pewnego obycia, finezji. On był po prostu autentyczny i miał w sobie pewną lekkość. Ponieważ ja zawsze musiałam walczyć o swoje, zdobywać i wytrwale dążyć do wszystkiego, wzbudził we mnie podziw - wszystko przychodziło mu samo, zupełnie naturalnie, miał w sobie tyle luzu. Tak, byliśmy przeciwieństwami: ja - zabiegana mieszkanka Nowego Jorku, on - wyluzowany chłopak z Oklahomy - ale, prawdopodobne czy nie, praktyczne czy nie, całkowicie mnie zauroczył.

- Mogę podać coś na deser? - zapytałam po sprząnięciu talerzy. - Według magazynu „New York” mamy najlepsze w mieście cytrynowe ciasto beżowe.

Inni zrezygnowali, ale Dan zapytał, czy może dostać kawałek na wynos.

- Na wynos? - zapytałam, zdając sobie sprawę, że pęka mi serce. Radosny uśmiech, przypomniałam sobie. Przepisowo. - Oczywiście. Zaraz zapakujemy.

Zostawiłam im rachunek i pobiegłam zamówić ciasto. Kiedy wróciłam, podałam Danowi jego deser w styropianowym pojemniku, wzięłam ze stolika gotówkę i powiedziałam, że zaraz wracam z resztą.

- Zatrzymaj ją - mówił Dan. - Jest dla ciebie.

- Dzięki - odrzekłam, wpychając banknoty do kieszeni idiotycznego czarnego fartucha, które kazali nam nosić. Przecież po to właśnie kelnerowałam, żeby zbie-

rać napiwki, ale kiedy patrzyłam, jak Dan i jego koledzy wstają, ubierają się i zaczynają wychodzić, gdzieś miałam całą tę kasę. Chciałam tylko jego. Chyba zwariowałam.

- Do zobaczenia, Melanie - powiedział, żegnając mnie gestem dłoni i wlokąc się za kolegami.

Znów udałam radosny uśmiech.

- Tak - zawołałam. — Następnym razem, gdy zajrzę do Minco.

Kiwnął głową i podszedł do drzwi. Już miał je pchnąć, kiedy się zatrzymał. Dosłownie. Stał tak, popychany przez ludzi czekających na stolik. Po prostu stał, odwrócony do mnie tyłem, ze zwieszoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę. Po prostu stał. A ja wstrzymywałam oddech, obserwując go i próbując odgadnąć, o co chodzi. Zapomniał portfela albo kluczy? Źle się poczuł? Powinnam podejść i mu pomóc?

Gorączkowo się zastanawiałam nad powyższym, gdy tymczasem on się odwrócił do mnie, powoli, bardzo powoli, i podniósł głowę. Zamiast wyjść za przyjaciółmi, wszedł z powrotem do restauracji, wzrok miał utkwiony we mnie. Pamiętam, że kiedy szedł pewnie w moim kierunku, chyba wyrwał mi się stłumiony okrzyk. Błagam, niech to nie będzie byle co, modliłam się, gdy on był coraz bliżej. Proszę, niech nie chodzi o toaletę ani o telefon, ani o jeszcze jeden kawałek ciasta dla dziewczyny, która czeka w hotelu. Błagam, niech stanie się cud, coś, na co nie musiałam ciężko pracować, chociaż raz. Błagam...

Wtedy staliśmy już twarzą w twarz i mój mózg się wyłączył.

- Tak? — udało mi się wydukać. - Zostawiłeś coś...

- Posłuchaj - przerwał mi. - Domyślam się, że nie ścięło cię z nóg, kiedy podawałaś nam tę kolację, ale...

- Ty jedyny nie potraktowałeś mnie, jakbym to ja była kolacją - tym razem ja mu przerwałam.

- Zamówiłem to ciasto, żeby jeszcze przez chwilę z tobą zostać — przyznał.

- Naprawdę? Kiwnął głową.

- Masz chłopaka?

- Nie - odparłam. Serce waliło mi jak szalone. - Nie.

- To dobrze. Zostaję tu jeszcze dwa dni i pomyślałem, że może moglibyśmy się spotkać...

- Tak - powiedziałam. Serce wciąż waliło. - Tak. Dotknął mojego policzka.

- Chcę, żebyś wiedziała, że nie jestem taki jak Ernie - dodał. - Nie płacze się po knajpach, zaczepiając kelnerki.

- A co robisz?

- Ufam swojej intuicji.

Pochylił się i pocałował mnie. Na środku restauracji. Cudowny pocałunek, który przerwała dopiero inna kelnerka, wpadając na nas niechcący, gdy przechodziła.

- W porządku - powiedział Dan. - Nigdy nie puszczam piłki, pamiętasz? Zachowuję spokój w samym sercu chaosu.

I jeszcze raz mnie pocałował.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Dzień dobry, panie Ricardo — pozdrowiłam portiera w moim dawnym domu. Był poniedziałek, ósma piętnaście, musiałam zdążyć do pracy na ósmą czterdzieści pięć, żeby mieć jeszcze zapas przed spotkaniem z Jedem Ornbacherem o dziewiątej. Czas naglił, trzeba zawieźć Bustera do Dana i biec dalej.

Mocniej chwyciłam smycz i miałam już wchodzić do windy, gdy Ricardo mnie zatrzymał.

- Muszę zadzwonić do pana Swaina, zanim panią wpuszczę, pani Melanie.

Zawsze mnie denerwowało, że Dan był „panem Swainem”, a ja „panią Melanie”, mimo że „pan Swain” nie był już tą gwiazdą co dawniej, a za mieszkanie płaciłam ja. Ale najbardziej wkurzało mnie, że musiałam czekać, aż wpuszczą mnie do mojego własnego mieszkania, i to za każdym razem kiedy odwoziłam Bustera. Jakbym była jakimś wyprowadzaczem psów.

Stałam więc, gotując się w środku, podczas gdy Ricardo - niski krzepki Latynos z małym wąsikiem - dzwonił do Dana. Rozmawiał z nim przymilnym tonem, śmiał się ze wszystkiego, co tamten powiedział, by wreszcie na koniec odłożyć słuchawkę. Ricardo stanowił przeciwieństwo stereotypu gburowatego portiera, którego cała postawa mówi, że wolałby robić cokolwiek tylko nie to, co robi. Traktował swoją pracę poważnie, co bardzo mi odpowiadało, gdy tu mieszkałam, ale teraz stało się wprost nie do zniesienia.

Uśmiechnęłam się słodko.

- No i jak? Dostałam pozwolenie?

- Pan Swain mówi, że może pani wejść - odparł, najwyraźniej nieświadom, jakie to dla mnie żenujące, że muszę czekać w swoim własnym domu, że dawni sąsiedzi patrzą na mnie z góry i że wreszcie wpuszcza mnie mój były mąż.

- Dziękuję.

Buster ten właśnie moment wybrał sobie, żeby puścić baka prosto w twarz Ricarda. Zapamiętałam, żeby mu dać dodatkowego krakersika za dobre sprawowanie.

Pojechaliśmy windą na trzydzieste drugie piętro, gdzie Dan oczekiwał nas na progu apartamentu 32G. Miał na sobie puszysty granatowy szlafrok, chyba z logo Polo, oraz beżowe skórzane mokasyny od Gucciego. Wszystko co najlepsze dla naszego Dannyego. Boże, doprowadzało mnie to do szewskiej pasji - ja musiałam uważać na wydatki na ubrania, a on wkładał kreacje proponowane w „GQ”.

A poza tym był w szlafroku, a nie w biurowym garniturze, mimo że to poniedziałek rano. Miałam niemal całkowitą pewność, że Ricardo go obudził. Na prawym policzku dostrzegłam ślady odgnieień poduszki.

Czy przypominał jeszcze tego złotego chłopca, który zdobył moje serce tamtego dnia w restauracji trzynaście lat temu? No pewnie. Przystojniak to zawsze przystojniak. Ale pojawiły się pewne skazy. Włosy, choć nadal blond, nosił teraz dłuższe i bardziej potargane, grzywka zakrywała czoło, a końce kręciły się przy uszach. Ciało pozostało muskularne, ale nawet w połowie nie tak jędrne jak w czasach, kiedy jeszcze grał. Przytył i wyhodował sobie brzuszek, a twarz stała się pełniejsza i w połączeniu z workami pod oczami wyglądała jak podpuchnięta facjata rozpustnika.

— Ktoś umarł czy po prostu tak się cieszysz, że mnie widzisz? — zagał, kiedy weszłam wraz z Busterem do mieszkania.

— Umarł - odparłam, spoglądając na jego stopy. -Ten biedny cielaczek, z którego zrobiono twoje buty. Są nowe, prawda?

— Może i są. Pożyczyłbym ci, ale chyba nie pasowałyby do tego garnituru.

Garnituru. Błagam. Miałam na sobie kostium bankiera, szary, w prążki. Był trochę męski w kroju, no i co z tego?

— A jak Buster? — zapytał Dan i schylił się do psa.

— Świetnie — odparłam, rozglądając się po salonie, w którym od mojej wyprowadzki nie zmieniło się dosłownie nic. Nawet nie przemalował ścian. (Czas remontu to mój kolorowy okres, w salonie panował więc głęboki odcień niebieskiego, w jadalni piękna zieleń, a w sypialni burgund). Wszystko wyglądało tak, jak to zostawiłam, łącznie z naszymi zdjęciami z lepszych czasów poustawianymi tu i ówdzie w ślicznych srebrnych oprawkach. Kiedy spytałam, dlaczego wciąż tu stoją, wzruszył ramionami i powiedział, że je lubi. Cały Dan. Tkwił wciąż w dawnych dobrych czasach.

Zauważyłam też na stoliku dwa kieliszki i butelkę po szampanie. Ale nie byle jakim szampanie, nie myślcie sobie. Pił Cristala, czyli jakieś trzysta dolarów za sztukę. Czy teraz rozumiecie już, za co go nienawidzę? Czy mniej kosztowne bąbelki by nie wystarczyły? No oczywiście, że nie. Skąd.

— Posłuchaj, nie zapomnij zabrać go na kontrolę do weterynarza — powiedziałam. - W środę o wpół do piątej.

— Przypominasz mi szósty raz.

— Po prostu się upewniam. Poza tym, bardzo polubił tę sznurkową zabawkę, którą mu kupiłam w zeszłym tygodniu, więc myślę, że powinien tu też taką mieć.

- Kupię po drodze, jak pójdziemy dziś do parku.

- Do parku? Zabierasz go do parku?

- Owszem. A co, nie wolno?

-Mamy bardzo ciepły grudzień, Dan. Mówili, że może być nawet dziesięć stopni. Nie chcę, żeby się przegrzał, goniąc za piłką.

Dan pociągnął się za lewe ucho, co oznaczało, że zaczynam go irytować.

- Za piłką gonić będę ja. Spotykamy się jak zwykle z Erniem i resztą chłopaków.

- Chyba miło spędza się popołudnia w Central Parku - dodałam z lekkim westchnieniem.

- Gdzie spędzam popołudnia, a także ranki i wieczory, skoro już o tym mowa, to nie twój interes - odparł, puszczając Bustera.

- Ale to mój interes, dokąd zabierasz Bustera. Z tego, co wiem, chodzi z tobą do tych podejrzanych lokali.

Roześmiał się.

- Czuj się również zaproszona.

- Po prostu nie chcę, żeby Buster oglądał nagie kobiety.

- Ciebie oglądał.

- Owszem, ale ja nie noszę naklejek na sutkach.

- Chyba nie pochwaliliby tego u Piercea, Shelleya i Steinberga?

- Możemy zmienić temat?

- To ty go zaczęłaś.

Policzyłam do dziesięciu, pamiętając o obietnicy, którą złożyłam Robin.

- Proszę cię tylko, żebyś pamiętał o wizycie u weterynarza.

- A ja proszę cię tylko, żebyś się nie wtrącała w moje sprawy. Jesteśmy teraz rozwiedzeni, a tego przecież chciałaś, Mel.

Podeszłam do niego. Staliśmy twarzą w twarz. Widziałam każdy por jego skóry, każdy włoszek zarostu, każde pęknięte naczynko na nosie - o tak, kilku się już dorobił.

- Owszem, chciałam, więc teraz się na mnie mścisz i muszę ci płacić alimenty.

- To nie alimenty. Raczej żołnierska renta. Za trzynaście lat znoszenia cię słusznie mi się należy, kotku.

- Znoszenia mnie? - Znów liczyłam do dziesięciu, ale przy pięciu nie wytrzymałam. Prowokował mnie! Musiałam się bronić, same przyznajcie. - To ja musiałam patrzeć, jak siedzisz z Erniem i wspominasz dawne dobre czasy, zamiast zastanowić się, co zrobić z resztą swojego życia. Myślisz, że to takie fajne?

- Ernie akceptuje mnie takiego, jaki jestem.

- Ernie zwyczajnie na tobie wisi.

-To wcale nie takie złe, gdy ma się kogoś, kto na tobie wisi.

- A cóż to niby ma znaczyć? Że miałam na tobie wisieć, mimo że nie robiłeś absolutnie nic, by...

Coraz bardziej się rozgrzewałam, kiedy Buster zaczął szczekać. Mopsy właściwie nie szczekają, ale tym razem zdecydowanie chciał, żebyśmy przestali się kłócić.

- OK. Nie przy psie - oznajmiłam.

- Właśnie - zgodził się Dan. - A skoro już go przyniosłaś, to chyba nic więcej cię tu nie zatrzymuje. Może więc wskoczysz z powrotem na miotłę i odleczysz do swojej ukochanej pracy?

- Wiesz co? - powiedziałałam ukłuta insynuacją, że nie jestem spokojną i pełną cierpliwości kobietą, którą nikczemnie sprowokowano. — Przyszłam tu z postanowieniem, że będę miła i zachowam dystans. Ale ty się ze mną drażnisz, a ja nie mam zamiaru ci na to pozwolić.

- W porządku. Przepraszam. - Próbował powstrzymać swój prowokacyjny zarozumiały uśmiezek i zrobić poważną minę. - Co słychać w pracy?

- Czeka mnie dziś prezentacja. Jeśli zdobędę klienta, będę przeschęśliwa.

- I ja również. Powiem więcej, mam zamiar to uczcić. Razem z Erniem opróżnimy jeszcze jednego Cristala.

No i widzicie? Jest niereformowalny!

- Co ty sobie w ogóle myślisz, Dan? Cristal kosztuje fortunę.

- Owszem, ale skoro okazją jest twój kolejny sukces zawodowy... Chyba nie chciałabyś, żebyśmy wznosili toast na twoją cześć jakimś tanim świństwem. Prawda, kotku?

Tego już było za wiele. Nawet nie próbowałam liczyć do dziesięciu.

-Jesteś egoistycznym draniem. Jak możesz w taki sposób trwonić moje pieniądze? Nie wystarczy ci, że muszę oszczędzać każdy grosz i mieszkać w jakiejś norze? Musisz jeszcze kłuć mnie w oczy najdroższym szampanem na świecie?

- To by chyba było na tyle, jeśli chodzi o twoje zachowanie dystansu, co? - I znów miał na twarzy ten swój uśmiezek.

- Bo doprowadzasz mnie do szału! Mrugnął do mnie.

- A wiesz, że wszystkie dziewczyny mi to mówią?

Zbyt rozwścieczona, żeby wymyślić jakąś inteligentną ripostę, ucałowałam Bustera, pokazałam Danowi palec i wyszłam.

W taksówce non stop powtarzałam w myślach tę naszą ostatnią wymianę słów, zastanawiając się, jak mogło do tego dojść. Ciągle mnie prowokował i zawsze z powo-

dzeniem, nawet gdy obiecałam sobie, że do tego nie dopuszczę. Czy w ten sposób próbował odpłacić mi za to, że odeszłam? A jeśli tak - jak mógł się spodziewać, że z nim zostanę? Przecież się poddał. Jako zawodnik, jako człowiek. Przestała go obchodzić piłka, on sam, życie w ogóle. Więc dlaczego miałabym z nim zostawać?

Gdy tak jechałam Piątą Aleją, nie mogłam się nadziwić, jak dwoje tak bardzo zakochanych w sobie ludzi mogło w ten sposób skończyć. Ale - co może potwierdzić każda kobieta po nieudanym związku — wszystko się z czasem zmienia. Okoliczności przynoszą te zmiany. Najpierw pojawia się komplikacja, a raczej cała seria komplikacji, i nagle ujawnia się druga twarz naszego bohatera, która w ogóle nie przypomina tej, jakiej się spodziewałyśmy. Kręcimy z niedowierzaniem głowami i mamrocemy pod nosem: „Więc to tak radzi sobie z problemami? Tak podchodzi do trudności? Oto, kim się okazuje!”.

W pierwszych latach małżeństwa obydwój z Da-nem przeżywaliśmy nieustającą rozkosz i w ogóle nie zauważaliśmy żadnych trudności. Byliśmy młodzi, niezwycześni, przekonani, że razem możemy zdobyć wszystko. Każde z nas potrafiło sprostać oczekiwaniom. Ja byłam zadziorną spryciarą, która zawsze wiedziała, co dalej, on — utalentowanym sportowcem w klasycznym amerykańskim stylu, który nie musiał wiedzieć, co dalej, bo wszystko przychodziło mu z absolutną łatwością. Stanowiliśmy parę doskonałą, razem byliśmy wprost idealni.

Nawet ten wieczór, gdy Dan mi się oświadczył, był idealny. Tydzień wcześniej oboje skończyliśmy college. Pojechaliśmy wtedy do Minco, taras jego rodzinnego domu wychodził na pola kukurydzy. Świecił księżyc — nie w pełni, ale prawie - a powietrze po popołudniowym deszczu było świeże i pachnące. Wyszłam na taras, już czując się członkiem rodziny Swainów, którzy stanowili

sentymtalne, bardzo związane ze sobą stadko, jakiego nigdy nie miałam. Nie mogłam uwierzyć, że tak serdecznie witają pośród siebie obcego.

- Zamieszkamy w Minco - powiedział Dan, kiedy już się zgodziłam go poślubić. - Kupimy farmę, jak rodzice. Będziemy uprawiać kukurydzę, pszenicę albo orzechy arachidowe. Co tylko nam się zamarzy.

Na początku oniemiałam.

- Chwila. Przecież jesteś Trafne, zapomniałeś? Lada chwila przechwyci cię jakaś zawodowa drużyna.

- A, to. - Wzruszył ramionami. - Chyba wolę uprawiać orzechy. Życ razem z moją dziewczyną w ciszy i spokoju, z dala od świateł wielkich miast. Zgadzasz się?

- Ja... - Rany. Kochałam Dana ponad wszystko, ale żona rolnika?

- Może Minco to nie jakaś metropolia - kontynuował, obserwując moją zmieniającą się twarz - ale mamy tu cztery restauracje, dwie stacje benzynowe, kwaciarnię, salon piękności, a nawet wypożyczalnię filmów i solarium w jednym.

Nie mogłam wydusić z siebie słowa. Dokumentnie mnie zaskoczył. A moje marzenia o MBA, pracy w finansach, cudownym mieszkaniu... pękają jak bańka mydlana?

- Mel? - odezwał się Dan. - Tak?

- Żartowałem. -Co?

Złapał mnie i mocno objął.

- Będę grał w Giantsach i razem zamieszkamy w Wielkim Jabłku!

Wrzasnęłam z radości, a potem znowu, kiedy oznajmił, że dzięki wypasionemu kontraktowi może zapłacić za moje dalsze studia.

- Ani się obejrzysz, a zostanę skrzydłowym. Moi bogaci koledzy po fachu zatrudnią cię do pomnażania swojej kasy. Jak ci się to podoba?

- To wszystko brzmi tak, no, tak prosto.

- I będzie proste, zobaczysz.

- Ale dla mnie nigdy takie nie było. Pocałował mnie.

- Melanie, teraz wszystko się zmieni.

Jak się okazało, miał rację. Wszystko się zmieniło. Doznał kontuzji, nie mógł grać, zasiadł przed telewizorem i przestał żyć. Proponowałam, aby zaczął pracować jako trener, ale stwierdził, że tak nisko nigdy nie upadnie. Jakby spanie do południa, a potem ogarnięcie się przed wieczorem, żeby zgrywać bohatera i łapać za tyłek panienki, nie było wystarczająco poniżające.

Zaczęliśmy się od siebie oddalać. Ja coraz więcej czasu spędzałam z klientami, on z Erniem, jeszcze większym obibokiem. Przestaliśmy się kochać. Twierdził, że już go nie szanuję, ja twierdziłam, że sam siebie nie szanuje. Obydwoje mieliśmy rację.

W końcu nie wytrzymałam. Doszłam do wniosku, że nasze odmienne charaktery, kiedyś tak świetnie się dopełniające, teraz zaczęły nam ciążyć. Ja, człowiek czynu, nie potrafiłam w żaden sposób zmusić go do działania. Jemu zaś, mimo że zawsze był taki przebojowy, nic już nie przychodziło z dawną łatwością.

Chociaż nie, coś jednak przychodziło mu z łatwością: alimenty. Boże, ależ mi to stało ością w gardle. Jak mógł trwonić moje pieniądze na szampana i buty, i...

- Proszę pani. Mówię po raz trzeci — warknął taksówkarz, przerywając moją podróż w przeszłość. - Jak długo chce pani tu siedzieć? - Dojechaliśmy już do firmy, na Czterdziestą Ósmą, i najwyraźniej staliśmy na tyle długo, że samochody wokół zaczęły na nas trąbić. Chwilę zajęło

mi otrząśnięcie się z zadumy, ale kiedy kierowca krzyknął, że mam zapłacić i wysiąść, zapłaciłam i wysiadłam.

Gdy ruszał z piskiem opon, ja stałam na chodniku. Wygładziłam spódnice, poprawiłam włosy i odegnałam wszelkie myśli o Danie, tym dawnym i tym obecnym. Czeka mnie prezentacja i muszę być w najlepszej formie. Pełne skupienie.

Wyprostowałam się na całe swoje sto sześćdziesiąt osiem centymetrów, wzięłam głęboki oddech i pewnym krokiem weszłam do budynku. Myślałam o milionach Jeda Ombachera.

ROZDZIAŁ CZWARTY

— Jest już? — zapytałam Steffi Strauss, swojej dwudziesto-sześćioletniej asystentki, jak tylko wysiadłam z windy i zauważyłam ją na korytarzu. W jednej ręce niosła zszywacz, a w drugiej stos notatników. Gdyby miała więcej rąk, na pewno dla każdej z nich też znalazłaby pożyteczne zajęcie. Była najlepiej zorganizowaną osobą, jaką znałam, zawsze przygotowana, zawsze zorientowana. Dzień, w którym przysłano mi ją z kadr, okazał się jednym z tych szczęśliwszych. Nie była tylko zdolną młodą dziewczyną, która zaliczyła studia na samych piątkach, ale też osobą z inicjatywą i miała dar przewidywania każdej mojej potrzeby.

- Nie — odparła, kręcąc głową, a kucyk koloru blond uderzył kilka razy o jej szyję. Wysoka, mocnej budowy ciała, wyglądała raczej przeciętnie w swoich praktycznych ubraniach i butach, ale dzięki pozytywnej energii, która emanowała, natychmiast się zapominało, że nie jest piękna. To chyba wielkość jej ust sprawiała, że twarz wydawała się nieproporcjonalna. Były za duże — to znaczy w stosunku do całej reszty. Kiedy się uśmiechała, człowiek odnosił wrażenie, że ma siedemdziesiąt pięć zębów. - Ale w każdej chwili powinien się pojawić. - Spojrzała na zegarek. — Dokładnie za pięć minut. Mam iść z tobą na to spotkanie?

Uśmiechnęłam się. Była mi ogromnie oddana, a ja starałam się jak najwięcej ją nauczyć, angażować w pracę tak, żeby któregoś dnia mogła awansować równie wysoko jak ja.

- To miłe z twojej strony, ale nie. Poradzę sobie. Teraz mam już tę prezentację w małym palcu.

- Nikt nie potrafi przekonywać nowych klientów tak jak ty, Mel. — Skinęła do mnie i pobiegła odpowiadać na moje telefony, maile i cokolwiek tam jeszcze było.

Ja tymczasem przejrzałam wiadomości na biurku, wzięłam teczkę Ornbachera i udałam się do gabinetu Berniego Shelleya, gdzie miało się odbyć spotkanie. Gdy weszłam, Bernie siedział za okazałym biurkiem - antykiem, ludwikiem którymś tam — i robił notatki.

- Mel, cieszę się, że zdążyłaś — przywitał mnie.

- A czy kiedykolwiek nie zdążyłam? - roześmiałam się w odpowiedzi. Od pierwszego dnia w tej firmie nie opuściłam ani jednego spotkania i ani razu nawet się nie spóźniłam, ale z drugiej strony Bernie to panikarz. Panikarz bezlitosny dla tych, którzy się spóźniają czy nie przychodzą na spotkania. Ten chudy żylasty mężczyzna po czterdziestce, o jasnej karnacji i z całą masą rudych włosów, pełnił w spółce funkcję dyrektora zarządzającego. Mówię „całą masą”, bo oprócz sztywnej gęstwiny na głowie, zdobiła go też ruda bródka i wąs. A jak się dokładnie przyjrzeć, rudzielce dało się zauważyć na palcach i grzbietach dłoni, a jeszcze więcej na kłacie, gdy w mniej oficjalne czwartki nosił rozpięte pod szyją koszule. Niedługo po separacji z Danem zaprosił mnie na kolację, ale wymigałam się, mówiąc, że moim zdaniem lepiej nie łączyć pracy z życiem osobistym. Prawda jest taka, że Bernie pociągał mnie w tym samym stopniu co Ronald McDonald.

- Chyba jestem trochę nadgorliwy — powiedział, na dowód prawdziwości swych słów obgryzając paznokcie. — Ale chciałbym, żeby Jed Ornbacher został naszym klientem. Jeśli do nas dołączy, może sprowadzić swoich kolegów nafcjarzy.

- Na mnie możesz liczyć - zapewniłam go.

— Wiem. Jesteś moim atutowym asem, dlatego mam zamiar siedzieć cicho i pozwolić ci działać.

Kilka minut później przyszedł Ornbacher. Zażywny jegomość, opalony i ubrany jak kowboj — kapelusz, kowbojki, dżinsy i bolo tie. Bernie mnie przedstawiał, a ja myślałam: Czy my tu prowadzimy rodeo? Co ci Tekszańscy sobie wyobrażają? Ludzie z innych stron kraju nie przychodzą do pracy w strojach ludowych. Miałam takiego klienta z Maine na przykład, ale nigdy nie widziałam go w biurze w koszuli w kratę, spodniach roboczych i ślimaku z wielkim czerwonym homarem.

Ornbacher jednakże cieszył się reputacją ekscentryka. W młodości śpiewał zawodowo - smutne ballady o miłości, niezbyt dobrze przyjmowane przez publiczność ze względu na swoje makabryczne treści. Najbardziej znana rymowanka jego autorstwa nosiła tytuł „Tylko mi tu nie umieraj”. Potem, zanim zaczął interesy naftowe, prowadził firmę produkującą sznurki do żaluzji. Plotka głosi, że wśród wielu jego zainteresowań znajduje się również płęć piękna. Nigdy nie ożenił się po raz drugi, ale miał mnóstwo przyjaciółek.

— To podobno obleśny typ - ostrzegął mnie Bernie. — Lubi sobie podotykać. Ale będziesz musiała to zignorować.

Łatwo powiedzieć, pomyślałam. To nie jego będzie obłapiać.

— Niezmiernie mi miło pana poznać — przywitałam się, ściskając jego dłoń.

Kiedy tak trzymał moją rękę — wydawało mi się, że w nieskończoność — uśmiechnął się szeroko, pokazując zęby, a jego twarz przybrała drapieżny wygląd.

— Mam na imię Jed - powiedział głośno z południowym akcentem. Jakby mówił przez megafon. Przyszło mi do głowy, że może być nie tylko obleśny, ale i przygłuchawy.

- Witamy, panie Jedzie - powiedziałam więc, wskazując mu krzesło.
— Mogę zaproponować panu coś do picia? Kawa? Herbata? Woda?

— Słucham? - krzyknął, przykładając rękę do ucha. Przysunęłam się bliżej i powtórzyłam.

- Marzę o szklaneczce bourbona - odrzekł i roześmiał się. Z jego gardła wydobył się charakterystyczny dla wieloletnich palaczy zaflegmiony skrzek, który przechodzi stopniowo w rżenie. - Ale wystarczy woda — dodał, kiedy doszedł do siebie.

Przynieśliśmy mu wodę. Usiadłam na krześle obok niego i rozpoczęłam rutynowe dla mnie spotkanie.

— No dobrze - powiedziałam. — Bernie mówi, że szuka pan nowych doradców finansowych.

— Nowych co?

- Nowych doradców — powtórzyłam. Zdałam sobie sprawę, że obmacywanie często uchodzi mu na sucho. Kobiety mówią, żeby spadał, a on po prostu nie słyszy.

- Owszem. Uznałem, że czas na zmiany. Nie można pozwolić, żeby obcy czuli się zbyt pewnie z moimi pieniędzmi. Rozumie mnie pani?

Jeszcze jak. Gdyby Dan nie poczuł się tak pewnie, nie musiałabym mieszkać w Hotelu Złamanych Serc w tej...

— Doskonale pana rozumiem - odparłam, odpędzając od siebie natrętną myśl. Skąd ona się właściwie wzięła? Niezależnie od tego, jaka jestem na niego wściekła, nie mogę pozwolić, żeby plątał mi się po głowie w tej chwili. Nie w samym środku spotkania z takim klientem. - I zapewniam, że trafił pan pod właściwy adres - kontynuowałam. - Doskonała reputacja naszej firmy mówi sama za siebie, a spośród innych wyróżnia nas właśnie uwaga, którą poświęcamy indywidualnie każdemu z naszych klientów. Zatrudniamy najlepszych ekspertów w swoich dziedzinach, ale nie jesteśmy jakąś galerią pieniężną.

— Czym?

— Galerią pieniężną — powtórzyłam. — Jak galeria handlowa.

— A, rozumiem - powiedział, po czym śmiał się, kaszłał i rzeził jednocześnie przez kilka koszmarnych sekund.

— Chcę przez to powiedzieć, że chociaż mamy w firmie zarówno księgowych, jak i agentów ubezpieczeniowych, doradców emerytalnych czy maklerów, nie będziemy pana odsyłać z jednego działu do drugiego jak w domu towarowym. U nas współpracuje pan z jednym doradcą, który nadzoruje wszystkie pańskie aktywa. Z osobą, której może pan zaufać. I na którą może pan liczyć w dzień i w nocy.

Spojrzałam na Berniego. Uśmiechał się do mnie zadowolony. Jak na razie wszystko idzie dobrze.

— Podoba mi się to, co słyszę — powiedział Jed. -Z kasą, o której mówimy, powinienem spokojnie móc dzwonić, kiedy tylko przyjdzie mi ochota.

— Oczywiście — zgodziłam się z nim. - Nasza praca absolutnie się nie kończy wraz z zamknięciem giełdy. Jeśli to ja będę miała zaszczyt zajmować się pana kontem, zapewniam, że będę osiągalna dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu.

Jed uchylił kapelusza, ukazując dwa długie pasma siwych włosów biegnące przez środek głowy - pomyślałam, że to taki kowbojski sposób zamaskowania łysiny.

— Podziwiam niewiastę, która chętnie zostaje do późna w pracy - skomentował. - Jeśli się dogadamy, będziecie musieli zakasać rękawy.

Rękawy. Właśnie. Szlafrok Dana to na pewno Polo, wart dwa razy tyle co mój frotowy, który wisi w... Boże, co ze mną?

— Nie boję się ciężkiej pracy - powiedziałam zła na siebie, że na własne życzenie się rozpraszam.

-To dobrze. A wracając do giełdy, co mówi Dow Jones? Zbliża się koniec roku. Czego według pani możemy się spodziewać w przyszłym?

— Osobiście jestem zdania, że przyniesie on sporo okazji, ale będą też wyzwania. Mamy do czynienia z biurokracją. Wyjście z kryzysu opierało się w dużej mierze na inwestycjach w technologie i operacjach wysokiego ryzyka. W zeszłym roku wszyscy postawili na bezpieczne, stabilne akcje, a okazało się, że tego właśnie nie powinni byli robić.

— Stawiam na to, że stopy procentowe pójdą w górę, ściągną całą resztę w dół - stwierdził Jed.

Nie odpowiedziałam. Wyobraziłam sobie natomiast nowe mokasyny Dana. Ciekawe, ile za nie dał. Skórka skojarzyła mi się...

— Melanie, stopy procentowe? — upomniał mnie Bernie. -Jeśli chodzi o stopy procentowe - powiedziałam,

gromiąc się po raz kolejny za brak koncentracji. To chyba ten szampan tak mnie wytrącił z równowagi. Gdy tylko pomyślałam, że wznosi za mnie toast, miałam ochotę rozbić mu tę butelkę na głowie — Bank Centralny zareaguje najpóźniej, jak się da. Panicznie się boją przedwczesnych ruchów, bo nie chcą napędzić deflacji, jak to się stało w Azji w latach dziewięćdziesiątych, więc zastosują politykę małych kroczków. Za to my, panie Jedzie, zrobimy kilka dużych kroków wraz z pana aktywami.

— I to mi się podoba — skomentował Jed, pompując pięścią w stronę Berniego. — A jak się mają obligacje?

I gra sobie dziś w parku w piłkę, myślałam. A jakże. Ja siedzę tu z tym napalonym samochwałą, wypruwając sobie flaki, żeby popłacić rachunki, a on biega beztrąsko po boisku...

— Melanie? — odezwał się Bernie, który znów zaczął obgryzać paznokcie. - Jed pyta o rynek obligacji.

- Obligacje, no tak. Uważam, że na tym polu zyski nie będą zbyt wysokie. Nie tylko w przyszłym roku, ale i później. - Pochyliłam się i spojrzałam Jedowi prosto w oczy pod rondem jego kowbojskiego kapelusza, przygotowana na wygłoszenie swojej popisowej kwestii. Zawsze potrafiłam ich nią rozśmieszyć. — Wie pan, jak w tym kontekście zauważył kiedyś Will Rogers: „Oczekuję nie zysku, ale raczej zwrotu moich pieniędzy”.

Jed Ornbacher zachichotał jak należało. Spędziliśmy jeszcze godzinę na omawianiu finansowych detali, a kiedy skończyliśmy, wziął moją dłoń, znacząco ją pogładził i zadeklarował, że nie tylko chce oddać swoje fundusze w zarząd naszej firmie, ale życzy sobie, abym osobiście nadzorowała jego transakcje. Dobrze się czuje ze świadomością, że jestem taka dyspozycyjna, oświadczył, gapiąc się bezwstydnie na moje piersi, jakby nigdy nie słyszał o dobrych manierach, nie mówiąc już o właściwym zachowaniu w miejscu pracy.

Po wyjściu Jeda Bernie mi pogratulował, a potem nie mógł się mnie nachwalić, powtarzając, że jestem jego atutowym asem i tak już zostanie na zawsze. Ale zapytał też, czy wszystko u mnie w porządku.

- Jeśli chodzi ci o Jeda, to ściskanie mojej ręki nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia.

- Nie miałem na myśli Jeda - wyjaśnił, odprowadzając mnie do gabinetu. - Ale podczas prezentacji wydawałaś się jakaś nieswoja. Kilka razy miałem wrażenie, że błędzisz myślami gdzieś daleko.

- Żartujesz sobie? Byłam w stu procentach obecna. -Roześmiałam się. — Przecież go mamy, prawda?

Rozwiałam jego wątpliwości. Ale nie potrafiłam rozwiać swoich. Podczas prezentacji odleciałam kilka razy, nie da się ukryć. Nigdy wcześniej coś takiego mi się nie

zdarzyło i trochę się zaniepokoiłam. Muszę dopilnować, żeby to był ostatni raz.

Mimo odniesionego zwycięstwa, kiedy weszłam tego wieczoru do domu, czułam się jeszcze gorzej niż zwykle, głównie dlatego, że w domu nie było Bustera, ale również dlatego, że z sąsiedniego mieszkania dochodził szloch. Zajmowała je Patty, właścicielka Letsmakeup.com, firmy handlującej w Internecie ekskluzywnymi kosmetykami. Ostatnio porzucił ją mąż fotografik i była z tego powodu bardzo przybita. Normalnie po długim dniu w pracy zajmowałam się zwykle sobą, ale to byłoby po prostu nieludzkie, gdybym w takiej sytuacji nie spróbowała jej pocieszyć.

— Patty? - zawołałam, pukając do drzwi. — Tu Melanie Banks z 32B.

Kiedy się nie odezwała, przyłożyłam ucho do drzwi i nasłuchiwałam przez chwilę. Szloch ustał i nastąpiła cisza — a potem głośny huk. Talerz? Szklany wazon? W każdym razie coś się rozbiło.

- Patty? - powtórzyłam, tym razem waląc pięścią w drzwi. - Wpuść mnie, proszę cię.

Kilka sekund później stanęła w drzwiach zapłakana, ciemny tusz spływał jej strugami po policzkach i przyklejał się do nich jak smoła. Zapamiętałam, by nie kupować tuszu do rzęs na Letsmakeup.com.

Była mniej więcej w moim wieku i bardzo dobrze „zrobiona”. Włosy profesjonalnie na blond. Nos profesjonalnie na mniejszy. Biust profesjonalnie na większy. Skróciła sobie nawet kilka palców u nóg, żeby stopy lepiej wchodziły w szpilki. I z pewnością była królikiem doświadczalnym dla sprzedawanych przez siebie produktów. Oprócz tuszu na powiekach pozostały trzy odcienie cienia do powiek i kredka do oczu, na ustach szminka i kontu-

rówka, a na półkach wystarczająca ilość podkładu, żeby wyrównać ściany Hotelu Złamanych Serc.

- Cześć, Melanie - powiedziała, wciąż łkając. — Wejdiesz?

- A jest bezpiecznie? - spytałam, wchodząc do środka. Mieszkanie miała urządzone identycznie jak moje. Wszystkie w tym budynku wyposażono w tandetne stoły, krzesła i lampy. Wyglądały, jakby wyprodukowano je w Trzecim Świecie i trzymały się tylko na kleju. Wystrój można by nazwać „importowaną elegancją”.

- Jasne - mówiąc to, wskazała na wiszące na ścianie zdjęcie niezłego byczka. Na podłodze poniżej leżały odłamki kryształowego kieliszka do szampana. — Ćwiczyłam rzucanie do celu. — Złapała kolejny kieliszek stojący na tacy wraz z dziesięcioma innymi i rzuciła nim w zdjęcie. Obawiałam się, że jeśli nie zainterweniuję, czeka nas długa noc.

Wzięłam ją za łokieć i poprowadziłam jak najdalej od broni masowego rażenia - na kanapę.

- To twój były?

- Tak, to Jason. Sam zrobił sobie to zdjęcie, z samo-wyzwalaczem. Wtedy chyba ostatni raz miał w ręku aparat. — Przyłożyła chusteczkę do oczu. — Potem był już zbyt zajęty sesjami u psychologa, sto pięćdziesiąt dolarów za godzinę.

- Więc zasadniczo nie pracował jako fotograf?

- Jason zasadniczo nie pracował, kropka. Nie musiał. Ja go utrzymywałam. - Wydmuchała nos, naruszając podkład pod lewym okiem.

- Przykro mi — powiedziałam. — A co cię w nim pociągało? Oprócz aparycji, oczywiście.

- Wzięłam go za artystę. Kto by pomyślał, że okaże się takim darmozjadem. Dzidzias cholerny.

- Dzidzias?

- Męski odpowiednik dzidzi bez pracy. — Znow się rozplakała. - A teraz muszę mu płacić alimenty. Wyobrażasz sobie?

- Jeszcze jak! Nigdy nie zrozumie, skąd u prawników takie chore pomysły.

- To czysta matematyka - tłumaczyła Patty. - Ty zarabiasz, ty płacisz. Bardzo zabawne.

- Wiem — powiedziała z westchnieniem i opowiedziała jej o Danie.

- Często myślę, żeby go zamordować - przyznała Patty, patrząc gdzieś w dal.

- Ja też o tym myślę, ale nigdy bym tego nie zrobiła. Mamy wspólnego psa.

Patty pokiwała głową.

- Rozmawialiśmy z Jasonem o piesku, ale uznałam, że wszystkie obowiązki znów spadną na mnie. Naucz go wszystkiego, chodź na tresurę, karm, wyprowadzaj.

- W zasadzie u nas robił to Dan. Może i jest dzidziąsem, ale kocha naszego Bustera.

- Wróćmy do morderstwa - powiedziała, zdecydowanie zbyt entuzjastycznie.

- Ja nie mówiłam poważnie, Patty.

- No dobra, olać morderstwo. Ale Jason aż się prosi o lanie. W zeszłym tygodniu zabrał swoją dziewczynę do Australii. Do buszu - powiedziała i znów wybuchnęła płaczem. - Jedyne busz, do którego mnie zabrał, to knajpa za rogiem. Zapłaciłam ja.

-To męka patrzeć, jak trwonią nasze pieniądze, wiem. - Poklepałam ją po ramieniu. - Ale mówisz, że Jason ma dziewczynę?

- Tak, tę sukę, dla której mnie zostawił.

- Mieszka z nią?

- Chciałabym. Mogłabym rzucić mu w twarz klauzulą o wspólnym pożyciu i skończyć z alimentami. To

dopiero jest zabawne, posłuchaj, facet jest zbyt głupi, żeby znaleźć pracę, ale nie aż tak, żeby odrzucić bony na obiady.

Przypomniałam sobie rozmowę z Robin — tę część o warunkach ugody.

- Więc ty też masz tę klauzulę?

Wzruszyła ramionami, jakby pytanie było głupie.

- Każdy ją ma. A twój z kimś mieszka?

- Nie. To znaczy nic o tym nie wiem.

- Jak to nie wiesz? - Dosłownie opadła jej szczęka. - Więc nie trzymasz ręki na pulsie?

- A po co? Usiłuję o nim zapomnieć. Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba, to angażować się w jego romanse.

- Kochana! Coś chyba masz nie po kolei. Jeśli pomieszka z kimś przez dziewięćdziesiąt dni, wtedy dopiero będziesz mogła o nim zapomnieć. Żadnego klucza w piersiach, kiedy obliczasz, ile już mu zapłaciłaś. Koniec z bólem głowy, gdy ma na sobie jakiś śmiesznie drogi ciuch. Żadnego przewracania w żołądku, gdy uzmysławiasz sobie, że myślisz o nim podczas ważnego spotkania.

Ostatnie zdanie zwróciło moją uwagę. Zrobiłabym wszystko, żeby tylko nie powtórzyły się moje dzisiejsze gafy, nieważne jak nieszkodliwe. I aby pozbyć się Dana z mojej głowy i z mojego konta, potrzebuję jedynie jego dziewięćdziesięciodniowego pobytu z inną kobietą pod jednym dachem? Na pierwszy rzut oka wydawało się to dosyć proste, ale chyba jednak nie było. Razem z Robin doszliśmy już do wniosku, że nie da się nabrać, więc tak prędko się od niego nie uwolnię. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pozbywałby się comiesięcznych alimentów, chyba że...

- Gdyby Jason naprawdę kochał tę dziewczynę, rzeczywiście ją kochał mimo wcześniejszych negatywnych doświadczeń z tobą, na pewno chciałby z nią spędzać każ-

dą noc - stwierdziłam, a przez głowę przeszła mi zupełnie niewinna myśl. - Uznałby, że pieniądze to pestka w porównaniu z tym, że codziennie może się budzić obok niej.

Patty znów na mnie spojrzała, jakbym się urwała z choinki.

-To bardzo romantyczne, Melanie, ale chyba za dużo czytasz Danielle Steel. Mężczyźni tak nie działają. Zawsze mają swój plan.

-Nie jestem przekonana, że można tak uogólniać. Na pewno są jacyś, którzy potrafią się pozbierać po nieudanym małżeństwie, znaleźć nową miłość i postawić ją ponad kasę. - Już wtedy coś zaczynało mi świtać. Pojawił się cień nadziei. Jeszcze nic poważnego. Dopiero następna wypowiedź Patty nieco tę nadzieję wzmocniła. I zaczęłam się zastanawiać, czy to możliwe, prawdopodobne, w ogóle wyobrażalne, że nadzieja może się zamienić w rzeczywistość.

-Tak uważasz? — Przewróciła oczami. — Hm. No może, czy ja wiem, jeśli wychował się w środku pola z kukurydzą czy coś takiego. Tacy mają pewnie zupełnie inne wartości niż chłopaki z Nowego Jorku. Cała ta kukurydza chyba gdzieś w nich zostaje.

Tak, miałam nadzieję. Ale jeszcze nic więcej.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wigilię Bożego Narodzenia spędziłam u mojej przyjaciółki Louise. Wraz z mężem Leonardem co roku wydawali uroczystą, bardzo tradycyjną kolację w swoim zbudowanym w 1810 roku kolonialnym domu w Westport - domu z pięknymi parkietami i gzymsami, otoczonym oczywiście płotkiem z białych drewnianych sztachetek. Wraz z dwójką nad wyraz rozwiniętych dzieci, ośmioletnim chłopcem, który gra na fagocie, i dziesięcioletnią dziewczynką, która mówi po japońsku, co jak mnie poinformowała, jest w dzisiejszych czasach po prostu koniecznością, zapraszali jego rodziców, jej rodziców i różnych znajomych. Ja rzecz jasna byłam jedną ze znajomych -jedyną zaproszoną w tym roku.

Śnieg niestety nie spadł, więc trawnik przed domem prezentował smutny brązowawoszary zimowy widok. Za to już w holu — a więc była to pierwsza rzecz, którą widziało się po wejściu do domu — stała ogromna błyszcząca choinka, ubrana w zielone i złote lampki oraz ozdoby przekazywane od lat z pokolenia na pokolenie. Kiedy byłam mała, tata mówił, że nie stać nas na drzewko, więc nigdy go nie mieliśmy. Zresztą i tak nie było na nie miejsca. Po jego śmierci, gdy wyszłam za Dana, co roku kupowałam ogromną choinkę. Obwieszałam ją lampkami, ozdobami, lametą, popcornem i wszystkim, co tylko przyszło mi na myśl. Była to jarmarczna nuworyszowska choinka, z której niektórzy mogliby szydzić, a jednak zawsze, gdy nadchodził czas, by się z nią pożegnać, było mi źle.

Kiedy tego wieczoru weszłam do domu przyjaciółki, zdałam sobie sprawę, że to pierwsze święta, gdy występuję jako osoba oficjalnie rozwiedziona. Super. Ale jazda. Nie ma nic gorszego, niż być jedyną kobietą przy stole bez pary i wzbudzać litość innych biesiadników. Spróbuję jednak się dostroić do świątecznej atmosfery. Zresztą czułam się świetnie. No dobrze, może nie aż tak świetnie.

- Mel! Wchodź dalej! - zawołała Louise i wyściskała mnie na powitanie. Miała na sobie proste praktyczne spodnie oraz bluzkę, zresztą jak zwykle, niezależnie od okazji. W zasadzie nigdy nie widziałam jej w spódnicy czy choćby z odrobiną makijażu. Nie jest niekobieca, po prostu wygodę ceni sobie wyżej niż wszelkie trendy. Uwielbiam w niej to, że w przeciwieństwie do większości kobiet nie wystaje przed lustrem, wynajdując swoje wady.

Kiedy ją poznałam - dobrze zbudowaną, piegowatą jasnowłosą dziewczynę z Nowej Anglii, która uczęszczała do najlepszych szkół i używała zdrobnienia Weezie - pracowała również u Pierce'a, Shelleya i Steinberga. Pochodziła z bogatej rodziny, ja z dołów społecznych, a mimo to od razu przypadłyśmy sobie do gustu. Obydwie byłyśmy wojowniczkami nastawionymi na zrobienie szybkiej kariery, obydwie wolałyśmy działać, niż siedzieć w kącie z nadzieją na lepsze czasy. Same tworzyłyśmy swoją rzeczywistość.

Jedną z rzeczy, którą chciała stworzyć Weezie, było małżeństwo. W tamtym czasie ja żyłam szczęśliwa z Danem, a ona wciąż samotnie, zdeterminowana zmienić ten stan rzeczy. Po wielu randkach umówionych przez Boppy'ego, jak wszyscy nazywali jej ojca Boba, oraz przez Els, jak nazywano jej matkę Eleanor, zaczęła ogłaszać się w gazetach i na randkowych portalach internetowych, a także zapisywać na weekendy dla samotnych organizo-

wane na statkach wycieczkowych - niestety, bez skutku. Niezrażona wynajęła Desiree Klein, właścicielkę profesjonalnego biura matrymonialnego, która wystąpiła nawet w telewizji, i wreszcie się udało. Przez Desiree, swatkę samotnych serc z najwyższych sfer kasującą honorarium w wysokości pięciu tysięcy dolarów, poznała Leonarda, laryngologa, który wywodził się z domu bardzo podobnego do domu Weezie i którego w skrócie nazywali Nards. Zakochali się w sobie, mieli elegancki ślub i przyjęcie na Park Avenue, a potem zamieszkali w Westport, niedaleko Els i Boppy'ego rezydujących w Darien. Wkrótce Weezie zaszła w ciążę i zrezygnowała z pracy na rzecz macierzyństwa. Kiedy odeszła, zastanawiałam się, czy nie zanudzi się w tym Connecticut, z dala od centrum wydarzeń, ale ona pokochała swoje życie z Nardsem i dziećmi, a niega-snącą energię wykorzystywała, działając w radzie rodziców, towarzystwie historycznym i na korcie tenisowym. Jej małżeństwo kwitło, a moje się rozpadało. Na szczęście po rozstaniu z Danem to mnie wzięli pod opiekę. Zawsze go lubili, ale po naszym rozwodzie, jak większość znajomych, czuli, że muszą wybrać. I jak już wspomniałam, szczęśliwie wybrali mnie.

— Dzięki za zaproszenie — powiedziałam, gdy już wyraziłam zachwyt nad drzewkiem.

— Bez ciebie to nie byłoby to samo - odparła. - Idź do wszystkich, potem pogadamy.

I już jej nie było.

Na kolację podano pieczoną gęś z wszystkimi dodatkami. Przepyszna. Z moim zdwojonym apetytem nie tylko zmiotłam z talerza całą porcję, ale i kilka dokładek. Zmusiłam się też do wzięcia udziału w rozmowie. Zaskakująco ciepło jak na tę porę roku, prawda? Rynek nieruchomości chyba drgnął? Giantsi potrzebują dobrego rozgrywającego, jeśli chcą wejść do playoffu.

Oczywiście, przy tym temacie zamilkłam, a Weezie wzruszyła przepraszająco ramionami, kiedy jej ojciec go poruszył.

Dan, Dan, Dan. Zawsze ten Dan. Przez całą drogę do Connecticut obsesyjnie myślałam o jego ostatnim wyczynie. Nie tylko zabrał Bustera na święta do Puerto Rico na jakiś wielki zlot byłych zawodników Giants. Wynajął w tym celu prywatny samolot! Serio! Za każdym razem gdy liczyłam, ile ta przygoda kosztuje, wpadałam w szal. To niesprawiedliwe. Po prostu niesprawiedliwe. Te pieniądze powinny być w banku - w moim banku - i zarabiać na odsetkach, żeby moje życie stało się bezpieczniejsze.

Po kolacji, kiedy dzieci już poszły spać, a Boppy, Els i reszta rodziny rozjechali się do domów, siedzieliśmy z Weezie i Nardsem w salonie, sącząc porto. W kominku płonął ogień, a z głośników wydobywał się głos Diany Krall - powinnam być odprężona, ale nie byłam.

-No więc — odezwała się Weezie — opowiadaj, jak sobie radzisz.

- Próbuję ruszyć z miejsca. - Źle przełknęłam porto i wyszło mi nosem. - I „żyć swoim życiem”, jak radzi moja prawniczka. Niestety, Dan wyczarterował prywatny samolot do Puerto Rico i zabrał tam Bustera, więc jestem raczej przybita.

- Prywatny samolot? To tak wydaje twoje pieniądze?

- powiedziała. - Musisz sobie znaleźć jakiegoś dojrzałego faceta.

- Mam kolegę po fachu. Gastroenterolog - wtrącił Nards. Nards jest nieprzeciętnie wysoki, ma też bardzo widoczne i ruchliwe jabłko Adama. Lubi sobie pogadać, wykazuje skłonności do perorowania, więc czasami się wyłączam, ale nie można mu odmówić dobrych intencji.

- Kilka lat temu jego żona popełniła samobójstwo. Wydaje mi się, że jest już gotów na nowe znajomości.

— Dzięki, ale ja nie jestem jeszcze na nie gotowa.

— No i nie wiemy, dlaczego ta żona odebrała sobie życie - zauważyła Weezie. - Może to on ją do tego doprowadził.

— Kobiety — westchnął Nards. — Zawsze zakładacie najgorsze, jeśli chodzi o facetów.

— Na pewno jest fajny, skoro to twój kolega - powiedziałam delikatnie. - Ale na razie związki mnie nie interesują. I może już nigdy nie zainteresują.

— Nie bądź śmieszna — stwierdziła Weezie, która jak inne mężatki, zachęcała swoich znajomych do małżeństwa. - Tylko daj sobie czas. Na pewno poznasz kogoś tak wspaniałego jak mój mąż. — I mrugnęła do Nardsa.

— Ja nikogo nie chcę - powtórzyłam uparcie. - Chcę, żeby Dan sobie kogoś znalazł.

— A potem się ożenił, żebyś nie musiała płacić alimentów?

— Nie musi się żenić - wyjaśniłam. — Wystarczy, że pomieszka z nią przez dziewięćdziesiąt dni.

— To całkiem prawdopodobne - orzekł Nards. - Jest sławny, a kobiety kochają gwiazdorów.

— Czy ja wiem. Kochają takich, co bywają na premierach, a nie otwierają supermarkety. Mam wrażenie, że ostatnio to był Winn-Dixie na Florydzie.

— Trudno uwierzyć, że tak nisko upadł - skomentowała Weezie.

— Był świetnym zawodnikiem - wspominał Nards.

- Nie tylko zręczne, mocne ręce, ale i szybkość. I ta elegancja w ruchach. Potrafił wpaść i wyjść z każdej szamotaniny jak nikt inny.

— I stąd przezwisko — przyznałam mu rację. — Tego dnia, kiedy znieśli go z boiska na noszach, załamał się. A potem jeszcze raz, kiedy rozwiązali z nim kontrakt. Nigdy nie miał dość cierpliwości, żeby go dokładnie przeczytać, więc zaskoczyło go, że jak nie gra, nie dostaje kasy.

- Chyba było mu trudniej, niż przypuszczaliśmy - stwierdził Nards.
- Zgadza się, ale myślałam, że jednak dojdzie w końcu do siebie i zajmie się czymś innym. Są przecież ludzie, którzy wychodzą z problemów z jeszcze większą wolą walki. Poza tym mieliśmy przecież moją pensję. Kombinowałam sobie, że ja Kocham jego, a on mnie, więc razem damy radę wszystkiemu. Ależ byłam naiwna.
- A teraz musisz go utrzymywać, mimo że się rozwiedliście - dodała Weezie, z dezaprobatą kręcąc głową.
- Ale nie widziałaś nic złego w tym, że twój wuj Wally po rozwodzie utrzymywał ciotkę Bootsie - Nards zwrócił się do Weezie. - Uważasz, że alimenty należą się tylko kobietom?
- Oczywiście, że nie - odparła Weezie. - Ale ciocia Bootsie zasłużyła na każdego centa. Oddała wujkowi najlepsze lata swojego życia.
- Może Dan oddał Mel najlepsze lata swojego życia - ripostował Nards. - A na pewno te najbardziej produktywne.
- Dalej mógłby być produktywny, gdyby się trochę postarał - dodałam.
- Właśnie — poparła mnie Weezie. — Przecież wciąż jest młody i ma przed sobą przyszłość. Dlaczego więc trzeba mu płacić, gdy on tylko siedzi na tyłku?
- Bo system prawny musi równo traktować obydwie płci - odrzekł Nards. - Muszą być przepisy, które chronią mężczyzn tak samo jak kobiety. Żadnych podwójnych standardów.
- To bardzo szlachetne, Nards - stwierdziłam - i zgadzam się z tobą co do zasady. Chodzi o to, że...
- Chodzi o to, że gdy to ty musisz się dzielić pieniędzmi, zaczyna się problem - przerwał mi. - Rozumiem. Ale żyjemy w końcu w dwudziestym pierwszym

wieku i jeśli kobiety chcą być myśliwymi, muszą zaakceptować konsekwencje, jakie z tego wynikają. Powinny też zrozumieć, że mężczyźni w dzisiejszych czasach czują się bardzo niepewnie.

Spojrzałyśmy na siebie z Weezie i obydwie jęknęłyśmy.

— Mówię poważnie — kontynuował Nards. - Zmieniła się definicja pojęcia „mężczyzna” i wcale nie jest nam łatwo za tym nadążyć. Spójrzcie choćby na Dana. Kiedy przestał być żywicielem rodziny, nie umiał sobie z tym poradzić.

— Nie umiał sobie poradzić, bo nigdy nie musiał -zauważyłam. - Skoro całe życie jedziesz równą drogą, nie nabywasz umiejętności radzenia sobie na wybojach.

— Zgadza się, ale to samo można powiedzieć o wielu facetach. Powinnyście zobaczyć paru moich pacjentów, tych, którzy stracili pracę. Chodzą, jakby byli poranieni. Nie potrafią sobie uzmysłwić, że wciąż są ludźmi, mimo że ich portfel nie jest już tak wypchany jak kiedyś.

— Czy mój wymowny mąż, który uwielbia dźwięk własnego głosu, powie nam dlaczego? - prowokowała go Weezie

— Bo dzisiejsi mężczyźni odczuwają ogromny lęk przed tym, że się nie sprawdzą, i wcale nie chodzi o seks. Kobiety stanowią siłę, z którą nie można się nie liczyć. Im silniejsze wy się czujecie, tym gorsi czujemy się my. Nie wiemy po prostu, kim jesteśmy.

— Ja wiem, kim jesteś, i szaleję za tobą — powiedziała na to Weezie, a potem posłała mu kilka całusów.

Uśmiechnęłam się do przyjaciół.

— Chyba czas się zbierać. Weezie pokręciła głową.

— Nie rozwiązałyśmy jeszcze twojego problemu. Opuściłam wprawdzie Wall Street dla Westport, ale to nie

znaczy, że przestałam opracowywać szczegółowe strategie działań.

— A co tu jest do opracowania? — zdziwiłam się. -Rozwód stał się faktem, a ja wypisuję czeki byłemu, który czarteruje sobie samoloty. Przeraza mnie tylko fakt, że myślenie o tym zaczyna przeszkadzać mi w pracy. W zeszłym tygodniu w samym środku spotkania z ważnym klientem nie mogłam odpędzić myśli o nowym szlafroku Dana. Sama z jego powodu mieszkam w jednopokojowej dziurze i noszę od lat to samo, gdy tymczasem on pławi się w luksusach i kupuje szlafroki! To nieprzyzwoite!

— Spokojnie, spokojnie - mitygowała mnie Weezie.

- Z klientem w porządku?

-Tak, na szczęście. Ale Bernie zauważył, że byłam trochę rozproszona, i zapytał mnie o to.

— Kurczę. Niedobrze - orzekła. — Musimy cię wypłatać z tych alimentów, koniecznie.

— Wypłatać? - powtórzyłam, w tamtej chwili jeszcze niewinnie, jedynie od czasu do czasu pozwalając sobie na orgie pobożnych życzeń.

— Wspomniałaś klauzulę o wspólnym pożyciu. Opowiedz o tym.

— Nie ma co opowiadać. Klauzula mówi, że jeśli Dan przez dziewięćdziesiąt dni będzie mieszkał z inną kobietą, jestem zwolniona z płacenia mu alimentów.

— Zapewne nie stroni od kobiet - stwierdził Nards

- ale musiałyby się naprawdę zakochać, żeby ryzykować utratę dochodu.

— Albo dobrze się maskować — dodała Weezie. — Mógłby mieszkać z kobietą, ale być na tyle przebiegły, żebyś się o tym nie dowiedziała.

— Daleka jestem od bronięcia Dana, jednak to nie w jego stylu. Ma wiele wad, ale nie to.

- W takim razie musisz mu znaleźć kobietę idealną - zawyrokowała Weezie. - Kobietę, którą podniecają gwiazdy sportu i która potrafi być na tyle bezczelna, żeby zacząć wieszać swoje ubrania w jego szafie. No i musi być bogatsza od ciebie.

- Pominęłaś pewną istotną kwestię, kochanie — odezwał się Nards. - To musi być superlaska.

- Fakt — przyznała Weezie. - Tylko prawdziwemu bóstwu nie będzie się mógł oprzeć.

- No dobra — roześmiałam się. — A gdzie znajdę tę boginię? Na eBayu?

Weezie i Nards zareagowali jednocześnie, jakby to było oczywiste:

- U Desiree.

- Waszej swatki?

- No pewnie. A znasz jakiś inny sposób? - przekonywała Weezie. - Masz bardzo specyficzne wymagania. Nie możesz po prostu zacząć surfować po necie, jak słusznie zauważyłaś. Ani dać ogłoszenia. Mamy do czynienia z bardzo delikatną sytuacją, więc potrzebny jest profesjonalista.

- Profesjonalista kasujący pięć patyków. Żeby umówić faceta, który nawet nie wie, że się umawia. To porto wam chyba nie służy.

Nards uzupełnił nasze kieliszki, a potem usiadł na oparciu fotela żony i potarł delikatnie nosem o jej ucho.

- Nie podejmuj pochopnych decyzji, Mel - powiedział. — Desiree to geniusz. Spójrz tylko na nas.

- Może i geniusz, ale gdybym miała na zbyciu pięć patoli, już dawno wyprowadziłabym się z Hotelu Złamanych Serc i znalazła jakiś przyzwoity kąpiel.

- Usługi Desiree warte są swojej ceny - argumentowała Weezie. — Przez rok zapewni Danowi jedną randkę na miesiąc.

— Coś jak klub książki, jeden egzemplarz miesięcznie.

— Cały rok randek - mówiła dalej, ignorując moją sarkastyczną uwagę. — Na pewno znajdzie kobietę, z którą będzie chciał zamieszkać. A wtedy koniec z alimentami. W sumie zaoszczędzisz.

— To błyskotliwy plan - orzekł Nards, przyklaskując Weezie. Odwrócił się do mnie. — I na pewno dostaniesz od Desiree niezły zastrzyk energii. To dopiero charakterek.

Weezie kiwała głową.

— Cieszę się, że to ustaliliśmy. Czuję się dużo lepiej.

— Ustaliliśmy? — zapytałam, mając zupełny mętlik w głowie.

— Dam ci od razu jej numer — dodała Weezie. — Zadzwoń dopiero po świętach, ale nie odwlekaj tego zbyt długo. Znalezienie odpowiedniej „Kandydatki na Dziewięćdziesiąt Dni” może zająć nawet kilka miesięcy, a alimenty chcesz przecież płacić jak najkrócej, prawda?

— Dzięki za starania, ale nie ma mowy, żebym do niej zadzwoniła — odparłam znużona. — Nawet gdybym pochwaląa ten pomysł, a nie pochwalam, już wam mówiłam: nie stać mnie na nią.

— Raczej nie stać cię, żeby z niej zrezygnować, biorąc pod uwagę to ostatnie spotkanie z klientem - odparła złowieszczco Weezie. — Zawsze miałaś wszystko pod kontrolą, Mel, więc lepiej to też ogarnij, bo inaczej za chwilę zostaniesz bez pracy.

— Bez pracy? W najbliższej przyszłości zamierzam zostać partnerem. Wielkie mi rzeczy, zagapiłam się na dwie sekundy. To było tylko...

— Na pewno nie chcesz, by Bernie uznał, że coś cię rozprasza. Potrafi być wredny, pamiętasz? Robertę Chapman zwolnił, kiedy posypała się po rozwodzie.

— Ja się nie sypię, Weezie, tylko...

— Zadzwoń do Desiree.

- Tak, koniecznie - poparł ją Nards.

Zanim zdążyłam coś powiedzieć, gospodyni zmieniła temat, zastanawiając się, czy podana na kolację gęś dobrze wyszła.

W drodze powrotnej coraz bardziej się skłaniałam do upieczenia własnej gąski. Nie, nie podjęłam jeszcze tej brzemiennej w skutki decyzji, by zadzwonić do Desiree Klein, ale zastanawiałam się nad tym.

Myślałam mniej więcej tak: czy rzeczywiście mam tyle tupetu, nie mówiąc już o motywacji, by ją wynająć, żeby załatwić Dana? W sumie była tylko swatką, a nie najemniczką, i płacąc jej, nie popełnię przestępstwa. A jednak wrabianie Dana w relację z kobietą — z którą może się związać seksualnie i/lub emocjonalnie - bez jego wiedzy czy pozwolenia wydawało się, no, świństwem. Nieźle za-laźł mi za skórę, Bóg jeden wie, jak bardzo, ale zawsze grał uczciwie i nie cierpiał oszustwa. Nie był dwulicowy, jak już wspomniałam. Czy mogłabym za jego plecami mieszać mu w życiu osobistym, bo wkurzało mnie, że muszę zaciskać pasa, podczas gdy jemu wiedzie się coraz lepiej? Czy potrafiłabym usprawiedliwić wmanipulowanie go w trzymiesięczny związek tym, że chcę się uwolnić od ciężaru finansowego, jaki dla mnie stanowi? Czy umiałabym bawić się jego uczuciami - jego i tej kobiety - żeby nie musieć go utrzymywać przez następne siedem lat? Czy mój kompleks biedy był aż tak silny? A poczucie fair play aż tak słabe?

Najwyraźniej odpowiedź na powyższe pytania brzmiała „tak”. Potępcie mnie, jeśli tak wam nakazuje sumienie, ale najpierw mnie wysłuchajcie. Proszę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W poniedziałek po Nowym Roku Dan się spóźniał z Busterem. Umówiłam się z nim na wpół do dziewiątej, a za piętnaście dziewiąta wciąż ani śladu jednego czy drugiego. Zadzwoiłam do domu. Żadnej odpowiedzi. Zadzwoiłam więc na komórkę. Nie odbierał. Zadzwoiłam nawet do znenawidzonego Erniego, sądząc, że razem spędzili noc i teraz u niego odsypiają, ale i tam nikt nie odpowiadał.

Starając się, żeby mój głos nie zdradził ogarniającej mnie hysterii, zadzwoniłam do Steffi, by przeprosiła w moim imieniu Jeda Ornbachera, bo byłam umówiona na wpół do dziesiątej, żeby przedstawić mu naszych dyrektorów działów, którzy zapewne przyjdą punktualnie, podobnie jak Bernie. Nawet gdyby Dan zjawił się w tej sekundzie, i tak nie dojechałabym na tyle wcześnie, żeby złapać oddech. Lubiłam przygotować się do spotkania. To cecha atutowych asów.

- Gdybym nie zdążyła, powiedz, że trochę się spóźnię. Nagłe sprawy rodzinne — instruowałam ją. Wydawała się zdziwiona, i słusznie. Jak już mówiłam, nigdy wcześniej się nie spóźniałam. Ale teraz przez Dana się spóźnię. Lepiej, żeby miał dobry powód.

Pięć po dziewiątej, gdy przeżywałam już klasyczny atak hysterii, w końcu się zjawił. Ponieważ w Hotelu Złamanych Serc nie było portiera, zmaterializował się zwyczajnie przed drzwiami.

- Gdzie ty się podziewałeś? - zażądałam wyjaśnień, wachlując gazetą mokrą od potu twarzy. Właściwie cała

byłam mokra. Czarna jedwabna bluzka pod wełnianym żakietem w jodełkę na pewno miała plamy pod pachami. A tak się rano starałam, żeby wyglądać profesjonalnie, elegancko.

- Mam tu tak stać i słuchać twoich krzyków czy przywitasz się z psem?

Boże, doprowadzał mnie do szału. I nie dlatego, że się spóźnił. Doprowadzał mnie do szału, bo mimo że się spóźnił, w ogóle nie wyglądał na skruszonego. Prawdę mówiąc, wyglądał świetnie. Oprócz nowego kaszmirowego swetra w kolorze kremowym, który włożył do dzinsów, na ręce zauważyłam nowy zegarek wielkości mojej głowy.

Miałam jednak mocne postanowienie, by nie dać się sprowokować. Nie mogłam, nie tym razem.

Wzięłam psa na ręce.

- Jest mój śliczny pieseczek - mówiłam do niego, a on mnie lizał. - Mój słodki puszek. Mamusia bardzo za tobą tęskniła. - Spojrzałam na byłego.

— Jak się czuł w Puerto Rico?

- On świetnie. To ja dostałem cięgi. Przyjrzałam się jego twarzy, ale nie zauważyłam śladów siniaków czy opuchlizny. - Jakże znów cięgi?

- W kasynie. Kilku z nas popłynęło przy blackjacku.

- Grałeś? - spytałam, czując, że tracę panowanie. Wiem, wiem. Miałam zachować spokój, ale hazard? Tego już za wiele.

- Po to chyba chodzi się do kasyna, no nie? — odparł. - Na początku wygrywałem, ale potem szczęście szlag trafił.

Co on sobie myślał? W ogóle nie powinien grywać. Ani wybierać się w kosztowne podróże. Powinien siedzieć w domu i pisać CV!

Kiedy tak patrzyłam na niego z pogardą i jednocześnie niedowierzaniem, przez ułamek sekundy poczułam żal, że ten czysty, pełen ideałów mężczyzna, którego po-

ślubiłam, zamienił się w takiego... takiego... dzieciaka. Ale szybko się opanowałam, przypomniawszy sobie, że to ten sam facet, który skompromitował się na oczach setek tysięcy widzów, facet, który żył w przekonaniu, że trenerzy to ofiary losu, facet, który opróżniał moje konto.

- A tak z ciekawości, ile przegrałeś? - zapytałam.

- Za dużo.

- A mimo to wciąż stać cię na nowy zegarek?

- O-ho — odparł, grożąc mi palcem. — To już nie powinno obchodzić Melanie.

- Powiedz mi, Dan: czy twój zegarek dobrze chodzi?

- Najlepiej. To rolex.

- Więc dlaczego się spóźniłeś? Miałeś być o wpół do dziewiątej. — Oczywiście nie powinnam była zostawać i prawić mu morałów. Powinnam wybiec do pracy, jak tylko przyniósł Bustera, ale jak zwykle udało mu się mnie wciągnąć w tę grę. Nie wiem jak, ale zawsze mu się to udawało.

- Za późno wyszedłem.

- To żadne wytłumaczenie.

- No dobra. Jechałem z Dziewięćdziesiątej Drugiej, przy York, nie od siebie. Spędziłem tę noc u pewnej damy. Stewardesa, obsługiwała lot z San Juan, zaiskrzyło i zaprosiła mnie do siebie.

Mój mózg eksplodował. Musiałam czekać, bo on posuwał jakąś laleczkę poderwaną w samolocie z Puerto Rico? Ponad połowę pensji przelewałam co miesiąc na konto człowieka, który posuwał stewardesy?

- A co? Jesteś zazdrosna? - powiedział z sarkastycznym uśmiechem.

- Błagam. Nie przyszło ci do głowy, że dla Bustera zdrowiej byłoby, gdyby codziennie nie budził się w innym miejscu? Już jakaś stała dziewczyna byłaby lepsza niż te na jedną noc.

Wiecie co? W tamtej chwili w ogóle nie myślałam o Desiree Klein, przysięgam. Po prostu leżało mi na sercu dobro psa.

- Na stałe, tak? - powiedział sceptycznie Dan.

- Żeby Buster mógł przespać kilka nocy z rzędu w tym samym łóżku.

Niezmiernie go to rozbawiło.

- Wiem, że chcesz się wymigać od alimentów - mówił, rechocząc - ale nie mam zamiaru oddawać ci przysługi i ponownie się żenić. Wiem o tym kruczku, więc nie musisz się wysilać.

Ponownie się żenić? Uważał, że na tym właśnie polega kruczek? Czyżby zapomniał już o wspólnym pożyciu?

- No dobra, chcę się wymigać - przyznałam, próbując go wysondować.

- Ale masz rację, nie mogę, dopóki nie staniesz przed ołtarzem. - A jeśli naprawdę nie pamiętał? Ta możliwość mnie wprost zahipnotyzowała.

- W takim razie jesteś na mnie skazana - oznajmił - bo z małżeństwem skończyłem raz na zawsze.

No i co wy na to? Te dziewięćdziesiąt dni jednak mu umknęło. Powinnałam się domyślić. Nigdy nie zwracał uwagi na drobną czcionkę w kontraktach zawodniczych, więc czemu miałby ją zwracać na drobną czcionkę w ugodzie rozwodowej? Boże, niesamowita nowina! Istniała jednak szansa, choć bardzo odległa, że uwolnię się od tych alimentów! Koniec zmartwień finansowych. Koniec mieszkania w norach. Koniec trudności w pracy.

Oczywiście szansa, że zamieszka z kobietą na dziewięćdziesiąt dni, byłaby znacznie bardziej realna, gdyby Desiree tę kobietę dla niego znalazła.

Nie. Nie mogłabym zrobić czegoś tak podłego. Chyba że nie miałabym wyboru.

- Słuchaj, naprawdę muszę już iść, więc wyjdź, bo chcę zamknąć mieszkanie.

- Z nas dwojga to raczej ty przeciągasz tę rozmowę, kotku.

Ani drgnął. Stał z tym swoim beczelnym uśmiechem, tylko mnie denerwując.

- Dan. Prosiłam, żebyś wyszedł. Mam dziś kilka ważnych spotkań. A już jestem spóźniona.

Przechylił głowę.

- Bierzesz czasem dzień wolnego, tak bez specjalnego powodu? Dla przyjemności?

-Ty czerpiesz wystarczająco dużo przyjemności za nas oboje — odparłam. - A teraz wyjdź już!

Dosłownie wypychałam go z mieszkania w sposób, w jaki pewna kobieta w starym westernie pozbywała się intruzów ze swojej ziemi.

W końcu do niego dotarło i poszedł sobie, ale ja byłam już tak roztrzęsiona, że kiedy odwróciłam się, by wziąć teczkę, zahaczyłam ręką o kubek z napisem „I V Giants”, który stał na małym stoliku przy drzwiach. W trzech czwartych wypełniała go kawa, więc chciałam go złapać w powietrzu, żeby się nie rozbił i kawa nie zachlapała dywanu. Udało mi się tylko zmienić kierunek lotu. Ostatecznie kubek spadł i się rozbił, ale wcześniej kawa zdążyła ochlapać moją czarną jedwabną bluzkę. A ja się martwiłam plamami pod pachami.

- Nie wierzę, po prostu nie wierzę! - zawylałam, spoglądając na siebie, podczas gdy Buster prychnął i węszył, zastanawiając się, o co ten cały raban. Byłam przesiąknięta kawą rozpuszczalną. Tak, rozpuszczalną. Nigdy nie przepadałam za kuchennymi zajęciami, więc również za czasochłonnym uczeniem się obsługi wszelkich skomplikowanych ustrojstw. Parzenie kawy to przecież robota Starbucksa, a nie moja.

Co do kubka, przeklinałam się za to, że go zatrzymałam. Po przeprowadzce pozbyłam się wszystkich gadze-

tów z logo Giantsów i nie mogłam zrozumieć, czemu właściwie zostawiłam ten głupi kubek. Teraz był w rozsypce, podobnie jak moje zdrowe zmysły.

Panikując, że już w ogóle nie zdążę na spotkanie, pobiegłam do szafy, znalazłam coś na zmianę, przebrałam się, posłałam Busterowi całusa i czym prędzej wybiegłam z Hotelu Złamanych Serc.

Kiedy przyszłam do biura, spotkanie już trwało. Drzwi były zamknięte, ale ściany sali konferencyjnej ozdobiono szklanymi panelami, więc widziałam, co się dzieje w środku. Wszyscy czterej dyrektorowie działów obecni, Bernie również — siedział, obgryzając jeden z paznokci, jakby to było skrzydełko z kurczaka. Steffi zajmowała moje miejsce przy stole i dzięki jej za to, a Jed śmiał się, kaszlał i lubieżnie do niej mrugał.

Kiedy na nich patrzyłam, omal nie umarłam. A gdzie się podziały moje priorytety? Dlaczego nie wyszłam do pracy zaraz po przyjeździe Dana? To on się zawsze spóźniał, nie ja. Gdzie ja miałam głowę? Bo na pewno nie na swoim miejscu.

Chodziłam nerwowo tam i z powrotem przed drzwiami sali, zastanawiając się, czy wejść i wypić to piwo, czy olać spotkanie. Uznałam, że powinnam się przynajmniej pokazać. Nie mogłam przecież udawać, że nic się nie stało.

Głośno nabrałam w płuca powietrza, wypuściłam je i nacisnęłam kławkę. Wszyscy odwrócili głowy w moim kierunku.

- Dzień dobry. Bardzo przepraszam - powiedziałam, podchodząc wprost do Jeda. - Nagła sprawa rodzinna. Nic nie mogłam poradzić. Mam nadzieję, że mi pan wybaczy.

Przyłożył rękę do ucha.

- Słucham?

- Nagła sprawa rodzinna! Mam nadzieję, że mi pan wybaczy! - krzyczałam, czując się jak idiotka i oszustka.

Bernie rzucił spojrzenie, w którym trudno byłoby się doszukać zadowolenia — wiedział, że ta sprawa to lipa, bo nie miałam rodziny - a ja się zastanawiałam, czy zamiast się przebierać, nie powinnam się aby stawić na spotkanie obłana kawą. Bluzkę łatwiej byłoby wytłumaczyć.

- Oczywiście, że wybaczam - ryknął do mnie Jed i wszyscy odetchnęli z ulgą. - Jestem chrześcijaninem.

- Dziękuję - odparłam, uznając, że to nie najlepszy moment, by przyznawać się do swojego częściowo żydowskiego pochodzenia.

- Proszę, siadaj, Melanie — zaproponował Bernie przez zęby. Wyraz jego twarzy wskazywał, że on nie jest już tak skory do wybaczenia. — Właściwie już kończymy, ale równie dobrze możesz zostać.

- Bardzo chętnie — odpowiedziałam, siadając między nim i Steffi, której bezgłośnie podziękowałam.

Po spotkaniu, kiedy wszyscy już wyszli, podeszłam do Berniego i gorąco go przeprosiłam za to spóźnienie.

- Zaczynają się kłopoty z rozwodem - wyjaśniłam. W sumie dlaczego nie postawić na szczerłość. No tak, zwolnił Robertę Chapman, kiedy po rozwodzie się rozsypała. Ale ja chciałam mu udowodnić, że stawiam czoło swoim problemom, a nie potykam się o nie tak jak Roberta.

- Nie jesteś z Danem już od roku - zauważył, drapiąc się po koziej bródce. - To chyba wystarczająco długo, żeby się przyzwycząić do nowej sytuacji.

- No tak. Ale nie chodzi o to, że jestem sama. Chodzi o alimenty, które muszę mu płacić. To mnie dobija.

Skinał głową, jakby rozumiał, choć sam był kawalerem i nigdy nie płacił byłej partnerce.

- Co w tej sytuacji postanowiłaś? Podjęłaś jakieś kroki zaradcze?

- Kroki?

-Jestem po twojej stronie, Mel, i ty o tym wiesz. Dużo znaczysz dla naszej firmy i jedno spóźnienie to nie koniec świata. Ale...

- Ale co? - Znów pomyślałam o Robercie i o tym, jak szybko popadła u Berniego w niełaskę. Mimo jego uspokajających słów poczułam nagły strach.

- Jeśli te alimenty przeszkadzają ci w pracy, powinnaś zapewnić sobie profesjonalną pomoc - powiedział mój szef.

No właśnie. W sumie więc dzwoniąc do Desiree, tak naprawdę wykonywałam tylko polecenie zwierzchnika. Chyba to rozumiecie?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Desiree Klein Heart Hunting. Mówi Taylor. — Głos był tak poważny jak w pogotowiu dla samobójców. Bardzo profesjonalny. No i „heart hunting” zamiast „head hunting”*. Sprytny chwyt marketingowy.

- Dzień dobry - zaczęłam. - Chciałabym się umówić na spotkanie z panią Klein. Im szybciej, tym lepiej — mówiłam cicho, żeby nikt czający się przed moim gabinetem nie mógł usłyszeć. Zanim zadzwoniłam, zamknęłam drzwi i upewniłam się, że Steffi wyszła na lunch. Mimo że podjęłam decyzję o wynajęciu Desiree, nadał nie byłam z tego dumna.

- Jest pani nową klientką? - zapytała Taylor.

- Tak — odparłam. — Polecili mi państwa Louise i Leonard Chesterowie.

- O, wspaniale. Są przykładem jednego z wielu sukcesów pani Desiree - poważny ton ustąpił miejsca dziewczęcemu entuzjazmowi. — O której chciałaby pani przyjść?

- Najlepiej wcześniej rano lub późnym popołudniem. Jestem dość zajęta.

- W takim razie może w środę o ósmej trzydzieści? — zaproponowała.

- Idealnie.

Zapytała o nazwisko, adres i numer telefonu, potem poinformowała, gdzie mieści się ich siedziba.

* **Ang. gra słów: *head hunter* — łowca głów, *heart hunter* — łowca serc (przyp. tłum.).**

— Musi pani przynieść ze sobą honorarium w wysokości pięciu tysięcy dolarów - dodała.

— Od razu? Czy pani Desiree nie powinna ich najpierw zarobić? - Wciąż robiło mi się niedobrze na myśl

O wydaniu takiej sumy, ale Weezie wytłumaczyła mi, ile zaoszczędzę, jeśli wszystko się potoczy po mojej myśli.

— Oddajemy je, jeśli nie znajdzie pani partnera.

Zaczęłam wyjaśniać, że właściwie nie szukam partnera dla siebie, ale przerwałam, uznając, że zachowam tę mowę dla szefowej, bo sytuacja była przecież dosyć skomplikowana.

— Proszę przynieść także aktualne zdjęcie - mówiła dalej Taylor — oraz jednostronicowy życiorys zawierający informacje o pani wykształceniu, sytuacji finansowej

i przeszłości małżeńskiej. Osobno proszę opisać swoje oczekiwania, nadzieje i marzenia, a także swoje preferencje, jeśli chodzi o randki. Poza tym musimy wiedzieć, jakie choroby pani przebyła, także przenoszone drogą płciową, i jakie aktualnie zażywa pani leki, szczególnie jeśli są to antydepresanty i leki przeciwpsychotyczne. Jeśli ma pani opryszczkę lub brodawki weneryczne na przykład, musi pani przedstawić zaświadczenie lekarskie, kiedy miał miejsce ostatni atak choroby.

Jasny gwint, czy chce też wiedzieć, jak regularny jest mój okres?

— Halo? — powiedziała. - Zapisala pani wszystko?

— Tak — odparłam. — Ale chodzi o to, że...

— Pytanie o choroby weneryczne wydaje się nieco wstydlive?

— Nie, wcale...

— Zupełnie niepotrzebnie. To część pani przeszłości, a jeśli ktoś jest aktywny seksualnie, coś musi się mu przydarzyć, prawda?

— Prawda. Ale ja...

- No tak, wiem. Nie będzie pani w stanie zebrać tych wszystkich informacji w tak krótkim terminie, bo przecież jest pani zajęta.

- Właśnie. — To jakieś wariactwo. Ja zwariowałam.

- Nie ma się czym przejmować. Wszystkich nas dobija ta papierkowa robota, ale w sumie to łatwiejsze, niż się wydaje. No i niech pani nie zapomina, że mamy na celu wyłącznie pani dobro. Im więcej Desiree wie, tym łatwiej jej będzie znaleźć dla pani tego jedyne.

Nie. To wcale nie był taki dobry pomysł. Znajdę inny sposób, nie życzę sobie żadnych tych jedyne.

- Ojej. Właśnie sobie przypomniałam, że w środę rano mam spotkanie i jednak nie będę mogła przyjść.

Taylor zachichotała.

- To też wszyscy robią.

- Znaczą coś?

- Tchorzą. To normalne. — Westchnęła głęboko. — Konsultacja potrwa około godziny, proszę się z tym liczyć. A kiedy przyjdzie pani ochota zwać, niech sobie pani powtarza, że Desiree zapewni pani szczęśliwe życie. Ona naprawdę potrafi łączyć ludzi.

To ta ostatnia kwestia przeważała szalę. Jeśli Desiree potrafi połączyć z kimś Dana na dziewięćdziesiąt dni, to faktycznie czekało mnie szczęśliwe życie. Pozostało mi jeszcze tylko ją uświadomić, jaki jest plan gry, i mieć nadzieję, że lubi takie zabawy.

Do gabinetu wchodziło się przez salon w jej mieszkaniu na Piątej Alei z cudownym widokiem na Central Park. Wystrój, dość efekciarski i pretensjonalny, głosił wszem wobec: im więcej złota, tym lepiej. Były tam więc jedwabne złote draperie i lustra zdobione motywem złotych liści, a także drewniane stoły inkrustowane — a jakże — złotem. Zauważyłam również skórę zebry, fortepian i pozłaca-

na klatkę, w której papuga na huśtawce wyśpiewywała sprośną piosenkę Eminema. No tak, przecież Nards mnie ostrzegał, że Desiree ma niezły charakter. Kiedy czekałam na nią już w gabinecie, zauważyłam, że jedyną dostępną lekturę stanowią artykuły o niej.

— Dzień dobry — powiedziała, wtaczając się do gabinetu i rozsiewając wokół zapach perfum, którymi spryskała się w nadmiarze. Była po pięćdziesiątce, pulchna i niska - pyza, z wyjątkiem szpiczastej brody, jak u Marii Shriver. Miała na sobie szeroką fioletową tunikę i puszyste kapcie w tym samym kolorze, z pomponikami. Na głowie perukę blond włosów, z grzywką. No i biżuteria - pierścionki, bransolety, kolczyki, naszyjnik. Złota wystarczyłoby na wykupienie ofiary porwania. I nagle uświadomiłam sobie, że pamiętam ją z wesela. Miałam ją za jedną z ciotek Weezie, zupełnie mi nie pasowała do właścicielki tego lukratywnego interesu.

Podeszła i podała mi rękę.

— Pani Melanie? - powiedziała z ciężkim nowojorskim akcentem. Zabrzmiało jak „Malanay”.

— Tak, a pani to zapewne Desiree.

-Tak naprawdę Donna - odparła konspiracyjnym tonem, tylko między nami dziewczynami. — Zmieniłam imię, kiedy zaczęłam ten biznes. Desiree robi lepsze wrażenie, rozumie mnie pani?

Charakterek i w dodatku oszustka?

— No dobrze. Przyniosła pani to, o co prosiłam? — spytała.

-Tak. — Wręczyłam jej teczkę z materiałami wspomnianymi przez asystentkę.

— Jest czek? — upewniła się.

— Spięty z listem - wyjaśniłam.

— Pi-jęknie. - Usiadła za biurkiem i położyła teczkę przed sobą. — Oczywiście nie chodzi mi tylko o pieniądze, rozumie pani. Chodzi głównie o miłość.

Zdaje się, że wymówiła to „miłość”. Rozejrzałam się szybko po pokoju, zapamiętując drogę ewakuacyjną. Co ja tam, do diabła, robiłam?

- Więc zna pani Louise i Leonarda?

Pokiwałam głową, kuląc się na swoim krześle. Przepraszę i zmykam. Na pewno nie byłby to pierwszy raz, gdy nowa klientka zwija manatki, zanim na dobre w to weszła.

- Poznałyśmy się z Louise w firmie Pierce, Shelly i Steinberg.

- Cudowni ludzie, Louise i Leonard — mówiła Desiree. — Zakończyli dobry dla mnie rok. Wyswatałam chyba pięćdziesiąt par.

- Pięćdziesiąt? - powtórzyłam zaskoczona. A wydawało się, że dziś mało kto decyduje się na małżeństwo, chyba że liczyć rejestrowane związki partnerskie publikowane w „New York Timesie”.

- I owszem. Ale przez piętnaście lat działalności wydałam za mąż lub ożeniłam setki klientów. I to bez żadnego rozwodu, odpukać w niemalowane. - I odpukała w swoją głowę.

- Musi być pani bardzo dobra w swoim fachu. — No cóż, może swatanie to też talent, dar, jak umiejętność jazdy na rolkach, i Desiree właśnie go posiada. Zaczęłam zmieniać zdanie w kwestii ewakuacji.

- Jestem najlepsza — powiedziała bez cienia skromności. — I żadnych problemów z organizacjami konsumenckimi, a to dość niespotykane w mojej branży. Jest mnóstwo szemranych firemek, które biorą od ludzi pieniądze, a potem umawiają ich z byłymi więźniami. Ja stawiam na wysoką jakość. I nie wdaję się w żadne kręactwa.

- W czym tkwi tajemnica pani sukcesu? - spytałam, uznając, że jednak zostanę, zorientuję się, co i jak, i wtedy podejmę decyzję, czy zacząć swoje własne kręactwa.

— Po części w tym, że pomoc bliźnim w odnajdywaniu ich bratnich dusz to moja pasja. - Złożyła ręce jak do modlitwy. -To, co robię, traktuję jak misję daną mi przez Boga.

— Bardzo uduchowione podejście.

— Oczywiście do sukcesu przyczyniają się też wymagane przeze mnie informacje - dodała, schodząc na ziemię. — Prześwietlam klientów, żeby nie było niespodzianek. - I tu poklepała leżącą na biurku teczkę, która za chwilę miała się okazać tak pełna niespodzianek. — Dodatkowo dokładam wszelkich starań, żeby mieć wśród klientów mężczyzn.

— Dlaczego?

— Niska podaż. Są bardzo nieliczni w porównaniu z tymi wszystkimi zgłaszającymi się do mnie kobietami. Jeśli pojawia się na horyzoncie jakiś odpowiedni kawaler, natychmiast go konfiskuję.

Uśmiechnęłam się. Znałam pewnego odpowiedniego kawalera, którego mogła skonfiskować. Nie miał co prawda pracy, ale nie był też byłym więźniem.

— Och, jest jeszcze jedna przyczyna moich sukcesów - przypomniała sobie Desiree. - Znam się na relacjach międzyludzkich i wiem, co znaczy dobry związek.

Bła, bła, bła, pomyślałam. Zaraz się zaczną psychologiczne bzdety. Trzeba przesiedzieć i grzecznie wysłuchać.

— Wszystko nie zaczyna się wcale na pierwszej randce. Zaczyna się od dwojga ludzi, którzy do siebie pasują. A dwie osoby pasują do siebie wtedy, gdy każda z nich musiała zmierzyć się z czymś bolesnym - swego rodzaju bagażem emocjonalnym — i udało się jej to pokonać, pokonać i zostawić za sobą. Dopiero wtedy mogą się spotkać. Jeśli ktoś nadal jest zgorzkniały po rozstaniu, żaden z niego materiał na partnera.

— O, tak? - Więc żaden ze mnie materiał. I co z tego? Przecież nie przyszedłam tu dla siebie.

-Tak. Krytykowanie byłego męża na pierwszym spotkaniu to nie najlepszy początek. Poza tym krytykują zazwyczaj osoby z niską samooceną. Mogę im załatwić i milion randek, ale nigdy nie będą zadowolone, dopóki nie spojrzą w lustro, dobrze się sobie nie przyjrzą i nie nauczą się kochać tego odbicia, które na nich spogląda.

Dobra, już dobra. Krytykowałam byłego przy każdej okazji, ale co w tym dziwnego - każdy by tak zrobił. Przecież to palant.

-To bardzo ciekawe - skłamałam. - Ale interesują mnie też warunki finansowe. Pięć tysięcy za rok randek, zgadza się?

- Jak najbardziej. Każdy klient ma gwarantowaną co najmniej jedną randkę miesięcznie przez dwanaście kolejnych miesięcy. Ale taka śliczna kobieta jak pani? Mogę powiedzieć, że z dużym prawdopodobieństwem znajdzie pani mężczyznę swoich marzeń w ciągu pół roku. — Po tych słowach otworzyła moją teczkę i zaczęła czytać życiorys.

- Właściwie - powiedziałam, kiedy ona ze zdumieniem otwierała szeroko oczy. - Powinnam chyba wyjaśnić...

Uniosła palec, dając mi do zrozumienia, że mam zamilknąć - palec z pięciocentymetrowym akrylowym paznokciem, pomalowanym krwistoczerwonym lakierem, który zakrzywił się na końcu i robił wrażenie, że może nieźle zranić.

- Co to jest? Nie bardzo rozumiem. Kim jest Dan Swain i dlaczego czytam jego życiorys?

- Właśnie to chciałam wyjaśnić. - Odchrząknęłam. — Przyszłam tutaj, żeby znalazła pani partnerkę dla Dana, mojego byłego męża, który ze wszech miar zasługuje na szczęście, jakiego ja nie byłam mu w stanie dać.

- Nadal nie rozumiem.

— Już tłumaczę. — Przybrałam wyraz twarzy Matki Teresy, który powinien przemówić do mrzonek Desiree o świętości. - Dan to wspaniały człowiek. Mieliśmy swoje problemy, ale rozstaliśmy się w przyjaźni. A teraz, kiedy znów jest sam, moją misją od Boga jest znalezienie mu kobiety, która zastąpi mnie w jego sercu.

Desiree spoglądała na mnie sceptycznie.

— Skoro jest taki wspaniały, czemu się z nim pani rozwiodła?

Czas zacząć przedstawienie. Pochyliłam głowę i udałam, że płaczę. Zapytała, czy chcę szklankę wody. Odparłam, że pragnę tylko opowiedzieć moją historię komuś z takim doświadczeniem i darem empatii, jaki ona posiada.

— Pani Desiree - mówiłam - czasami ludzie po prostu nie są sobie pisani. Kiedy się pobieraliśmy, byliśmy bardzo młodzi, zbyt młodzi na takie zobowiązanie. Z czasem stało się jasne, że jemu zależało bardziej na związku, a mnie na pracy i zdobywaniu kolejnych szczebli korporacyjnej drabiny. Nie byłam żoną, jakiej potrzebował Dan, więc postanowiłam się poświęcić: uwolniłam go od siebie, żeby mógł znaleźć kobietę bardziej odpowiednią dla jego poziomu wrażliwości.

— A to ciekawe — zauważyła Desiree. — Większość kobiet wolałaby zobaczyć byłego męża w trumnie niż na ślubnym kobiercu.

— Może, ale Dan to przyzwoity i czuły facet, a ja chcę znaleźć mu kogoś równie przyzwoitego i czułego, kogoś takiego, kogo pani szuka zwykle dla swoich klientów, kogoś, kto nie musi zażywać antydepresantów na przykład.

— A dlaczego nie mogę się spotkać z Danem i omówić z nim tego osobiście?

— Hm, ma w sobie za dużo typowo męskiej dumy, jak większość zawodowych sportowców — tłumaczyłam.

- Nigdy w życiu nie skorzystałby z usług biura matrymonialnego. Sama myśl, że zupełnie obcej osobie miałyby opowiadać o swoich uczuciach, jest dla niego nie do zniesienia. Kiedy jeszcze byliśmy małżeństwem, nie chciał nawet uczestniczyć w terapii rodzinnej.

— No więc czego pani ode mnie oczekuje?

— Chciałabym, żeby umówiła pani Dana z Kobietą Jego Życia, ale tak, żeby on o tym nie wiedział. Zorganizujemy im spotkanie i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

— Desiree zaczęła protestować, ale nie pozwoliłam sobie przerwać. — Przecież sama pani mówiła o niskiej podaży facetów. No więc proszę, właśnie jednego pani dostarczam. Jest bardzo przystojny, jak widać na zdjęciu, nie ma nawet czterdziestki, dzięki czemu plasuje się na dość wysokiej pozycji. I jeszcze jedno: jest sławny, a to czyni go bardzo pożądanym towarem. Wszyscy wiedzą, że kobiety lubią celebrytów.

— Z tym rzeczywiście trudno się nie zgodzić. Docierałam do niej. Czułam to.

— Kiedy kontuzja kolana zakończyła jego karierę, nadal obecny był w mediach - komentował na żywo mecze dla kilku stacji telewizyjnych.

I wtedy ją oświeciło. Zaczęła kiwać głową z cierpkim wyrazem twarzy.

— O tak, teraz go sobie przypominam. Wszedł pijany na wizję i obrażał dziennikarkę. To nie klient dla mnie, przykro mi.

Właśnie zaczęła wstawać, więc znów musiałam udać, że płaczę, tym razem bardziej rozpaczliwie — na tyle, żeby zmusić ją do powrotu na krzesło.

— Dlaczego nie chce mnie pani wysłuchać do końca?

— Do końca?

— Tamtego wieczoru nie był pijany. Miał gripę żołądkową. Godzinę przed wejściem na wizję lekarz dał mu

coś na powstrzymanie mdłości i to leki spowodowały tę nieszczęsną niedyspozycję. Nie alkohol, naprawdę, tylko tabletki, żeby nie zwymiotował w studiu. Musi mi pani uwierzyć!

— No dobrze, już dobrze. Niech mi tu pani nie wariuje.

Racja, przesadziłam. Ale tak bywa, gdy człowiek jest zdesperowany. Na szczęście wciąż mnie słuchała.

-Teraz nadal się udziela, jako ambasador dobrej woli promuje sport — kontynuowałam. Ambasador, cholera. Przed naszą separacją zapłacili mu dwa i pół tysiąca dolarów za to, że pokazał się na bar micwie synalka jakiegoś zagorzałego fana Giantsów. Stał obok rabina i wygłosił mówkę o tym, jak życie przypomina futbol, a wejście w wiek męski - akcję zakończoną przyłożeniem. Potem wychylił koszerne wino i szybko sobie poszedł. - Ale sława zraziła go do kobiet. Gdzie ma je poznawać? Przecież nie umówi się z jakąś grupie. Ani nie zarejestruje na internetowym czacie. Potrzebuje dyskretnej osoby, która pomogłaby mu znaleźć właściwą kobietę. Kogoś pani kalibru.

-Więc ma pieniądze? — zapytała. - Wiele moich klientek bardzo to sobie ceni.

— Ma, i to sporo — odparłam, usiłując nie przewrócić oczami. - Dopiero co wyczarterował prywatny samolot i poleciał do Puerto Rico. Świetnie się ubiera, uwielbia eleganckie restauracje i zajmuje jedno z najpiękniejszych mieszkań Manhattanu. - No i co z tego, że ja za wszystko płaciłam? Jego wymarzona królowna się o tym nie dowie. W każdym razie na pewno nie od Dana.

— Wygląda na dobrą partię — orzekła w końcu Desiree. - W sumie to nawet zbyt dobrą, żeby mogła być prawdziwa. Ale jaki on właściwie jest? No wie pani, tak w głębi.

Rozpromieniłam się.

— Prawdziwy skarb, oto jaki jest. Urodził się i wychował w Minco w Oklahomie, małym miasteczku, gdzie wszyscy się znają. Rodzina mieszka na farmie, uprawiają kukurydzę. Sama niech pani oceni. Czy w dzisiejszych czasach może być coś bardziej prawdziwego?

— Owszem, może, jeśli ten książkę z bajki dziedziczy na przykład rodzinny zamek w Szkocji — powiedziała Desiree. - Wiele kobiet chce faceta z rodowodem.

— To płytkie — skomentowałam, ostentacyjnie wzruszając ramionami. - Dan uszczęśliwi kobietę, która pragnie szczerości, otwartości i uczciwości. Bez chwili zastanowienia postawiłabym to ponad rodzinne fortuny.

— A jednak pani nie postawiła — wytknęła mi Desiree. — Przecież rozwiodła się pani z nim.

— Już to wyjaśniłam. Prowadziliśmy zupełnie różny tryb życia.

Desiree wróciła do czytania życiorysu.

— O, widzę, że ma psa. Mopsa.

— W zasadzie wspólnie sprawujemy opiekę nad Busterem. U Dana jest co drugi tydzień i co drugie święta.

— „Partnerka nie powinna się bać psów ani mieć na nie alergii” — przeczytała głośno.

— Zgadza się. Bardzo o niego dbamy, ale jednak mopsy się lenią.

Odłożyła życiorys i zaczęła czytać list o marzeniach i nadziejach Dana. Nieźle się ubawiłam przy pisaniu. Wypełniłam go bzdurami z ogłoszeń matrymonialnych — o tym, że Dan chciałby spotkać kobietę, która lubi spacerować nad morzem o zachodzie słońca, pić grzańca przy płonącym ogniu i oglądać czarno-białe filmy w deszczowe niedzielne popołudnia, chyba że dają akurat w telewizji transmisję meczu. Dodałam, że wolałby kobietę niezależną (to znaczy, że ma własne środki utrzymania),

uczuciową (czyli dobrą w łóżku), z poczuciem humoru (będzie tolerować głupie dowcipy) i najlepiej wielbicielek przygód (lubi kosztowne podróże i chętnie za nie zapłaci). Nieźle, co?

— No więc pomoże mi pani? — błagałam. — Znajdzie pani Danowi jego bratnią duszę?

Pokręciła głową.

— Mogłabym go umówić z dziesiątkami moich klientek, ale czułabym się winna, że wpuszczam je w maliny. Jak już mówiłam, gram wyłącznie uczciwie i stawiam na najwyższą jakość.

— Ale to jest najwyższa jakość — upierałam się. — Da pani tej kobiecie dziewięćdziesiąt dni szczęścia.

— Dziewięćdziesiąt dni? — powtórzyła, jak najbardziej słusznie zaskoczona.

— Och, przepraszam. - Niemal wszystko zepsułam.

0 mały włos, a by się wydało! - To takie powiedzenie mojej mamy: dziewięćdziesiąt dni szczęścia gwarancją stu lat w dobrym zdrowiu.

Desiree zachichotała.

— Kto wymyśla te wszystkie głupoty?

— No tak, ale co do tych kobiet. Niech im pani zwyczajnie powie o Danie, o jego sławie i że jest zbyt dumny, by się zwrócić do biura matrymonialnego. Niech pani wytłumaczy, że od najbliższego przyjaciela dowiedziała się pani, że jest samotny i marzy o stałym związku. Na pewno zrozumieją, szczególnie kiedy już go poznają i same się przekonają, jaki jest.

— Ale jak mam go umówić, skoro on nawet nie wie, że ma się umówić?

-To żaden problem. Przejrzymy pani kartotekę i wybierzemy odpowiednie kandydatki. Potem wyślemy je, pojedynczo oczywiście, tam, gdzie będzie Dan. Znajdą się w tym samym miejscu i pozwolimy działać naturze.

- Więc kobieta ma — co? — pierwsza go podrywać? Moje klientki to nie dziwki.

- Oczywiście, że nie. Ona po prostu wykona pierwszy ruch. Proszę pani, żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku i kobiety mogą robić, co chcą. Cała sytuacja niewiele będzie się różnić od randek, które aranżuje pani na co dzień.

- Na co dzień nie oszukuję czyichś byłych małżonków.

- „Oszukuję”? O czym pani mówi? - Udałam oburzenie. - Na jego ustach znów zagości uśmiech, w oczach blask, policzki się zarumienia i... — no tak, znów przesadzałam. A swoją drogą to zadziwiające, jak szybko zmieniłam się z niechętnej uczestniczki tego przekrętu w zagorzałą jego zwolenniczkę. To chyba odsetek pozytywnie załatwionych spraw tak mnie nakręcił. Liczby zawsze do mnie przemawiały. Uwierzyłam w Desiree, kiedy usłyszałam, ile par zeswatała. - Nie może się pani nie zgodzić - błagałam dalej - bo pozbawi pani dwie cudowne osoby czegoś, co może być najbardziej romantycznym zdarzeniem w ich życiu!

Zastanawiała się przez chwilę i pokręciła głową.

- Przykro mi. To po prostu nie jest w porządku. No dobra, pomyślałam. Nie poddam się. Nigdy się

nie poddaję. Zawsze potrafię wymyślić jakiś alternatywny plan, więc czas to zrobić — tylko szybko.

Przypomniałam sobie jej salon, pluszowy szeszlony i kryształowy żyrandol oraz ogromny obraz olejny przedstawiający wielkie mityczne stworzenia w akcie seksualnym — i olśniło mnie. Nowa strategia. Ostatnia szansa, żeby ją przekonać.

Desiree lubiła kosztowne rzeczy. Rzeczy w bardzo złym guście, ale kosztowne. Może czas podkreślić aspekt finansowy, odkładając chwilowo na bok serduszka i kwiatuszki.

— A gdybym podwoiła stawkę? Pięć tysięcy z góry i drugie tyle, jak znajdzie mu pani partnerkę. - Jasne, że to przeżywałam, w końcu to dziesięć patoli, kwota wręcz absurdalna. Ale summa summarum, gdybym pozbyła się alimentów, i tak bym na tym zyskała. - To sporo pieniędzy, niech się pani zastanowi, bo jeśli stąd wyjdę, one wyjdą ze mną.

Desiree oniemiała.

— A może powie mi pani, o co tu naprawdę chodzi? Tak, pomyślałam. Powinnam jej powiedzieć. A także

to, jaką może mieć z tego korzyść dla siebie. Lubi złoto? Poddam jej pomysł, jak trafić na nową, prawdziwą jego żyłę. W końcu po coś skończyłam tę ekonomię.

— Dobrze. Powiem. Proponuję pani stworzenie nowego działu firmy Desiree Klein Heart Hunting.

— O czym pani mówi?

— Powiedziała pani właśnie, że nie chce oszukiwać mojego byłego męża. Ale na rynku jest bardzo duże zapotrzebowanie na oszukiwanie byłych mężów i żon, a pani może być pierwsza, która je wykorzysta.

— Niby jak?

— Znajdując im partnerów, dzięki czemu ich byli małżonkowie, tacy jak ja, nie będą musieli płacić alimentów.

— Ja... — zaczęła i urwała nagle, pozwalając, by znaczenie moich słów w pełni do niej dotarło. - Więc chodzi o alimenty?

Uśmiechnęłam się.

— I nowy rozdział w historii pani firmy.

Siedziała przez chwilę bez słowa, jakby lekko oszołomiona. A potem się odezwała.

— Chce pani, żebym znalazła mu żonę, bo wtedy nie będzie pani musiała płacić alimentów?

— Mogłybyśmy i tak, ale nie ma potrzeby. Mam w ugodzie klauzulę o wspólnym pożyciu: musi pomiesz-

kac z nią „dziewięćdziesiąt następujących po sobie kolejno dni”, i zapewniam, że wiele kobiet w Nowym Jorku ma takie same klauzule. Na ludziach takich jak ja może pani zbić fortunę.

Jeszcze przez kilka minut przerzucałyśmy między sobą piłeczkę. Na początku wydawało się, że wręcz odrzuciło ją od tego pomysłu. (Pewnie wyrzuty sumienia na myśl o wykorzystaniu niczego nieświadomych klientów. No i dobra opinia organizacji konsumenckiej. I jej wiara, że to miłość rządzi światem, nie pieniądze). Ale stopniowo zaczęła się przekonywać, szczególnie po mojej przemowie, że uwolnienie ludzi znajdujących się w okowach alimentów może się stać jej kolejną misją od Boga.

- Twardy z pani zawodnik - powiedziała na koniec.

- Dzięki — odparłam, traktując to jako komplement. — Więc zgadza się pani?

Zgodziła się. Uścisnęłam jej dłoń, ostrożnie, żeby się nie skaleczyć o te szpony.

- Nie będzie pani żałowała - zapewniłam ją.

- Miejmy nadzieję, że i pani nie pożałuje. Roześmiałam się.

- Ja? Dlaczego miałabym żałować?

- No wie pani, może się okazać, że nie było warto. Dziwne, pomyślałam, ale w sumie Desiree to dziwna

osoba. No nic. Dobra wiadomość była taka, że w końcu zrobiłam jakiś postęp. Wykonałam ruch, zamiast siedzieć beczynn timer, podczas gdy moje życie się rozpadało. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czułam optymizm.

ROZDZIAŁ ÓSMY

— Dzień dobry, panie Ricardo — powiedziałam do portiera. Odstawiałam Bustera do Dana w poniedziałek po spotkaniu z Desiree. Umówiliśmy się na kolejne, kiedy upora się z wyborem odpowiednich kandydatek, a ja zaznajomię się z rozkładem zajęć Dana. Po rozwodzie nabrał różnych przyzwyczajzeń, więc miałam wrażenie, że jego dni są do siebie dość podobne.

— Dzień dobry, pani Melanie. Zadzwonię do pana Swaina. Zapytam, czy jest gotów przyjąć gościa.

— Bardzo dobrze - odparłam, usiłując się nie zdenerwować.

Kiedy już tradycyjnie przeczekałam upokarzające minuty, pozwolił mi iść na górę, do mojego własnego mieszkania. Dan czekał w szlafroku i zamszowych mokasynach, cały zaspany.

— Czy jest jakaś szansa, żebyś przestała przynosić go w środku nocy?
— zapytał, przecierając oczy.

— Dochodzi ósma rano - odparłam, mijając go w drzwiach. Buster wszedł za mną. - Niektórzy z nas pracują, i to ciężko, żeby zarobić pieniądze.

— A niektórzy z nas potrzebują odpoczynku - odciął się Dan. — Samotny mężczyzna w Nowym Jorku musi mieć dziś sporo energii. Kobiety stały się bardzo agresywne. - Pokręcił głową z udaną konsternacją. - Nie potrafią zrozumieć, że „nie” znaczy „nie”.

— To musi być trudne — stwierdziłam, odpinając smycz, żeby Buster mógł wskoczyć na sofę i najlepiej ob-

ślinić ją. — Chętnie bym posłuchała o twoim życiu seksualnym, ale musimy porozmawiać poważnie. Uśmiezek znikł.

- Ale chyba nie jesteś chora?

Dziwne. Teraz, kiedy uznałam, że Dan nie ma żadnych pozytywnych cech, on wykazuje troskę o moje zdrowie. Może tak do końca nie myliłam się co do niego w tych pierwszych latach. Może rzeczywiście w tym dupku, jakim się teraz stał, gdzieś w głębi ukrywał się jednak przyzwoity, troskliwy człowiek. I może wcale nie kłamałam, mówiąc Desiree, że uszczęśliwi jedną z jej klientek.

- Nie, nie jestem, dzięki. Chodzi o twój plan dnia. Uważam, że na wypadek jakichś nagłych sytuacji powinniśmy wiedzieć, gdzie każde z nas jest.

Uśmiezek wrócił.

- Naprawdę nie potrafisz beze mnie żyć, prawda, kotku?

- Chodzi o Bustera, Dan. Gdyby, broń Boże, coś mu się miało stać, ty wiesz, gdzie mnie złapać, bo prawie zawsze jestem w pracy, ale ja nie wiedziałabym, gdzie szukać ciebie.

- Przecież masz mój numer komórki.

- Rzeczywiście, tyle że nie zawsze ją włączasz. Albo nie masz zasięgu. Albo zostawiasz ją w taksówce.

- Tylko raz — odparł defensywnie. — Cztery lata temu.

- Mówię jedynie, że chciałabym znać twój rozkład dnia na wypadek, gdybym musiała się z tobą szybko skontaktować. Wiem, że masz teraz jakieś stałe zajęcia, obiecuję, że nie będę ci robić wymówek ani wykładów na ich temat. Chcę tylko listę, w porządku?

- Na pewno znów czegoś nie knujesz? Rzeczywiście chodzi o Bustera?

- A w jakim innym celu miałabym interesować się tym, gdzie bywasz?

- Ty mi powiedz. To ty zawsze coś kombinujesz.

Stałam wyprostowana, ze wszystkich sił usiłując zrobić wrażenie osoby szczerej i pełnej godności, poza wszelkimi podejrzeniami, osoby, której nikt nie mógłby skojarzyć z żadnymi kombinacjami.

- Chodzi wyłącznie o Bustera.

Wzruszył ramionami i poszedł do kuchni po kartkę i pióro. Czekając na jego powrót, przeszłam się po salonie. Zatrzymałam się, by dotknąć fotela klubowego. Przypomniałam sobie, jak go wybierałam, zachwycona miękką i delikatną tkaniną obicia. Wtedy nawet by mi przez myśl nie przeszło, że kiedyś nie będę mogła w nim siadywać, nie mówiąc już, że przestanę być jego właścicielką.

Przeszłam dalej, z coraz większą tęsknotą przyglądając się kolejnym rzeczom, które ja — no dobrze — Dan i ja swego czasu kupiliśmy, i pozwalając sobie na wspomnienia, jakie przywoływały: stylowe kinkiety z brązu znalezione na jakiejś wyprzedaży, mahoniowy stolik ręcznie rzeźbiony dla nas przez rzemieślników poznanych na wakacjach w Montego Bay, turecki dywan z frędzlami, na którym się kochaliśmy tej nocy, gdy Dan wrócił z San Francisco.

W końcu podeszłam do oprawionych w ramki zdjęć, wszystkie stały razem. Na jednym z nich byłam ja z Danem w dniu wręczania dyplomów. Uśmiechałam się promiennie do obiektywu, ściskając dyplom w rękach. Osiągnęłam swój cel, ale w dużej mierze dzięki Danowi. Moja twarz wyrażała wzruszenie i wdzięczność. Opłacił moje studia, zadbał o mnie, otoczył mnie opieką. Próbowałam robić to samo, kiedy on potrzebował mnie, ale te dni minęły bezpowrotnie. Nie miałam zamiaru troszczyć się o człowieka, którego jedynym celem w życiu było torturowanie mnie. Dan nie był już moim problemem, przekazałam go Desiree.

Po kilku minutach wrócił z listą i wręczył mi ją. Włożyłam ją do teczki, pocałowałam Bustera i wyszłam.

- Nie wdawaj się w żadne ciemne interesy — zawołał za mną.

Zignorowałam to i szłam dalej w stronę windy.

- Lepiej, żeby twoje nazwisko nie znalazło się w „Timesie”, wśród tych wszystkich oszustów z korporacji z ich prawniczymi machinacjami - dodał.

- O to chyba nie musisz się martwić, przecież czytasz tylko strony sportowe.

Jeśli wymyślił jakąś ripostę, to byłam już za daleko, żeby ją usłyszeć.

W taksówce, która wiozła mnie do biura, przestudiowałam jego rozkład dnia. Nie była to zapierająca dech w piersiach lektura, ale miałam nadzieję, że się przyda. Próbowałam dzwonić na komórkę Desiree, żeby w międzyczasie zastanowiła się, którą kandydatkę może wysłać w które miejsce, ale taksówkarz miał włączone radio. Puszczal jakąś rytmiczną jednostajną piosenkę i trudno mi było konkurować z bliskowschodnim odpowiednikiem Justina Timberlake'a. Poczekam, aż dojadę do stacjonarnego, zdecydowałam.

- Jakieś piętnaście minut temu dzwonił Ornbacher — poinformowała mnie Steffi, gdy tylko weszłam. Siedziała przy biurku ze słuchawką w uchu i terminarzem rozłożonym na biurku. - Mam zadzwonić do niego do hotelu? Mówił, że chwilę tam zabawi.

- Odniosłaś wrażenie, że to coś pilnego? - spytałam.

- Z nim zawsze odnosi się takie wrażenie. Czy on musi na wszystkich wrzeszczeć?

Uśmiechnęłam się.

- Nie pozwól mu się onieśmielić. - Niezależnie od tego, jak kompetentna była Steffi, powinnam była pa-

miętać, że wciąż jednak brakowało jej doświadczenia w kontaktach z klientami, z których większość uważa, że pieniądze upoważniają do pomiatania ludźmi. Ornbacher może i był zbereźnikiem, ale w porównaniu z innymi dość łatwo było sobie z nim poradzić. - Wrzeszczy, bo niedosłyszysz, i tyle. Oddzwonię do niego za kilka minut. - Ale...

- Najpierw muszę załatwić coś innego. Zamrugęła z niedowierzaniem.

- Nie martw się, zdążę, zanim opuści hotel.

Czym prędzej weszłam do gabinetu, zamknęłam drzwi i wybrałam numer Desiree. Już się nie mogłam doczekać, żeby rozpocząć nasz „projekt”. Byłam pewna, że rozmowa zajmie chwilę - szybka wymiana informacji - i zostanie mi mnóstwo czasu dla Jeda.

- Dzień dobry, mówi Melanie Banks - powiedziałam, gdy Taylor mnie połączyła.

- Tak szybko?

- Lubię działać - odparłam. - Kazała mi pani zdobyć rozkład dnia Dana, więc go mam. - Wyciągnęłam z teczki kartkę i rozłożyłam ją na biurku. - No, może nie jest dokładny co do minuty, ale widzę kilka obiecujących miejsc. Na przykład siłownia. Chodzi do Manhattan Body and Fitness na rogu Sześćdziesiątej Czwartej i Drugiej we wtorki, czwartki i piątki od dziesiątej do dwunastej. Sprawdziłam już, że nie trzeba mieć karnetu i nie trzeba się umawiać wcześniej, więc klientki mogą wpaść w każdej chwili. W te same dni je lunch w Post House, to w Lowell Hotel, róg Park Avenue i Madison, dają świetne steki. Lubi siedzieć z tyłu, żeby schować się trochę przed ludźmi, bo wciąż wierzy, że wszyscy go rozpoznają. Po południu gra w pokera w mieszkaniu swojego przyjaciela Erniego na Siedemdziesiątej Drugiej, numer 201. To rzecz jasna nie jest miejsce publiczne, ale pani klientka mogłaby...

-Tak? Co na przykład? Udawać pracownicę firmy kurierskiej?

- No dobra, zapomnijmy o tym. W środy po południu gra w futbol w Central Parku, przy Dziewięćdziesiątej Siódmej, na North Meadow. Jest tam od drugiej do piątej - mnóstwo czasu, żeby pójść na spacer i zwrócić na siebie uwagę.

- Moja droga. -Tak?

- Dan chodzi na siłownię, jada luncha i grywa w piłkę. Oczywiście wiedziałam, że nie zajmuje się odkrywaniem szczepionki na raka, ale nie powiedziała mi pani, że on nie robi nic.

- A jak pani myśli, dlaczego tak bardzo chcę się go pozbyć?

Desiree westchnęła.

- Nie mam pojęcia, kto chciałby się z nim spotkać, ale na pewno nie moje klientki. Nawet te najbardziej zdesperowane.

- On ma w sobie wiele uroku - zapewniałam. — Być może kiedy znajdzie odpowiednią kobietę, potrafi się zmienić.

- Być może, ale tymczasem to żadna partia.

I dlatego właśnie płacę ci podwójną stawkę, chciałam się odciąć. Ale zamiast tego zastosowałam pochlebstwo. Zdążyłam się już nauczyć, że to zawsze motywuje ludzi.

- Na pewno znajdzie mu pani kogoś odpowiedniego. Tylko pani może tego dokonać, przecież jest pani najlepsza w tym mieście.

- Najlepsza w kraju - poprawiła mnie. - Jak tylko zdobęde wystarczający kapitał, otwieram filie w Miami i Beverly Hills.

- Kapitał to pestka, jeśli ruszy pani z nowym działem — przypomniałam jej. - Na ludziach w mojej sytuacji zbije pani fortunę.

— Już dobrze, dobrze. Na razie muszę znaleźć kogoś dla Dana. Po prostu nie wiem, którą dziewczynę wybrać.

— Jeśli pani chce, mogę przejrzeć kartoteki razem z panią — zaproponowałam. — Wiem, jaki typ lubi najbardziej.

— Proszę bardzo, jeśli tylko ma pani czas.

— Znajdę go. — Sprawdziłam kalendarz. — Jutro o siedemnastej trzydzieści?

— Spieszno pani, co?

W tym właśnie momencie Steffi zapukała delikatnie w moje drzwi, lekko je otworzyła i wsunęła do środka głowę.

— Przepraszam cię, ale pozwoliłam sobie jednak zadzwonić do Ornbachera. Obawiałam się, że za chwilę może być za późno. Jest na linii, połączyć?

I jak tu nie kochać Steffi? Naprawdę potrafi przewidzieć wszystko, czego potrzebuję. Z Desiree właściwie już skończyliśmy.

Odpowiedziałam jej, poruszając tylko ustami, że zaraz odbiorę.

— Tak, bardzo śpieszno - zwróciłam się do Desiree. — Do zobaczenia jutro.

Desiree odłożyła słuchawkę. Potem ja. Zamknęłam oczy, wzięłam głęboki oddech i ponownie podniosłam słuchawkę.

— Dzień dobry, panie Jedzie — powiedziałam z całą swoją pewnością siebie. To niewiarygodne, o ile lepiej się czułam, odkąd podjęłam decyzję, by zwrócić się do Desiree. Jakby rzeczywiście ktoś zdjął mi z pleców ten przysłowiowy ciężar. — Miałam zamiar dziś do pana dzwonić. Co słyhać? — zachichotałam. — To znaczy oprócz tego, że otwarli już giełdę.

— Nic — wrzasnął tubalnie. Musiałam odsunąć słuchawkę od ucha, żeby na dobre nie ogłuchnąć.

— Ale przecież dzwonił pan wcześniej - przypomniałam mu.

— Owszem, ale ponieważ nie mogłem się z panią skontaktować, zadzwoniłem do Berniego i on już odpowiedział na moje pytanie - wyjaśnił. - Powiedziałem mu, że chyba znów musiały zatrzymać panią te sprawy rodzinne.

No dobra, popełniłam błąd, dzwoniąc najpierw do Desiree. To się więcej nie powtórzy.

Tego wieczoru w Hotelu Złamanych Serc razem z Patty piłyśmy wino, zagryzając serem. Najpierw usłyszałam, że znów zaczęła rzucać kruchymi przedmiotami w przyklejone do ściany zdjęcie byłego męża, więc udałam się do niej z misją zapewnienia lokatorom ciszy i spokoju. Ubłagałam ją, żeby mnie wpuściła, i wyrwałam jej z ręki szklaną latarenkę.

— Widziałaś przystojniaka, który wprowadził się do 3F? - spytała, kiedy po dwóch kieliszkach merlota już się uspokoiła.

— Nie. Ale myślałam, że po tym, co przeszłaś z Jasonem, skończyłaś z facetami.

— Skończyłam, ale to nie znaczy, że nie zauważam niezłego ciacha. - Wypiła kolejny łyk wina i poczęstowała się serem. - Jest w typie Vigga Mortensena.

Wzruszyłam ramionami, nie mając pojęcia, o kogo chodzi.

-Ten aktor z „Władcy Pierścieni” - tłumaczyła, jakbym się urwała z choinki.

Nie chodziłam już do kina, więc nic mi to nie powiedziało. Za bardzo byłam zajęta pracą. Nawet jako dziecko nie oglądałam filmów, nie robiłam też nic innego, co można by zakwalifikować jako hobby. Nie było czasu. Nic dziwnego zresztą, zważywszy na wizję więzienia dla dłużników.

- Ma głęboko osadzone oczy - mówiła tymczasem Patty - ciemną czuprynę i szczupłe gibkie ciało...

- Ale kto, facet z 3F czy ten Viggo?

- Obydwaj - wyjaśniła Patty. - Z tym że jest jedna różnica. Viggo jest bogaty. Facet z 3F nie ma kasy, sądząc po podartych dżinsach i popękanej skórzanej kurtce.

- Dan za swoją popękaną kurtkę zapłacił kilka tysięcy. Ralph Lauren.

- Tak. Ale ten gość w najbliższej przyszłości raczej nie będzie kupował designerskich ciuchów. Wprowadził się prawie bez rzeczy. Tylko parę płócien.

Przewróciłam oczami.

- Malarz?

- Zwolniony redaktor, który postanowił zostać malarzem. Nazywa się Evan Gillespie, a jego specjalność to woda.

- Chodzi ci o akwarele?

- Nie, maluje oceany, rzeki, strumyki i tak dalej.

- Czeka, niech zgadnę, żona go wyrzuciła, bo jego sztuka nie starczała na opłacenie rachunków?

- Strzał w dziesiątkę. Są w separacji, a on postanowił tu przeczekać do rozwodu, żeby znaleźć sobie potem coś porządnego. Mówił mi, gdy spotkaliśmy się na dole w pralni.

- Pewnie czeka, aż zaczną napływać alimenty. Patty przytaknęła.

- Co jest z tymi facetami? Kiedyś przecież potrafili utrzymać nie tylko siebie, ale i nas. To jakaś epidemia? Coś w powietrzu? Niewidoczna i bezwonna toksyna, która powoduje, że nie potrafia już zarabiać na życie?

- Mój znajomy Nards mówi, że to nasza wina.

- A, masz na myśli te bzdury, że gdybyśmy nie ukradły im pracy i nie osiągały równie dobrych wyników jak oni, naturalny porządek rzeczy zostałby przywrócony? Co za idiotyzm.

Tak, wiem. Co złego w tym, że to my jesteśmy na górze?

- Amen. Komu potrzebna dziś pozycja misjonarska?

- Właśnie. Czemu mamy się umniejszać, żeby tylko oni poczuli się lepiej?

- A jednak niektóre kobiety to robią, wiesz?

- Co robią?

-Poddają się operacji pomniejszenia pochwy. Umniejszają się, żeby facet czuł się większy.

- Nie chodziło mi o seks. - Naprawdę to robią? -Tylko o to, że paraliżują ich nasze sukcesy. Weź chociażby Jasona. Jest fotografikiem, który przestał robić zdjęcia, bo nie mógł konkurować z tobą. A ten Evan to pewnie malarz, który...

-Jest inny. Nie interesuję się nim, naprawdę, ale to malarz, który rzeczywiście maluje. Widziałam jego obrazy. Przewróciłam oczami.

-Jakby tego potrzebował świat. Kolejnego arcydzieła przedstawiającego zachód słońca nad Zatoką Meksykańską.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Patty wierzchem dłoni starła z ust wino i wstała, żeby otworzyć, a ja sięgnęłam po następną porcję sera. Boże, ale dobry. '

- Kto tam? - zapytała przez drzwi, spoglądając przez wizjer.

- Evan Gillespie z 3F - odpowiedział męski głos. - Chciałem tylko oddać proszek, który pożyczyłaś mi w pralni. Kupiłem nowe opakowanie.

Podniosłam się z kanapy z zamiarem wyjścia.

- A mówią, że prawdziwych dżentelmenów już nie ma. -Nie chcesz go poznać? - dziwiła się Patty, już otwierając drzwi.

Na progu stał wysoki, nieco pałakowaty mężczyzna z rozczochranymi włosami, około trzydziestki, z uprzednio już wspomnianymi głęboko osadzonymi oczami,

w dzinsach i kurtce. Miał podłużną twarz, wąskie usta i tak wystające kości policzkowe, że wyglądało to, jakby policzki specjalnie wciągał do środka. Patty miała rację: robił wrażenie. Dan ściał mnie z nóg swoim bardzo amerykańskim wyglądem rodem z komiksu, ale ten facet był przystojny w inny, bardziej mroczny i bardziej subtelny sposób.

— Cześć, sorry, że przeszkodziłem — powiedział do Patty, schylając lekko głowę, żeby się zmieścić w drzwiach. Miał miękki, lekko chropawy głos, mówił, jakby szemrał.

— Oto proszek. Jeszcze raz ci dziękuję.

— Nie ma za co — odparła, biorąc od niego pudełko.

— Razem z Melanie raczymy się winem. Masz ochotę do nas dołączyć?

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się przyjaźnie.

— Evan Gillespie.

— Melanie Banks - odparłam, obchodząc go łukiem, żeby czym prędzej czmychnąć za drzwi. Ostatnia rzecz, jakiej pragnęłam, to jakaś głupia konwersacja z kolejnym dzidziąsem. Ta, którą przeprowadzałam co drugi poniedziałek, w zupełności zaspokajała moje zapotrzebowanie.

— Witamy w Hotelu Złamanych Serc.

— Były mąż Melanie to Dan Swain - wygadała się Patty z przyczyn tylko jej znanych. Może uznała, że to nazwisko zrobi na nim wrażenie.

— Traffic Dan Swain? — dopytywał się Evan. A więc zrobiło wrażenie.

— Tak - potwierdziłam. - Niech zgadnę. Jesteś fanem Giantsów?

— W zasadzie nie lubię futbolu - przyznał, wzruszając ramionami. — Ale mieszkając w Nowym Jorku, trudno nie znać tutejszych sportowych herosów. A twój mąż takim był.

— Fakt — powiedziałam z nadzieją, że nie będę musiała wysłuchiwać o wyczynach Dana na boisku, choć były

bardzo ciekawe. Ale ja nie miałam nastroju. Zrobiłam kolejny krok w stronę drzwi i znalazłam się między Evanem i krzesłem. Jego oczy, teraz widziałam je z bliska, nie były zwyczajnie ciemne. Wydawały się czarne z powodu bardzo dużych źrenic.

-To przykre, co mu się przydarzyło — powiedział, zaskakując mnie faktem, że nie zaczął wychwalać świetnej gry Dana. - To musi być dla niego trudne. Właściwie dla was obojga.

— Mówisz o kontuzji czy porzuconej karierze telewizyjnej? — chciałam wiedzieć. Zawsze mnie ciekawiło, który aspekt legendy zostaje ludziom w pamięci.

— Miałem na myśli obecną sytuację. Bycie byłym sportowcem bez żadnej innej tożsamości. Od czasu do czasu widuję jego fotki w gazetach - jak wita się z fanami w nocnym klubie czy coś takiego. Wygląda, jakby się pogubił. Trochę mu współczuję.

A to coś nowego. Większość ludzi bez zastanowienia zamieniłaby się z Danem miejscami.

— Bardzo dobrze mu się powodzi — poinformowałam go. — Nie ma się nad czym rozczułać.

— Melanie co miesiąc wysyła mu czek. - Patty nadal wrywała się z informacjami, które nie powinny jej obchodzić.

— To duża odpowiedzialność — orzekł Evan, kiwając do mnie głową. — Musisz mieć wielkie serce, że tak mu pomagasz. Szczególnie że nie jesteście już małżeństwem.

No cóż, teraz to już naprawdę było dziwaczne. Źle ją zrozumiał. Chyba nie myślał, że z własnej nieprzymuszonej woli wypisuję Danowi czeki. A jego była żona też nie będzie mu płacić, bo jej się to podoba. Ale kiedy tak patrzył na mnie, w jego oczach widziałam dobroć. I podziw. Spojrzałam więc na Patty, próbując telepatycznie zmusić ją do milczenia. Nie było żadnego powodu, żeby

wyprowadzać tego miłego człowieka z błędnego mniemania o mnie.

- Hm, chyba już pójdę - oznajmiłam z ręką na kłamce. - Czeka mnie jeszcze trochę pracy.

- Jakiej pracy? - spytał Evan.

Pracy pozwalającej mi utrzymać byłego męża, któremu tak współczujesz, pomyślałam.

-Jestem doradcą finansowym u Pierce a, Shelleya i Steinberga.

- Melanie jest wiceprezesem - wtrąciła Patty.

- Super. Chciałbym móc cię zatrudnić, ale chwilowo nie planuję żadnych inwestycji - roześmiał się Evan.

- To się na pewno zmieni - odparłam, zastanawiając się, jak jego żona zniesie ciężar comiesięcznych wypłat alimentacyjnych. Postanowiłam zdobyć jej namiary i polecić jej Desiree. Kolejna potencjalna klientka dla nowego działu firmy.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Bo naprawdę się staram.

- Z pewnością. - Przypuszczalnie ma dobrego adwokata. Wszyscy oni mają, a my musimy płacić ich honoraria, jakby samych alimentów było mało.

- Rzeczywiście nie możesz zostać, Mel? - pytała Patty, nalewając sobie kolejny kieliszek merlota.

- Dzięki, ale obowiązek wzywa. - Zawsze ten obowiązek. Noc w noc. Tak właśnie było. Od separacji, a nawet i wcześniej.

- Może kiedyś wpadniesz i zerkniesz na moje obrazy. - zaproponował Evan. - Mieszkam na końcu korytarza.

-Jestem raczej zajęta - odparłam. W tym momencie stałam już za drzwiami. Chciałam iść do domu. Evan był słodki, ale moje myśli krążyły gdzie indziej. Miałam dużo papierkowej roboty i kilka notatek do napisania, bo przecież następnego dnia umówiłam się z Desiree, więc musiałam wyjść z pracy wcześniej.

— Rozumiem, że nie masz ochoty na nowe znajomości? — zapytał tym swoim niskim, miękkim głosem. Było w nim coś seksownego, przyciągał uwagę i zmuszał do słuchania. Ale przecież, na litość boską, facet był bez grosza. Nie potrzebowałam jeszcze jednego sępa. Potrzebowałam natomiast cud-kobiety na dziewięćdziesiąt dni dla Dana.

— Słuchaj, Evan — powiedziałam na odchodne — nie chcę być niegrzeczna, i miło mi było cię poznać, ale teraz muszę się skupić na pewnym projekcie. I naprawdę nie mam czasu na obrazy ani na nic innego. W porządku?

Uniósł dłonie w geście poddania się.

— Twoja strata.

Machnęłam im na dobranoc i wróciłam do siebie zadowolona, że wreszcie mogę być sama. Zamknęłam drzwi na klucz, zdjęłam buty, a torebkę i teczkę rzuciłam na stolik w przedpokoju. Zatrzymałam się na moment przed lustrem w ramie z materiału imitującego pewter. Właśnie miałam pójść dalej, gdy zauważyłam, że mam coś na...

Zbliżyłam twarz do lustra. Tak, miałam kawałek czegoś...

Jeszcze bardziej się przybliżyłam i zmrużyłam oczy, żeby lepiej widzieć.

Super. Okruszek sera pleśniowego, którym zajadałam się u Patty, przykleił mi się do skóry tuż pod lewą dziurką nosa. Jak wylądował pod nosem zamiast w ustach, tego nie potrafię wyjaśnić, ale wyglądał dokładnie jak smark. Stałam tak przez chwilę, przyglądając mu się, a potem strzepnęłam go z odrazą.

Nie, oczywiście, że nie przejmowałam się tym, co Evan Gillespie sobie o mnie pomyślał. Los pewnie już nas ze sobą nie zetknie, a sama też nie zamierzałam szukać jego towarzystwa

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Jelly? Tak ma na imię? - pytałam, patrząc na błyszczące zdjęcie dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, przedstawiające niezwykle piękną młodą kobietę, której brązowe włosy wyglądały tak, jakby składały się z dziesiątek korkociągów.

- Właściwie Jill, ale zaczęli na nią tak wołać już w dzieciństwie i jakoś zostało - wyjaśniła Desiree, która miała dziś na głowie inną perukę, krótkie czarne włosy podwinięte na wysokości jej wystającego podbródka i te same puszyste kapcie z pomponami. Włożyła też inną tunikę, w kolorze fioletowym jak ostatnio, ale w czarne pasy. Nie mogłam rozgryźć, czy należy do osób, które chcą się wyróżniać, czy po prostu nie zdaje sobie sprawy, że jest inna.

- Dan nie przepada za loczkami - powiedziałam. Lubi długie falowane włosy, pomyślałam, przypominając sobie, jak czule przeczesywał moje po tym, jak się kochaliśmy.

- Niech pani nie będzie śmieszna. Wygląda cudownie - odparła Desiree, jakby mówiła o łodzi czy koniu wyścigowym albo kawałku łososia. - Uprawia jogging, chodzi po górach i robi inne takie na świeżym powietrzu. Spodoba mu się.

- A jaka jest?

- Bardzo przyjacielska. Pełna optymizmu. Rozpiera ją energia. Bez problemu zaczepi Dana. To jedna z tych, które od razu podchodzą do człowieka, aby życzyć mu miłego dnia.

Przewróciłam oczami.

— Ma pracę? Czy jest zbyt zajęta rozsiewaniem pozytywnej energii?

— Jest masażystką. Rzuciłam zdjęcie na stolik.

— No nie. Potrzeba nam kogoś, kto będzie w stanie utrzymać Dana, a nie rozcierać jego zakwasy.

— Dlaczego? Przecież pani go utrzymuje.

— Owszem, ale miałam nadzieję, że przez te dziewięćdziesiąt dni nie będę musiała utrzymywać ich obojga.

-A co znaczą trzy miesiące, nawet utrzymywania obojga, wobec siedmiu lat utrzymywania Dana? Fakt.

— Znam się na tym, co robię - przekonywała Desiree. - A to, że w ogóle słyszała o Danie, już samo w sobie stanowi duży plus. Kilka innych nie miało pojęcia, o kogo chodzi.

Jeszcze raz spojrzałam na zdjęcie.

— Dan i Jelly, co? Brzmi jak nazwa kanapki dla dzieci. Desiree zerknęła na zegarek i westchnęła ciężko.

— Siedzimy już nad tym godzinę. Więc jak będzie? Nie miałam pojęcia, czemu się waham. Chciałam

mieć to wszystko jak najszybciej z głowy, a jednak z jakiegoś powodu nie potrafiłam podjąć decyzji.

— Przysięgnie mi pani, że nigdy nie była w psychiatryku?

— Przysięgam.

— I że nie ma żadnych byłych chłopaków, którzy byli w psychiatryku?

— Przysięgam. Proszę posłuchać, decyzja oczywiście należy do pani, ale ja dałabym jej szansę.

W następny wtorek o dziesiątej rano Jelly sprężystym krokiem podeszła do recepcji w Manhattan Body and

Fitness, zapisała się na bieżnię i zaczęła rozglądać za Danem. Wiem, bo czaiłam się na ulicy z nosem przyciśniętym do szyby zastępującej w tym przypadku ścianę. No tak, żalosne, ale mniej żalosne, niż gdybym poszła tam w przebraniu, co brałam przez chwilę pod uwagę, lecz potem odrzuciłam ten pomysł, bo zupełnie do mnie nie pasował. (Zawsze należałam do tych, co psują zabawę, i nie przebierałam się nawet z okazji Halloween). Co ja tam robiłam? Przecież Desiree obiecała zadzwonić zaraz po rozmowie z Jelly i przekazać mi wszystkie szczegóły. Ja po prostu nie mogłam sobie odmówić zobaczenia tej pierwszej randki osobiście, i już. Przyznajcie, że w mojej sytuacji na pewno postąpiłybyście podobnie.

Obserwacja okazała się nieco utrudniona, bo nie mogłam przecież nie oddychać, więc szyba wciąż była zaparowana i co chwilę musiałam przecierać ją rękawem, niemniej jednak widziałam, że gdy tylko Dan wszedł, w szortach i koszulce Giantsów, Jelly zeskoczyła z bieżni i od razu do niego podeszła.

Nie mogłam rzecz jasna usłyszeć ich rozmowy, ale ona coś do niego zagadała, on jej odpowiedział, na co ona się uśmiechnęła, a potem on się uśmiechnął. Wtedy ona znów coś powiedziała, a on się roześmiał, jakby to była najśmieszniejsza rzecz na świecie, a ja pomyślałam: kurczę blade, ale byłoby super, gdyby udało mi się go przyszpilić w pierwszym podejściu. Wiem, wiem, już dobrze. Dwuminutowa rozmowa nie zwiastuje jeszcze stałego związku, ale lepsze to niż natychmiastowy kosz.

Dalej bawiłabym się w detektywa, gdyby nie przerwały mi dźwięki uwertury do „Wilhelma Telia”. Dzwoniła moja komórka.

Zirytowana sięgnęłam do torebki. Kto śmie mi teraz przeszkadzać?

- Tak? — syknęłam do telefonu.

-Tu Steffi - odezwała się moja asystentka. - Stoję przed apartamentem Ornbachera w Waldorfie. Zapomniałaś, że Gary spotyka się z nim dziś w sprawie podatków?

- Boże. - Zasadniczo nie zapomniałam. Poprzedni wieczór spędziłam na przygotowaniach do tego spotkania, dzwoniłam nawet do domu do Gary'ego, naszego najlepszego księgowego, żeby tę kwestię omówić. Zakładałam, że wpadnę tu tylko na chwilę, zorientuję się, czy między Jelly i Danem zaskoczyło, i zdążę do hotelu przed rozpoczęciem spotkania.

- Kiedy zadzwonili z pytaniem, gdzie jesteś, uznałam, że powinnam jak najprędzej tu przyjść. Rano widziałam na twoim biurku teczkę, więc wzięłam ją ze sobą. Będę mogła skorzystać z twoich notatek.

- Super. Ale ja też powinnam tam być - odparłam ze ściśniętym żołądkiem. - Możesz ich jakoś zatrzymać?

- Spróbuję.

- Steffi, ratujesz mi życie. Przyjadę najszybciej jak się da, obiecuję.

- Nie denerwuj się tym - uspokajała mnie Steffi, moje oparcie, na które zawsze mogłam liczyć. - A gdzie właściwie jesteś?

-Jestem... - Jak już mówiłam, ufałam Steffi. Była więcej niż moja prawą ręką. Widziałam w niej młodą kobietę, jaką sama kiedyś byłam - bystrą, pracowitą i zdolną wykonać każde zadanie, nawet najbardziej służalcze, żeby tylko awansować. Mimo to jednak nie mogłam jej powiedzieć, że szpieguję byłego męża i lalczkę, którą próbuję wepchnąć mu do łóżka. - Jestem w drodze - zakończyłam niejasno i rozłączyłam się.

Stałam jeszcze kilka sekund bez ruchu, niezdolna oderwać wzroku od Dana i Jelly. W końcu wsiadłam do taksówki. Kiedy odjeżdżałam, byli całkowicie pochłonięci rozmową, uśmiechali się i śmiali, śmiali i uśmiechali się.

Mój Boże, myślałam. Jeśli naprawdę mu się spodoba...

No tak, sama perspektywa przyprawiła mnie o taki zawrót głowy, że dałam taksówkarzowi dodatkowe pięć dolarów napiwku.

Wysiadłam przy Waldorfie i zapytałam recepcjonistę w skrzydle dla VIP-ów o numer apartamentu pana Ornbachera.

— Pani nazwisko? - zapytał w odpowiedzi młody jasnowłosy mężczyzna dziwnie przypominający Dana. A może to początki psychozy?

— Melanie Banks - odparłam. — Spóźniłam się na spotkanie, czekają tam na mnie, więc mógłby pan...

— Pani nazwisko jest na liście, ale spotkanie się już skończyło.

Upuściłam teczkę na marmurową posadzkę hotelu.

— Jak to?

— Na górze nikogo nie ma. Około pięciu minut temu widziałem, jak pan Ornbacher wychodzi.

Stałam tam i patrzyłam na niego. Nie mogłam wydusić słowa. Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam oddychać.

— Proszę pani? — powiedział, wyrywając mnie z tego stanu.

— Tak, rozumiem. Spotkanie skończone — powiedziałam.

Podniosłam teczkę. Nagle wydała mi się strasznie ciężka, jakbym nosiła w niej kamienie. Jak to możliwe, by poranek, który tak fantastycznie się zapowiadał, mógł się tak fatalnie zakończyć?

Kiedy przyjechałam do biura, podziękowałam Steffi, że mnie zastąpiła i tym samym uratowała mi tyłek.

— Ależ proszę bardzo. Choć Jedowi nie spodobało się, że cię nie ma.

- Jak bardzo się nie spodobało?

- Powiedział, że coś mu się wydaje, iż - cytuję: „ta przemowa o dwudziestu czterech godzinach siedem dni w tygodniu to zwykła ścierna”.

- Boże. Powinnam była zadzwonić do niego na komórkę i jeszcze raz się usprawiedliwić sytuacją rodzinną.

-Ale coś się stało, tak? - zapytała ostrożnie Stem, tak żebym nie pomyślała, że posądza mnie o kłamstwo. Traktowała mnie z szacunkiem.

- Próbuję wszelkimi siłami załatwić pewien problem rozwodowy - tak to ujęłam.

Pokiwała głową.

-W razie potrzeby wiesz, gdzie mnie szukać. Ale błagam, nie spóźnij się dziś do Berniego.

Bernie. O. Normalnie cieszyłam się na nasze wtorkowe spotkania, zawsze o wpół do dwunastej. Miałam okazję pogadać z nim sam na sam, pochwalić się osiągnięciami i nikt mi nie przerywał. Jednak w ten konkretny wtorek nie było się czym chwalić oprócz tego, że kandydatka na kobietę Dana jest obiecująca. Wątpiłam jednak, by to go mogło zainteresować.

Tak czy inaczej spotkanie rozpoczęło się punktualnie o jedenastej trzydzieści. Bernie wysłuchał mojego tłumaczenia w sprawie porannego incydentu, ale zamiast potem rozpocząć swoją zwykłą tyradę o stopach procentowych

i tyranii Alana Greenspana, znów powtórzył, jak bardzo go niepokoi mój brak koncentracji.

- Ponieważ to dzięki tobie Ornbacher został naszym klientem, jestem skłonny jeszcze ci go nie odbierać.

-Jeszcze... - Jak mógł mieć jakiegokolwiek wątpliwości, czy Jed jest mój? Przecież byłam atutowym asem Pierce'a, Shelleya i Steinberga. Oczywiście, że mi go nie odbierze. Zgadza się, kilka razy dałam dupy, ale przecież się poprawię. Jak tylko Dan przestanie mnie doić...

— Znalazłaś profesjonalną pomoc w tej sprawie z alimentami? — zapytał Bernie.

-Tak.

— No i jak ci idzie?

— To początek, ale daję z siebie wszystko.

I żeby udowodnić, że nie rzucam słów na wiatr, jak tylko od niego wyszłam, zadzwoniłam na komórkę Dana. Może wciąż byli z Jelly w klubie. Może sączyli jakieś wzmacniające soczki i wymieniali się numerami telefonów. I robili plany, żeby zamieszkać razem na dziewięćdziesiąt dni. Musiałam wiedzieć, chciałam kontrolować sytuację.

— Halo? — odezwał się Dan.

— Cześć, tu Melanie.

— Co znowu zrobiłem?

— Zrobiłeś? — Potrzebowałam chwili, żeby wymyślić, po co dzwonię. Jakiś dobry powód, niekoniecznie ten prawdziwy. — Od wczoraj, kiedy go przywiozłeś, Buster się ciągle drapie - skłamałam. Chciałam zyskać czas, w którym być może powiedziała by coś o Jelly. — Dałeś mu lekarstwo przeciw kleszczom i pchłom?

— Tak jak zwykle. Może ma alergię na ciebie, kotku.

— Bardzo zabawne - odrzekłam i zamilkłam na chwilę. — Kurczę, złapałam cię w siłowni?

— Masz mój grafik, Mel, i dobrze wiesz, gdzie jestem.

— Umknęło mi to. Jesteś z... eee... trenerem? -Nie.

— Sam? -Nie.

— A więc z kimś?

— Zadzwoniłaś, żeby zagrać w dwadzieścia pytań?

— Interesuje mnie to z powodu Bustera. Może twój znajomy zna się na psach i wie, dlaczego się drapią, skoro wiadomo, że nie mają pcheł ani kleszczy.

- Czekaj, zapytam ją.

Ją! Tylko spokojnie, moje serce.

Po chwili usłyszałam, jak pyta swoją towarzyszkę.

- Znasz się na psach, Jelly?

No, mało brakowało, żebym na miejscu wykonała gwiazdę. Więc spodobała mu się na tyle, że ciągle z nią gadał. Świetny początek!

- Hej, Dan?

- Zaraz. Pytam ją...

- Wiesz co, muszę kończyć, jestem w pracy, na razie. Rozłączyłam się rozpromieniona. Włożyłam telefon

do kieszeni, podniosłam dumnie głowę i poszłam do swojego gabinetu. Zmiana nastroju musiała być widoczna, bo Steffi zauważyła, że już od dłuższego czasu nie byłam spokojna.

- Sprawy przybierają właściwy obrót - powiedziałam, bo naprawdę wierzyłam, że tak jest.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Następnego ranka zadzwoniłam do Desiree.

— Została na noc? — zapytałam bez tchu, sama po nie przespanej nocy, bo ciągle wyobrażałam ich sobie razem w jego, a niegdyś i moim łóżku. Nie, żadnych seksualnych szczegółów. Do końca jeszcze nie zwariowałam. To był tylko niewyraźny obraz, marzenie senne, które kończyło się sceną, kiedy to on błaga ją, żeby się spakowała i przeprowadziła do niego, a ona skacze z radości i zgadza się, a wtedy ja zaciągam go do sądu, a potem kupuję sobie super mieszkanie, może nawet to należące do Dana. Zupełnie nierealne, wiem, ale moje poczucie realizmu nie było wtedy w najlepszym stanie.

— Mówiłam już pani. Moje dziewczyny to nie dziwki — przypomniała mi Desiree. - Kiedy do mnie przychodzą, pierwsza rada, jaką im daję, brzmi: poczekaj do trzeciej randki.

— Dlaczego do trzeciej?

— Bo tak mówi Desiree, dlatego, i to działa.

— No tak. - O ile mnie pamięć nie myli, Weezie i Nards poczekali tylko do drugiej i jakoś nie wpłynęło to negatywnie na ich związek. Ale co tam. - Po prostu nie mogę się doczekać wieści z frontu.

— Właśnie rozmawiałam z Jelly. -I?

— Dan się jej spodobał.

— Super!

— Uważa, że jest przystojny.

- Szkoda, że nie widziała go dziesięć lat temu.
- I dobrze się jej słuchało historii z czasów, kiedy grał.
- Są świetne pod warunkiem, że nie trzeba ich wysłuchiwać po raz setny.
- Twierdzi, że nie jest takim narcyzem jak większość sportowców.
- Żeby nim być, musiałby mieć pracę.
- Ale na tym dobre wieści się kończą: nie poprosił jej o numer telefonu. Powiedział tylko „Do zobaczenia” i poszedł wziąć prysznic. Była naprawdę rozczarowana.
- Nie ona jedna. - Cholera. - To na pewno z powodu włosów.
- Słucham?
- Ostrzegalam, że Dan nie lubi loczków.
- Jelly uważa, że to z powodu jej uwagi o jej bracie.
- A co on ma z tym wspólnego?
- Rozmawiali o rodzinie i Jelly wspomniała, że ma brata, który wiecznie pożycza od niej pieniądze, a potem wydaje je na ciuchy, samochody czy wyjazdy. Mówiła do Dana: „W ogóle mu nie wstyd, że bierze je ode mnie. Co z niego za facet?”. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowała, że powiedziała coś nie tak. Tym go chyba zraziła.
- Tak pani sądzi?
- Zaraz, zaraz, to nie jej wina. Przecież nie powiedziałyśmy jej o sytuacji Dana.
- Sytuacja Dana - wymamrotałam. - To moja sytuacja i ja muszę się z niej wyplatać. I po to panią wynajęłam.
- Tylko spokojnie. Mam mnóstwo innych dziewcząt. We wszystkich kolorach i rozmiarach. Za tydzień albo dwa znów przejrzę kartoteki i może pani przyjść...
- Za tydzień lub dwa? Chyba nie rozumie pani powagi sytuacji.

- A pani nie rozumie, że pięć tysięcy daje pani jedną randkę miesięcznie.

- Przecież podwoiłam stawkę. Mam prawo do tylu randek, ile potrafi pani załatwić.

Musiałam się uspokoić. Naciskanie na ludzi nigdy nie jest zbyt skuteczne. Gdybym naprawdę ją wkurzyła, mogłaby powiedzieć Danowi, co knuję, a wtedy nici z całego misternego planu.

- Byłabym ogromnie wdzięczna, gdybyśmy mogły wybrać kolejną od razu - powiedziałam słodko. - Jest pani może wolna dziś po południu?

- Chyba tak.

Kandydatka numer dwa to Rochelle, była baletnica, która obecnie tworzy strony internetowe. Desiree utrzymywała, że zarówno taniec, jak i futbol można zaliczyć do sportu, więc na pewno znajdą wspólny język. Ja miałam wątpliwości, biorąc pod uwagę antypatię Dana do kultury jako takiej. Poza tym Rochelle wyglądała na zdjęciu bardzo chudo, a on zawsze lubił, gdy oprócz skóry na kościach było coś jeszcze. Desiree jednak bardzo ją polecała, więc ostatecznie się zgodziłam.

Spotkali się w Post House, restauracji, gdzie Dan zwykle jadał lunch po wyjściu z siłowni. Rochelle zarezerwowała stolik, usiadła z tyłu tuż obok niego, zwróciła na siebie uwagę i w końcu została zaproszona do jego stolika. Wiem o tym nie dlatego, że podglądałam przez szybę, ale stąd, że odwiedziłam Post House wcześniej tego dnia i zapłaciłam kierownikowi sali za to, żeby dla mnie szpiegował. W końcu byłam zajęta poważną pracą i uznałam, że w ten sposób bardziej efektywnie wykorzystam swój czas.

Kierownik miał na imię Fred, był szorstki w obyciu, jeden z tych typów, co to przez całe życie pracują w tym samym miejscu i nie mają aspiracji zostać, na przykład,

autorem scenariuszy. Na początku wzbraniał się, jakoby chronił prywatność Dana, i niemal mnie zbeształ, wychwalając go jako stałego klienta. Ale w ciągu pięciu kolejnych minut znalazł się w mojej kieszeni.

— Wystarczy? - zapytałam, przesuwając po stole dwadzieścia dolarów.

— Wystarczy stowa.

— A co pan powie na pięćdziesiąt?

— Stowa i mogę nawet zatańczyć na barze.

Więc zapłaciłam stowę. Obiecał zadzwonić do biura z wyczerpującą relacją, jak tylko Dan i Rochelle opuszczą restaurację. Uzgodniliśmy także, że jeśli będzie trzeba, mogę liczyć na niego w przyszłości. Za tę samą stawkę.

Zaskoczyło mnie, jak szybko się zgodził sprzedać „stałego klienta”, ale cóż, takie jest życie. Co do mojej gotówki, nie, nie było mi tak trudno się z nią pożegnać, bo trzymałam się zasady poznanej jeszcze na studiach ekonomicznych: czasami, żeby zarobić, trzeba najpierw wydać.

Fred zgłosił się o trzeciej. Z jego relacji wynikało, że Dan postawił Rochelle Krwawą Mary, którą ona ledwie tknęła. Kupił jej befsztyk i jego również nie spróbowała. Podobnie jak pieczonego ziemniaka ze śmietaną i cebulą oraz sernika z truskawkami. Freda najwyraźniej bardziej interesowało, kto co jadł, niż kto kogo polubił.

— Jest tancerką — poinformowałam go. — Zapewne na lunch jada zieloną sałatę.

— Nie - odparł Fred. - Kupił jej sałatkę i jej też nie tknęła.

— A jakie robili wrażenie razem? Zaiskrzyło? — wypytywałam go. - To znaczy był jakiś fizyczny kontakt?

— Dotykał jej bluzki.

— Publicznie ją obmacywał? — wypytywałam z przejęciem, czując jednocześnie odrazę.

- Nie, skąd, wycierał ją, bo oblała się Krwawą Mary. Wypiła ten jeden jedyny łyżeczek i tak się to skończyło.

- Zaskakująco słaba koordynacja ruchów jak na tancerkę — skomentowałam. — Zauważył pan coś jeszcze?

- Usłyszałem, jak mówiła, że bardzo by chciała.

- Bardzo by chciała, ale co?

- Tego nie usłyszałem.

- I tyle dostaję za moje sto dolców? Fragmenty zdań?

- Jak chciała pani całe zdania, powinna pani więcej zapłacić. Przykleiłbym pluskwę pod stolikiem.

Nieco później zadzwoniłam do Desiree, żeby poznać relację Rochelle.

- Dobre wieści — świergotała do słuchawki. - Umówili się na jutrzejszy wieczór.

- Zaprosił ją na kolację? — spytałam, omal nie spadając z krzesła. Było późno i zostałam już w biurze sama. Mój głos odbijał się echem po pustych korytarzach.

- Propozycja wyszła od niej, ale randka to randka.

Bardzo przeżywałam ten wieczór, kiedy się spotkali. Siedząc w łóżku z Busterem na kolanach, oparta o wezglowie z imitacji drewna orzechowego, cały czas się zastanawiałam, czy Dan ujął jej ramię, kiedy przechodzili przez ulicę, czy pocałował ją na dobranoc, kiedy odwiózł ją do domu, i czy w ogóle odwoził ją do domu czy może zabrał do siebie.

A może powinnam powiedzieć: do nas. Westchnęłam, rozglądając się po mojej ponurej bezosobowej kawalerce w Hotelu Złamanych Serc. Panowała w niej atmosfera tymczasowości. Ogólnie była w porządku - to nie nora w sensie dosłownym, ale nasze poprzednie mieszkanie było jedyne w swoim rodzaju. To był dom, prawdziwy dom. Jedyny, jaki kiedykolwiek miałam. Zamiast ciemnej ulicy za jego oknem roztaczał się wspaniały widok na

Nowy Jork. Dan zawsze kręcił głową i mawiał: „No tak, to na pewno nie Minco”. Kiedy je kupiliśmy, mieszkanie było zaniedbane i przybrudzone, ale po remoncie stało się wprost fantastyczne. Pamiętam, jak stałam na progu i myślałam, że to mieszkanie zapewni mi bezpieczeństwo. Będę się go trzymać i nigdy nie puszcę.

Idiotka. Kto by pomyślał, że nie tylko dostanie je Dan, ale jeszcze ja będę musiała za to płacić?

— No nic, Buster, zobaczymy, co z tego wyjdzie — mówiłam do psa, pocierając policzkiem o jego mordkę. — Na pewno nie poddamy się bez walki.

Buster prychnął, zeskoczył z łóżka i potruczał do małej wnęki, w której mieściła się miniaturowa kuchenka z miniaturowymi urządzeniami. Weezie kupowała podobne swojej córeczce, żeby mogła się bawić w gotowanie.

Wstałam i poszłam sprawdzić, czy Buster ma w misce wodę, gdyby chciał się napić. Kiedy tam byłam, uznałam, że czas wyrzucić stare gazety, bo sporo się ich nazbierało. Związałam je, powiedziałam Busterowi, że zaraz wracam, i wyszłam do zsypu, który znajdował się na końcu korytarza, zatrzaskując za sobą drzwi. Już w chwili, gdy usłyszałam, jak się zamykają, zdałam sobie sprawę, że znalazłam się w tarapatach. I to poważnych. Miałam na sobie tylko T-shirt i majtki. I już. Nie najodpowiedniejszy strój, żeby paradować po budynku w poszukiwaniu administratora.

A, nie wiem, czy wspomniałam, że była już dziesiąta wieczorem.

Ze sposobu, w jaki dotarłam do drzwi Patty, można by wyciągnąć wniosek, że byłam zupełnie naga. Modliłam się, żeby mnie nikt nie zobaczył.

Zadzwoiłam, przyłożyłam usta do drzwi i starałam się mówić jak najciszej:

— To ja, Melanie. Proszę cię, Patty, wpuść mnie.

Żadnej odpowiedzi. Przyłożyłam ucho do drzwi. Nie usłyszałam odgłosów włączonego telewizora, nikt też nie rzucał w ścianę szklanymi przedmiotami. Patty albo umarła, albo wyszła.

I co teraz? myślałam, osuwając się na posadzkę, żeby zakryć nagie ciało i zastanowić się nad swoim rozpaczliwym położeniem. Przecież nie mogłam jakby nigdy nic pukać do sąsiadów. Nie znałam ich. No, może oprócz Evana Gillspiego, którego właściwie też nie znałam. Co więcej, podczas ostatniej naszej rozmowy odrzuciłam jego zaproszenie, by obejrzeć obrazy. No i ten kawałek sera wyglądający jak zwisający mi z nosa gil, przez który musiał uznać, że jestem nie tylko niemila, ale i nieapetyczna.

Boże, jak mogłabym pojawić się teraz półnaga na jego progu?

A co innego mi pozostało? Przecież zasadniczo nie miałam wyboru. Kiedy uzmysłowiłam sobie, jaka jestem samotna — nie tylko tam, na korytarzu, ale w ogóle - ogarnęło mnie przygnębienie. Miałam w pracy kilku znajomych, z którymi spotykaliśmy się towarzysko, jeśli udało się nam dużym wysiłkiem wygospodarować czas, no i miałam Weezie, ale ona z kolei miała własne życie na pełny etat z mężem i dziećmi, poza tym mieszkała godzinę jazdy od Nowego Jorku. I tyle. Nie było szerokiego kręgu przyjaciół. Kiedyś moim najlepszym przyjacielem był Dan, to zupełnie naturalne. Mąż powinien nim być. Pytanie tylko, co się dzieje, kiedy mąż znika z twojego życia.

Zostajesz sama w źle oświetlonym korytarzu Hotelu Złamanych Serc, oto co, i żałujesz, że nie możesz wpełznąć pod wykładzinę.

Pozwoliłam sobie jeszcze na kilka minut użalania się nad sobą, a potem się pozbierałam. Wstałam, naciągnęłam T-shirt najbardziej jak się dało, tak żeby przynajmniej

zakrył to, co trzeba. I poszłam, bosą i z gołymi nogami, do mieszkania 3F.

Błagam, niech on przynajmniej będzie sam, myślałam, naciskając guzik dzwonka. Jeśli ma jakąś imprezkę i dziesięć ciekawskich par oczu przyjdzie zobaczyć wariatkę z 3A, to chyba umrę.

I wtedy drzwi się otworzyły.

Evan był chyba sam i najwyraźniej, co zrozumiałe, zaskoczony moim widokiem. Na dzinsach miał fartuch poplamiony farbą. Nawet jego szlachetnie wyrzeźbiona twarz nosiła jej ślady tu i ówdzie. Chyba przeszkodziłam mistrzowi w pracy.

— Eee, cześć - zaczęłam, wciąż naciągając T-shirt. Problem polegał na tym, że kiedy naciągałam go tak, żeby zakrył krocze, robił się bardziej przezroczyście na piersiach. Bardzo kłopotliwa sytuacja.

- Cześć - powiedział, lustrując mnie z góry na dół. Wyraz jego twarzy mówił, że chce mu się śmiać i jednocześnie próbuje odgadnąć, co jest grane. - Melanie, tak?

— Tak. — Zaczęłam okręcać wokół palca kosmyk włosów. Skinął głową, ciągle się na mnie gapiąc.

— Pamiętam, że zaprosiłem cię, gdybyś miała ochotę zobaczyć moje prace. Ale nie pamiętam, żebyś przyjęła to zaproszenie.

- Przepraszam cię. Nie przyszłam oglądać obrazów -odparłam wciąż przerażona, ale jednocześnie czując ulgę, że jest w domu.

- Nie? - Przyjrzał się jeszcze raz mojej garderobie i uśmiechnął się. - Więc chyba polubiłaś mnie bardziej, niż dałaś po sobie poznać.

Czułam, że się rumienię, i to mocno. Minęło tyle czasu, odkąd jakiś facet ze mną flirtował, nie mówiąc już o ślizganiu się wzrokiem po moim ciele (nie licząc Jeda Ornbachera), że poczułam się zażenowana.

— Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale zatrzasnęły mi się drzwi od mieszkania, a w tym stroju nie mogę przecież szukać administratora, żeby dał swój klucz. Pomyślałam, że może ty mi pomożesz.

Stanął z założonymi rękami i nawet nie próbował ukryć rozbawienia.

— Chcesz pożyczyć moje spodnie?

— Nie.

— Koszulę dłuższą niż twoja?

— Nie. Byłabym ci wdzięczna, gdybyś zszedł na dół i poprosił go o zapasowy klucz do mojego mieszkania.

-Administratorzy nie dają kluczy byle komu. A przynajmniej nie powinni.

— Ale ty nie jesteś byle kim. Jesteś moim sąsiadem i możesz mu to wszystko wyjaśnić.

— Chodź - zaprosił mnie do środka. - Po pierwsze, zadzwoń do niego i wytłumacz, o co chodzi. A potem zejść i przynieść klucz. W ten sposób na pewno wszystko się uda.

— Dobra. — Mimo całej niezręczności tej sytuacji z przyjemnością słuchałam jego głosu. Nie wiem, czy to niezwykła intonacja czy uspokajający ton, ale podobał mi się.

Zdjął fartuch, pod którym nosił golf, i podał mi go.

— Możesz się okryć, a ja poszukam tego numeru. Pewnie jest ci zimno.

Jego troska o mnie też mi się spodobała. Podziękowałam i włożyłam fartuch razem z farbą i całą resztą. Kiedy on przeszukiwał swój plecak, ja rozejrzałam się po mieszkaniu. Powinno być urządzone tak samo jak moje, Patty i wszystkie pozostałe, ale on chyba wyniósł kilka mebli, bo zauważyłam tylko sofę, stolik i łóżko. Resztę wolnej przestrzeni zajmowały koszyki z pędzlami, stosy obrazów i rysunków oraz płótna porzucone w różnym

stadium procesu twórczego, jedno z nich spoczywało na sztalugach.

Zaintrygowana podeszłam bliżej.

Kolorowy obraz olejny przedstawiał morze podczas burzy, według mnie na Karaibach. Oprócz niebieskości, zieleni, a nawet różu, które składały się na wodę i niebo, było też kilka łodzi rybackich. Ich załogi walczyły z żywiołem. Malowidło było zadziwiająco trójwymiarowe, precyzyjne i realistyczne jak zdjęcie, ale jednocześnie bardziej ożywione. Zafascynowało mnie.

- Nazywa się „Letni szkwał” - powiedział Evan, gdy wrócił i przyłapał mnie na podziwianiu jego pracy. - Namalowałem go w zeszłym roku na Bahamach, po tym jak mnie wylali. Teraz tylko go dopieszczam.

- Piękny - przyznałam. — Czuję się tak, jakbym tam była.

- Lepiej nie. Wszyscy strasznie przemokliśmy.

- Ale nikt nie utonął ani nic?

- Nikt. To była typowa pięciominutówka, z ulewą i głośnie. Mają je tam na porządku dziennym, zwykle po południu. - Jego ciemne oczy zabłyśły na to wspomnienie. Jak widać, był facetem, który lubi otwarte przestrzenie. Poszukiwacz przygód.

- Sprzedajesz w galeriach czy to tylko sposób na wypełnienie czasu, zanim nie znajdziesz pracy w wydawnictwie?

- Nie szukam nowej pracy w wydawnictwie. Na pewno nie teraz, kiedy zastąpiono mnie kobietą ledwie po studiach, która pracowała wcześniej tylko w MTV. Raz z nią rozmawiałem i udało się jej pomylić Thomasa Pynchona i Monty'ego Pythona.

- To według ciebie dlaczego dostała twoją posadę?

- Bo spełnia wymagania: osoba młoda, płci żeńskiej, która czytuje współczesną literaturę kobiecą. Nie zauwa-

żyłaś, że mężczyźni to w naszym społeczeństwie gatunek wymierający? Teraz liczy się tylko to, czego chcą kobiety. Seksizm inaczej.

Zabrzmiało to bardzo podobnie do wcześniejszego przemówienia Nardsa.

— Naprawdę w to wierzysz? Kobiety świetnie sobie radzą, ale to mężczyźni wciąż rządzą światem.

— Na razie. A tymczasem ci z nas, którzy nim nie rządzą, zostają odsunięci na boczny tor. Ja na szczęście mam swoje obrazy. I owszem, sprzedaję je. Prywatnym kolekcjonerom z polecenia. Galerie są dla ludzi, którzy szukają lokaty kapitału.

Innymi słowy był utalentowany, ale nie miał pojęcia, jak się zareklamować. Jeszcze jeden Dan, na litość boską. Nie dziwota, że żona miała go dosyć i wywaliła za drzwi. Mimo to był niesamowicie pociągający.

— Znalazłem numer do administratora — powiedział, podając mi wizytówkę. - Zadzwoń, to zejdę zaraz na dół.

— Dzięki.

Zadzwoń, wyjaśniłam, rozłączyłam się.

— Załatwione.

— No to idę.

— Na pewno nie masz nic przeciwko temu?

— Nic a nic. — Uśmiechnął się, a wokół oczu pojawiły się kurze łapki. - Teraz, kiedy już wygadałem się na temat wszechmocy kobiet, chyba z przyjemnością wyratuję damę z opresji.

Gdy wychodził, uzmysłowiłam sobie, że jeszcze nikt nigdy nie określił mnie mianem damy w opresji. Ja byłam Melanie Banks. Odniosłam sukces zawodowy. Zajmowałam wysokie stanowisko. Zawsze radziłam sobie sama. I nie miałam w zwyczaju być ratowaną. Kiedy patrzyłam, jak znika za tymi drzwiami, zdarzyło się coś, czego zupełnie się nie spodziewałam — a mianowicie spodobało mi się

to, że dla odmiany tym razem ratuje mnie ktoś inny, że jest ktoś, kto poniesie za mnie tę ciężką walizkę.

Poproszę Steffi, żeby wysłała mi duży kosz z owocami i z wyrazami wdzięczności. Jako dzidzias ucieszy się z jedzenia za friko. Oczywiście kiedy zaczną napływać czeki, przestanie być przymierającym głodem artystą. Przeprowadzi się pewnie na Bahamy i kupi dom na plaży — za jej pieniądze.

Westchnęłam, usiadłam na sofie i wróciłam do obsesyjnego myślenia o swoim byłym i jego balerinie/kreatorce stron internetowych. Dochodziła jedenasta. Może pojechali już do Dana i w tej chwili obściskują się na niegdyś mojej sofie. Może tak oboje poniosło, że Rochelle nie będzie w stanie pokonać požądania, oleje zasadę trzeciej randki, którą wpoila jej Desiree, i zdecyduje się jednak przespać z Danem.

Pozwoliłam sobie na uśmiech. Jeśli spędzą ze sobą tę noc, zostanie im jeszcze tylko osiemdziesiąt dziewięć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Evan wrócił z kluczem i nalegał, że odprowadzi mnie do mieszkania. Biorąc pod uwagę jego galanterię, uznałam, że powinnam przynajmniej zaprosić go na chwilę do siebie. Zachował się bardzo przyzwoicie i choć całą swoją uwagę skupiałam na Danie i na tym, czy dobrze się bawi z Rochelle, jakieś dobre maniery mi jeszcze zostały.

— Bardzo bym chciał, ale muszę skończyć ten obraz - odparł Evan.

— Już prawie północ — zauważyłam. — Zawsze pracujesz tak późno?

Roześmiałam się, kiedy usłyszałam własne słowa. Jakbym sama nie siedziała do późna prawie dzień w dzień.

- Mówiłem ci przecież, że malowanie to moja pasja. Moja żona mogłaby coś na ten temat powiedzieć. Zajmuje się nieruchomościami, zresztą z powodzeniem, a nawet ona nie pracuje tyle co ja.

Na pewno miałyby sporo do powiedzenia, pomyślałam, wyobrażając sobie kobietę na granicy wytrzymałości nerwowej — zwolniony z pracy mąż romansuje z pędzlem, a ona musi go utrzymywać.

- Patty wspominała, że od niedawna jesteś w separacji.

-Tak — potwierdził. - Dopinamy z Kaitlin ostatnie szczegóły ugody rozwodowej, ale mam przeczucie, że wszystko pójdzie gładko.

No pewnie, gładko z twojego punktu widzenia. Dostaniesz wszystko, a Kaitlin, na swoje nieszczęście, bo ma pełne konto w banku, dostanie wielkie zero.

— I wtedy się pewnie wyprowadzisz z Hotelu Złamanych Serc?

— Taki mam plan. Ale ty pewnie też nie zostaniesz tu na zawsze. — Spojrzał mi prosto w oczy z taką intensywnością, że musiałam odwrócić wzrok. Owszem, fajny z niego facet, ale co z tego? Wszyscy są niby tacy fajni, a czy to się komukolwiek na coś zdało?

— Święta racja — przyznałam. — W zasadzie sama też dopinam pewien plan. Mam nadzieję, że pozwoli mi stąd wyfrunąć za niecałe cztery miesiące.

— Może kiedyś mi o tym opowiesz.

— Może. W każdym razie dzięki za pomoc z tym kluczem.

Skłonił się nisko.

— Staram się tylko być dobrym sąsiadem.

— Jestem ci winna przysługę.

— Zapamiętam. Jak zatrzasną mi się drzwi, od razu pukam do ciebie.

— A ja postaram się być ubrana odpowiednio do okoliczności.

Spojrzałam na siebie i zobaczyłam, że wciąż mam fartuch Evana. Chciałam zdjąć go przez głowę, ale kiedy zaczęłam, T-shirt, który miałam pod spodem, przylepił się do niego - mówimy tu o oddziaływaniu elektrostatycznym — więc za jednym zamachem niemal zdjęłam z siebie obydwu. Chcę powiedzieć, że właściwie się przed nim rozebrałam. Jednym, raczej nie pełnym wdzięku, ruchem pokazałam mu i piersi, i tyłek. Nigdy w życiu nie było mi tak bardzo wstyd. Przecież normalnie występowałam zawsze zapięta pod samą szyję, odziana w zbroję swoich oficjalnych biurowych kostiumów. Byłam ostatnią kobietą na świecie, która pokazałaby innym gołą skórę. A teraz Evan ją zobaczył.

- Muszę iść - powiedziałam, prawie trzaskając mu drzwiami przed nosem, a potem uchylłam je jeszcze lekko, podałam przez szparę fartuch i znów zatrzasnęłam.

- Melanie, ja widziałem już wcześniej piersi - powiedział cicho zza drzwi - i wcale nie musisz się ich wstydzić.

- Ale moich wcześniej nie widziałeś! - wrzasnęłam do niego. - I na twoim miejscu nie liczyłabym, że znowu zobaczysz!

Usłyszałam jeszcze chichot i odgłos oddalających się kroków, a potem nastąpiła cisza.

- Poszli na mecz Knicksów - oznajmiła mi następnego dnia Desiree. Było około wpół do drugiej i w końcu raczyła oddzwonić po moich trzech telefonach do niej. - No i?

- Rochelle była zachwycona miejscami. W samym środku, gdzie zasiadają wszystkie grube ryby.

- Znam te miejsca - odparłam. - To karnety sezonowe i pewnie się pani domyśla, kto za nie zapłacił.

- W każdym razie zrobiły na niej wrażenie.

- A Dan? Czy on też zrobił na niej wrażenie? - Błagam cię, Panie Boże.

- Powiedziała, że jest bardzo fajny. Swobodny, z poczuciem humoru, zna się na baseballu. No i przedstawiał ją każdemu, kto podszedł pogadać.

- No proszę. A po meczu? Poszli na drinka? Czy od razu pobiegli do niej?

- Rochelle bardzo by sobie tego życzyła, ale Dan wsadził ją do taksówki, dał kierowcy dwadzieścia dolarów i odesłał ją do domu. Samą.

- Nie! - Byłam zdruzgotana. Dwa zero dla niego.

- Powiedział, że rozboleła go głowa.

- A od czego jest paracetamol? Czemu nie zaciągnęła go do najbliższej apteki?

- Twierdził, że to migrena.
- Dan nie miewa migren. Dał jej po prostu kosza. I to komu, pani klientce! - Weezie i Nards mówili, że Desiree to geniusz. Jak dotąd nic na to nie wskazywało.
- Chyba nie ma pani pretensji do mnie? - zapytała skrzekliwym głosem.
- W końcu to pani ma podobno kandydatki, które mają go pociągać, a nie odpychać.
- Myślałam, że Rochelle mu się spodoba.
- Jest o wiele za chuda. Dan nie lubi takich chucher. - Westchnęłam zrezygowana. — Odnoszę wrażenie, że coś tu nie gra. Gdzie się podziały nagle te z wyglądem, osobowością i dobrym zawodem? Dlaczego nie umawiamy Dana z jedną z nich?
- Bo kobiety z pierwszej ligi umawiam tylko z mężczyznami z pierwszej ligi, a Dan nie plasuje się nawet w trzeciej.
- Dlaczego w takim razie Jelly i Rochelle czuły się zawiedzione, że Dan je olał? Jak widać, są kobiety, które chcą spędzać z nim czas. Nie możemy go chociaż wypróbować z jedną z tych najlepszych?
- No nie wiem.
- Proszę panią - błagałam. - Ja się muszę przekonać.
- OK. Za tysiąc ekstra dam pani Leah.
- Tysiąc ekstra? Jest aż tak cenna? - zabrzmiało to tak, jakby klient kłócił się z burdelmama.
- To prawdziwy skarb. Jest klientką zaledwie od miesiąca i nie spodziewam się, że długo zabawi na rynku.
- Ile ma lat?
- Trzydzieści jeden.
- Ładna?
- Twarz anioła i ciało striptizerki. To piękność niezależnie od gustu i wcale się z tym nie obnosi, nawet z jedwabistymi brązowymi włosami, jakie widuje się tylko

w reklamach szamponów. Może mi pani zaufać, jest tak samo piękna wewnątrz, jak i na zewnątrz.

- A z czego żyje ten ideał?

- Jest weterynarzem z własną praktyką, więc pani pies na pewno ją pokocha.

- To nie Buster ma ją kochać, tylko Dan.

- A jak niby mógłby się jej oprzeć? Jest niezależna, ale i wrażliwa, beztroska, ale rozsądna, seksowna, ale też...

- Czysta jak górski potok. Zrozumiałam. Skoro jest taka doskonała, to czemu pani musi jej szukać faceta?

- Bo jest wybredna, jak wszystkie moje klientki z najwyższej półki. I jeśli mam umówić z nią Dana, będzie to panią kosztować.

Cóż mogłam powiedzieć? Wszystko brzmiało tak obiecująco, że sama nabrałam ochoty, aby zamieszkać z Leah.

Tego wieczoru spotkałam się z Weezie i poszłyśmy do węgierskiej restauracji w sąsiedztwie Hotelu Złamanych Serc. Miło z jej strony, że przyjechała aż do Helis Kitchen, i na pewno mogła sobie pozwolić na kolację w lepszej knajpie, ale uparła się, że moja obecna dzielnica jest „supereklektyczna”. Obiecałam jej w zamian, że następnym razem to ja przyjadę do niej.

Zdziwiło mnie, że zjawiała się bez Nardsa - należeli do tych par, które tak dobrze się rozumieją, że wszystko robią razem — ale wyjaśniła, że boli go kręgosłup, więc został w domu, aby się podleczyć i nad sobą poużalać.

- Tak to jest z lekarzami — mówiła Weezie. — To najgorsi pacjenci.

- A poza tym? Wszystko w porządku? - zapytałam, gdy sącyłyśmy martini. Zasadniczo nie pijałam martini, robiłam to tylko w towarzystwie Weezie, przy której zawsze się czułam jak ostatni lump. Z wszystkim tak świet-

nie sobie radziła, nie wyłączając drinka, który smakuje jak nafta.

- Nawet lepiej niż w porządku - odparła. - Dzieciom bardzo dobrze idzie w szkole, rodzice zdrowi, teraz wyjechali w rejs. A ja na wiosnę mam przewodniczyć akcji charytatywnej, którą organizuje nasze Towarzystwo Historyczne. Nards natomiast ma tyle roboty, że postanowił zatrudnić kolejnego lekarza.

-To rzeczywiście „lepiej” i nawet nie wiesz, jak bardzo ci zazdroścę, ale czy ty nie czujesz się nigdy, sama nie wiem, jakoś dziwnie, że nie pracujesz?

- Ależ ja pracuję - powiedziała, śmiejąc się serdecznie. - Mój zawód to żona i matka.

- No tak. Nie miałam na myśli, że nie pracujesz tak samo ciężko jak wcześniej u Pierce'a, Shelleya i Steinberga.

- Bo pracuję jeszcze ciężiej. Spróbuj tylko ogarnąć to wszystko, co ja ogarniam. I nie, wcale nie czuję się jakoś dziwnie. Skąd to pytanie?

- Chyba ostatnio rozmyślałam o facetach. Uśmiechnęła się.

-To dobry znak. O jakimś konkretnym?

- Boże, nie. Nic z tych rzeczy. Rozmawiałam z moim nowym sąsiadem, ma na imię Evan, i to mnie jakoś nakręciło.

- On cię nakręcił? - zapytała z błyskiem w oku.

- Nie on, tylko rozmowa z nim - odparłam z naciskiem. - Twierdzi, że faceci są w naszym społeczeństwie jakby wypychani poza główny nurt, a kobiety prą do przodu. To mi przypomniało świąteczny wywód Nardsa. Ciekawie było usłyszeć to od kogoś, kto patrzy z innej perspektywy.

- Stracił pracę? Kiwnęłam głową.

- Użył wyrażenia „seksizm inaczej”.

- To tylko frustracja.
- Być może. Ale chyba potrafię sobie wyobrazić, jak bardzo musi ich wkurzać fakt, że „nie spełniają wymagań”.
- Daj spokój. Kobiety musiały tego wysłuchiwać przez pokolenia.
- Ale one musiały też staczać batalie, żeby się dostać na najlepsze uczelnie prawnicze, ekonomiczne czy medyczne. A my? Dostajemy się tam bez problemu, nawet o tym nie myśląc, mamy świetne posady, a potem rezygnujemy z tego wszystkiego, żeby wychowywać dzieci. W każdym razie ty. I wiele innych kobiet. Chcę tylko powiedzieć, że gdybym była facetem, mogłabym nas znienawidzić.
- Mogą nas nienawidzić, ile tylko chcą, ale to nie usprawiedliwia zwijania się w kłębek i ssania kciuka. Niektóre matki w szkole dzieciaków, matki chłopców, twierdzą, że dzisiejszy system szkolnictwa faworyzuje dziewczynki, w wyniku czego ich synowie sobie nie radzą. To naprawdę śmieszne.
- Jesteś pewna, Weezie? Więc dlaczego tylu chłopców zostaje w tyle i ostatecznie nie kończy szkoły?
- Bo kiedy robi się ciężko, oni zamiast zakasać rękawy i zabrać się do roboty, siedzą na tyłkach i grają w te idiotyczne gry. Brak im naszego instynktu przetrwania i dlatego umierają przed nami.
- Roześmiałam się.
- Dan nie umrze przede mną. On żyje po to, żeby mnie dręczyć.
- Te alimenty dają ci rzeczywiście popalić.
- Bardziej, niżbym się spodziewała. Zamiast zająć się życiem, nie mogę przestać o nich myśleć. To chore i ja o tym wiem, a mimo to nie potrafię przestać.
- No wiesz, zostałam rzeczywiście potraktowana niesprawiedliwie, szczególnie że i tak wytrzymałam z Danem dłużej niż wiele kobiet w podobnej sytuacji.

— Ja go kochałam.

- Wiem. Sama bardzo go lubiłam, dopóki nie zamienił się w faceta, który nie radzi sobie z tym, że nie jest już najlepszy na boisku. - Weezie podniosła kieliszek do ust. Zamówiła martini według przepisu własnego restauracji, więc podano je z papryką. - Patrzenie, jak się od siebie oddalacie, niemal sprawiało mi ból. Im wyżej ty się pięłaś, tym niżej on spadał, a propos chłopców, którzy nie kończą szkół.

— Więc rozumiesz, dlaczego tak wariuję?

— A co tu jest do rozumienia? No, ale teraz znalazłaś się w zdolnych rękach Desiree. Jak wam idzie?

- Te ręce okazały się niewystarczająco zdolne w przypadku dwóch pierwszych klientek.

— Może Dan nie jest jeszcze gotów na nową kobietę. Może wciąż myśli o tobie.

- Akurat. Nawet byśmy ze sobą nie rozmawiali, gdyby nie Buster. - Myśli o mnie. A to dobre. Nie mógł znieść mojego widoku i uczucie to było w całej pełni odwzajemnione. - Nie, z tymi dwoma po prostu nie zaiskrzyło. Ale teraz Desiree wyprowadza ciężkie działa. Jutro po południu kobieta zwana Leah Purcell uda się na spacer po Central Parku, gdzie akurat Dan będzie grał w piłkę. To kandydatka z pierwszej ligi Desiree, cokolwiek to znaczy, więc jestem ostrożnie optymistyczna.

— Dan niczego się nie domyśla?

- Niczego. Ani te kobiety. Desiree mówi im, że jako były zawodowy sportowiec jest zbyt dumny, by umawiać się przez biuro matrymonialne. Sprzedaje im historyjkę o tym, że troskliwy przyjaciel przyszedł do niej z błaganiem, żeby mu kogoś znalazła. Ponieważ podaż kawalerów na wydaniu jest niewielka, babki są na tyle zdesperowane, że kupują tę bajeczkę.

- Desiree potrafi sprzedać wszystko. Każdemu.

- Zaczynam się o tym przekonywać. Jak dobrze ją poznałaś, kiedy byłaś jej klientką?

- Niezbyt. Kto umiałby przejrzeć te peruki? Roześmiałam się.

- Orientujesz się, czy jest jakiś pan Klein?

- Był jeden taki, a także trzech innych mężów.

- Miała czterech mężów?

- I tyleż samo rozwodów.

- Super. I czterokrotna rozwódka daje wszystkim rady w sprawach miłości? - A ja złożyłam swoje życie w jej ręce?

- Znasz to powiedzenie: „Kto coś potrafi - robi, kto nie potrafi - uczy”. Weź na przykład radę, którą dała mnie. Nards nie jest najambitniejszym facetem na świecie ani najprzystojniejszym, ale przekonała mnie, że przewyższa całą resztę, bo jest pracowity i można na nim polegać, a to cechy bardzo rzadkie u mężczyzn, jak już ustaliliśmy. Mówiłam ci, Desiree to matrymonialny geniusz.

- I bardzo kosztowny.

- Jeśli wypłacze cię z alimentów, jest warta każdych pieniędzy.

- Dobra. Wypiję za to.

Wzniosłyśmy kieliszki w oczekiwaniu na toast.

- Za Desiree - powiedziała Weezie.

- Za Leah - powiedziałam ja. - Niech okaże się wymarzoną kobietą Dana.

- I odpowiedzią na twoje modlitwy - dodała Weezie. Stuknęłyśmy się kieliszkami i wypiliśmy martini.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Słyszałyście o życzeniu wypowiedzanym, gdy widzi się spadającą gwiazdę? Ja wypowiedziałam życzenie nad martini i zadziałało. Leah zjawiała się w parku, zagadnęła Dana i rozpałała w nim ogień, jakiego nie udało się rozpałać żadnej kobiecie - no, żadnej od czasu niżej podpisanej — już od lat.

- Kłania się niezawodna Desiree Klein! — zawołała w słuchawce swatka wspaniała, kiedy zadzwoniła, by oznajmić dobre wieści.

Zazwyczaj kiedy ludzie mówią o sobie samych w trzeciej osobie, ogarnia mnie nuda, ale tym razem aż podskoczyłam na krześle.

- Leah i Dan przypadli sobie do gustu?

- Mało powiedziane - odparła. - Myślę, że są zakochani.

- Nie przesadzajmy. Nikt nie zakochuje się aż tak szybko.

Jeszcze zanim skończyłam mówić, zdałam sobie sprawę, że to nieprawda. Ja sama zakochałam się właśnie tak szybko. W Danie. Ale byliśmy jeszcze młodzi i głupi. Po prostu dzieci.

- Mówię pani, Melanie, zaiskrzyło, i to jak! W końcu znam się na tej robocie.

- No to może opowie mi pani wszystko po kolei? - zaproponowałam świadoma, że nie powinnam robić sobie płonnych nadziei. Może i zaiskrzyło, ale co mi z tego, jeśli ta fascynacja potrwa tylko jedną noc?

- Wszystko się zaczęło, kiedy Leah przyszła do parku. Mecz powoli dobiegał końca. Przedstawiła mu się i powiedziała, że jest fanką Giantsów. A on poprosił, żeby poczekała, bo chciałby zaprosić ją na drinka.

- OK — odparłam zadowolona, że tym razem Dan zainicjował randkę.

- Z drinka zrobiła się kolacja, a potem poszli do niej i podobno nie mogli się nagadać. Mówiła, że rozstali się

0 drugiej nad ranem!

Ta informacja całkowicie mnie zaskoczyła. Owszem, Dan potrafi być czarujący, ale rozmowny? Pod koniec naszego małżeństwa najlepsze, co potrafił z siebie wydusić, brzmiało: „Mam jeszcze jakieś czyste bokserki?”.

- Czyli on opowiadał swoje futbolowe historie, a ona po prostu potrafi słuchać - zinterpretowałam jej informację.

- W ogóle nie zawracali sobie tym głowy - wyjaśniła Desiree. — Od razu przeszli do problemów cięższego kalibru: polityka, środowisko, wyzwania, jakie stawia przed nimi życie.

Roześmiałam się.

- Największym wyzwaniem Dana jest zebrać się rano z łóżka. Drugie miejsce zajmuje decyzja, co zjeść na śniadanie.

- A propos, zjedli je razem. O siódmej trzydzieści. -Ale to już chyba żart. Dan nie śpi o tej godzinie

tylko wtedy, gdy wraca z całonocnej imprezy.

- Z tego, co mówiła Leah, on zaproponował taką godzinę. Wiedział, że o dziewiątej Leah musi być w gabinecie, i chciał to uszanować. Zresztą cały pomysł ze śniadaniem też wyszedł od niego. Powiedział, że nocna rozmowa była tak stymulująca, że chce ją kontynuować.

Oniemiałam. Dan wstaje rano? Rozprawia o pokoju na świecie? Robi cokolwiek innego niż siedzenie na tyłku

i uzalanie się nad sobą? To doprawdy osobliwe!

— To jeszcze nie koniec. Dziś wieczorem znów się spotykają. Ona gotuje.

— No, no. Nie dość tych wszystkich zalet? Gotować też potrafi?

— Mówiłam, że to pierwsza liga. U niej w kuchni trwa remont - montuje podwójny piekarnik - więc przygotowuje kolację u niego.

Na myśl o mojej dawnej kuchni zagryzłam wargę. Miałam białe szafki ze szklanymi frontami i ciemnozielone granitowe blaty oraz lśniące urządzenia z nierdzewnej stali, których nigdy nie używałam, ale i tak bardzo je sobie ceniłam. Kiedyś to wszystko znów będzie moje. Jak tylko przestanę utrzymywać Dana.

— Czy Leah wspomniała, co ją tak zafascynowało w moim mężu? — spytałam. - Pani nie uważała, że będzie do niej pasował.

— Powiedziała, że przypomina jej porzuconego biszkoptowego labradora, o którego nikt się nie troszczy.

— Nie troszczy? Już on tam potrafi o siebie zadbać. Rachunki za pralnię można by pomylić z produktem narodowym brutto jakiegoś małego kraju.

— Chyba chodziło jej o aspekt emocjonalny. Labradory są jej ulubioną rasą, bo rozkwitają, gdy okaże się im choć odrobinę uczucia, i pozostają wierne na całe życie.

— Błagam. Dan staje się wierny, gdy tylko wyczuje, że zapewnisz mu garnitury od Hugo Bossa.

— No dobrze, wiem, że to dopiero początek, ale na razie Leah za nim szaleje, i z wzajemnością, więc cieszymy się.

Desiree miała rację. Wszystko było na dobrej drodze.

Oczywiście pozostawało to nurtujące pytanie: czy Leah zostanie na noc po podaniu własnoręcznie przygotowanej kolacji? Technicznie rzecz ujmując, byłaby to jej trzecia randka, gdyby policzyć poprzednią kolację i dzisiejsze

śniadanie. Więc jeśli wyznaje idiotyczną zasadę Desiree, spokojnie mogłaby się z nim przespać, a ja mogłabym zacząć odliczać czas ich wspólnego pożycia.

Ale nawet jeśli spędzi tę noc u Dana, a potem kolejne osiemdziesiąt dziewięć nocy, jak ja to udokumentuję? Adwokat potrzebuje dowodów złamania postanowień ugody. Musiałam obmyślić jakiś sposób ich zdobycia i złapania byłego w pułapkę. Czy nie popełniałam falstartu, chcąc przyłapać go na tak wczesnym etapie znajomości z Leah? Ostatecznie dopiero co ją poznał i całkiem prawdopodobne, że zanim ich „miłość” wypłacze mnie z kłopotów finansowych, zdąży się trzy razy wypalić. A co, jeśli nie i jednak zamieszkają razem, a ja z powodu nadmiernej ostrożności stracę chociażby jeden dzień? O nie, w życiu.

Pomysł się pojawił, gdy tego chłodnego i wietrznego styczniowego wieczoru przyjechałam do domu. Stałam przed Hotelem Złamanych Serc obładowana zakupami, pocztą, neseserem i torebką i poczułam się jak ostatnia niezdara, bo wszystko zaczęło mi lecieć z rąk, kiedy nagle zmaterializował się przede mną Evan. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to pytanie, czy ten gość musi mnie widzieć zawsze, gdy zachowuję się tak nieporadnie.

— Hej - zagaił. - Wygląda na to, że przydałaby ci się pomoc. — Miał na sobie swoją popękaną skórkową kurtkę i džinsy, a wiatr rozwiewał mu włosy we wszystkich kierunkach. Podobał mi się, taki szczupły i te ciemne oczy, ale najbardziej uderzyło mnie, że był naprawdę miły.

— Nie chcę cię znowu zamęczać — odparłam, schylając się po rzeczy.

— Żaden kłopot - powiedział na to i również się schylił.

Potem oboje sięgnęliśmy równocześnie po moją torebkę i uderzyliśmy się głowami — Au! — i upadliśmy na ulicę, każde trąc obolałe miejsce na czole. Śmialiśmy się jak para dzieciaków.

— Pomagając mi, możesz nieźle oberwać — skomentowałam, gdy już złapałam oddech.

Uśmiechnął się.

— Zaryzykuję.

Ja również się uśmiechnęłam. W drodze do domu myślałam o tych wszystkich rzeczach, które muszę jeszcze załatwić, między innymi o znalezieniu sposobu udokumentowania, że Dan sypia z Leah, ale przez tę krótką chwilę na ulicy z Evanem Gillespiem nie chciałam być nigdzie indziej. Cieszyłam się, że na niego wpadłam, i dobrze się czułam w jego towarzystwie - ta myśl mnie zaskoczyła. Owszem, był uprzejmy, troskliwy i przystojny, ale ledwie go znałam. A to, co on o mnie wiedział, niewiele miało wspólnego z prawdą. Nie pomagałam Danowi z dobrego serca, jak uważał. Wręcz przeciwnie. No i nie miałam najmniejszego zamiaru - najmniejszego - wiązać się z następnym dzidziąsem.

Wciąż ratował mnie z tarapatów (znów powtórzył to o „damie w opresji”). Kiedy pomagał mi zbierać drobiazgi, które powypadały na ziemię, moje myśli jak zwykle powędrowały do Dana. Zastanawiałam się, kto mógłby potwierdzić, że Leah u niego sypia. Kto zgodziłby się dla mnie szpiegować? Kto?

— To chyba wszystko - powiedział Evan, gdy oboje wstaliśmy, a ja trzymałam już pewnie swoje manatki. — Oto z czym musimy się mierzyć, kiedy w budynku nie ma portiera.

— Rzeczywiście, portierzy bardzo się przydają — przyznałam mu rację. - Oprócz świąt, kiedy wypada dać im napiwek.

I wtedy mnie oświeciło. Znalazłam rozwiązanie mojego najnowszego problemu: Ricardo.

— Miałabyś ochotę wpaść na kieliszek wina, kiedy już się rozpakujesz i w ogóle? — zapytał Evan, gdy razem

pokonywaliśmy schody na trzecie piętro. Podtrzymywał mnie za łokieć, był troskliwy i opiekuńczy, a ja to zauważyłam i czułam wdzięczność. - Pewna przemiła sąsiadka przysłała mi ogromny kosz pełen najróżniejszych owoców i serów, więc nie będziemy głodować.

— Och — powiedziałam, przypominając sobie, że poprosiłam Steffi, żeby mu go wysłała. — Kosz. To tylko wyraz mojej wdzięczności za tamten wieczór. - Na jego wspomnienie poczułam, że robię się czerwona jak jedna z tunik Desiree.

— W każdym razie mam ten kosz i chciałbym się nim podzielić — kontynuował Evan. — Może wpadniesz na godzinkę, a ja zrobię sobie przerwę w malowaniu?

— Niestety, nie mogę, chociaż bardzo bym chciała. — I naprawdę chciałam. Z chęcią spędziłabym z nim jeszcze trochę czasu, ale musiałam załatwić kilka spraw.

- Nie możesz czy nie chcesz? - zapytał, gdy stanęliśmy przed moimi drzwiami.

- Nie mogę — odparłam. - Ale cieszę się z zaproszenia. Naprawdę.

— Jakaś randka?

Hm, można tak powiedzieć. Nie miało jednak sensu tłumaczenie, że to randka Dana.

- Chodzi o ten projekt, nad którym pracuję. Zabiera mi cały wolny czas, ale sądzę, że okaże się tego wart.

- Brzmi tajemniczo - mówiąc to, uniósł brwi. - Nie knujesz chyba wrogiego przejęcia, co? Z wami, finansistami, nigdy nie wiadomo.

Ponieważ planowałam właśnie wrogie przejęcie Dana, powiedziałam tylko dobranoc i czym prędzej zniknęłam w swoim mieszkaniu.

Do mojego starego domu przyjechałam kilka minut przed wpół do ósmej wieczorem — Leah na pewno zdążyła

już podać Danowi przystawki, ale ja nie chciałam się załapać na kolację, tylko złapać jeszcze Ricarda na służbie. Jego zmiana trwała od siódmej trzydzieści do dziewiętnastej trzydzieści, po czym obowiązki przejmował nocny zmiennik.

- Dobry wieczór, pani Melanie - pozdrowił mnie Ricardo, kiedy już przy jego pomocy weszłam przez obrotowe drzwi. - Dziś bez Bustera?

- Bez Bustera - potwierdziłam. - Przywiozę go w poniedziałek rano.

-Więc przyszła pani do pana Swaina? - Rozluźnił krawat i pokręcił szyją, jak zwykli czynić mężczyźni, gdy czują się bardzo niezręcznie. - On już ma towarzystwo.

— Wiem o tym. I wcale nie chcę wchodzić na górę — zapewniłam go. Ale jednak czegoś chciałam.

— Więc w czym mogę pani pomóc?

Wzięłam go pod rękę i poprowadziłam kilka kroków od drzwi.

- To ja chcę pomóc panu.

Nigdy nie spoufalałam się z Ricardem, więc nic dziwnego, że go to zaskoczyło.

— Rozmyślałam o tym, jak dobrze wykonuje pan swoją pracę — zaczęłam. — Nie mieszkam już co prawda tutaj, ale trudno nie przyznać, że jest pan prawdziwym zawodowcem. Pamiętam ten dzień, kiedy pierwszy raz pana zobaczyłam. Pomyślałam sobie, kurczę, to dopiero coś. Ten człowiek daje z siebie wszystko, każdego dnia, bez wyjątku.

Ricardo dumnie wypiął pierś.

- Staram się. Czasami ludzie nie potrafią docenić tego, co za nich robię. Podpisuję odbiór przesyłek. Zamykam kosztowności. Posyłam na górę jedzenie z restauracji i cały jestem umazany sosem z kaczki, kiedy torba przecieka.

— Jak można tego nie doceniać? — powiedziałam z odpowiednią dozą oburzenia w głosie.

Wzruszył ramionami.

— No cóż. Ale mogę pani powiedzieć, kto potrafi to docenić: pan Swain. Mówi do mnie zawsze: „Trzymaj, Ricardo” i wręcza mi dwudziestaka. Facet jest w porządku.

Zazgrzytałam zębami, kiedy sobie wyobraziłam, jak Dan odgrywa Lorda Łaskawcę, obdarowując w podobny sposób połowę miasta. Musi mieć niezłą zabawę, rozdając nie swoje pieniądze.

— Dobrze pamiętam, że ma pan piątkę dzieci? Każdy grosz się liczy, prawda?

— Teraz mam już szóstkę — odparł najwyraźniej zadowolony, że raz jeszcze przekazał swoje nasienie. Fakt, że nigdy nie ożenił się z żadną z matek swoich dzieci, nie miał tu żadnego znaczenia.

— Szóstkę? No proszę, to sporo brzuszków do wyżywienia.

— Mnie nie musi pani tego mówić.

— Tym bardziej nadszedł najwyższy czas, żebym zapłaciła panu za te wszystkie dostawy z chińskiej restauracji, które swego czasu posyłał pan do góry dla mnie.

— Nie rozumiem.

Sięgnęłam do portfela, wyciągnęłam pięćset dolarów i włożyłam mu w łapę.

— Proszę kupić dzieciom zabawki. Myślałam, że zemdleje, kiedy zobaczył sumę.

Pięć stów to kupa kasy, ale pomyślałam sobie, że nawet jeśli nie wyjdzie z Leah, Ricardo może się przydać z następną kandydatką Desiree. Najważniejsze, żeby dał się kupić.

— Zasłużył pan na każdego centa.

Spojrzał na mnie inaczej niż dotąd. Z szacunkiem. Dziękował mi i dziękował. Aż w końcu wymówił te magiczne słowa.

— Jeśli jest cokolwiek, co mógłbym dla pani zrobić, proszę od razu mi powiedzieć.

Udałam zdziwienie, jakby myśl o odwzięczeniu się w ogóle nie przyszła mi do głowy.

- W tej chwili niczego nie potrzebuję - powiedziałam, po czym westchnęłam, odczekałam jeszcze chwilę i dodałam: - Chociaż martwię się o pana Swaina.

- Martwi się pani? Dlaczego?

- No cóż, od naszego rozvodu właściwie cały czas ma depresję - wyjaśniłam. - A w zasadzie myśli samobójcze, jeśli chce pan znać prawdę. - Ricardo nie potrzebował znać prawdy, więc po co mu nią zawracać głowę. - Nie mogę spać po nocach, wiedząc, że jest w takim stanie, że może... — Tu poinstruowałam swoją dolną wargę, by zadrżała.

- Może się zabić? — dokończył za mnie Ricardo. Pokiwałam głową, usiłując, niestety bezskutecznie, wycisnąć z oczu kilka łez.

- Jego psychiatra bardzo się niepokoi. Ricardo z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Dałbym się nabrać. Kiedy schodził dziś rano, pogwizdywał pod nosem i szeroko się uśmiechał.

Zamrugłam poprzez nieistniejące łzy.

- Częściowo dzięki lekom, które zażywa. Pozwalają na krótkie okresy lepszego nastroju.

- Na przykład gdy idzie do parku pograć w piłkę? -Właśnie. Ale jego stan jest wciąż poważny. Więc

zatrudniłmy opiekunkę, Leah. Ma z nim zostawać na noc, bo wtedy jest najgorzej, i powstrzymać go, gdyby chciał sobie zrobić krzywdę.

- Mówi pani o tej laseczce, która jest teraz na górze? Laseczka. Więc Desiree nie przesadziła, opisując Leah.

- Tak. Lekarz wierzy, że jeśli Leah zostanie z Danem przez jakieś trzy miesiące, uda mu się uwolnić od swoich demonów i będzie w stanie rozpocząć nowe życie.

- Do cholery. Coś takiego. Kto by pomyślał. Bardzo bym nie chciał, żeby stało mu się coś złego.

Znów zadrgała mi warga.

- Nic złego się nie stanie, jeśli dopilnujemy, żeby Leah zostawała z nim na noc.

- Dlaczego miałyby nie zostawać? Mówiła pani, że to opiekunka, więc dostaje za to pieniądze, tak?

-Tak. Ale nie każdemu można ufać tak jak panu, Ricardo. Niektórzy się nie przykładają.

Spojrzał na zegarek i przewrócił oczami.

- Co fakt, to fakt. Donny, mój zmiennik, miał być tu dziesięć minut temu, kiedy zaczęła się nocna zmiana.

- Muszę mieć pewność, że Leah zjawia się na nocną zmianę i zostaje do rana. I tu mógłby się pan przydać.

Kiwnął głową.

- Chce pani, żebym miał na nią oko?

- Tak. Tak, chciałabym. I panu Swainowi to na pewno wyjdzie na dobre.

- Dla Tramca Dana Swaina wszystko, pani Melanie. Idła pani też. Dobrzy z was ludzie.

Podziękowałam mu i znów sięgnęłam po torebkę, tym razem aby wyciągnąć notesik, który kupiłam po drodze.

- Miałam taki plan, żeby zajrzeć tu co rano i zapytać, czy była Leah, a potem zapisać wszystko w tym notesie. - Trzymałam go przed sobą. - To pomysł lekarza. Najwyraźniej towarzystwo ubezpieczeniowe wymaga dowodów jej obecności. Dużo niepotrzebnej biurokracji, ale chyba trzeba to zrzucić na karb idiotycznego systemu opieki zdrowotnej, jaki mamy w tym kraju.

Wiem, wiem. Aż trudno uwierzyć, że powiedziałam to wszystko z poważną miną, ale tak właśnie było. Przykro mi. Jeśli chce się kogoś kupić, trzeba mu się najpierw dobrze przyjrzeć i potem odpowiednio go podejść.

- Zaraz, mam pomysł. Może ja będę odznaczał daty wizyt tej Leah? - zaoferował się Ricardo. - Jestem tu codziennie rano, to bez sensu, żeby pani przychodziła.

Otworzyłam szeroko usta, żeby okazać zadowolenie z jego propozycji.

- Naprawdę? Zrobiłby to pan?

- Oczywiście. Przecież mówiłem, pan Swain zawsze bardzo dobrze mnie traktował. A teraz pani dała mi te pieniądze na dzieci. Więc choć tak mogę się odwdzięczyć.

Wręczyłam mu notes.

- No dobrze, to mamy umowę: ani słowa panu Swainowi, Leah ani nikomu innemu, rozumie pan? To nasza tajemnica. Nasza i lekarza. Gdyby cokolwiek przedostało się do prasy, kariera pana Swaina byłaby skończona. - Jakby już nie była.

- Nie musi się pani tym martwić. Podziękowałam mu raz jeszcze, a on mnie i oboje

wyraziliśmy nadzieję, że trzy miesiące pod opieką Leah uratują Danowi życie. Nie było sensu wspominać, że tak naprawdę ratowaliśmy moje życie, nie jego.

Kiedy już odchodziłam z uśmiechem zadowolenia na twarzy, Ricardo mnie zawołał.

- Pani Melanie? Odwróciłam się. -Tak?

Podszedł do mnie szybko, aż zadźwięczały monety, które miał w kieszeni.

- Zapomnieliśmy o czymś. Ja nie pracuję przecież w weekendy, więc na ten czas musi pani znaleźć kogoś innego.

Cholera. Cholera, niech to szlag. Ricardo zawsze się wydawał taki wszechobecny, że zupełnie mi umknęło, iż weekendy ma wolne. I co teraz? Potrzebowałam wsparcia!

- Coś wymyślę.

Trzeba będzie wybulić więcej kasy. Pytanie tylko -komu?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Spędziliśmy z Busterem spokojny weekend. On całe godziny rozmyślał o psich przyjemnościach, a więc jedzeniu, wodzie i przytulnych miejscach, w których można się zaszyć, a ja całe godziny rozmyślałam obsesyjnie o Danie, Leah i przytulnym miejscu, w którym, miałam nadzieję, się zaszyli. Desiree pojechała odwiedzić w Chicago matkę i nowego ojczyma (to ona ich ze sobą poznała, jak oznajmiła mi z dumą, dodając, że policzyła matce tylko połowę ceny), więc przez kilka dni niczego się od niej nie dowiem. No i oczywiście Ricarda nie było na posterunku, więc nie mógł szpiegować aż do poniedziałku. Byłam sfrustrowana na myśl, że papużki nierozłączki zaszaleją i w piątek, i w sobotę, a ja nie będę mogła policzyć tych dni. Moją frustrację jeszcze bardziej wzmocniło pewne przypadkowe niedzielne spotkanie.

Postanowiłam wyrwać się z Helis Kitchen, bo odgłosy ulicznego jarmarku nie pozwalały mi się skupić na pracy. Postanowiłam zabrać Bustera w lepsze rejony, tam, gdzie mieszkałam poprzednio. Spacerowaliśmy sobie Piątą Aleją, gdy niespodziewanie wpadłam na Wendy Winger, kogoś w rodzaju znajomej - była żoną Kena Wingera, zawodnika Giantsów, gdy Dan jeszcze z nimi grał.

Wendy jest osobą, która nie tylko podchodzi zbyt blisko, naruszając przestrzeń osobistą rozmówcy, ale również zupełnie nieświadomie pluje, szczególnie wymawiając słowa rozpoczynające się na „p”. Gdy tylko mnie zobaczyła, podeszła i powiedziała:

- Melanie! Popatrz tylko, właśnie o tobie myślałam!

Miałam ogromną ochotę zetrzeć z policzka jej ślinę, ale nie wypadało, prawda?

— Myślałaś o mnie?

Pochyliła się, by pogłaskać Bustera, i nawet on się wzdrygnął, gdy powiedziała:

— Taki piękny, przepiękny pieseczek. Po czym wyprostowała się i dodała:

— Widziałam wczoraj Dana.

— O? Zamawiał kawior z białugi w nieprzyzwoicie drogiej restauracji?

— Nie zauważyłam, co zamawiał, ale zauważyłam, z kim był.

Poczułam, że skacze mi tętno.

— Słyszałam, że się z kimś spotyka - odparłam, starając się, by to zabrzmiało, jakby nigdy nic. - Ale nie wiem, czy to coś poważnego.

— Wyglądało poważnie — stwierdziła Wendy. — Jakby świata poza sobą nie widzieli.

— Ciekawe — powiedziałam spokojnie. Miałam ochotę skakać i wiwatować z radości. Z drugiej strony chciało mi się przeklinać, że musieli to robić w weekend, a ja nie mogłam nic udowodnić. Cóż za marnotrawstwo.

— Przedstawił mnie - ciągnęła Wendy. - Ma na imię Linda czy Lana, jakoś tak.

— No cóż, kimkolwiek jest, mam nadzieję, że potrafi Dana uszczęśliwić.

— O! Jesteś chyba lepsza, niż myślałam, pięknie — powiedziała, znów mnie opluwając, tym razem drugi policzek. — Ja nie życzę Kenowi niczego prócz cierpienia.

— Nie myślisz tak naprawdę - odparłam. Nie życzyłam Danowi cierpienia, nie. Chciałam tylko, żeby przestał traktować mnie jak bankomat.

— Jak pewnie wiesz, Ken zostawił mnie dla pediatry naszych dzieci — mówiła ze łzami w oczach. — Masz poję-

cie, jak to boli, że one czują się bezpieczniej w jej rękach niż w moich?

- Byłabym zdruzgotana, gdyby Buster czuł się lepiej z nią niż ze mną.
- To pozostaje ci mieć nadzieję, że ta Lana nie jest weterynarzem.

Kiwnęłam głową, myśląc jednocześnie o tym zaskakującym zbiegu okoliczności. Poczułam coś - jakby dreszcz niepokoju — ale zaraz o tym zapomniałam.

Przyrzekłyśmy sobie spotkać się z Wendy znowu, ale oczywiście obydwie wiedziałyśmy, że tego nie zrobimy. Znałyśmy się jedynie za sprawą mężów i teraz, kiedy obydwu już przy nas nie było, nie miałyśmy ze sobą nic wspólnego. Ona dostawała od byłego pieniądze. Ja byłego utrzymywałam. Stara szkoła. Nowa szkoła.

Do domu wróciłam zdeterminowana znaleźć kogoś, kto szpiegowałby Dana w weekendy - na wypadek gdyby znajomość rozwijała się z taką zawrotną prędkością jak dotąd. Pomyślałam o Isie Johnson, kobiecie, która przychodziła Danowi sprzątać, a wcześniej i mnie, dopóki miałam mieszkanie warte sprzątania. Pracowała sześć dni w tygodniu, oprócz niedziel, ale sobota to zawsze coś. Zwykle zaczynała koło południa i przez kilka godzin doprowadzała mieszkanie do stanu używalności, robiła pranie i prasowała. Dbała, żeby nie zamienił apartamentu w śmietnik. Tak, pomyślałam. Będzie dobrą wtyczką, choć ma swoje dziwactwa.

Isa, lat czterdzieści parę, z pochodzenia Haitanka, utrzymywała, że jest czarownicą. Gdy nie słyszała, nazywaliśmy ją z Danem naszą gosposią wudu, bo do sprzątania, obok środków czyszczących, używała też zaklęć. „Jeśli chce się cudów, trzeba umieć je wyczarować” — wyjaśniła, kiedy pewnego razu zapytałam ją, dlaczego recytuje z głową w piekarniku. No tak, była trochę dziwna, ale nikt tak jak ona nie umiał usuwać osadu z mydła i kamienia.

Gdy była bardzo młoda, wyszła za męża, ale mąż ją zostawił, a owocem tego związku był jej przerażający syn Reggie. Mówię „przerażający”, bo w wieku szesnastu lat wyrósł już na dwa metry dziesięć. Mieli nadzieję, że zostanie zawodowym koszykarzem, i prosili nawet Dana

o wsparcie, ale Reggie miał mniej więcej taką koordynację ruchową jak ja, więc łowcy talentów powiedzieli mu, że musi jeszcze poczekać. Tymczasem gigantyczny nastolatek przesiadywał pod domem, popalając kokainę i pochłaniając ogromne ilości jedzenia. Innymi słowy, wszystko, co Isa zarobiła, przepuszczał albo przez nos, albo przez żołądek.

Zaraz, mała poprawka: część szła na kościół wudu niedaleko stadionu Yankees, do którego Isa się zapisała. Była bardzo oddana Domowi Niebiańskich Duchów, którego członkowie śpiewali, modlili się i składali w ofierze części zwierzęcych ciał. Isa zawsze prosiła nas z Danem o datki. Ależ będzie szczęśliwa, myślałam sobie, gdy podczas wieczornej niedzielnej wizyty zaskoczę ją bardzo wysoką darowizną.

Nie przepadałam za jeżdżeniem po zmroku w okolicy jej domu, bo wiadomo było, że to przystań złodziei samochodów. Miałam wtedy mercedesa (zaraz, był trzyletni i w leasingu, mojego nowiutkiego musiałam sprzedać, żeby zdobyć kasę na alimenty), i bałam się o radio, głośniki oraz kołpaki, ale jak już mówiłam, byłam zdeterminowana.

Mieszkali w zniszczonym czterokondygnacyjnym budynku z brązowego kamienia. Drzwi ich parterowego mieszkania otworzył Reggie. Nie chciałam dać po sobie poznać, że się go boję, ale trudno, możecie mnie nazwać staroświecką, jest coś takiego w naćpanych ludziach - szczególnie jeśli nie potrafią ustać spokojnie w miejscu

i ni stąd, ni zowąd wywracają na ciebie same białka,

uciekając tęczaówkami pod powieki, i wyglądają, jakby za chwilę mieli zejść - co wyprowadza mnie z równowagi.

- Cześć Reggie. REGGIE! - Pstryknęłam mu palcami przed nosem. Dwa razy. W końcu otworzył oczy. - Jestem Melanie Banks. Twoja mama kiedyś u mnie pracowała, pamiętasz? Dzwoniłam do niej wcześniej i umówiliśmy się, że wpadnę.

Spoglądając na mnie z wysokości swoich ponad dwóch metrów, powiedział:

- Nie lubię cię. Nigdy cię nie lubiłem. Roześmiałam się, uznając, że był po prostu, no wiecie, naćpany.

- Ja też się cieszę, że znów cię widzę. Mogę wejść?

- A włącz.

Zostawił otwarte drzwi i poczłapał szukać matki.

Weszłam więc do mieszkania i czekałam. Zapach dochodzący z kuchni wskazywał, że coś się gotowało. Może sagan głów kurczaków. Isa powiedziała mi kiedyś, że powstająca podczas ich gotowania para powoduje, że ulatniają się złe duchy. Miałam nadzieję, że pomoże mi się rozprawić z moim złym duchem znanym jako były mąż.

Po chwili do małego saloniku wkroczyła uśmiechnięta, pełna wigoru Isa. Miała bardzo ciemną skórę i była prześliczna - źle się stało, że zmarnowała sobie młodość z mężem próżniakiem, ale to nie moja sprawa.

- No proszę, proszę, kogo ja widzę! — powiedziała z haitańskim akcentem, mocno mnie ściskając. - Nauczyła się już pani obsługiwać mikrofalówkę, cherie?

- Na razie umiem podgrzać sobie kawę rozpuszczalną.

- Szkoda. A co u mojego Busterka? Widuję go teraz u pana Dana tylko co drugi tydzień. Ostatnio powiedział mi, że bym wytrzepała dywan w sypialni, bo są w nim duchy.

-Dan?

- Nie, Buster. Nie wiedziała pani, że ze mną rozmawia?

— Nie. — No cóż, ze mną też rozmawiał. Tyle że nie o duchach.
Isa wskazała ręką, żebym usiadła, i sama zrobiła to samo.
— No dobrze, co panią do mnie sprowadza? Chyba coś ważnego?
— Chodzi o Dana.
— O. — Kiwnęła głową. — Jest pani zazdrosna? - O co?
— O tę nową ślicznotkę, które sypia u niego od kilku dni. - Puściła do mnie oko. - Gosposi nic nie umknie.
— Na to właśnie liczę. Bo widzi pani...
— Nic nie musi pani mówić. Rozeszła się pani, bo całe dni przesiadywał na tym swoim żalonym tyłku i nic nie robił, ale teraz nie chce pani, by miała go inna.
— Skądże znowu. Właśnie chcę, żeby miała go jakaś inna. Jakakolwiek inna. W tej chwili wygląda na to, że interesuje go Leah, więc chcę, żeby ona go miała.
— A czemu pani na tym zależy?
— Ponieważ... — Już miałam opowiedzieć jej równie wymyślne kłamstwo, jakim poczęstowałam Ricarda, gdy uświadomiłam sobie, że z nią akurat należy zagrać uczciwie. W końcu była czarownicą, i tak by mnie przejrzała. - Kiedy się rozwiedliśmy, Dan uznał, że mieszkanie mu nie wystarcza. Chciał również dostać alimenty, żeby mi zrobić na złość.
— Raczej nie wydaje się złośliwy. Zawsze dostaję duże napiwki.
Duże napiwki. Nie tylko wyciskał ze mnie ostatni grosz, ale jeszcze psuł mi reputację. Rozdając moje ciężko zarobione pieniądze komu popadnie, robił ze mnie dusi-grosza, którym przecież nie jestem. Wystarczy spojrzeć, ile płacę ludziom za szpiegowanie go. Nie mówię, że jestem aniołem, ale bez przesady.

— Och, Dan daje się lubić, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości - przyznałam jej rację. - Dla mnie jednak fakt, że muszę utrzymywać faceta, który spokojnie mógłby utrzymać się sam, gdyby tylko chciało mu się znaleźć pracę, to niesprawiedliwość. On wciąż bierze i bierze, a ja nie mogę już tego znieść.

— Chce pani, żebym rzuciła na niego zaklęcie, tak żeby oddał pani pieniądze?

— Dzięki, ale nie. - Przysunęłam swoje krzesło bliżej niej. — Chciałabym, żeby mieszkał z tą nową dziewczyną przez dziewięćdziesiąt dni. Jeśli tak się stanie, nie będę już musiała mu płacić.

— Więc mam rzucić zaklęcie na nią?

— Ależ nie. Żadnych zaklęć. — Boże. — Chodzi o prawne zapisy w naszej ugodzie rozwodowej. Dan musi mieszkać z inną kobietą przez co najmniej dziewięćdziesiąt dni, a wtedy koniec z alimentami. Problem w tym, że potrzebuję kogoś, kto pomoże mi udowodnić, że mieszkają razem - a jeśli tak, to jak długo.

Isa gwałtownie pokręciła głową.

— Jestem przeciwko całej tej pornografii. Ukryłam uśmiech, zasłaniając usta dłonią.

— Nie ma mowy o żadnej pornografii. Chodzi o stwierdzenie, czy w rzeczywistości mieszkają razem czy nie. Proszę panią tylko o pomoc w udowodnieniu, że ona u niego mieszka. Nie musi pani oglądać ich pościeli.

-Jeśli chce pani, żebym donosiła, to muszę odmówić.

Odmówić? Absolutnie nie przyjmuję tego do wiadomości.

— Zaraz, zaraz, więc rzucenie zaklęcia na Dana jest w porządku, ale donoszenie nie?

— Zaklęcia to moja natura, cherie. Wszyscy członkowie Domu Niebiańskich Duchów są biegli w sztuce rzu-

cania zaklęć. Robimy to, by zachować równowagę między dobrem i ziemi.

- O właśnie, dobrze, że pani o tym wspomniała. To znaczy o kościele. Jeśli pomoże mi pani mieć na oku Dana i jego dziewczynę, jestem gotowa przeznaczyć pięćset dolarów na rzecz Domu Niebiańskich Duchów.

- Pięćset dolarów? - Isa skoczyła na równe nogi, uniosła ręce i zaczęła wirować po pokoju, aż niemal zasłabła. Sama nie wiedziałam, czy ją ratować czy klaskać. - To wspaniale — powiedziała, kiedy już się trochę uspokoiła. - Od tego powinna pani zacząć. Będę donosić i robić wszystko inne, co tam pani chce.

- Miałam nadzieję, że tak właśnie będzie. Ricardo, portier, mówi, że on załatwi dni od poniedziałku do piątku, ale wciąż zostaje mi sobota i niedziela.

- W niedziele nie pracuję, chérie.

-Wiem, ale kiedy przychodzi pani w poniedziałek po południu, na pewno potrafi pani rozpoznać, czy spała tam czy nie. Niech pani sprawdzi, czy zostały jakieś ubrania, kosmetyki lub inne osobiste drobiazgi. A jeśli akurat będzie Dan, może go pani delikatnie podpytać. Tak zwyczajnie, nie wzbudzając podejrzeń oczywiście.

- A potem mam do pani zadzwonić?

Sięgnęłam do torebki, wyciągnęłam aparat cyfrowy i wręczyłam jej go. Uznałam, że w tym przypadku notes się nie sprawdzi, bo Isa nie była zbyt dobra w zapisywaniu rzeczy - to znaczy tych właściwych rzeczy. Kiedyś poprosiłam ją o listę zakupów potrzebnych do sprzątania, a ona obok domestosa wpisała krabie oczy i ekstrakt z żółwia.

- Niekoniecznie. Wolalabym, że zrobiła pani zdjęcia. Tych ubrań na przykład. Czy kosmetyków. Czegokolwiek, co zostawi w mieszkaniu.

Isa ostrożnie wzięła ode mnie aparat i trzymała go niepewnie.

-To naprawdę łatwe - przekonywałam. - Ustawia pani i pstryka. Tak długo, jak długo Leah zostanie u Dana.

— Ale ja nigdy tego nie miałam w ręku.

— Da sobie pani radę. Skoro umie pani obsługiwać mikrofalówkę, to aparat na pewno nie sprawi pani trudności.

Skierowała aparat na mnie, spojrzała w wizjer i pstryknęła. -Tak?

— Właśnie tak.

Wstałam, dałam jej pięćset dolarów i oznajmiłam, że muszę wracać do miasta.

— Niech pani pamięta, że chodzi nam o udokumentowanie, że ta kobieta sypia u niego przez trzy miesiące - przypomniałam jej. — Możliwe, że ten związek nie przetrwa tak długo i będziemy musiały zacząć od nowa z kolejną wybranką.

— I tu właśnie przydają się zaklęcia - powiedziała Isa, odprowadzając mnie do drzwi. - Chyba nie ma pani nic przeciwko temu, żebym jakies na nich zastosowała?

Uśmiechnęłam się.

— Oczywiście, że nie. Zależy mi tylko, żeby robiła pani zdjęcia, reszta mnie nie interesuje.

Kiedy wychodziłam, czułam się całkiem nieźle. Plan się krystalizował. System zaczynał działać. Ludzie byli na stanowiskach.

Niestety, kiedy dotarłam do mojego mercedesa, odkryłam, że inni ludzie na innych stanowiskach ukradli mi logo z maski i wszystkie cztery koła.

Nie ma co się przejmować, upominałam samą siebie, wybierając 911. To tylko drobna komplikacja.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Opiekunka wyszła jakieś piętnaście minut temu - poinformował mnie Ricardo, kiedy w poniedziałek rano przywiozłam Bustera. Wyciągnął notes i pokazał wpis z datą i godziną wyjścia Leah. Najwyraźniej był dumny ze swojego udziału w procesie leczenia pana Swaina z choroby psychicznej. Powinnam mieć wyrzuty sumienia, ale nie miałam. Aż zakręciło mi się w głowie z radości, że Leah została na noc i że mam teraz Ise, która będzie mogła to potwierdzić. Potrzebowałam tylko kogoś, kto zająłby się nocami z sobót na niedziele.

- Może nie powinienem tego mówić ze względu na powagę sytuacji - kontynuował Ricardo - ale gdybym ja miał opiekunkę z takim wyglądem, depresja zniknęłaby jak ręką odjął.

- A to dlaczego? Jest taka ładna?

- Ładna? - Roześmiał się. - To piękność. W skali od jednego do dziesięciu - dziesięć.

- Może dlatego lekarz przypisał ją panu Swainowi

- powiedziałam zadowolona, że tym razem Desiree nie zrobiła mnie w balona. W końcu płaciłam za nią ekstra.

- Skoro jest taka piękna, to pewnie poprawi mu nastrój.

- O, tak. I w dodatku bardzo miła. Zawsze się do mnie uśmiechnie, jak przechodzi. I nigdy aż tak bardzo się nie spieszy, żeby nie podziękować mi za otwarcie drzwi. Czego nie mogę powiedzieć o większości mieszkańców.

No dobra, więc ja należałam do tej większości. Zawsze się spieszyłam i nie dziękowałam Ricardowi za

otwieranie drzwi, na pewno nie za każdym razem, i wcale nie dlatego, że jestem złym człowiekiem. Po prostu byłam - no tak - zaprzątnięta czymś innym.

- Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze — powiedziałam, robiąc specjalny wysiłek, by się uśmiechnąć przy tych słowach. Potem bardzo uprzejmie poprosiłam Ricarda, żeby mnie zaanonsował, i podziękowałam mu, kiedy to zrobił. Oczywiście chciałam, żeby Leah wypłatała mnie z alimentów, ale nie miałam zamiaru pozwolić, żeby po drodze narobiła mi wstydu.

- Patrzcie tylko, kogo tu mamy - powiedział Dan, który ku mojemu zaskoczeniu czekał na nas przy windzie, zamiast jak zwykle w mieszkaniu. W dodatku nie był w szlafroku. Miał na sobie spodnie i kaszmirowy sweter za trylion dolarów. I dla odmiany był czysty, czułam zapach pasty do zębów, szamponu i wody kolońskiej. Jak widać, Leah osiągnęła w kilka dni to, czego mnie nie udało się dokonać w kilka lat: z samego rana wziął prysznic, ogolił się i ubrał.

Zupełnie nie zwracając na mnie uwagi, ukląkł i klasnął w dłonie.

- Hej, Busty, no chodź, chodź do tatusia.

Kiedy Buster do niego podbiegł, kolejny raz demonstrując psią lojalność i oddanie, ja poczułam w gardle znajomą kluczę. Po prostu nie mogłam znieść, że nie przyznano mi wyłącznej opieki nad Busterem. Chciałam, żeby był ze mną przez cały czas, jak dawniej, a gdyby mój eks tak wszystkiego nie spieprzył, nadal bylibyśmy razem i niczym nie musiałabym się z nim dzielić.

- Cóż to za okazja, Dan? - zapytałam, gdy pies lizał go po twarzy. - Nie jesteś dziś w piżamie.

Spojrzał na mnie i zaprezentował swój zarozumiały uśmiezek.

- Melanie, kotku, niemal zapomniałem, że tu jesteś.

— Myślałeś, że Buster sam przyjechał taksówką?

- Nie, ale jesteś dziś jakaś cicha. Wytrzymałaś w milczeniu całe dwie sekundy, zanim wypaliłaś pierwszą sarkastyczną uwagę.

Już miałam wypalić drugą, gdy pani Thornberg, sąsiadka Dana, wystawiła z mieszkania głowę. Była wdową, miała już ponad osiemdziesiąt lat i źle dobrany kolor włosów (odcień brązowej pasty do butów), które coraz bardziej się przerzedzały, tak że na głowie powstawały łyse placki. Wyobraźcie sobie też wyłupiaste oczy osadzone zbyt blisko siebie i niepewną już rękę, gdy malowała usta. Nieodmiennie występowała w sukience i szpilkach, jakby wybierała się na imprezę, podczas gdy w rzeczywistości rzadko wychodziła z domu. Za to miała zbyt wiele wolnego czasu. Typ wrednej sąsiadki - w każdym domu się taka znajdzie. Do wszystkiego się wtrącają pod pretekstem pilnowania porządku i przestrzegania regulaminu (zakaz wszelkich głośnych dźwięków - od szczekania psów poprzez muzykę i remonty aż do uprawiania seksu), podczas gdy tak naprawdę powinny się zająć własnym życiem. Kiedy jeszcze tu mieszkałam, nawet przy okazji niewielkiej eleganckiej kolacji musiała zastukać w drzwi i wrzeszczeć na cały korytarz: „Ciszej, ciszej, na miłość boską!”.

— Psom nie wolno szwendać się we wspólnych częściach budynku - skrzeczała teraz. - W zeszłym miesiącu zakupiliśmy nowe wykładziny. Zostanie pan ukarany, jeśli gdziekolwiek znajdzie się kupa.

W odpowiedzi Dan stanął na czworakach, zbadał wykładzinę rękami, a potem obwąchał.

- Wszystko w porządku, droga sąsiadko. Chce pani sprawdzić sama?

Uwielbiał się z nią droczyć. Kiedy zwykła była uprzykrzać nam imprezy, zapraszał ją do środka, doskonale wiedząc, że woli się zabarykadować u siebie, niż wejść mię-

dzy ludzi — to był najlepszy sposób, żeby się jej pozbyć. Najzabawniej było, kiedy poprosiliśmy Ise, by na naszych przyjęciach podawała do stołu. Pani Thornberg narzekała na hałasy, a Isa groziła, że rzuci na nią zaklęcie, więc Dan i ja musieliśmy czasem opuścić gości, żeby je uspokoić.

- Nie, nie mam zamiaru czołgać się po podłodze, dziękuję bardzo - odparła. - Chcę tylko, żebyście zabrali psa do mieszkania, gdzie jego miejsce. I niech tam załatwia swoje potrzeby.

Dan wziął Bustera na ręce i wstał.

- Ma pani rację, pani Thornberg. — Odwrócił się do mnie. - Idziesz, kotku? Zapewne lepiej będzie, jak i ty załatwisz swoje potrzeby w mieszkaniu.

Przewróciłam oczami, życzyłam pani Thornberg miłego dnia i weszłam do środka za byłym mężem i naszym psem.

- Jak widzę, nie zmiękła ani na jotę — zauważyłam, kiedy zostaliśmy we trójkę.

- Podobnie jak pewna inna osoba, którą znam — odparł Dan. — O właśnie, a propos, nie spieszysz się do pracy? Na pewno czeka tam ktoś, kogo trzeba zjechać z góry na dół.

- A wiesz, że najpierw skorzystam chyba z łazienki? I załatwię swoje potrzeby.

Weszłam tam jednak nie z powodów fizjologicznych, ale dlatego że miałam nadzieję znaleźć jakiś dowód obecności Leah. No tak, wiedziałam już, że spędziła tutaj noc, chciałam jednak ją poczuć, poczuć kobietę, która trzymała w swoich rękach moją finansową niezależność.

Przejrzałam apteczkę. Żadnych lekarstw z jej nazwiskiem, ale z drugiej strony nikt pewnie nie zostawia xanaxu u faceta, zanim mu nie powie o swoim strachu przed lataniem czy też utratą pracy albo o boleśnie odczuwanym braku matki, a na to było jeszcze zdecydowanie za wcześnie.

Otworzyłam szuflady toaletki. Żadnych kosmetyków, suszarki czy tamponów. Na to chyba też jeszcze za wcześnie.

Zajrzałam pod prysznic. Ani gąbki, ani innych dziewczęcych szpargałów. Ale musiała się chyba odświeżyć po seksie? Czy nie?

Dobra jest, pomyślałam, kiedy się odwróciłam i zauważyłam coś w wannie z jacuzzi. Podeszłam, schyliłam się i podniosłam to. Zabawka do wody. Nie byle jaka zabawka, tylko gumowa syrena z napisem na piersi: Mam pipcię i ogonek! Fuj.

Upuściłam ją z powrotem do wanny. Okazuje się, że Leah jest bardzo zabawową ślicznotką.

Kiedy wyszłam, Dan siedząc na kanapie, cesał Bu-stera i nucił coś pod nosem.

- O rany, Dan, wyglądasz dziś na szczęśliwego człowieka.

- Jeszcze nigdy się tak dobrze nie czułem — odparł, uśmiechając się szeroko. Miałam wrażenie, że od tego uśmiechu pękną mu policzki.

- Nowa dziewczyna? — powiedziałam lekko. Uniósł brwi.

- Skąd to pytanie?

- Daj spokój, promieniejesz jak panna młoda. — Chciałam mu w ten sposób dokuczyć. Dan to typ macho, więc nawet najmniejsza wzmianka, że może mieć jakieś cechy kobiece, źle na niego działała, ale kiedy lepiej mu się przyjrzałam, zrozumiałam, że to prawda, Rzeczywiście promieniał. Oczy mu błyszczały. Policzki były zaróżowione, ale nie ordynarnie czerwone, jak po wypitce. I tryskał energią, podczas gdy zwykle był zwyczajnie znudzony. Zachowywał się jak mężczyzna, który jest, no właśnie, szczęśliwy.

- Żadnych ślubów ani wesel, już ci mówiłem — powiedział, a potem pokręcił głową. — Wciąż uważasz mnie

za pacana z Minco, ale nawet ja wiem, że jeśli się ponownie ożenię, stracę alimenty.

Westchnęłam ciężko i przybrałam zrezygnowaną minę.

- No cóż, do ołtarza cię nie zaciągnę. Ale masz dziewczynę, przyznaj się.

I znów pojawił się ten idiotyczny szeroki uśmiech.

- Tak, widuję się z kimś.

- Ta stewardesa z San Juan? - zapytałam niewinnie.

- Nie, jest wetem.

- Weteranem? Z Iraku czy Afganistanu?

- Nie weteranem tylko weterynarzem. Ma praktykę przy Osiemdziesiątej Ósmej i Madison.

- O! Twoja własna doktor Doolittle - zauważyłam. - Jeśli będzie dziś tutaj, może zbadać Bustera za darmo.

- Będzie, będzie - powiedział Dan, jak nic fantazjując o gumowej syrence. - Zjemy u mnie kolację. Ona gotuje — coś, o czym ty nie masz pojęcia.

Zapewne znów powinnam mieć wyrzuty sumienia z powodu mojej nieporadności w kuchni, ale kto powiedział, że kobiety muszą być wyśmienitymi kucharkami?

- To miłe — skomentowałam, dodając kolejną noc. Razem będzie już pięć. — Ale przecież ty nie jesteś typem, który lubi jadać w domu. Planujesz ją zabrać na striptiz dopiero potem?

- Moje plany to nie twój interes.

- W porządku. Tylko jedno pytanie. Nie przeszkadza jej, że jesteś bezrobotny?

- Leah nie ocenia ludzi — powiedział, dając do zrozumienia, że ja tak.

- O, więc ma na imię Leah? Śliczne imię.

- Śliczne imię dla ślicznej kobiety. I z wyglądu, i z charakteru. - Tak też twierdziła Desiree. Oraz Ricardo. Nie mogłam się doczekać, kiedy sama to ocenię. - I nie

spotyka się ze mną dlatego, że kiedyś byłem sławny, ani dlatego, że może kiedyś znów będę, i nie odrzuca mnie, bo akurat jestem między jedną pracą a drugą. Między jedną a drugą. No tak.

— No dobra, jednak zapytam. Więc dlaczego się z tobą spotyka?

- Bo mnie lubi — powiedział, wstając z kanapy. -I wiesz, co ci powiem? Naprawdę bardzo mi z tym dobrze.

Kiedy wychodził z pokoju, ja o dziwo milczałam. Nie umiałam wymyślić riposty. Z jakiegoś powodu absolutnie się nie spodziewałam, że Leah okaże się aż tak pełna akceptacji. Miałam oczywiście nadzieję, że się w nim zakocha, ale właściwie czemu się w nim zakochała? Czy należała do kobiet, które lubią się opiekować nieszczęśliwymi facetami? A może z jej strony to wyłącznie fizyczna fascynacja? Albo zobaczyła w nim coś, co ja przeoczyłam? Nie potrafiłam zrozumieć łączącej ich relacji i to mi się nie podobało. Więc starałam się uspokoić, siadając przy moim słodkim psiaku i całując go na do widzenia.

— Dziękuję za ciebie Bogu, mój Busterku — powiedziałam, drapiąc go za uszami. - Niezależnie od tego, co się wydarzy, ty zawsze będziesz mój, prawda?

Spojrzał na mnie tymi swoimi wielkimi błyszczącymi oczami, jakby dobrze czuł, że trudno mi się z nim rozstać, a potem włożył głowę pod moją rękę. Zostaliśmy tak jeszcze przez chwilę, aż w końcu musiałam już iść.

Kierowałam się do windy, gdy pani Thornberg znów wystawiła głowę zza drzwi.

- Psst! Co to za dziewczyna? — powiedziała, machając do mnie. — Widziałam, że ją tu sprowadza.

Nie twoja sprawa, chciałam odpowiedzieć, cytując Dana. Ale wtedy — zaraz — coś przyszło mi do głowy. Ciągle nie miałam nikogo, kto potwierdziłby, że Leah zostaje

u Dana z soboty na niedzielę, a któż mógłby być lepszy niż najbardziej wścibska osoba w całym domu? W dodatku bogata. Po mężu - branża odzieżowa, jego firma szyła biustonosze - odziedziczyła fortunę, więc nawet nie będę musiała jej płacić. Był jeszcze jeden plus - w sobotę wieczorem zawsze siedziała w domu.

- Może zaprosi mnie pani na chwilę? Wszystko pani opowiem.

Energicznie kiwnęła głową - odniosłam wrażenie, że byłam pierwszą osobą od lat, która nie posłała jej do diabła.

- Proszę, proszę - mówiła, wprowadzając mnie do mieszkania, w którym śmierdziało kulkami na mole. I wszystkie meble okrywała folia. Nie wiedziałam, że ludzie jeszcze tak robią. - Masz, dziecko, ochotę na piwo imbirowe?

- Nie, dziękuję.

- Dlaczego? Prowadzisz? - trajkotała.

- Nie, ale idę do pracy, więc nie mam zbyt wiele czasu.

- Och, wy, pracujące dziewczyny. - Pociągnęła nosem. - Za moich czasów siedziałyśmy w domu i przygotowywałyśmy mężom śniadanie. - Widzicie? Skoro jesteś kobietą, każdy oczekuje, że będziesz gotować! - Nie biegałyśmy do pracy. Nie „zaspokajaliśmy własnych potrzeb”, jak to się teraz nazywa. I na pewno się nie rozwodziłyśmy z byle powodu.

Kiwałam grzecznie głową, potem usiadłam na krześle. Kiedy pośladki dotknęły folii, rozległ się dźwięk, jakbym puściła bąka.

- Uważam, że byłoby znacznie mniej rozwodów, gdybyście wy, dziewczyny, więcej uwagi...

- Proszę pani - przerwałam jej. Naprawdę musiałam iść do pracy. Już i tak byłam spóźniona. - Pytała mnie pani o nową dziewczynę Dana.

— Owszem. Ślicznotka, trzeba jej to przyznać. A więc werdykt był jednogłośny.

- Widziała pani Leah?

— Leah? A cóż to za imię? W moich czasach nosiłyśmy pierwsze imiona takie jak Jane, Mary czy Betty. — Fakt, że sama się nazywa Antoinette, jakoś nie dawał jej do myślenia. Przezywaliśmy ją z Danem Wredna Tośka.

Spróbowałam jeszcze raz.

— Więc widziała ją pani?

- A miałam jakiś wybór? Tak głośno puszczali muzykę, że nie słyszałam Larryego Kinga. Zapukałam do drzwi, żeby im przypomnieć, że obowiązują tu pewne zasady: żadnych hałasów po dziewiątej wieczorem. Powiedział, że tańczyli i stracił rachubę czasu.

Tańczyli? A więc teraz z Dana zrobił się Fred Astaire?

W pierwszych latach naszego małżeństwa dość często ze mną tańczył, a ja to uwielbiałam. Ale kiedy zaczęliśmy się od siebie oddalać, tańce się skończyły. Zauważyłyście? To jedna z pierwszych oznak, że coś się zaczyna w związku psuć — ludzie już się nie obejmują, by płynąć razem w takt muzyki.

- Ale to nie wszystko - ciągnęła pani Thornberg, wrywając mnie z rozmyślań. - Robili też inne rzeczy. Po mojej interwencji wróciłam do domu i oglądałam dalej program. I wiesz, hałas zrobił się jeszcze większy.

— Taniec?

- Nie. Seks. Moja sypialnia przylega do ich sypialni, pamiętasz?

Owszem, pamiętałam. Zawsze narzekała, gdy włożyliśmy w to trochę więcej energii.

— Nie jestem pruderyjna, zauważ — kontynuowała — ale w regulaminie jasno stoi: żaden z mieszkańców nie będzie naruszał spokoju innych. Więc zakomunikowałam mu swoje niezadowolenie.

- Na pewno byli wniebowzięci.

- To już nie mój problem. Jeśli będę musiała ich pilnować każdej jednej nocy, to będę.

Pilnować. No proszę. Sama lepiej bym tego nie ujęła. Pani Thornberg właśnie zajęła swoje stanowisko.

- Tak, zdecydowanie powinniśmy uważnie obserwować, co się tam dzieje — przytaknęłam — szczególnie w sobotę wieczorem, kiedy zaczną robić imprezy. — Pochyliłam się do niej i dodałam szeptem: - Dowiedziałam się, że rodzice Leah byli dla niej bardzo surowi, więc teraz ona rekompensuje to sobie, szalejąc na randkach. To straszne, jak dysfunkcyjna rodzina w dzieciństwie może wpłynąć na dalsze życie człowieka.

Pani Thornberg złapała mnie za ramię.

- Czy ona jest ćpunką?

- Wątpię, chociaż ma dostęp do leków. Jest weterynarzem.

Jej nozdrza się rozszerzyły.

- No, lepiej, żeby nie przyprowadzała tu swoich pacjentów. Przepisy regulują i tę kwestię. Jedno zwierzę na mieszkańca.

- Dlatego to bardzo ważne, żeby miała pani na nią oko. Na nią i Dana. Pani jest tutaj stróżem porządku. Wszyscy oczekują, że dopilnuje pani, by panowały ustalone zasady i dobre obyczaje. Musi pani obserwować każdy ich ruch, bo jeśli nie pani, to kto?

Im dłużej mówiłam, tym jaśniej uświadamiałam sobie, jaką idealną kandydatką do tego zadania jest pani Thornberg — ciągle siedzi w domu, we wszystko się wtrąca i nie potrzebuje mojej kasy.

- A ciebie czemu tak bardzo obchodzi, co oni robią? -zapytała nieco podejrzliwie. - Przecież już tu nie mieszkasz.

- Ze względu na Bustera, oczywiście — odparłam, jakby to faktycznie było oczywiste. — Nie życzę sobie, żeby ktoś narażał go na hałasy i inne nieobyczajne zachowania.

Ta wspólna opieka i tak dużo go kosztuje. Nie potrzebuje dodatkowego stresu.

- Mówiłaś, że Leah jest weterynarzem. Nie zrobi mu krzywdy.

- Normalnie nie, ale wiadomo, co się może stać podczas jednej z jej sobotnich orgii?

Antoinette opadła szczęką.

- Orgii?

Wzruszyłam ramionami.

- Z tego, co słyszałam, wszystko jest możliwe.

- O, nie! Koniec. Już ja ich dopilnuję! - przyrzekła. Uśmiechnęłam się.

- Co za ulga. I proszę do mnie dzwonić, gdyby miała pani jakieś problemy - z tymi słowami podałam jej wizytówkę.

Przyjrzała się jej uważnie.

- Wiceprezes, co? Nic dziwnego, że się rozwiodłaś.

- Nie ro...

- Za moich czasów, żeby kobiecie udało się w biznesie, musiała nienawidzić mężczyzn.

- To śmieszne - odparłam. - Kobiety mogą odnosić sukcesy zawodowe tak samo jak mężczyźni, a nawet większe, i jednocześnie mieć szczęśliwe małżeństwo.

- Naprawdę? To co się stało z twoim?

- Mój rozwód miał więcej wspólnego z tym, że Da-nowi się nie udało, niż z tym, że mnie się udało.

- Taka jesteś pewna? Spojrzałam na zegarek.

- Naprawdę muszę lecieć. - Wstałam z krzesła, odkleiłam folię, która przylepiła mi się do nóg, i uścisnęłam jej kruchą wiotką dłoń. Wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy ta dłoń zacisnęła się na mojej jak imadło. - Cieszę się z naszej rozmowy - dodałam, wyzwalając się z tego uścisku. - Będę dużo spokojniejsza o Bustera.

Tego dnia wieczorem, koło ósmej, kiedy wróciłam do Hotelu Złamanych Serc i przy papierkowej robocie jadłam właśnie miskę płatków, zadzwoniła moja komórka. Okazało się, że to pani Thornberg. Była w szpitalu Lenox Hill. Skręciła sobie lewą rękę, gdy pośliznęła się na mokrej podłodze w holu budynku (gdy umyli podłogę, nie wytarli jej porządnie do sucha, i miała zamiar się tym zająć). Lekarz ją wypisał, ale nie miał jej kto odebrać.

- Nie ma pani dzieci? - zapytałam.

- Nie - odparła. - Mój mąż był bezpłodny. Jego jądra nie funkcjonowały tak, jak powinny.

Informacja zupełnie zbyteczna.

- A znajomi?

- Wszyscy już nie żyją. Kiedy zobaczyłam na wizytówce twój numer, od razu pomyślałam o tobie.

No cóż, oczywiście przejechałam całe miasto wzdłuż i wszerz i odebrałam ją z tego szpitala. Nie mogłam chorej osobie w jej wieku powiedzieć, żeby zamówiła sobie taksówkę.

Przywiozłam ją do domu, rozebrałam i położyłam do łóżka, a potem skoczyłam do apteki, zrobiłam zakupy w supermarkecie, kupiłam wędliny i rosół z kurczaka w jej ulubionych delikatesach oraz wypożyczyłam kilka filmów. Lekarz mówił co prawda, że rano będzie w stanie normalnie funkcjonować, ale w sumie byłam zadowolona, że jej pomogłam.

- Coś jeszcze? - zapytałam, gdy wróciłam z łupem, który razem z resztą wyniósł pięćset dolarów (lekarstwa są drogie, ale supermarket rozbił bank, bo chciała z wszystkiego po jednej sztuce).

- Nie, to wszystko - odparła słabym głosem. - Przynajmniej na razie.

Powieki wyraźnie jej ciążyły, pomyślałam więc, że podam jej rachunki i książeczkę czekową, żeby mogła oddać dług, i wyniosę się stąd.

— Proszę, pani Antoinette — powiedziałam, wręczając jej paragony. - Razem, nie licząc taksówki, którą z przyjemnością pani zafunduję, mamy pięćset siedemdziesiąt dwa. Niech będzie pięćset, dla równego rachunku.

Cisza.

— Pani Antoinette? Wtedy zaczęła chrapać.

Zostawiłam paragony na nocnej szafce, wyszłam na palcach i pojechałam do domu, opierając się pokusie, by wtargnąć do Dana, przyjrzeć się wreszcie Leah i spędzić kilka minut z kochanym Busterkiem. Byłam zbyt zmęczona.

Nie, nie umknęło mojej uwadze, że i Ricardo, i Isa dostali ode mnie po pięćset dolarów za szpiegowanie Dana, a teraz jeszcze taką samą sumę zapłaciłam Antoinette. Chcąc stać się bogatszą, na razie stawałam się biedniejsza, co wzbudziło mój lekki niepokój i wcale nie wyglądało na rozsądny biznesplan. Ale cieszył mnie fakt, że Leah spędza nocę u Dana i że moi wspólnicy są gotowi to poświadczyć. Tak, projekt posuwał się naprzód szybciej, niż się spodziewałam.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

— Cud nad cudami. Jesteś dziś punktualnie — powitałam Dana w poniedziałek, otwierając mu drzwi. Przywiózł Bustera po spędzonym z nim tygodniu. I co to był za tydzień. Moi szpiedzy donieśli, że Leah i Dan nie rozstali się nawet na jedną noc. Najlepsza była wiadomość Isy, że Leah przeniosła część swoich ubrań do mieszkania Dana i że wszystko zostało utrwalone na zdjęciach. No i jeszcze raport Desiree, po którym aż skakałam z radości. Leah powiedziała jej, że nigdy nie czuła się tak szczęśliwa i choć wie, że decyzja jest może nieco pochopna, ma przecucie, że zamieszkanie z Da-nem to krok we właściwym kierunku. W najśmielszych snach nie przyszłoby mi do głowy, że wszystko pójdzie tak gładko, i musiałam pochylić głowę przed Desiree. Oczywiście gdy tylko to zrobiłam, ona zażądała reszty honorarium. Więc przypomniałam jej, że umowa dobiega końca dopiero za siedemdziesiąt kilka dni. Ale przepełniał nas optymizm, że dzięki tej umowie każda wyjdzie na swoje.

— Wiem, że spieszysz się do pracy, więc jestem - powiedział Dan, spuszczając Bustera ze smyczy.

— Jakoś nigdy wcześniej nie zaprzętałaś sobie głowy moimi potrzebami — odparłam bezceremonialnie.

— Naprawdę? Czy tylko mi dokuczasz, bo po prostu lubisz działać mi na nerwy? - zapytał.

— Co naprawdę? — zapytałam z kolei ja, przykucając, by przywitać się z Busterem.

— Czy rzeczywiście nigdy nie interesowałem się twoimi potrzebami?
Spojrzałam na niego. Więc pytał serio? Dziwne. I dziwnie się ubrał, stwierdziłam, kiedy bliżej mu się przyjrzałam. Żadnych ekstrawaganckich ciuchów, tylko dżinsy i stara bluza Giantsów.

— Może przesadziłam trochę z tym „nigdy”, bo dawniej stawiałaś na głowie, żeby mi dogodzić — przyznałam - ale spójrzmy prawdzie w oczy: zazwyczaj jedyną osobą, której potrzeby cię obchodzą, jesteś ty sam. Jak często przez ostatni rok mówiłam ci, że muszę być w pracy o konkretnej godzinie, a ty mimo wszystko przywoziłeś Bustera, kiedy ci pasowało?

Zastanowił się chwilę i odparł:

— Zbyt często. Przepraszam cię.

Spojrzał na mnie swoimi pięknymi niebieskimi oczami, a ja czekałam na zarozumiałą uśmieszek, na ciętą puentę, ostre zakończenie. Które nie nastąpiło. Dan stał po prostu. Milczał. Nawet jakby skruszony. Czy to możliwe, że przeproszał szczerze? Nie. Może i na samym początku dałam się złapać na tę szczerłość, ale ostatnio szczerzy był jedynie w tym, że nie chciał dorosnąć.

— Tak naprawdę - mówił dalej - podziwiam to, jak ciężko pracujesz. Gdybym miał twoją samodyscyplinę i tak samo jasno określony cel, inaczej bym dziś wyglądał.

Teraz nic już z tego nie rozumiałam. Przez drugą połowę naszego małżeństwa ten wałkoń, próżniak i rozrzutnik wyśmiewał mnie, że jestem pracoholiczką. Raz nazwał mnie nawet „maniaczką”. A teraz nagle chciałby być do mnie podobny?

— Czyli jak? — kontynuowałam rozmowę. Proszę bardzo, niech mi to wytłumaczy.

— Czyli tak, że byłbym w coś zaangażowany — powiedział. Zaczął chodzić po moim pożałuj Boże salonie,

głęboko zamyślony, co bardzo mnie rozbawiło. Żeby się głęboko zamyślać, trzeba najpierw tę głębię w sobie mieć. — Powoli do mnie dociera, że od jakiegoś czasu jestem jakby trochę wyautowany.

— Trochę? — zakpiłam.

— No dobra. Całkiem. Chcę chyba powiedzieć, że masz pracę, która cię pasjonuje, a ja zazdroszczę ludziom, których pasjonuje to, co robią. Moją pasją jest futbol, ale niezbyt dobrze na tym wychodzę. Przynajmniej ostatnio.

Już miałam zacząć wykład o tym, ile jest zawodów związanych z futbolem, gdyby tylko zechciał się rozejrzeć i zapukać do kilkorga drzwi, ale po co się frustrować? Prowadziliśmy tę rozmowę tysiąc razy - ja przekonywałam, żeby zajął się trenowaniem jakiejś drużyny studenckiej, a on uparcie twierdził, że byli zawodowcy, którzy przerzucają się na trenowanie, to nieudacznicy — więc jaki w tym sens? Ale zaintrygowało mnie, jak w ogóle wypłynął ten temat. Nasze poniedziałkowe rozmowy w najlepszym razie sprowadzały się do Bustera i wzajemnych złościwości.

— Skąd ci się wzięło to poszukiwanie siebie? — zapytałam, patrząc, jak nadal chodzi zamyślony, po czym zatrzymuje się, by utkwic wzrok w suficie.

— To przez Leah — odparł z westchnieniem godnym zakochanego po uszy nastolatka. Uniesione ramiona, nieobecne spojrzenie i tak dalej. - Rozmawiamy o takich rzeczach.

— Przez Leah? Tę kobietę, z którą się spotykasz? — pytałam, starając się zachować śmiertelnie poważną twarz.

Kiwnął głową.

— Ją też pasjonuje praca. Jest weterynarzem.

— A, rzeczywiście. Teraz sobie przypominam.

— Poszła na weterynarię, bo zawsze kochała zwierzęta, a nie dla spodziewanych zysków. I zachęca mnie, żebym zrobił to samo.

— Żebyś poszedł na weterynarię?

Wiem, wiem, już dobra. Znowu zaczęłam się wymądrzać, ale musicie pamiętać - ten facet mnie okradał.

— Nie, żebym zajął się tym, co kocham. Leah wierzy, że znajdę sposób, by zrobić coś dobrego dla społeczeństwa, jeśli tylko będę robił to, co lubię.

- Chcesz powiedzieć, że przesiadywanie z Erniem nie jest w jej opinii wkładem na rzecz społeczeństwa?

Tym razem nie mógł powstrzymać tego swojego uśmiechu.

— W porządku, już się zamykam. Ale pewnie ucieszy cię wiadomość, że Leah myśli o Erniem podobnie jak ty. Ponieważ teraz częściej widuje się z nią, coraz rzadziej spotykam się z Erniem.

- Powinniśmy posłuchać Leah! Chyba nieźle umie ocenić charakter. No, może oprócz twojego.

Roześmiał się.

- Nie, z tobą się jednak nie da sensownie porozmawiać. Oddam przysługę nam obojgu i pozwolę ci iść już do pracy.

Pocałował Busterka i wyszedł. A ja zaczęłam chichotać. No bo same powiedzcie, czy nie byłoby śmiesznie, gdyby Leah nie tylko zamieszkała z nim na dziewięćdziesiąt dni i uwolniła mnie od alimentów, ale w dodatku zmieniła Dana w przyzwoitego człowieka, który zacząłby produktywnie żyć? Cóż za ironia, nieprawdaż? Tak wtedy pomyślałam, przysięgam na Boga.

Tego wieczoru przy zsypie na śmieci wpadłam na Evana. Jak zwykle nieco niechlujny, miał na sobie golf i džinsy, a ciemne włosy w nieładzie. Mimo szczupłej sylwetki był bardzo dobrze umięśniony. Na mój widok się uśmiechnął i wokół oczu natychmiast pojawiły się kurze łapki, a ja pomyślałam, że w jego przyjaznej i szczerej twarzy jest

coś niezmiernie pociągającego. Zdałam sobie sprawę, że stał się dla mnie kimś więcej niż zwykłym sąsiadem. Bo ze spotkania ze zwykłym sąsiadem na pewno tak bardzo bym się nie cieszyła.

Na szczęście tym razem ubrana byłam jak należy, nie zatrzasnęłam drzwi mieszkania i nie potrzebowałam pomocy z zakupami. Innymi słowy, przypadek damy w opresji nie zachodził. Owszem, przyznaję, podobało mi się, kiedy przychodził mi na ratunek, ale nie chciałam robić wrażenia, że sama nic nie umiem załatwić, bo tego mężczyźni chyba najbardziej w kobietach nie lubią.

No więc nie robiłam takiego wrażenia aż do chwili, gdy wielki wór ze śmieciami, który zaciągnęłam aż tutaj, rozerwał się i wszystko zaczęło się z niego wysypywać.

— O, nie. Znowu! — zawołałam, załamując ręce. — Teraz już masz pewność, że jestem jedną z tych samotnych rozwódek, które chcą zwrócić na siebie uwagę.

— Nie ma nic złego w samotności — odparł rzeczowym tonem. - I wcale nie musisz zwracać na siebie mojej uwagi, Melanie. Już ją masz.

Spojrzałam mu w oczy. Źrenice miał tak wielkie, że zupełnie zasłaniały tęczę, w wyniku czego wręcz hipnotyzowały i nie można było oderwać od nich wzroku.

Ale udało mi się, odchrząknęłam i skupiłam się na bieżącym problemie.

— Lepiej powkładam to wszystko z powrotem.

— Nie, ja to zrobię, pozwól — zaproponował i oboje kucnęliśmy.

Tym razem nie stuknęliśmy się głowami, ale było trochę niezręcznie, bo gorączkowo próbowałam wcisnąć do śmierdzącego worka moje zużyte chusteczki higieniczne, opakowania po batonikach i reklamówki kremów przeciwzmarszczkowych oraz inne wstydlive osobiste drobiazgi.

— Widzę, że sporo tu tego — zauważył Evan, wrzucając do worka kolejną chusteczkę. — Dużo ostatnio płaczesz?

— Ja nigdy nie płaczę - powiedziałam dobitnie, wiążąc worek i spuszczać go w głąb szybu. - Wycieram nimi mordkę Busterowi.

— Słuchaj, przecież powiedziałem, że samotność to nie grzech.

— Nie, naprawdę. Używam ich do wycierania Bustera. Mopsom trzeba czyścić fałdki na pyszczku, bo inaczej mogą złapać infekcję.

— Uwielbiam mopsy — stwierdził, kiedy już zrozumiał, że rzeczywiście zużywam chusteczki do tego celu. — Może przedstawiś mnie swojemu?

— Jasne. Dzielimy z Danem opiekę nad nim, ale teraz przypada akurat mój tydzień. Masz szczęście.

— Wygląda na to, że rozwiedliście się z wielkim Danem Swainem po przyjacielsku. Alimony. Wspólna opieka. Tak spokojnie do tego podchodzisz.

Tak, spokojnie. Zgadza się. Spokojna klientka spiskująca, żeby pozbawić byłego męża tego, co mu się prawnie należy. Ale tego Evan nie musiał wiedzieć.

Poszliśmy do mnie. Kiedy otworzyłam drzwi, Buster już za nimi czekał. Jak tylko zobaczył, że mamy gościa, od razu rozpoczął swój cyrkowy pokaz: wskoczył na kanapę, stamtąd na krzesło i zeskoczył z powrotem na podłogę. Gdyby umiał, na koniec z pewnością by dygnął. Całe przedstawienie.

— Busterku, to jest Evan. Evan jest malarzem, może nawet kiedyś cię namaluje.

Evan przykląkł i pogłaskał Bustera po grzbiecie.

— Hej, mały. Mieszkam na końcu korytarza. Miło mi cię poznać.

Buster prychnął.

— Nie bierz tego do siebie - uspokoiłam Evana. -Robi tak nawet ludziom, których lubi.

Evan się uśmiechnął.

- Więc myślisz, że mnie lubi?

- Chyba za wcześnie, żeby to stwierdzić.

- Hm, będę musiał się jakoś wkraść w jego łaski. Może zabierzemy go na spacer?

- Teraz? — Spojrzałam na zegarek. Było wpół do dziewiątej. Dan i Leah kończyli pewnie kolację i postanowili wcześniej wskoczyć do łóżka, a ja mogłam zaliczyć ich kolejną wspólną noc.

- Melanie? Chyba gdzieś mi uciekłaś. Tak.

- Nie, nie. Ale wiesz, mam trochę roboty, a ty pewnie swoje malowanie...

- Daj spokój. To będzie krótki spacer, po najbliższej okolicy.

- Też mi okolica. — Przewróciłam oczami. — Cudowne Hell's Kitchen.

- No tak - powiedział, kierując się do drzwi. - Patty mi mówiła, że mieszkałaś na East Side. Ale zapewniam cię, że ta okolica jest cudowna, jeśli tylko wiesz, gdzie patrzeć. Więc bierz kurtkę i chodźmy.

To był kolejny wietrzny styczniowy wieczór. Nie przejmująco zimny, ale jednak chłodny. Na tyle chłodny, że przy mówieniu z ust wydobywały się białe obłoczki. Opatuliłam się długą puchową kurtką i włożyłam wełnianą czapkę - nic specjalnego, ale Evanowi chyba nie przeszkadzało.

- Lubisz jeść? - zapytał, kiedy z Busterem na smyczy szliśmy Dziewiątą Aleją.

Wydełam policzki, żeby mu pokazać, jaki ze mnie łakomczuch.

- Ostatnimi czasy uwielbiam.

- Więc jak możesz przedkładać East Side nad Hell's Kitchen? — mówił, wskazując na widoczne wszędzie re-

stauracje. — Nigdzie w Nowym Jorku nie znajdziesz lepszego jedzenia.

— Nieprawda - zaprotestowałam. - Na Upper East Side są najsłynniejsze knajpy świata.

— Najsłynniejsze, być może. Ale jest tam Hallo Berlin? — wskazał na maleńką, niczym nie wyróżniającą się restauracyjkę. — Najprawdziwsza niemiecka kuchnia. Mają tyle rodzajów kielbasy, ile nawet ci się nie śniło.

Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. Uśmiechał się i ten uśmiech okazał się zaraźliwy.

— Hallo Berlin, co? — roześmiałam się.

— Jeden z wielu okolicznych skarbów.

Poszliśmy dalej. Mimo całego mojego cynizmu unoszące się w powietrzu aromaty bardzo zaostrzyły mi apetyt, choć w zasadzie ostatnio w ogóle nie potrzebowałam ostrzeżenia.

— O, albo tutaj — Evan wskazywał głową przybytek o nazwie Fatina. — Kuchnia bliskowschodnia, muzyka na żywo i — spodoba ci się — taniec brzucha.

Znów się roześmiałam.

— No tak, to koniecznie trzeba zobaczyć.

— A może wolisz Grigo, kuchnia grecka, tańczą flamenco i podają sałatki z produktów organicznych. A w L'Allegrii, o tu, na lewo, kelnerzy nie potrafią powiedzieć nawet słowa po angielsku. Jak masz urodziny, śpiewają „Sto lat” po włosku i czujesz się wtedy jak w operze.

Tym razem uśmiechnęłam się do niego przebiegle.

— Coś mi mówi, że jeszcze w wydawnictwie miałeś do czynienia z przewodnikiem po restauracjach i dlatego tyle wiesz.

— Wcale nie. Po prostu lubię poznawać nowe miejsca. Nowe zapachy. Nowych ludzi.

Kiedy na mnie spojrział, zaczerwieniłam się. Evan zawsze mówił to, co myśli, a dla mnie było to raczej nowe, miało powiew świeżości.

- A propos — ciągnął tymczasem Evan - kim ty jesteś naprawdę, Melanie Banks?

- O co ci chodzi?

- Kiedy wspomniałem o twojej pomocy mężowi, wspólnej opiece nad psem, cała się wzdrygnęłaś. Pozwoliłaś mi się rozwodzić nad tym, jakie to wspaniałe, ale obrazek nie jest aż tak różowy, prawda? Źle zinterpretowałem sytuację, a ty z jakiegoś powodu nie chciałaś mnie wyprowadzać z błędu.

Albo on był bardzo spostrzegawczy, albo ze mnie marna aktorka.

- Rzeczywiście sytuacja wygląda nieco inaczej - przyznałam. Nie potrafiłam mu skłamać. Czulałam, że sam nie ucieka od prawdy i nie boi się jej, więc ja byłam na ryle szczerą, na ile pozwalało mi moje skomplikowane życie osobiste. - Nie mogę po prostu znieść, że muszę się z nim dzielić Busterem, ale głównie chodzi o alimenty. A nie powiedziałam ci, bo zakładam, że twój rozwód zmierza w tym samym kierunku.

Wydawał się zaskoczony tą uwagą.

- Myślisz, że będziemy z żoną walczyć o pieniądze?

- Będziecie, możesz mi wierzyć. Ona nie będzie mogła ścierpieć, że musi ci płacić, a ty uznasz, że kasa w pełni ci się należy.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie.

- Dlaczego zakładasz, że to ona będzie płacić mnie?

- No, po prostu dlatego, że to ty straciłeś pracę, a ona...

- A ona nie?

- Właśnie. Mówiłeś, że jest agentką nieruchomości i że dobrze jej idzie.

- Owszem, ale jeszcze nie doszliśmy do ustalenia warunków ugody.

- Więc lepiej się dobrze przygotuj. To nic przyjemnego.

I opowiedziałam Evanowi w skrócie o blaskach i cieniach mojego małżeństwa i rozvodu oraz o tym, co czuję na myśl o alimentach.

-Widzę, że wielki Dan nieźle daje ci popalić. Na skroni masz taką żyłkę, która zaczyna pulsować, gdy tylko wypływa jego temat. O, wciąż jeszcze pulsuje.

- Jaka znowu żyłka?

Przyłożył opuszki palców do mojej lewej skroni i delikatnie potarł.

- Czujesz?

Czułam bardzo dobrze. Jego dotyk był delikatny i zmysłowy. Tyle czasu minęło, odkąd ktoś mnie tak dotykał, że aż podskoczyłam.

- Wszystko w porządku? — zapytał Evan.

- Nie wiem. Nikt nigdy mi nie mówił, że mam pulsującą żyłkę. - Sama sięgnęłam i rzeczywiście wyczułam zgrubienie.

- To twoja żyłka Dana - orzekł Evan. - Zmieńmy temat i zobaczymy, czy zniknie.

- Nie ma sprawy. - Moja żyłka Dana. Miałam nadzieję, że nie pęknie i mnie nie zabije.

- Opowiedz mi o tym swoim projekcie - poprosił, kiedy znów ruszyliśmy. - O tym, nad którym tak ciągle pracujesz.

Hm, czyli w zasadzie nie zmienił tematu, ale skąd mógł o tym wiedzieć?

- W sumie idzie mi całkiem nieźle - powiedziałam, wyobrażając sobie, jak Ricardo wpisuje do notesu kolejną datę, Isa pstryka zdjęcie, a pani Thornberg puka do sąsiada, by zwrócić mu uwagę na zbyt głośne zachowanie. — Za dwa miesiące się przekonam, czy sukces będzie pełny.

- To jakiś finansowy projekt związany z pracą?

- Jest jak najbardziej finansowy - odparłam zagadkowo. - Jeśli wszystko wyjdzie, zaoszczędzę fortunę. I na

pewno będę mogła się wyprowadzić z Hotelu Złamanych Serc.

- Fortunę? Lubisz pieniądze, co? I dlatego wybrałaś ten zawód?

- Lubię możliwości, jakie dają pieniądze. Podoba mi się, że gdy masz kasę, możesz zapłacić rachunki i podatki, możesz kupić dom i samochód, stać cię na porządną polisę ubezpieczeniową i w ogóle możesz spokojnie spać. Pieniądze to bezpieczeństwo.

Przechylił głowę, jakby próbując mnie rozgryźć.

- Melanie, coś takiego jak bezpieczeństwo w ogóle nie istnieje. Ludzie bogaci umierają tak samo jak biedni. Tyle że mają ładniejsze kwiaty na pogrzebie.

- Moje doświadczenie mówi coś innego - powiedziałam. Wyszło nieco mocniej, niż zamierzałam. - Mama umarła, kiedy byłam bardzo mała, a ojciec więcej czasu spędził w kolejce do pośredniaka niż ze mną. Zawsze wszystkiego mi brakowało: ubrań, zeszytów, wszystkiego.

- To smutne, ale czy na pewno brakowało ci pieniędzy, a nie miłości?

- Pieniądzy. - Spojrzałam mu w oczy. - One cię nigdy nie zawiodą.

- W przeciwieństwie do ludzi, o to ci chodzi?

- Może.

Jednak był spostrzegawczy. Miałam wrażenie, że zna mnie lepiej niż ja sama, choć jeszcze miesiąc wcześniej nie wiedziałam o jego istnieniu. Nigdy nie byłam z facetem, który chciałby mnie naprawdę poznać, któremu zależałoby na mnie do tego stopnia, że by próbował mnie wy badać na tak wczesnym etapie znajomości.

- Mogę cię jeszcze o coś zapytać?

- I tak zapytasz, więc wal śmiało - roześmiałam się.

- Powiedziałaś wcześniej, że nigdy nie płaczesz. Jak to możliwe?

- Po prostu nie płaczę. Nigdy nie płakałam. Powiesz pewnie, że tłumię emocje w sobie, ale ja uważam, że potrafię kontrolować je lepiej niż większość ludzi.

- I to dobrze? — zapytał z powątpiewaniem.

- Dla mnie tak.

W tym momencie doszliśmy do światła.

- Przechodzimy?

- Oczywiście. Na razie rozmawialiśmy o jedzeniu, a teraz nadeszła pora, by wreszcie coś zjeść.

Kiedy przechodziliśmy na drugą stronę, trzymał mnie za łokieć. Buster szedł przy nodze. Czułam, że ktoś się o mnie troszczy, że jestem pod opieką — jak zwykle, gdy Evan był w pobliżu.

- Tutaj? - zapytałam, kiedy stanęliśmy przed niczym się nie wyróżniającym miejscem nazwanym Ninth Avenue Food Gallery.

- Mają tu najlepsze pastrami na świecie.

Oparł się o ladę i zamówił bagietkę z wędliną wołową, sałatą, pomidorem, majonezem i zapiekany serem provolone. Kiedy była gotowa, trzymał mi ją tuż przed nosem, żeby mnie dręczyć.

- No dobra, spróbuj i powiedz, czy nasza dzielnica nie jest wspaniała.

Ugryzłam i poczułam symfonię smaków. Boże, przepyszne. Przez rok mieszkałam tuż obok i nigdy tu nie zajrzałam. Nie miałam pojęcia, ile tracę.

Chciałam mu oddać kanapkę, ale nalegał, żebym jeszcze trochę zjadła.

- Będiesz żałował. Może zniknąć, zanim się zorientujesz.

Kiedy znów zatopiłam zęby w kanapce, wielka biała majonezowa kropla spadła mi na brodę. Znów najadłam się wstydu, chyba nie potrafiłam w jego obecności zachować się jak należy.

- Kurczę - powiedziałam, biorąc z lady serwetkę, i wytarłam się. Oddałam mu bagietkę. - Ta kanapka najwyraźniej mnie przerasta. Jest twoja.

Uśmiechnął się. Ale zamiast zacząć jeść, włożył palec między sałatę i wędlinę i wyjął go umazany majonezem, który następnie rozsmarował sobie na brodzie.

Ryknęłam śmiechem, tak że inni klienci odwrócili się w naszym kierunku.

- Co ty wyprawiasz?

- Dotrzymuję ci towarzystwa. Najlepszy sposób, żeby nie czuć się głupio, to znaleźć kogoś, kto czuje się równie głupio.

Stałam, patrząc na niego przez kilka sekund, wzruszona jego troską o mnie. Nie chciał, żebym czuła się głupio sama. W wyniku czego przestałam się tak czuć.

Sięgnęłam po kolejną serwetkę i starłam majonez z jego twarzy.

- Czy ty w ogóle jesteś prawdziwy, Evanie Gillespie? Kiwnął głową.

- Bardzo. - Odgryzł kęs bagietki, przeżuł go i połknął. - No to jak, zjemy w sobotę razem kolację?

- Co? - To pytanie całkowicie mnie zaskoczyło. Nie byłam gotowa na randkę. Przyjaźń? Jak najbardziej. Ale romans? Nie. Ciągłe jeszcze czułam się związana z Danem. „Związana” w tym sensie, że nie mogłam przestać o nim myśleć w związku z projektem. Oprócz tego wcale nie pragnęłam kolejnego romantycznego uniesienia po tym, jak ostatnie nie wypaliło i skończyło się absolutnym rozczarowaniem. Nigdy więcej. - Lubię cię, Evan, naprawdę - powiedziałam. - Ale to nie jest dobry pomysł. Dopiero co się rozwiodłam, a ty jesteś w separacji...

- I obydwójce lubimy jeść. Więc zjedźmy razem kolację. U mnie. Sam coś przygotowuję.

- Umiesz gotować? Ja nie potrafię zrobić nawet przyzwoitej kawy.

- Przyjdź w sobotę, to cię nauczę.

Właśnie to było takie intrygujące, jeśli chodzi o Eva-na i o mnie. Z Danem zawsze ja grałam rolę przewodnika, a tu nagle to ja stałam się uczniem.

Przyjęłam jego zaproszenie, choć rozsądek nakazywał inaczej.

- Super. W sobotę wieczorem. O siódmej. Mieszkanie 3E. Suknię wieczorową zostaw w domu, bo spotkanie jest nieformalne.

- Mogę przynajmniej coś przynieść? — pytałam w drodze powrotnej.

-Tak, Bustera. Też jest zaproszony. Chyba że, oczywiście, ma jakieś inne plany.

- Nie ma. Ale je tylko najlepsze chrupki.

- Więc to właśnie przygotuję.

- Ale poważnie, Evan. Nie rób sobie kłopotu. Nie ze względu na mnie.

Nie ze względu na kobietę, której nie interesuje nic więcej poza przyjaźnią.

- W porządku. Nie będę robił sobie kłopotu. A może być mały kłopotek?

Roześmiałam się.

- Może.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Tydzień przeminął, nawet nie wiem kiedy - czas z Busterem zawsze mija szybciej niż bez niego - i zanim się obejrzałam, nadszedł sobotni wieczór i moja „randka” z Evanem. Rozważałam nawet jej odwołanie, ale ostatecznie łatwiej było pójść, załatwić to po kumpelsku i wrócić do domu. Poza tym fakt, że spotykaliśmy się kilkanaście metrów od mojego mieszkania, zapewniał łatwą drogę ewakuacji, gdybym poczuła się osaczona. Tak, Evan to fajny facet. To już ustaliłyśmy. I owszem, bardzo brakowało mi towarzystwa. To też ustaliłyśmy. Ale moje uczucia skierowane były zupełnie gdzie indziej, jak wam wiadomo.

Mimo to ubrałam się trochę bardziej elegancko. A może powinnam powiedzieć, trochę mniej elegancko. Mój kostium - ten biurowy - został w szafie, zastąpiony granatowymi wełnianymi spodniami i białą jedwabną bluzką. I tak zbyt formalnie na nieformalne spotkanie w mieszkaniu sąsiada, ale straciłam już poczucie tego, co „nieformalne”. Byłam po trzydziestce, a ubierałam się jak matrona w średnim wieku. Tylko moje długie faliste włosy, pełne usta i rozmiar biustu, dla którego część kobiet idzie pod nóż, wskazywały, że gdzieś tam siedzi jeszcze niezła laska. Już dawno schowałam ją bardzo głęboko.

Poza tym byłam w świątecznym nastroju, gdy razem z Busterem maszerowaliśmy do mieszkania 3F. Desiree, Ricardo, Isa i Antoinette meldowali, że Dan i Leah wciąż mocno się trzymają. Niesamowite, co? Udało mi się zmniejszyć tę trzymiesięczną przeszkodę do dwumiesięcz-

nej. Jedyne sześćdziesiąt dni - tyle, ile dają na zapłacenie mandatu za nieprzepisowe parkowanie! Dziewięćdziesiąt dni wydawało się nieskończonością, ale sześćdziesiąt wyglądało całkiem znośnie, rzecz była do opanowania. Niemal się śliniłam na myśl, że zadzwonię do Robin i oznajmię: „Mamy go! Dan musi sobie radzić sam! Nie jestem mu już winna ani centa!”. Boże, ależ to będzie cudowna chwila. I była już tak bliska, że wręcz czułam jej zapach.

Choć w zasadzie czułam zapach czosnku, który dochodził z mieszkania 3E. Gdy stanęliśmy przed drzwiami Evana, spojrzałam na Bustera.

- Co on może gotować, Busterku? Przecież nie ma zbyt wiele pieniędzy.

Buster otarł się o moją nogę, co zinterpretowałam jako mieszane uczucia - co do Evana, nie samej kolacji.

- To nie jest prawdziwa randka, a Evan nie próbuje zastąpić tatusia - uspokoiłam go. - Chce tylko, żeby mamusia trochę się odprężyła.

Buster się wyprostował, a ja zadzwoniłam.

- No, jesteście - powitał nas Evan. Wyglądał świetnie. Miał na sobie dzinsy i dopasowany czarny sweter i choć dotrzymał obietnicy, bo nie włożył fraka, to jednak widać było, że o siebie zadbał. Swoje niesforne włosy zaczesał do tyłu, tak że nie spadały mu na twarz, a kilka zacięć na twarzy świadczyło o tym, że się golił. To wszystko razem było niezmiernie ujmujące. — Wchodźcie.

Buster został z tyłu, demonstrując niezwykłą u niego powściągliwość, ale tylko do czasu, gdy Evan wyciągnął piszczącą zabawkę i mu ją rzucił.

- Kupiłeś to specjalnie dla niego? - zapytałam, gdy mój pies zaczął się bawić i zadowolony pobiegł gdzieś z nowym nabytkiem.

- Nie. Kupiłem to dla ciebie. Żebyś nie musiała się o niego martwić.

— Naprawdę pomyślałeś o wszystkim. - Podałam mu butelkę różowego wytrawnego szampana, mojego ulubionego. — Nie wiedziałam, który lepiej pasuje do psich chrupków, czerwony czy biały, więc kupiłam coś pośrodku.

— Dobry wybór. Chrupki dnia to jagnięcina, puree ziemniaczane i fasolka szparagowa z grzybami i migdałami.

— Pachnie wspaniale — powiedziałam wdzięczna, że nie będziemy jeść kanapek z mielonką i ketchupem. Miałam wyrzuty sumienia, że tyle wydał na tę kolację, bo przecież nie było go na to stać. Z drugiej strony może żona zaczęła już przysyłać czeki. Zmarszczyłam brwi na myśl, że to ona płaci za moją kolację. W tym momencie Leah była zapewne u Dana i jadła na koszt jego byłej, czyli mój, a tu proszę, ja jem na koszt byłej Evana. Wszystko się jakoś w przyrodzie wyrównuje.

Poszłam za nim do mikroskopijnej kuchni, identycznej jak moja, z tą różnicą że jego mikroskopijne urządzenia były używane. Na piecu stały garnki, w piekarniku jakieś naczynie. Było bardzo ciepło i domowo.

— Mogę w czymś pomóc? - zapytałam, gdy on dużą drewnianą łyżką mieszał ziemniaki. Zrobiłam to tylko tak, z grzeczności. Miałam nadzieję, że powie: nie - to oczywiste — biorąc pod uwagę moją nieporadność w tych sprawach.

— No pewnie. Przecież mówiłem, że nauczę cię gotować. - Odsunął się od pieca i wskazał na ziemniaki. - Cały czas mieszaj, aż zgęstnieją i staną się jednolitą kremową masą.

Spanikowałam.

— A grudki? Mają zniknąć?

— Niezupełnie. Zawsze zostawiam kilka, żeby puree wyglądało naturalnie.

Poklepał mnie po ramieniu i zostawił zupełnie samą. I muszę przyznać, że kiedy tak patrzyłam, jak ziemnia-

ki gęstnieją i robi się pyszne puree, czułam niejasną radość. Satysfakcję. Miałam poczucie kontroli. No tak, Dan i Leah zapowiadali się obiecująco, ale nie miałam żadnej pewności, że sprawy potoczą się po mojej myśli. Za to ziemniaki dość łatwo dały sobą manipulować i były o wiele bardziej przewidywalne. Może jednak nie doceniałam przyjemności gotowania.

Ponieważ Evan wyniósł sporo mebli, żeby zrobić miejsce na płótna, nie miał też stołu. Jedliśmy więc z talerzami na kolanach, siedząc na kanapie, Busterek nieopodal. (Evan kupił mu miskę — dużą, mocną, z nierdzewki — i wypełnił chrupkami z jagnięcina}.

— Pyszne - powiedziałam, oblizując usta. - Bardzo profesjonalne, jak w tych knajpach na Dziewiątej Alei. Kto nauczył cię gotować?

— Żona. Wychowała się w wielodzietnej rodzinie, więc ona i wszystkie jej siostry to urodzone kucharki.

— Jak długo byliście razem? — zapytałam, bo w przeciwieństwie do mnie on się nie wzdragał na wspomnienie o swoim małżeństwie.

— Pięć lat — odparł. — To zabawne, jak człowiek wierzy, że jego małżeństwo potrwa wiecznie mimo przygnębiających statystyk.

— Przeżyłeś szok, kiedy powiedziała, że chce się rozwieść?

Ze zdziwieniem pokręcił głową.

— Ty i te twoje założenia. Dlaczego uważasz, że to ona chciała się rozwieść?

— Wydaje mi się, że Patty mówiła coś takiego. A może uznałam, że kiedy straciłeś pracę i zamiast poszukać następnej, zająłeś się malowaniem... No, pomyślałam, że ona...

— Mnie rzuciła? Zakłopotana kiwnęłam głową.

- Tak było z tobą i Danem? Stracił kontrakt, więc go rzuciłaś?
- Nie, no skąd. Nie jestem aż taka bezduszna. Były też inne przyczyny.
- Na przykład?
- Na przykład: Dan nie przestał po prostu pracować, on przestał próbować pracować.

I już miałam przedstawić mój standardowy numer na temat byłego, gdy przyszło mi do głowy, że mogłabym postawić gospodarza w niezręcznej sytuacji, bo przecież on też był dzidziąsem, nawet jeśli nie aż tak ostentacyjnym.

- Swoją drogą, to ciekawe zjawisko — powiedziałałam w zamian z nadzieją, że jeśli wypowiem się ogólnie, zaoszczędzę mu wstydu. — Mężczyźni chcieliby wszystko naraz. Chcą, żeby kobiety dobrze zarabiała, a przynajmniej twierdzą, że tak jest, jednak tylko wtedy, gdy oni też zarabiają. Ale gdy tylko szala przechyla się na stronę kobiety, nie potrafią sobie z tym poradzić.

Evan patrzył sceptycznie.

- A z kobietami jest inaczej? Radzą sobie w sytuacji, kiedy facetowi zaczyna się gorzej powodzić? Takie jesteście nowoczesne i twierdzicie, że nie ma znaczenia, kto zarabia pieniądze, ale ja uważam, że to ma znaczenie. Uważam, że wy, kobiety, nie potraficie szanować faceta, który ma na koncie mniej niż wy.

- Nieprawda. Nie szanuję faceta, jeśli wykorzystuje kobietę, którą rzekomo kocha. Dan ciągle mi powtarzał, jak bardzo mnie kocha i że nie chce się rozwodzić, i żebym się jeszcze raz zastanowiła, a teraz, proszę, zabiera mi moje ciężko zapracowane pieniądze.

- A ty pielęgnujesz w sobie urazę.
- A ty byś nie pielęgnował?
- Może na początku, ale uraza zajmuje bardzo dużo miejsca tutaj - powiedział, wskazując swoją pierś. — Nie

będę udawał, że świat jest sprawiedliwy, ale czasami jest tak, jak jest, i lepiej się z tym pogodzić.

Łatwo mu mówić. On będzie dostawał czeki, a nie je wypisywał.

— Wracając do ciebie, Evan, powiedz szczerze: czy Kaitlin postanowiła się rozwieść, kiedy wyjechałeś na Bahamy, żeby malować? Czy to zmiana twojego trybu życia wpłynęła na jej decyzję o odejściu?

— Kolejne bezpodstawne założenie. — Westchnął zirytowany. — To ja odszedłem od niej, Melanie.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Miała romans.

— O. — Odłożyłam nóż i widelec.

— Mówiłem ci, że pracuje w nieruchomościach. Ale nie wspominałem, że sprzedała taki jeden loft facetowi w SoHo, a potem po zamknięciu transakcji przespała się z nim. Jak widać, niektórzy lubią odpowiednio uczcić takie okazje.

— Żartujesz sobie z tego? Musiałeś być załamany.

— Oczywiście, że byłem. Ale to miało miejsce trzy lata po naszym ślubie. Następne dwa próbowaliśmy się z tym uporać, jednak nam się nie udało, więc rozstaliśmy się. Teraz jestem na etapie żartów. To się nazywa iść do przodu. Też powinnaś spróbować.

— Dobra już, dobra, rozumiem. Uważasz, że wciąż nie uwolniłam się od Dana.

Odstawił swój talerz i przysunął się do mnie.

— To jasne, że jakaś część ciebie wciąż tkwi w tamtym związku. Powinnaś siebie posłuchać. Gdyby ci na nim nie zależało, nie pieniałabyś się na dźwięk jego imienia.

— Wcale się nie pienie. — Otarłam ślinę, która zebrała się w kącikach ust.

— No właśnie, wcale. Tak samo jak nie pulsuje ci żyłka na skroni.

Sięgnęłam do skroni. Była. I pulsowała.

- No dobra, więc trochę się nakręcam, ale wcale nie zależy mi na Danie - wyjaśniałam. - Wkurza mnie fakt, że oddaję mu połowę dochodów i muszę patrzeć, jak wyrzuca je w błoto. Ale mam zamiar położyć kres jego nocnym wypadom w miasto i całej reszcie.

Evan się roześmiał.

- Chyba jest już za duży, żeby dać mu szlaban.

-Ja nie żartuję. Nie powinnam ci tego mówić, ale system prawny ma swoje luki.

- Dlaczego niby miałabyś mi o tym nie mówić?

- Bo niedługo sam będziesz toczył walkę z Kaitlin o alimenty i jakie tam macie aktywa.

Pochylił się do mnie i złapał mnie delikatnie za brodę.

- Lubię cię — powiedział cicho, lekko zachrypłym głosem. - I mam nadzieję, że ty też mnie lubisz. Mam nadzieję, że lubisz mnie niezależnie od warunków mojej ugody rozwodowej i wbrew swoim bezpodstawnym założeniom o mężczyznach, którzy tracą pracę i zaczynają malować. Mam nadzieję, że lubisz mnie, bo jestem fajny, albo czujesz się ze mną swobodnie, albo jestem dla ciebie wyzwaniem, albo wszystko po trochu. Wiem, że pieniądze są dla ciebie bardzo ważne, ale dla mnie w ogóle się nie liczą, więc nie chcę już o nich słuchać. Nadażasz? - Jak aktor w teatrze kukielkowym poruszył moją głowę w górę

i w dół - w ten sposób skinęłam. Potem cofnął dłoń i zabrał się z powrotem do jedzenia. - To dobrze. A teraz porozmawiajmy o czymś innym. Opowiedz o pracy, o znajomych, co myślisz o efekcie cieplarnianym, o czym tylko chcesz, byle nie o Danie.

Byle nie o Danie. Nagle przypomniała mi się pierwsza rozmowa z Desiree. Mówiła, że rozwódka, która na pierwszej randce zaczyna opowiadać o swoim byłym, zraża do siebie nowego faceta. Jak widać, miała rację.

No dobrze. Nic mi się nie stanie, jeśli na resztę wieczoru porzucę swoją obsesję. Na kilka godzin mogę przerwać knucie, spiskowanie i obmyślanie kolejnych strategii. W sumie na froncie wszystko układało się pomyślnie, a ja zasłużyłam na jeden wolny wieczór.

Rozmawialiśmy więc i żartowali, niemal wylizując talerze do czysta. A kiedy przyniósł deser - babeczki karmelowo-orzechowe - też go pochłonęliśmy. Robiliśmy nawet głupie miny z usmarowanymi czekoladą zębami, chichocząc jak para dzieciaków. Na pewno nie był to wieczór, do jakich się przyzwyczaiłam, i bawiłam się dużo lepiej, niżbym się mogła spodziewać.

- Masz ochotę na spacer z Busterem czy wolisz zostać tutaj? - zapytał po bitwie o ostatnią babeczkę, którą w końcu podzieliliśmy na pół. - Możemy jeszcze pogadać albo — uściśnął mi dłoń - zwyczajnie poleniuchować.

Nie chciało mi się nigdzie wychodzić. Czułam się lekka mimo tej ilości jedzenia, odprężona i swobodna. Zadowolony Buster bawił się nową zabawką, a Dan i Leah mieli spędzić kolejną upojną noc. Wszystko było tak, jak należy.

— Chyba wolę zostać — powiedziałam trochę nieśmiało, niepewna skutków swojej decyzji.

Evan się przysunął. Mogłabym przysiąc, że chciał mnie pocałować, i mogłabym przysiąc, że bym mu na to pozwoliła. I wtedy — cholera! - zadzwoniła moja komórka. Oboje się wzdrygnęliśmy.

— Po co to w ogóle przyniosłaś? — spytał, kiedy wstałam, żeby wyciągnąć ją z torebki. — Klienci nie dzwonią chyba do ciebie w sobotę wieczorem?

- Zazwyczaj nie, ale jest taki jeden potentat naftowy z Teksasu i obiecałam, że może dzwonić dwadzieścia cztery godziny na dobę. Idiotka. — Znalazłam telefon i odebrałam, przygotowana na przeprawę z Jedem.

Ale to była Antoinette Thornberg. Znowu uszkodziła sobie rękę, próbując otworzyć puszkę sardynek, i nie miała do kogo zadzwonić.

- Potrzebuje pani lekarza? - pytałam, gdy Evan tymczasem bawił się z Busterem.

- Nie mam zamiaru jechać do tego okropnego szpitala, jeśli o to pytasz. Włożą mi do buzi termometr i odeślą do domu. Potrzebuję kogoś, kto pomoże mi zrobić kolację, rozebrać się i położyć spać, i dopilnuje, żebym nie skończyła jak moja koleżanka Rose. Najpierw ręka, potem biodro, a w końcu trumna.

-Ale z pani biodrem wszystko w porządku? - Po uprzednim incydencie doszłam do wniosku, że Antoinette jest nie tylko wredną sąsiadką, jest również hipochondryczką.

- Na razie - odparła. - Przyjedziesz czy nie?

- Chciałabym, ale jestem zajęta. Sąsiad zaprosił mnie na spokojną kolację u siebie w...

- Spokojną? - Westchnęła. - Szkoda, że ja nie mam tyle szczęścia. Twój eks i ta imprezowa dziewczucha tak się kłóca, że trzaskaniem drzwiami mało nie pozrucali mi obrazów ze ścian.

Nagle zaschło mi w gardle.

- Jak to?

- Normalnie. To chyba koniec.

- O co się kłóca?

- A skąd ja mogę wiedzieć?

- Wiedziałyby pani, gdyby poszła do nich i poprosiła o spokój.

- Jak mam iść, skoro nikt nie chce pomóc mi z moją ręką? Boli jak nie wiem! - jęczała. - Może zerwą i następnym razem nie wybierze już ćpunka.

Następnym razem? O, nie. Leah się nie wyprowadzi. Już moja w tym głowa.

- No dobrze - powiedziałam, usiłując opanować panikę. - Przyjadę najszybciej, jak się da.

- Ale pospiesz się, umieram z głodu. Rozłączyłam się i wyjaśniłam Evanowi, że miał rację:

dzwoniła klientka, choć problem nie był natury finansowej.

- To starsza pani, która mało co wychodzi z domu, nie ma rodziny ani znajomych, tylko mnie i - wzruszyłam skromnie ramionami — staram się jej pomóc, jak potrafię, nawet w tak dziwnych godzinach.

Patrzył na mnie nieco podejrzliwie.

- Jesteś ze mną szczerą? Bo możesz, naprawdę.

- Całkowicie szczerą.

- W takim razie, hm, jestem pod wrażeniem. Kiedy nie myślisz tylko o Danie i alimentach, okazuje się, że jesteś wspaniałym człowiekiem, prawdziwą altruistką.

No pewnie, że czułam się jak ostatni łgarz, ale co niby miałam zrobić? Przyznać się do tego, że alimenty mnie wkurzają, to jedna rzecz, ale powiedzieć, że wkurzają mnie do tego stopnia, iż zwerbowałam oddział specjalny, żeby wrobić Dana i się z nich wywinąć, to coś zupełnie innego.

Klasnęłam na Bustera.

- Jak chcesz, to zostanę z nim, aż wrócisz - zaproponował Evan.

- Poradzi sobie. Jest przyzwyczajony do samotności.

Podziękowałam mu za kolację i psie przysmaki i powiedziałam, że musimy znów się spotkać. A potem wyszliśmy.

W taksówce do pani Thornberg złąkałam się za przedwczesne odtrąbienie zwycięstwa w kwestii Dana i Leah. Jak mogłam być tak głupia, by pomyśleć, że alimenty mam już z głowy? I równie głupia, by pomyśleć, że w moim życiu może pojawić się nowy facet, gdy nie skończyłam jeszcze z poprzednim?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Strasznie wrzeszczą - zauważyłam, przykładając lód na rękę pani Thornberg i wsłuchując się w dolatujące zza ściany krzyki. Siedziałyśmy na łóżku. To znaczy pani Thornberg leżała jak na łożu śmierci, choć wystarczyło jej energii, by włożyć jedną ze swoich ślicznych sukienek, a ja siedziałam przy niej, prawdziwa Florence Nightingale. Ręka w ogóle nie była opuchnięta, podejrzewałam więc, że Antoinette szukała po prostu towarzystwa, ale mimo wszystko obłożyłam ją lodem. Sam fakt, że ktoś się nią zajmuje, zdawał się działać na starszą panią kojąco.

- Szkoda, że nie słyszałaś ich godzinę temu. Pozazdrościć płuc.

-To dziwne, bo Dan nigdy nie podnosił na mnie głosu.

- Pewnie się ciebie bał.

- Wcale nie.

- No to może ją naprawdę kocha. Myślę, że im bardziej im zależy, tym bardziej krzyczą.

Ta uwaga mnie zdeprimowała, ale pomyślałam, że Antoinette bzikuje dziś bardziej niż zwykle, bo zaaplikowałam jej ekstramocny środek przeciwbólowy. Nie zrozumcie mnie źle, ja naprawdę chciałam, żeby Dan pokochał Leah, ale przecież nie bardziej, niż kochał kiedyś mnie.

- Musiała go jakoś sprowokować - stwierdziłam. — Może jak pójdzie ich pani upomnieć, to czegoś się pani dowie.

- Nigdzie nie idę, dopóki nie zjem kolacji - odparła pani Thornberg. Zanim ręka odmówiła jej posłuszeństwa, zdołała do połowy otworzyć puszkę sardynek, wobec czego w mieszkaniu śmierdziało teraz i kulkami na mole, i rybą w puszcze.

- Przyniosę pani kanapkę i zrobię herbatę.

- Dobrze. Wymieszaj sardynki, dodaj łyżeczkę musztardy i trochę soku z cytryny. Weź chleb żytni i odkrój skórki.

Przypominając sobie, że nie powinnam się czuć wykorzystywana, bo zaangażowanie jej w ten dramat było przecież moim pomysłem, uśmiechnęłam się i zapytałam:

- Coś jeszcze?

- Tak. Żeby herbata na pewno była gorąca. Nie ma nic gorszego niż letnia herbata.

Mogłam wymienić wiele gorszych rzeczy, a jedna z nich znajdowała się w sąsiednim mieszkaniu. Jeśli Leah odejdzie od Dana, znajdę się w punkcie wyjścia i w dodatku o wiele biedniejsza.

Nakarmiłam panią Thornberg, obejrzałam z nią powtórkę „Prawa i porządku”, a potem, po kolejnych wrzaskach zza ściany, namówiłam, żeby się zorientowała, o co właściwie chodzi.

- Przypomnę im o regulaminie - zgodziła się. - Żadnych hałasów po dwudziestej pierwszej.

- I bardzo dobrze - powiedziałam, dodając: „Do boju!” albo coś równie niestosownego.

Kiedy wyszła, przyłożyłam ucho do ściany, potem przemierzałam nerwowo pokój, usiadłam na łóżku, znów przyłożyłam ucho do ściany, w końcu przeszłam z sypialni do kuchni i zjadłam pozostawione przez panią Thornberg skórki od chleba.

Wreszcie wróciła.

- No i co?

- Leah płakała. Boże.
- Ale obojgu im powiedziałam do słuchu, tak żeby nie mieli wątpliwości.
- Wyglądało na to, że może się wynieść? - pytałam, usiłując nie dać po sobie poznać, jak bardzo jestem zdesperowana.
- A nawet jeżeli, to co tobie do tego? - Przyjrzała mi się uważnie swoimi wylupiastymi oczami. - Ciągłe nie mogę zrozumieć, czemu to dla ciebie takie ważne. Przecież nawet już tu nie mieszkasz.
- Ze względu na Bustera! - powiedziałam nieco zbyt kategorycznie. - Chcę, żeby miał u Dana jakąś stabilizację. Buster jest wrażliwy, więc wrzawa i zamęt źle na niego wpływają.
- Wrzawa i zamęt. Proszę, słowa, których nie używałam od... chyba nigdy ich nie używałam.
- Chodź, chodź - mówiła pani Thornberg, machając na mnie swoją „zdrową ręką”, żebym weszła do sypialni. Poprosiła, bym pomogła się jej rozebrać i włożyć nocną koszulę, a potem położyć się spać. W trakcie spełniania tych próśb zasypywałam ją pytaniami. Czy Dan też płakał? (Nie). Czy obrzucali się wyzwiskami? (Nie). Czy udało się jej usłyszeć jakieś szczegóły, o co im poszło? (Tak. Leah oskarżała Dana, że boi się zaangażować. Dan oskarżał Leah, że za bardzo na niego naciska jak na tak krótką znajomość).
- Ale nie groziła, że się wyprowadzi? - upewniałam się, przykrywając Antoinette kołdrą.
- Ja w każdym razie nic takiego nie słyszałam - mamrotała niewyraźnie w odpowiedzi. A może zapomniałam powiedzieć, że pani Thornberg nosiła protezy. Wśród licznych obowiązków moim zadaniem było również wyjęcie ich jej z ust i włożenie na noc do szklanki ze specjalnym

płynem, a potem porozumiewanie się z nią bez ich pomocy. - Ale sądzę, że kłótnia może się nasilić i istnieje prawdopodobieństwo, że w nocy się wyprowadzi.

Wpadłam w panikę. Jak sprawdzę, czy Leah została czy wyszła? Ricarda i Isy nie było, a Antoinette po środku przeciwbólowym zażyła jeszcze tabletkę na sen. Za kilka minut wpadnie w śpiączkę. Dan i Leah mogliby sprowadzić dwunastoosobową orkiestrę, a ona i tak nic by nie usłyszała.

W tej sytuacji mogłam zrobić tylko jedno: sama stanąć na straży.

- Musiałabyś wziąć świeżą pościel - powiedziała Antoinette, gdy zapytałam, czy mogłabym się przespać w jej pokoju gościnnym. - Od lat był nieużywany.

Biedna pani Thornberg była tak samo samotna jak ja.

Kiedy patrzyłam, jak zasypia, czułam, że jest mi w jakiś sposób bliska. Nie mogła symbolizować matki, bo przecież matki opiekują się dziećmi, a nie na odwrót -w naszym układzie natomiast to ja robiłam jej kanapki, kładłam ją do łóżka i wyjmowałam z ust protezy - ale na pewno nie była już dla mnie uosobieniem oschłej, wścibskiej sąsiadki. Wraz z każdą intymną czynnością, o której wykonanie mnie prosiła, stawała się bardziej ludzka. Chcę chyba powiedzieć, że choć pobudki, dla których spędzałam u niej noc, trudno nazwać szlachetnymi, nie byłam też tak zupełnie pozbawiona serca.

Kiedy już spała, zadzwoniłam do Evana z informacją, że „klientka” chce, bym została na noc, i poprosiłam, żeby wziął od dozorczy moje klucze i sprawdził, co u Bustera. Potem postawiłam sobie pasjansa, wykorzystując do tego znalezioną na toaletce starą talię kart. Ale przede wszystkim nasłuchiwałam każdego ruchu w mieszkaniu obok - bezowocnie. Pokój gościnny przylega do przedpokoju,

więc gdyby Leah wychodziła obrażona, na pewno bym usłyszała, a nie usłyszałam.

Gdy budził się kolejny dzień, byłam śmiertelnie zmęczona, ale czułam też ulgę, że papużki wciąż są razem. Cokolwiek spowodowało sprzeczkę, zostało wyjaśnione albo przynajmniej odłożone na później.

Przygotowałam pani Thornberg śniadanie, pomogłam jej wziąć kąpiel i ubrać się. Potem oznajmiłam, że wracam do mojego psa.

— Wyglądasz na zmęczoną - powiedziała, dotykając zniekształconym przez artretyzm palcem wskazującym ciemnych kręgów pod moim lewym okiem. - Żle ci się spało na tym materacu?

— Nie, materac jest w porządku - odparłam zaskoczona jej troską. - Chyba martwiłam się, że Buster został sam.

— Trudno jest zostać samemu — przyznała, spoglądając na stojące w pobliżu zdjęcie zmarłego męża. Był postawnym mężczyzną z okropnym tupecikiem. Pewnie gdyby żył dłużej, mógłby kupić jeden z tych nowszych modeli, które wyglądają dość naturalnie, bo mają prawdziwy przedziałek, a nie tylko zwykły szew.

— Niedługo znowu przyjdę.

— Kto by pomyślał, że taka dobra z ciebie dziewczyna! - pochwaliła mnie, a ja poczułam się jeszcze większą naciągaczką niż dotychczas. W zasadzie kiedyś byłam dobrą dziewczyną, która odrabiała zadania, dotrzymywała terminów i zawsze mówiła prawdę, ale teraz stałam się kimś innym, kimś, kogo sama już nie potrafiłam rozpoznać.

W niedzielę po południu miałam się spotkać z Weezie w Connecticut, ale powiedziałam jej, że muszę dopilnować Leah, bo wystąpiły nieprzewidziane okoliczności,

które wymagają, żebym była obecna na miejscu. Nie była zbyt zadowolona.

- Gdybym nie znała cię tak dobrze, pomyślałabym, że bardziej zależy ci na byłym mężu niż na najlepszej przyjaciółce - dogadała mi, ale ostatecznie dodała, że rozumie, i ustaliłyśmy inny termin.

Zamiast do niej pojechałam do Desiree, nie umówiwszy się wcześniej na spotkanie. Tak, była niedziela, ale firma Desiree działa siedem dni w tygodniu dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc prosto od pani Thornberg udałam się do jej mieszkania.

- Jest teraz z klientką - poinformowała mnie asystentka Taylor. - Chyba nie oczekuje dziś pani, prawda?

- Nie, ale to sytuacja wymagająca natychmiastowej interwencji.

Taylor uśmiechnęła się współczująco.

— Nieudana randka?

— Właśnie — przytaknęłam, uświadamiając sobie, że Desiree nie wprowadziła asystentki w szczegóły naszego układu. - Wyjątkowo nieudana.

Podawała mi pudełko z chusteczkami.

- Gdyby pani potrzebowała.

— Dziękuję, ale ja nigdy nie płaczę — odparłam i usiadłam w salonie.

Ponieważ nie wzięłam ze sobą nic do czytania, zamknęłam oczy i modliłam się za Dana i Leah, żeby dali sobie po buziaku na zgodę. Wyobrażałam ich sobie nawet, jak się całują i godzą. No, na tyle, na ile można sobie wyobrazić byłego męża całującego kobietę, której nie widziało się na oczy.

Byłam jeszcze w trakcie wizualizacji, gdy z gabinetu Desiree wyszła atrakcyjna kobieta po pięćdziesiątce. Krótkie ciemne włosy, lekko opalona skóra i jędrne ciało sportsmenki. Wydała mi się znajoma - jakaś celebrytka?

- ale najbardziej rzucały się w oczy spływające jej po policzkach łzy. Powieki miała zapuchnięte od płaczu, a twarz zbolałą i całą w plamach. Uznałam, że po wielu wspólnych latach mąż rzucił ją dla jakiejś młódki, więc wynajęła Desiree, by pomogła jej wejść na rynek wtórny.

Zatrzymała się przy biurku Taylor, wzięła z pudełka chusteczkę i wytarła nią oczy.

- Lepiej się pani czuje, pani Lyndo? - zapytała Taylor.

- Dużo lepiej — odparła kobieta. - Desiree daje mi nadzieję na przyszłość. Mam teraz powód, by rano wstać z łóżka.

Taylor pokiwała głową.

-Jest najlepsza. Nie znam oczywiście pani historii, ponieważ wszystkie informacje są tajne, ale mogę obiecać, że Desiree spełni pani marzenia, jakiegokolwiek by były.

- Liczę na to. Moja koleżanka Julie Marcus była waszą klientką i nie tylko wyszła za mąż, ale ma też dziecko. Dzięki surogatce, która je dla niej urodziła - bardzo miła dziewczyna z Arkansas, nazywa się Earlene. Potrzebowała pieniędzy, więc zrobiła z siebie maszynkę do rodzenia dzieci. Oczywiście dziecko urodziło się z dziurą w jelicie i przez kilka miesięcy po porodzie musiało zostać w szpitalu. Z tych nerwów Julie stała się wrakiem człowieka i zaczęła nawet kraść po sklepach, odreagowując w ten sposób stres. Na szczęście udało się jej pomóc, zanim ją złapali. W każdym razie dzięki za chusteczkę - zakończyła.

I wyszła.

W momencie gdy skończyła nawijać i opuściła pomieszczenie, zerwałam się na równe nogi, podeszłam do Taylor i zaczęłam ją błagać, żeby wpuściła mnie poza kolejnością. Dwie minuty później moje życzenie zostało spełnione.

- Dzięki, że mnie pani przyjęła - powiedziałam do Desiree, której puszyste kapcie tym razem zdołały po-

brzękujące dzwoneczki. Kiedy poruszyła palcami u nóg, wydawało się, że to Boże Narodzenie. Tego dnia wybrała perukę z grzywką, platynowy blond. Grzywka włożyła jej do oczu, powinna ją trochę skrócić. Albo włosy na perukach też rosną, albo miała dwie w tym samym kolorze.

— Mam dziś komplet — poinformowała mnie — więc lepiej, żeby to było coś ważnego.

— To bardzo ważne - odparłam. - Niestety, złe wieści. Leah i Dan okropnie się wczoraj pokłócili. Musi pani z nią pogadać, oni nie mogą zerwać.

— Przede wszystkim niechże się pani uspokoi. Nie rozumiem, czym tu się tak podniecać?

— Wrzeszczeli wczoraj na siebie, oto czym.

— No i co z tego? Pani nigdy się z nim nie kłóciła, kiedy byliście razem?

— Owszem, a potem się rozwiedliśmy. Zresztą Dan nigdy na mnie nie krzyczał.

— Pewnie się pani bał.

— Wcale nie! — Co oni wszyscy z tym baniem? — Leah za bardzo na niego naciska, żeby się zaangażował. Może przesadziła pani podczas ostatniej sesji?

— Przecież to pani chciała, żeby od razu się wprowadziła, tak czy nie?

— Tak, ale...

— Nie ma żadnego „ale”. Przekonałam ją, że jeśli facet rzeczywiście się jej podoba, powinna odrzucić ostrożność i przyjąć w związku rolę agresora.

— A teraz musi jej pani poradzić, żeby trochę odpuściła. Tyle, żeby się nie wystraszył.

— Wystraszył? Facet za nią szaleje. — Uśmiechnęła się z dumą. — Dopiero co kupił jej naszyjnik. Z ametystów — to jej kamień urodzenia. Ile kobiet dostaje naszyjniki już po kilku tygodniach znajomości?

Zrobiło mi się niedobrze.

— Kupuje jej kosztowną biżuterię? Za moje pieniądze?

— Och, pani Melanie. — Pokręciła głową. — Chce pani, żeby byli razem? To musi kosztować.

— Wiem. — Wzięła głęboki oddech. — Ale zadzwoni pani do niej, tak?

-Tak.

— I wytłumaczy jej pani, żeby z nim nie zrywała?

— Załatwione.

— Powie jej pani, że faceci tacy jak Dan nie czekają na każdym rogu, czy coś równie absurdalnego?

— Niech mnie pani posłucha, wiem, co powiedzieć, znam się na tym, w porządku?

Wstałam.

— Chyba rzeczywiście się pani zna - przyznałam. -W każdym razie zrobiła pani wrażenie na tej kobiecie, która właśnie wyszła. Powiedziała, że dała jej pani nadzieję na przyszłość. - Przewróciłam oczami. — Zresztą powiedziała też wiele innych rzeczy. Buzia jej się nie zamykała. Jej koleżanka Julie miała dziecko dzięki surogatce i zaczęła kraść w sklepach. Po co mi takie informacje? Chyba nie jest zbyt dyskretna.

Desiree westchnęła.

— Lynda Fox. Prawdziwa plotkara, nie potrafi przestać. Ale swoją drogą, przeszła piekło.

— Lynda Fox? Ta golfistka? — Nic dziwnego, że wydała mi się znajoma.

— Miała wszystko - medale, pieniądze, sławę, domy na całym świecie — do czasu, gdy ta kanalia jej męż...

— Zostawił ją, bo za dużo gada?

— Nie. Ona zostawiła jego, bo zakochała się w facecie, który nosił jej kije.

— No to czemu ryczy?

— A jak pani myśli? Bo musi płacić swojemu eks fortunę, choć już dawno nie są razem.

- Matematyka. On pewnie twierdzi, że to dzięki niemu została jedną z najlepszych zawodniczek w kraju. Akurat. Przecież to ona ma talent.

- Właśnie.

- Jeszcze jedno pytanie. Skoro Lynda jest zakochana, po co jej biuro matrymonialne?

Desiree wybuchnęła śmiechem, aż całe jej kluchowate ciało się zatrzęsło.

- Z tej samej przyczyny co pani. Jest klientką Desiree Klein Heart Hunting dla Rozwiedzionych - mojego nowego działu. Szukam kobiety dla jej mężusia, żeby wreszcie się od niego uwolniła. — I znów się roześmiała. — Miała pani rację, Melanie. Okazuje się, że miliony kobiet marzą tylko o tym, żeby pozbyć się takiego ciężaru. I ja im w tym pomagam. To misja od Boga.

Patrzyłam, jak odchyła głowę i dalej się śmieje. Było w tym śmiechu coś odpychającego. Tak, to ja byłam architektką jej nowego źródła dochodu. Tak, liczyłam, że pomoże mi w taki sam sposób jak Lyndzie Fox. I tak, wierzyłam święcie, że faceci typu Dana nie powinni okradać swoich byłych żon. A jednak jakiś głosik, gdzieś w środku mnie, szeptał coś cichutko, miał wątpliwości, ostrzegał. Mówił mi: stworzyłaś potwora.

Niestety, nie precyzował, czy to Desiree jest tym potworem czy ja.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Dzień dobry, pani Melanie - przywitał mnie Ricardo. Był poniedziałek, ósma trzydzieści. Przyjechałam do Dana odstawić Bustera oraz upewnić się, czy Leah przetrwała weekend. - Opiekunka wyszła pięć minut temu. Westchnęłam z ulgą.

— Więc wciąż jeszcze przychodzi?

— Co noc. Mam tu wszystko spisane. - Wyciągnął notes z kieszeni swojego służbowego uniformu i z dumą trzymał go w ręce. — Gdyby przyszła pani wcześniej, mogłaby się pani z nią spotkać.

Czy chciałam się z nią spotkać? W każdym razie nie w obecności Ricarda, który na pewno zacząłby rozmowę o skłonnościach samobójczych Dana.

— Wystarczy mi, że tak sumiennie dba o pana Swaina.

— I on miewa się chyba trochę lepiej. Kiedy wchodzi z nią tutaj, twarz mu promienieje. Jeśli ktoś nie wie o jego problemach, może pomyśleć, że to najszczęśliwszy facet na świecie. Nie pamiętam, żeby kiedyś wyglądał na tak szczęśliwego.

Podziękowałam Ricardowi za tę uwagę, nie dając nic po sobie poznać, ale byłam nieco zaskoczona. Więc z nią czuł się szczęśliwszy niż kiedyś ze mną? Niemożliwe. Przez pierwsze lata naszego związku Dan był w siódmym niebie — i nie tylko z powodu zawrotnej kariery sportowej, ale również dlatego, że tak bardzo byliśmy w sobie zakochani. Zresztą to bez sensu, żebym rywalizowała z kobietą, która ma mnie uratować od klęski finansowej,

pomyślałam. Powinnam skakać z radości, że wszyscy się kochają.

— Ojej, ale się zrobiło późno — zauważyłam, spoglądając na zegarek.
— Może zadzwoni pan na górę?

Po rytualnym odczekaniu ruszyliśmy z Busterem windą, wysiedliśmy na piętrze Dana i zadzwoniliśmy do niego. Nie otworzył od razu, więc mruknęłam do Bustera:

— No proszę, a tydzień temu tyle było gadania o moich potrzebach. Pewnie poszedł z powrotem do łóżka i w ogóle o nas zapomniał.

Czekałam chwilę, postukałam stopą w podłogę i czekałam dalej. Kiedy zaczynałam już tracić cierpliwość i właśnie miałam walnąć pięścią w drzwi, te się nagle otworzyły. A w nich stanął Dan - nie w szlafroku i nawet nie w dżinsach, ale w prawdziwym garniturze. Wyglądał niemalże, no, wyglądał fantastycznie. W ciągu ostatnich kilku tygodni zauważyłam, że trochę schudł, ale teraz widziałam wyraźnie, że zrzucił co najmniej pięć kilogramów. A więc odkąd się zakochał, bardziej o siebie dba? Zwraca uwagę na wygląd? Uważa na to, co je? Czy też tak bardzo się zakochał, że stracił swój legendarny apetyt? Kiedy ja zaczęłam się z nim umawiać, nic nie mogłam przełknąć. To dlatego mówi się „chory z miłości” - tłumaczyła mi koleżanka. Czy teraz jemu się to przytrafiło? Z Leah?

— Przepraszam, naprawdę. Wchodźcie, wchodźcie - powiedział Dan, uśmiechając się szeroko i do Bustera, i do mnie. Dziwne. Bo mnie zazwyczaj dostawał się grymas niezadowolenia. - Rozmawiałem przez telefon, musiałem potwierdzić spotkanie.

— Ładny garnitur - zauważyłam, lustrując go po wejściu do mieszkania. - Kiedy go kupił?

— Błagam, obejźmy się dziś bez tych złośliwości. Muszę się skupić.

— Na czym?

- Mam rozmowę kwalifikacyjną. - Zacisnął obydwie kciuki. - Myśl o mnie koło jedenastej.

Po prostu osłupiałam. Rozmowa kwalifikacyjna?! Przez chwilę nie mogłam wydobyć z siebie słowa.

- Wiem, wiem, nie wierzysz mi - śmiał się tymczasem Dan. Sporo w tym śmiechu było autoironii, kiedyś potrafił mnie nim oczarować. — Dowiedziałem się, że LIU szuka trenera, więc co tam, spróbuję.

- Long Island University? — zapytałam wciąż jeszcze w ciężkim szoku.

- Kampus CW Post w Brookville. Po raz pierwszy kończą sezon bez porażki, a drugi raz z rzędu są w pierwszej dziesiątce Konferencji Northeast, ale ich trener przechodzi na emeryturę. Jesienią drużynę musi przejąć ktoś inny, więc postanowiłem zgłosić swoją kandydaturę.

Kręciłam głową zdumiona tym, co słyszę. Czy to ten sam człowiek, który uparcie i z pogardą odrzucał sam pomysł trenowania jakiegokolwiek miejscowej drużyny uczelnianej? A teraz nie tylko pomysł mu się podobał, ale sam wyszedł z inicjatywą w tej kwestii? Cóż, mogłam się jedynie dziwić tym niespodziewanym zwrotem o sto osiemdziesiąt stopni.

- No, kotku — prosił - powiedz, że będziesz za mnie trzymała kciuki. Jutro znów możesz mnie nienawidzić, ale dziś trzymaj kciuki.

- Ale... ja — jąkałam się. Tak byłam zdumiona obrotem wydarzeń. Jąkałam się, mrugałam powiekami, czułam, jak drży mi górna warga, zaczęłam nawet okręcać kosmyk. Wszystkie znane nerwowe odruchy. — Mam nadzieję, że dostaniesz tę pracę - udało mi się w końcu wydukać.

Kiwnął głową.

- To dużo dla mnie znaczy. Dzięki.

Nastąpiła niezręczna cisza - tak długo już nie byliśmy dla siebie mili, że wyszliśmy z wprawy - aż zadzwonił

telefon. Kiedy poszedł odebrać, ja postanowiłam przejść się po pokoju z zamiarem przemyślenia tej ewidentnej i raczej niespodziewanej zmiany, jaka zaszła w moim byłym mężu. Czyżby to stare oklepane powiedzenie było prawdą? Ze miłość dobrej kobiety potrafi odmienić życie faceta nie do poznania? I czy to właśnie przydarzyło się Danowi? Ja też próbowałam odmienić jego życie, ale poniosłam sromotną klęskę. Czyżbym nie była dobrą kobietą? Co takiego miała Leah, czego ja nie miałam? I dlaczego ni stąd, ni zowąd poczułam się tak irracjonalnie przez nią zagrożona?

Stałam przy stoliku, patrząc bezmyślnie na oprawione w ramki zdjęcia i próbując zrozumieć te nowe dla mnie, ale niezaprzeczalnie negatywne uczucia, jakie żywiłam dla Leah, gdy ze zdumieniem zdałam sobie sprawę, że moje fotografie — moje z Danem - znikły.

Jeszcze raz się uważnie przyjrzałam. Były zdjęcia Dana z okresu, gdy jeszcze grał dla Oklahomy. I jedno już w drużynie Giantsów. To, na którym siłuje się z ojcem, jak z braćmi łowi ryby na muchę i jak odgryza wielki kęs szarlotki swojej mamy. Wszystkie na miejscu oprócz tych ze mną.

Wiem, pamiętam, jak sama się dziwiłam, że po rozwodzie zostawił na stoliku nasze wspólne zdjęcia, że jest leniwy i bierny i że w ten sposób żalśnie trzyma się dawnych dobrych czasów. A teraz ich brak zupełnie wytrącił mnie z równowagi. Zamiast się ucieszyć, że najwyraźniej ruszył do przodu dzięki Leah, kobiecie, którą sama mu znalazłam, żeby właśnie go do przodu popchnęła, ja się poczułam głęboko urażona. Co ona sobie myśli, że zmusza Dana do usuwania, ukrywania, a może nawet wyrzucenia do kosza cudownych wspomnień związanych ze mną? Nie ma prawa! Jest tylko tymczasową dziewczyną! Jak śmie pozbywać się mnie i wszystkich śladów po mnie

z mojego własnego jeszcze niedawno mieszkania? Czułam się dotknięta. I byłam wściekła!

- O, jesteś jeszcze - powiedział Dan, gdy wrócił do salonu. — Zazwyczaj bardzo się spieszysz do pracy.

- A ty zwykle spieszysz się mnie wykopać, żeby mieć Bustera tylko dla siebie.

Uśmiechnął się i wyciągnął do mnie rękę.

— Co powiesz na rozejm, kotku? Chcesz zostać chwilę i побыć z Busterem? Jeśli o mnie chodzi, nie ma sprawy, wręcz przeciwnie. Mam jeszcze trochę czasu.

Stał tak przez chwilę z wyciągniętą dłonią, a ja pomyślałam, że rzeczywiście jakoś dziś mnie nie prowokuje. Zachowywał się jak człowiek, to znaczy jak na niego. Właściwie czemu nie?

Ostrożnie uścisnęłam mu dłoń.

— No proszę. To wcale nie było takie trudne, prawda? - powiedział, po czym przysiadł na oparciu kanapy. - Nie musimy być wrogami. Wołałem, jak nie byliśmy.

- Jesteśmy nimi tylko dlatego, że upierasz się przy... Położył palec na moich ustach.

- Rozejm, pamiętasz?

Skinęłam głową. To wszystko było tak niespodziewane, uprzejmość, jaką mi okazywał. Nie wiedziałam, jak się zachować, więc usiadłam na podłodze, żeby pobawić się z Busterem.

- No to co u ciebie słyhać? - zapytał z uśmiechem Dan.

— Co słyhać?

— W pracy. U znajomych. W ogóle. Jak się miewa Weezie?

Mówi serio? Czy znów mnie wrabia? Nie wiedziałam, co myśleć.

— W porządku — odparłam przekonana, że mnie podpuszcza. Udaje, że wszystko cacy, żeby za chwilę mnie

zdołować. - Jakoś udaje się jej prowadzić szczęśliwe życie, podczas gdy reszta z nas musi ciężko walczyć o swoje.

— A więc dla ciebie to wciąż walka?

Spojrzałam na niego. Kto to w ogóle jest? Ten sam Dan, z którym się rozwiodłam? Czy to on zadaje mi te pytania? Nigdy jakoś nie przypisywałam mu skłonności do refleksji.

— Wciąż? Co masz na myśli?

— Jedna z pierwszych rzeczy, jakie mi powiedziałaś, to ta, że nic w życiu nie przychodzi ci łatwo. Miałam nadzieję, że to już przeszłość.

Mówił to takim ciepłym tonem, że cała wrogość do niego mimowolnie się gdzieś ulotniła.

— Przechodzę trudny okres w związku z rozwodem — przyznałam. — Nie mogę się pogodzić z tymi alimentami.

— No tak, wiem - powiedział bez najmniejszego śladu ironii. Kolejne zaskoczenie. — A oprócz tego?

— Nie cierpię się dzielić Busterem. Tęsknię za nim, gdy jest z tobą.

— Ja czuję to samo, kiedy jest z tobą - mówił Dan. - Ale obydwójce staramy się, jak najlepiej potrafimy. Buster ma dwoje kochających rodziców. I tak się składa, że nie mieszkają razem. — Przerwał na moment. — Trudno ci wracać do randek?

— Randek? - Roześmiałam się. - To raczej niski priorytet. W ogóle mnie nie interesują.

— I nie czujesz się samotna?

Znowu — miły ton zamiast zwyczajowych prowokacyjnych szyderstw. Byłam skonsternowana, ale i zafascynowana tą nagłą przemianą. To Evan był dla mnie miły, nie mój eksmąż. W każdym razie nie był taki już od lat. Nawet nie pamiętałam, kiedy ostatni raz rozmawialiśmy bez oskarżeń i wyzwisk, więc nie wiedziałam, jak się zachować.

— A co cię nagle obchodzi, czy jestem samotna?

— Mel, obchodzi mnie i zawsze będzie obchodzić. Niezależnie od tego, co się wydarzy.

Przyjrzałam mu się jak naukowiec laboratoryjnemu szczurowi. Przez bardzo długi czas w ogóle nie mówił o swoich uczuciach do mnie, ale mimo że im nie ufałam - nadal uważałam, że facet, któremu zależy na kobiecie, nie bierze od niej kasy - nie uprzedzałam się też do nich. Kiedy zrzuciłam pancierz, stwierdziłam, że taka zwykła szczerą rozmowa z byłym mężem może być bardzo kojąca. Nikt przecież nie znał mnie tak dobrze jak on, to on przez tyle lat spał obok mnie, wysłuchiwał mnie, kiedy tego potrzebowałam, i zwierzał mi się ze swoich problemów. Mogłam na niego liczyć, od początku do końca. Nie miałam rodziców ani rodzeństwa, by zwrócić się do nich w chwilach zwątpienia. Dan zawsze był i nadal jest najważniejszą osobą w moim życiu. Ale pomyśl, że będziemy w stanie siedzieć w jednym pokoju i odnosić się do siebie nie tylko kulturalnie, ale i ze współczuciem, wydawał się zupełnie nieprawdopodobny.

— „Niezależnie od tego, co się wydarzy” — powtórzyłam jego słowa.
- To brzmi trochę zagadkowo. Mówisz

O swoich randkach? Spotykasz się jeszcze z tą weterynarz?

I tu skończyła się moja szczerłość. Trzeba było słyszeć, jakim niewinnym tonem zadałam to pytanie.

— No pewnie - odparł, a twarz, jak by to ujął Ricardo, mu się rozpromieniła. — Spędzamy razem dużo czasu

i jej pozytywne cechy chyba mi się udzielają.

Dużo czasu razem. I to czasu dobrze udokumentowanego.

— Tak? W jaki sposób? - wskazałam na stolik z fotografiami. — Na przykład w taki, że pozbywasz się moich zdjęć?

— A, zdjęcia. — Wzruszył ramionami. — No wiesz, Leah jest kobietą. Przychodzi tu i wszędzie widzi twarz

mojej byłej żony. To jej się nie podoba i trudno ją za to winić.

Oczywiście, przecież nie mogłam jej winić. I oczywiście, winiłam ją. Winienie jej nie miało najmniejszego sensu, a jednak mimo że dziękowałam za nią Bogu, jednocześnie pielęgnowałam w sobie malutką urazę do niej.

- Czy to Leah zasugerowała, żebyś poszedł dziś na tę rozmowę? - spytałam.

- Czy zachęcała mnie, żebym wziął życie w swoje ręce, zamiast od niego uciekać? Jak najbardziej. Wiem, że ty też próbowałaś mi to wytłumaczyć, ale ona tak ze mną rozmawia, że potrafi poruszyć we mnie odpowiednią strunę.

Poruszyć strunę. Nigdy w życiu nie używał takich metafor.

-To ciekawe - odparłam teraz już w pełni świadoma, że czuję do tej kobiety zdecydowaną wrogość. Nie dość, że daje Danowi więcej szczęścia niż ja, to jeszcze lepiej go rozumie, a na dokładkę dzięki niej Dan wzbogaca swoje słownictwo! Ta baba zamienia go w siekaną wątróbkę.

- Z całą pewnością mogę powiedzieć, że kiedy ze mną rozmawia, nie ocenia mnie ani nie krytykuje - rozwodził się Dan. - Jest cudownie wspaniałomyślna.

Wcale nie, to ja byłam wspaniałomyślna! Bo to nie ona zapłaciła za naszyjnik z ametystów. Tylko ja!

- O, więc jesteście ze sobą bardzo blisko. Po tak krótkim czasie.

Pogroził mi palcem.

-Jesteśmy blisko, ale nie licz na to, że zobaczysz mnie przed ołtarzem. Już ci mówiłem, nie mam zamiaru się żenić. Z nikim.

- A wspólne mieszkanie? - sondowałam. — Czy Leah chce się tu wprowadzić?

- Więcej niż chce. Już ma u mnie część swoich rzeczy. Testujemy, jak nam razem jest. - Spojrzał na mnie uważnie. — W ugodzie nie ma chyba nic o wspólnym mieszkaniu, no nie?

I co powiecie na taką chwilę prawdy? Kiedy siedziałam tam, patrząc w te niebieskie chłopięce oczy mojego męża, nieco nadwątłego, ale jednak wciąż złotego Traffica Dana Swaina, zadałam sobie pytanie: Czy naprawdę potrafię go tak oszukać? Faceta, który próbuje naprawić swoje życie, ale nie pamięta ustaleń własnej ugody rozwodowej? Czy będę mogła spojrzeć w lustro, jeśli w ten sposób pozbawię go alimentów? Czy rzeczywiście mogę to zrobić? Ja, Melanie?

Ale kiedy poczułam, że entuzjazm dla mojego misternego planu zaczyna słabnąć, przypomniałam sobie, że to przecież on mnie wyrolował. To on nie miał skrupułów, żeby odbierać mi każdego zarobionego centa, a potem roztrwonić go następnego dnia. I to przecież on powiedział: „Kocham cię i żałuję, że odchodzisz, ale skoro chcesz, możesz się teraz zapracować na śmierć, żebym mógł sobie kupić mnóstwo nowych błyszczących zabawek”. I to on wymachiwał mi tymi zabawkami przed nosem, a ja nie mogłam się skupić na pracy. To on wykorzystywał mnie, nie ja jego.

Więc owszem, mogłam spokojnie kontynuować to, co sobie zaplanowałam. I tak miałam zamiar zrobić.

— Nie - odparłam. — Ugoda nic o tym nie mówi. Leah może się wprowadzić, a ty nadal będziesz bezpieczny. Zadowolony?

- Bardzo. - Uśmiechnął się. - Ona jest cudowna, Mel. Nie wiem, jak długo to potrwa, ale odkąd ją poznałem, czuję się jak nowo narodzony. Pod wieloma względami przypomina mi ciebie.

— Naprawdę?

— Tak. Jest piękna, niezależna, świetna w tym, co robi. — Przerwał na chwilę. - Jak o tym teraz myślę, to właściwie jest tobą, tylko się nie wymądrza. - Roześmiał się. — Na pewno byś ją polubiła.

Ja nie byłam taka pewna, ale już wkrótce miałam szansę się przekonać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wciąż siedziałam na podłodze, ciesząc się Busterem i gawędząc z odmienionym, miłym i odzianym w garnitur Danem, gdy usłyszałam odgłos przekręcanego w drzwiach klucza.

— Isa nie przychodzi już po południu? — zapytałam, bo była dopiero dziewiąta rano, więc za wcześnie na gosposię.

Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, do mieszkania weszła zjawiskowo piękna kobieta. Z teczką. Ubrana w dopasowany czarny komplecik składający się ze spódnicy i sweterka pod elegancką maleńką kurteczką z czarnej skóry. Miała niesamowicie długie nogi, płaski brzuch, piersi jak melony i gęste błyszczące sięgające do ramion kasztanowe włosy, tak jedwabiste, że można by z nich zrobić futro. A twarz? Wyobraźcie sobie nieskazitelną cerę, zielone oczy w kształcie migdałów oraz nos i usta w idealnych proporcjach do całej reszty. No tak, Desiree się zarzekała, że Leah jest piękna, ale to było aż śmieszne.

— Cześć, słonko — powiedział Dan, kiedy otworzyła drzwi. A ja wróciłam chyba do przeszłości, bo minęło kilka sekund, zanim uświadomiłam sobie, że to nie do mnie się zwraca. — Zapomniałaś czegoś?

— Książeczki czekowej — odpowiedziała, wchodząc szybko do środka małymi, pełnymi wdzięku kroczkami. Głos miała delikatny, zmysłowy i śpiewny jak dźwięk dzwoneczka. — Musiałam ją zostawić...

Zatrzymała się, kiedy zobaczyła mnie na podłodze z Busterem — pies natychmiast wystrzelił z moich ramion, żeby obwąchać jej buty marki Manolo Blahnik.

Pochyliła się, żeby go pogłaskać.

— To tylko ja, mój śliczny Busty.

Z przerażeniem i fascynacją obserwowałam jego ogon, który śmigał jak zepsuta wycieraczka samochodowa. Kiedy go pogłaskała, zaczął ją lizać, wyciągał do niej łapy i mruczał jak jakiś cholerny kot. Był nią zauroczony tak samo jak jego pan.

— Leah, to jest Melanie - przedstawił mnie Dan. -Melanie, Leah.

Nie wstałam. Niech ona zniży się do mnie, pomyślałam. Wiecie, o co mi chodzi.

— Cześć — pozdrowiłam ją. — Miło cię poznać. Pomachała do mnie.

— I nawzajem. Dużo o tobie słyszałam. I bardzo, ale to bardzo kocham waszego psa.

— Wygląda na to, że on czuje bardzo, ale to bardzo podobnie — odparłam, wcale nie zamierzając jej przedrzeźnić. Tak jakoś samo wyszło.

— Uważałabym jednak na kataraktę — dodała. — Mopsy w jego wieku mają do nich skłonność, a zauważyłam, że jego percepcja głębi nie zawsze jest taka jak powinna. - Uśmiechnęła się. - Nie wiem, czy Dan ci mówił, że jestem weterynarzem.

-Tak, wspominał, ale my mamy już weterynarza, więc wszystko jest pod kontrolą. Na ostatniej wizycie nie stwierdzono katarakty. Ani żadnych innych problemów, jeśli już o to chodzi. - Ty konowałko. Ty wichrzycielko. Ty złodziejko miłości mojego psa.

-To dobrze, bardzo się cieszę - odparła, po czym zwróciła się do Dana. — Pójdę po tę książeczkę.

I poszła do sypialni, a mój zdradziecki Buster pobiegł za nią. Kiedy znikła za drzwiami, Dan powiedział:

— Mówiłem ci, że zostaje na noc. Wydało mi się logiczne, żeby dać jej klucz.

— Nie musisz się tłumaczyć — powiedziałam, wstając z podłogi. - Ale po co jej w gabinecie książeczka czekowa? Chyba nie musi płacić ludziom za przyprowadzanie do niej zwierząt?

-Mel.

— Kiedyś uważałeś, że jestem zabawna.

— Kiedyś twoje żarty nie były takie zjadliwe. Leah jest zabawna i potrafi być przy tym jednocześnie miła.

— Mówisz tak, bo ma fajne cycki. -Mel.

— No dobra, już nie będę.

Po chwili wróciła, z Busterem przy nodze.

— Mam — powiedziała z książeczką w dłoni. Pocałowała Dana w usta, a potem starła pozostałość szminki. -Denerwujesz się, Swainy?

Swainy?

— Jeszcze nie, ale na pewno zacznę, jak tylko wsiądę do samochodu.

Wzięła go za rękę i cała się o niego oparła. Szkoda, że nie odwróciłam wzroku.

— Pamiętaj, co ci mówiłam. To przygoda. Poznasz nowych ludzi, dowiesz się czegoś o uczelni, o drużynie, pogadasz o sporcie, który tak lubisz. Nie myśl w kategoriach, czy im się spodobaś albo czy mówisz to, co chcą usłyszeć. Bądź sobą, a resztę zostaw losowi. Będzie, co będzie, nie ma pośpiechu, Swainy. Jeśli nie ta praca, to inna. OK?

Nie ma pośpiechu? No jasne, przecież ma stały dochód. Mój!

Dan mrugnął do mnie.

— A nie mówiłem ci, że jest miła?

— Mówiłeś.

Tak miła, że aż mdli.

— I że potrafi poruszyć we mnie właściwą strunę?

- Owszem. We mnie też poruszyła. Pójdę dziś' do pracy i potraktuję ją jak przygodę.

- Dan mówił mi, gdzie pracujesz, Melanie, ale chyba zapomniałam. Jesteś maklerem? - pytała Leah.

- Nie, zarządzam maklerami — wyjaśniałam, prostując plecy. - Jestem wiceprezesem u Pierce'a, Shelleya i Steinberga, nadzoruję portfele inwestycyjne, które zawierają cały szereg aktywów, w tym również akcje.

- Mel to ich atutowy as - dodał Dan.

- Brzmi bardzo, ale to bardzo interesująco - odparła Leah. - Ja nigdy nie znałam się na liczbach. Moje serce i dusza należą do istot żywych.

- No i właśnie istoty żywe inwestują pieniądze - zauważyłam. - Moi klienci to ssaki, w każdym razie zdecydowana większość.

Dan rzucił mi ostre spojrzenie.

- Chyba będę was musiał wyrzucić — powiedział, prowadząc nas obie do drzwi.

Szybko pożegnałam się z Busterem, a Leah ze Swai-nym, po czym wylądowałyśmy razem w windzie.

- No tak - zaczęłam, czując, że powinnam coś powiedzieć, jak to w windzie. - Długo już spotykacie się z Danem?

- Koło miesiąca. Niezbyt długo, można by powiedzieć, biorąc pod uwagę ogólne standardy, ale bardzo szybko się do siebie zbliżyliśmy. - Westchnęła jak zakochana nastolatka. - Dan to najlepsza rzecz, jaka mi się w życiu zdarzyła.

Co z nią? Dan to największy obibok na świecie, a ona jest tak piękna i urocza jak w reklamie. Może pani Thornberg ma rację i Leah rzeczywiście ćpa.

- Nie chodzi o to, że jest najprzystojniejszym facetem, jakiego miałam, choć przyznaję, że fizycznie jest bardzo atrakcyjny - ciągnęła bez żadnej zachęty z mojej strony. - Chodzi mi o to, że jest dobry. Uczciwy. Przyzwoity.

- Więc jeszcze nie zabrał cię na żaden striptiz? Roześmiała się.
- Wiem, że nie jest aniołem, za to bardzo, ale to bardzo próbuje się zmienić.
- Mówił, że masz na niego niezwykle pozytywny wpływ.
- Myślę, że potrzebował po prostu kogoś, kto by go wspierał. Wspierał? Czyż nie właśnie to robiłam? Regularnie co miesiąc?
- O, jesteśmy — powiedziałam, gdy winda zjechała na parter. Chciałam się pożegnać i pójść w swoją stronę, ale ona nie przestawała gadać. I jednocześnie iść. Tak więc, chcąc nie chcąc, szłam razem z nią w stronę Ricarda.
- O, cieszę się, że się panie spotkały — odezwał się do nas, a potem zwrócił do mnie: - Niezła opiekunka, co?
- Opiekunka? - zdziwiła się Leah. - Mówi pan, jakbym była jakąś pielęgniarką.
- Przepraszam. Nie mam pojęcia, jak wy się dzisiaj nazywacie - wypalił, zanim zdążyłam go zakneblować. -Opiekunka, pielęgniarka, terapeutka.
- Nazywamy się weterynarzami - wyjaśniła Leah z miną, która wskazywała, że jej zdaniem portier nie jest zupełnie zdrow.
- Ricardo skinął głową.
- Pan Swain to przecież zwierzę, no tak. Nigdy nie zapomnę tego meczu z Dolphins, kiedy wziął na siebie czterech, a i tak utrzymał piłkę. Pociągnęłam Leah za łokieć.
- Muszę już iść.
- Tak, ja też.
- Ricardo pchnął obrotowe drzwi.
- Cieszę się, że pan Swain dochodzi do siebie — zawołał jeszcze za nami. — To byłaby tragedia, gdybyśmy go stracili.

Oczy Leah rozszerzyło zdumienie. Już właściwie wyszła, ale po odzywce Ricarda pchnęła drzwi i weszła z powrotem, a ja za nią.

- Stracili? - spojrzała na mnie. — O czym on mówi?

- Wszystko w porządku - powiedział Ricardo, zniżając głos. - Wiem, co się dzieje. Dzięki pani wciąż jest wśród nas.

- Nic nie rozumiem.

Wzięłam ją pod ramię i wywlokłam na zewnątrz.

- Ricardo nie umiał się pogodzić z tym, że Dan już nie gra - tłumaczyłam już na ulicy. - Jest lojalnym kibicem i boi się, że teraz, po rozwodzie, Dan wyjedzie z Nowego Jorku, by wrócić do Oklahomy. I pewnie to miał na myśli, mówiąc „gdybyśmy go stracili”.

Leah się uspokoiła i nawet uśmiechnęła.

- Dan nigdzie się nie wybiera. Nigdy nie wyprowadziłby się z tego mieszkania. Wczoraj nawet powiedział mi, że mogę je przemaalować. Wiem, że mieszkaliście tam razem, ale przydałby mu się mały lifting.

- Lifting?

A co do Dana, to owszem, wyprowadzi się. Jak tylko minie dziewięćdziesiąt dni, nie będzie go na nie stać.

- No tak. Kolory są, sama wiesz, sprzed dziesięciu lat. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

To były moje kolory. Tak jak zdjęcia na stoliku. I mops bez katarakty też był moim mopsem. Nie lubiłam tej kobiety, ale odpowiedziałam:

- Cokolwiek zdecydujecie z Danem, będzie w porządku.

Bo tak to już jest z miłymi ludźmi - na ich tle można wypaść bardzo niekorzystnie, jeśli nie zachowa się ostrożności.

- Co za ulga, że tak właśnie myślisz. Bo nie chciałam cię obrazić.

— Obrazić? Mnie? Nie wygłupiaj się. - Zachichotałam na samą myśl.
— Budujecie z Danem nowy związek. Wspólne pożycie jest jego nieodzowną częścią. — Powiedziałam to zwyczajnie, nie wyśmiewając się ani nie wymądrzając.

Leah się rozpromieniła, a potem mocno mnie uściskała.

— Cieszę się, że to powiedziałaś. — Jeszcze raz mnie ścisnęła. — Spotykałam się z wieloma rozwiedzionymi facetami i ich żony były przeważnie rozgoryczone i mściwe. Ale ty? - Objęła mnie po raz trzeci.
— Jesteś bardzo, ale to bardzo fajna.

Jak już wspomniałam, problem z miłymi ludźmi polega na tym, że nie można ich po prostu posłać na drzewo niezależnie od tego, jak bardzo by się chciało.

Kiedy dotarłam w końcu do pracy, dochodziła dziesiąta. Dość późno jak na mnie. Ale uznałam, że po tych wszystkich latach i długich godzinach spędzonych za biurkiem jedna w tę czy w tamtą nie ma większego znaczenia. Poza tym nie zaplanowałam dziś żadnych spotkań ani prezentacji. Ot, zupełnie zwyczajny dzień u Pierce'a, Shelleya i Steinberga.

Steffi nie było przy biurku - musiała pójść do magazynu po papier albo coś kserować — za to na moim znalazłam mnóstwo wiadomości. Zawróciłam na korytarz, żeby jej poszukać. Inne asystentki stały grupkami tu i ówdzie, coś poszeptując - niemal wszystkie znały mnie na tyle dobrze, żeby powiedzieć dzień dobry, a jednak tego nie zrobiły. Właściwie kiedy przechodziłam, milkły i spuszczały wzrok.

Coś wisiało w powietrzu, ale co? Jakaś pikantna ploteczka? Ktoś nas przejmował? My przejmowaliśmy kogoś? Pod-kradliśmy klienta innej firmie? Wyrzucali jakąś grubą rybę?

Postanowiłam najpierw wstąpić do Berniego, może on mnie oświeci. Kiedy do niego dotarłam, Carla, jego asystentka, ogromna blada kobieta z wielkimi nozdrzami, poinformowała mnie, że Bernie ma spotkanie. Powiedziałam, że zaczekam, choć widziałam, że bardzo jej to nie odpowiada.

Dwie minuty później drzwi gabinetu Berniego się otwały i wyszli stamtąd Bernie oraz Jed Ornbaher, poklepując się po plecach, najwyraźniej w bardzo dobrych nastrojach. Kiedy mnie zauważyli, stanęli jak wryci.

- O, Mel — powiedział Bernie najwyraźniej zakłopotany. — Myślałem, że jeszcze cię nie ma.

- Kto ci to powiedział? — odparłam z szerokim uśmiechem. Zaczynał mnie boleć brzuch. — Oczywiście, że jestem — dodałam, po czym zwróciłam się do swojego klienta i zawołałam głośno, żeby potem nie powtarzać: -Panie Jedzie? Wszystko w porządku? Wraca pan dziś do Teksasu, tak?

Jed zdjął swój kowbojski kapelusz, odkrywając kowbojski tupecik, i przysunął się do mnie.

- Bystra z pani niewiasta — powiedział, biorąc moją dłoń i poklepując ją, tym razem jednak bardziej jak dziadek niż obleśny staruch. - Będę się za panią modlił, ale chcę, żeby pani sama też się pomodliła. Słyszysz mnie pani, młoda damo?

Mówił tak głośno, że słyszeli go chyba w samym Dallas.

- Dziękuję, przyda mi się każda modlitwa. Jak zresztą nam wszystkim w tym zwariowanym świecie, prawda?

Włożył kapelusz z powrotem na głowę.

- Trzeba ufać Panu, a wszystko się ułoży.

Potem roześmiał się, zakaszłał i zarzęził, a na koniec stwierdził, że musi już iść.

- Przyjemnego lotu, wkrótce się odezwę - powiedziałam, machając mu na pożegnanie, gdy Bernie prowadził go do windy.

Dziwne, myślałam, patrząc, jak idą korytarzem. Dlaczego przed wyjazdem się ze mną nie spotkał? I co w dzień wyjazdu robił u Berniego? To ja nadzorowałam jego konto. Ja przekonałam go do wyboru naszej firmy. Ja zrobiłam na nim wrażenie swoją prezentacją. Owszem, parę razy sknociłam sprawę — spotkania i telefony — ale opracowałam dla niego doskonały plan inwestycyjny i potrzebowałam jedynie odrobiny czasu, żeby wcielić go w życie.

No cóż, może po prostu się spieszył, stwierdziłam. Tak, spieszył się przecież na samolot. Ale zaraz sobie przypomniałam, że Jed posiada własny samolot, który w żadnym wypadku nie odleciałby bez niego.

Moje lęki zaczęły żyć własnym życiem, więc postanowiłam zaczekać na powrót Berniego, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku. Carla wciąż na mnie zerkiała -nozdrza miała tak wielkie, że można by w nie włożyć hot dogi, i to razem z bułkami — ale to nie czas na myślenie o jedzeniu, przywołałam się do porządku.

— O, bardzo dobrze. Miałem nadzieję, że pogadamy - powiedział do mnie łagodnie Bernie, jakbym była co najmniej pacjentem chorym psychicznie, który zaraz wpadnie w szal.

— Bardzo chętnie — odparłam. Weszliśmy do niego i usiedliśmy, on za biurkiem, ja naprzeciwko niego. — Czy mój klient tobie również zaoferował modlitwę? - Roześmiałam się. — Czasami facet rzeczywiście przegina, co?

— Właśnie o tym chciałem pogadać - Bernie kontynuował tym samym monotonnym tonem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszałam. — Jed nie jest już twoim klientem.

Początkowo to do mnie nie dotarło. Oczywiście, że jest moim klientem. Przecież nie kłócił się z Berniem, więc stosunki mamy dobre. I na pewno nie dostałam powiadomienia, że Jed rezygnuje z naszych usług.

- Ja przejmuję jego konto — wyjaśnił Bernie. — Dziś rano omówiliśmy szczegóły i miałem ci powiedzieć zaraz po jego wyjściu.

Nie mogłam w to uwierzyć. Jakbym dostała pięścią prosto w brzuch. Nigdy nie straciłam klienta — w każdym razie nie na rzecz kolegi z firmy - i w ogóle nie myślałam, że to możliwe. Liczyłam na partnerstwo, a nie na degradację. Jak to się mogło stać? Jak mogłam do tego dopuścić?

- Dlaczego przejmujesz jego konto? — zapytałam, próbując zachować spokój, ale słyszałam swój płaczliwy głos. Był wysoki i piskliwy, jak w zabawce, którą Evan kupił Busterowi. - Podważył moje kompetencje?

- Mel - powiedział Bernie. - Obydwoje wiemy, że ostatnio nie potrafisz się skupić na pracy. Sama to przyznałaś.

Więc wszystko przez Dana i alimenty. No tak, wprawienie maszyny w ruch pochłonęło sporą część mojej energii, ale jak często powtarza Desiree, swatanie to przedsięwzięcie na pełny etat, nawet jeśli to nie ty szukasz miłości. To znaczy nie dla siebie. Gdybym cała się temu nie oddała, jak inaczej mogłabym zwerbować Ricarda, Isę i panią Thornberg? Czy wtedy wszystko potoczyłoby się tak gładko? Na pewno nie! Szło dobrze tylko dlatego, że czuwałam nad całością i każdym detalem, oto odpowiedź!

- To właśnie przez ten brak skupienia Jed uznał, że nie poświęcasz mu stu procent swojej uwagi - kontynuował Bernie.

- Ale obiecałam ci, że to tylko chwilowe...

- Pozwól mi skończyć. Jesteś roztargniona. Przychodzisz do pracy nieprzygotowana. Nie wyrabiasz godzin. Nie poświęcasz mu tyle uwagi, ile potrzebuje.

- Nie pozwalam mu się obmacywać, o to ci chodzi? Bo jeśli tak, to możesz go sobie zabrać — powiedziałałam różgo rączko wana.

- Wcale nie o to chodzi i ty dobrze o tym wiesz. Jed chce tylko człowieka w pełni dyspozycyjnego, którego jak sądził, mu obiecaliśmy.

- Rozmawiałeś z nim o rozwodzie? I jak skomplikował mi życie? - spytałam, coraz bardziej tracąc siły i zapadając się w krzesło.

- Tak. Zapytał mnie wtedy — a ja przyznaję, że taka możliwość również przyszła mi do głowy, biorąc pod uwagę twoje roztargnienie i podenerwowanie w ostatnim czasie - czy to nie narkotyki.

- Co proszę?

- Czy nie mamy do czynienia na przykład z kokainą. Cpunka. O to mnie podejrzewali. No tak, wszystko,

co dajesz, wraca do ciebie. Mści się na mnie bajeczka, którą wymyśliłam o Leah.

- Bernie, ja nie biorę narkotyków — powiedziałam dobitnie, starając się, by mój głos zabrzmiał jak głos osoby najzupełniej trzeźwej, którą zresztą byłam.

- Normalnie już byś się pakowała - oznajmił Bernie, nie zdradzając, czy wierzy w moje związki z narkotykami. — Ale jesteś ważnym członkiem naszego zespołu, Mel. Więc daję ci jeszcze jedną szansę. Ja biorę Jeda, a ty pomniejsze rybki.

No to super. Jak mam dostać awans i podwyżkę z jakimiś płótkami? Jak się teraz wydostanę z Hotelu Złamanych Serc?

Istniał tylko jeden sposób - nie oddawać połowy pensji byłemu mężowi. Musiałam kontynuować swoją walkę.

- To nie narkotyki - powtórzyłam. - To rozwód i jestem na dobrej drodze, żeby z tego wyjść. Za kilka miesięcy nie będziesz już pamiętał tej rozmowy. Będę znowu sobą, Bernie, a ty oddasz mi grube ryby, które będę sprowadzać do firmy, jak zawsze. Zobaczysz.

Kiwnął głową.

- Cokolwiek to jest, trzymam kciuki, żebyś nad tym zapanowała.
Raczej nad nimi zapanowała. A byłam już blisko. Tak blisko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kiedy tydzień później Dan przywiózł Bustera, był nie tylko punktualnie, ale wyglądał wystrzałowo, jakby ruszał na podbój świata. Miał na sobie jeden ze starszych garniturów, w który wcześniej nie wchodził, a teraz proszę, idealnie pasował na jego odchudzone ciało. Był niesamowicie przystojny, ale najbardziej uderzyło mnie jego widoczne ożywienie, energia, którą tryskał. Jakby ktoś go włączył. Przy każdym spotkaniu zauważałam w nim kolejne subtelne zmiany - wyraz twarzy, chód, nastawienie - i nie bardzo wiedziałam, jak na nie reagować. Jak reagować na niego. Po wszystkich moich narzekaniach i złośliwościach o tym, że się wyłączył, on nagle wyłania się z mgły i zaczyna przypominać żywego człowieka.

- Nie mam jeszcze wieści z LIU, ale rozmowa poszła tak dobrze, że postanowiłem się umówić na kolejną - powiedział, tłumacząc swój strój.

- Też posada trenera? - pytałam zdumiona.

- Tak, tym razem Rutgers. I jeszcze w tym tygodniu będę rozmawiał z Columbią. Ich drużyna jest tak beznadziejna, że równie dobrze mogą spróbować szczęścia ze mną.

Roześmiał się skromnie, a ja nagle jakbym wróciła do czasów studenckich i tego wieczoru w restauracji, kiedy się poznaliśmy. Wtedy, gdy powiedział, że pierwszy raz jest w Wielkim Jabłku, właśnie tak się śmiał i absolutnie mnie oczarował. A teraz? Nie wiem, czy wydał mi się rzeczywiście czarujący czy zwyczajnie byłam wdzięczna, że

przestał kłuć mnie w oczy swoimi wydatkami. W każdym razie na pewno mnie nie prowokował, w wyniku czego nie przychodziłam na każde spotkanie jak na pole bitwy.

Ale bitwa o alimenty wciąż się toczyła. I dlatego w tej chwili nie powinnam była czuć nic oprócz powiewu zbliżającego się zwycięstwa, bo do upragnionych trzech miesięcy brakowało już coraz mniej. A mimo to, proszę, stałam tam, w moim salonie, i uśmiechałam się do niego, a on stał w tym samym salonie i uśmiechał się do mnie -jak dwoje ludzi, którzy się naprawdę lubią.

- Jestem pod wrażeniem, że się na to zdecydowałaś — powiedziałam autentycznie zdumiona tymi obudzonymi na nowo starymi uczuciami do niego, które się we mnie odezwały.

- Dziękuję ci.

- No wiesz, Dan, starasz się, to naprawdę coś. Spojrzałam na niego, na jego złociste włosy, które

błyszczały teraz w świetle dnia, i nagle ogarnęły mnie wątpliwości. A co, gdyby postarał się tak wcześniej? Gdyby sobie uświadomił, że jedyne, czego pragnęłam, to żeby poszukał pracy trenera zamiast ukojenia w butelce czy przy partii pokera albo w nocnym wypadzie na miasto? A gdyby zrozumiał, że zostawiłam go wyłącznie dlatego, że nie chciałam podjąć tego ryzyka, które właśnie teraz podejmuje? Czy nadal bylibyśmy razem? Czy w ogóle doszłoby do rozwodu? I czy to ja dzieliłabym z nim sypialnię, a nie Leah?

Leah. Na moment zupełnie o niej zapomniałam. Czy to rzeczywiście jej słodycz i gadki motywacyjne na poziomie przedszkolaka zdopingowały Dana do pracy nad sobą? Czy może i tak by się zmienił, gdyby tylko miał więcej czasu na przemyślenia?

Zamrugalam gwałtownie, chcąc otrząsnąć się z tych wszystkich pytań, bo były zupełnie nie na miejscu, zwa-

żywszy na okoliczności. Ale kiedy Dan znów się odezwał, jakby czytał w moich myślach.

- Pomyślałem sobie, że powinnaś wiedzieć - zaczął. - W końcu zrozumiałem, czego ode mnie chciałaś i czego sam powinienem od siebie wymagać.

-Tak? - powiedziałam zdziwiona, że myślimy dokładnie o tym samym.

- No tak. Bo widzisz, nie winię cię za to, że odeszłaś. Nie przykładałem się do pracy nad naszym związkiem. I w dodatku nie miałem też swojego życia. Próbowalaś mi to powiedzieć, ale ja za bardzo się bałem, żeby słuchać.

Więc jednak się mnie bał, jak mówiły pani Thornberg i Desiree. Ta myśl sprowokowała następne pytanie. A co, gdybym ja była taka słodka i bezkrytyczna jak Leah? Czy już wtedy by tak rozkwitł? Czy za nasze rozstanie ja też częściowo ponosiłam winę?

- A teraz jesteś gotów żyć własnym życiem? - zapytałam. Kiwnął głową.

- Ciągle jeszcze muszę nad tym pracować, ale poradzę sobie. - Znów pokiwał. - I zobaczysz, nawet ty będziesz ze mnie dumna.

- Och, Dan.

Byłam zupełnie skołowana tą jego nową samoświadomością, introspekcją. Nie planowałam odkrycia w sobie takiej tolerancji dla niego, nie mówiąc już o zauroczeniu - tego punktu nie było w moim „projekcie”. Miał tylko wpaść w zastawioną pułapkę, stracić prawo do alimentów i wesoło odejść swoją drogą. Nie miał mi natomiast przypominać człowieka, którego kiedyś kochałam.

- A może pogadamy o tym przy kawie? - zaproponowałam, bo nie wiedziałam, co powiedzieć. - Spieszysz się na tę rozmowę?

No to co, że ja powinnam się spieszyć do pracy, bo właściwie już byłam spóźniona? A z drugiej strony, odkąd

odebrano mi konto Jeda Ornbachera, nikogo nie interesowało, o której przychodzę czy wychodzę.

- Mam kilka minut - powiedział. - Twoja kawa nadal smakuje jak woda czy może skończyłaś już z rozpuszczalną?

Dałam mu kuksańca w żebro, dokładnie w miejscu, gdzie miał łaskotki, a on mi oddał. Wyszło zupełnie spontanicznie - pierwszy kontakt fizyczny od wieków - ale czułam się z tym bardzo dobrze. Tak znajomo.

Dan został na kawie, bawił się z Busterem i pomógł mi wymienić przepaloną żarówkę. I rozmawiał ze mną, ale nie jak człowiek, który chce się wymigać od przesłuchania. Wręcz przeciwnie, chciał mi się pochwalić. Opowiedział o spotkaniu w LIU i o tym, że został ochotnikiem w projekcie mającym propagować sport wśród dzieciaków z biednych rodzin. I że postanowili z Leah sami pomalować mieszkanie, wieczorami, po pierwsze, żeby zaoszczędzić, a po drugie, żeby robić coś wspólnie.

- Więc ciągle jesteście razem? - zapytałam, oczywiście znając odpowiedź. Isa dopiero co zameldowała, że ma zdjęcie majtek Leah w łóżku Dana.

- I to bardzo - odparł. - Nie myślałem, że jeszcze kiedykolwiek będę tak blisko z jakąś kobietą, ale jest między nami taka chemia... - przerwał onieśmielony. -Może nie powinienem.

- Daj spokój. Co chciałeś powiedzieć?

- Tylko to, że jest między nami taka chemia, jaką my mieliśmy na początku.

I znowu. To porównanie mnie zirytowało. Bardzo mi się nie podobało, że kobieta, którą podstępem sama wprowadziłam w jego życie tylko po to, żeby odegrała drugoplanową rolę, wzbudza w nim uczucia, jakie przed laty miał dla mnie. A mnie przecież poślubił. Byłam jego żoną. Jak w ogóle mógł zaliczać ją i mnie do tej samej

kategorii, nie mówiąc już o umieszczeniu nas w jednym zdaniu?

— Pamiętasz, jak przyjechałaś pierwszy raz do Minco? -Jak mogłabym zapomnieć? Przecież wtedy mi się oświadczyłeś.

— No właśnie. Ale pamiętasz, jak nie potrafiliśmy się nawet na chwilę rozstać? Byliśmy jak magnesy.

— Pamiętam - powiedziałam cicho.

— I nie chodziło tylko o seks. Każde z nas reprezentowało „brakującą połówkę” drugiego - tak to wtedy ujęłaś. I kiedy się spotkaliśmy, obraz był cały, prawda?

Pokiwałam głową, odczuwając na to wspomnienie ból. Brakowało mi mężczyzny, który by mnie dopełniał, uzupełniał brakujące części. Tęskniłam za tym, jak nam wtedy było razem, zwyczajnie i prosto.

— No więc teraz Leah jest moją brakującą połówką — dodał. — Ona dopełnia obraz. Niesamowite, co? Nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego mnie jeszcze spotka.

No i wystarczy. Usłyszałam już chyba dosyć o Leah i jej wszechstronnych talentach. O wiele bardziej wolałam rozmawiać o moich zaletach.

Spojrzałam na zegarek, potem Dan na swój i obydwójce uświadomiliśmy sobie, że czas goni. Szybko się pożegnaliśmy.

— To było miłe — powiedział, zatrzymując się w drzwiach.

— Moja rozwodniona kawa? — droczyłam się z nim.

— Nie, to, że posiedzieliśmy ze sobą i Busterem bez tego całego napięcia. — Uśmiechnął się. - Jak za dawnych czasów, co?

-Trochę - zgodziłam się z nim. Bardzo, pomyślałam.

— Zakasuj ich dzisiaj wszystkich.

— Ty też. Mam nadzieję, że dobrze wypadniesz.

Pokiwał głową i zamknął drzwi. Gdy tylko znikł, zwróciłam się do Bustera:

- I co to niby miało być?

Buster, jako bardzo mądry pies, milczał, więc sama musiałam odpowiedzieć sobie na to pytanie.

- Nie licząc sprawy alimentów, tatuś wydaje się całkiem w porządku.

W odpowiedzi Buster wetknął głowę pod kanapę.

- Wiem, wiem — powiedziałam do niego. - Mamusia też nie wie, co tym myśleć.

Resztę tygodnia przeżyłam w stanie konsternacji. Kim był mój były mąż ze swoimi rozmowami kwalifikacyjnymi, wolontariatem i dziewczyną na stałe? Jak się w tych okolicznościach zachować? Przede wszystkim byłam zdecydowana zakończyć wypłacanie mu alimentów i chciałam odbudować swoje aktywa. Ale kiedy usiadłam przy biurku, by wystawić comiesięczny czek, kiedy wpisywałam jego nazwisko i sumę, a potem podpisywałam się, muszę wam powiedzieć, że miałam mieszane uczucia. Dlaczego? Bo zachowywał się jak facet, a nie jak palant. Nie rozumiałam ani zmiany, jaka zaszła w nim, ani tej, jaka zaszła we mnie, ale widziałam, że się zmienił, i nagle kopanie pod nim dołków wcale nie było takie miłe. Oczywiście wysłuchiwanie peanów na cześć Leah też nie należało do zbyt przyjemnych, a już najmniej cieszył fakt, że Dan całą swoją przemianę przypisywał wyłącznie jej.

W kolejny poniedziałkowy rano, zanim wyszłam z Busterem do Dana, specjalnie zadbałam o swój wygląd. Nigdy bym się o to nie podejrzewała, ale chciałam być dla niego atrakcyjniejsza od niej. Tak, to głupie, wiem. Dziecinne, fakt. Idiotyczna rywalizacja. Mimo to jednak pod prysznicem użyłam waniliowego żelu, który ktoś w pracy gorąco polecał, i wydepilowałam brwi, żeby były tak ul-

tracienkie i eleganckie jak brwi Leah. Niestety z brwiami przesadziłam — wyszły mi te dramatyczne łuki, przez które wyglądałam, jakbym nie mogła się przestać dziwić. Choć w zasadzie tak przecież było.

Ot, moje szczęście — kiedy przyszłam, Leah jeszcze była, a intensywny zapach jej żelu pod prysznic - mieszanka lawendy, róży, hibiskusa i całej reszty rosnących na tej planecie kwiatów — sprawił, że moją wanilię można było pomylić ze zwykłą wazeliną. No i jeszcze Buster. Jak tylko weszliśmy, od razu się do niej rzucił. Jakby miał mnie już dość.

— No, jesteś nareszcie — powiedziała Leah, tuląc go w ramionach. - Tak się stęskniłam za moim Bustym, że zamiast biec do pracy, czekałam tu na ciebie, aż przyjdiesz. Tak, tak, prześliczny psiaku pypaku. Kochany Busty, mój bardzo, ale to bardzo grzeczny piesek.

Oczy niemal wyszły mi z orbit. I nie. Nie chodzi o „bardzo, ale to bardzo”, ani nawet o „psiaka pypaka”. Chodzi o „mój” i „moim”. No dajcie spokój. Buster nie był jej. I Dan też nie. Tak naprawdę wcale nie. W ogóle by jej tu nie było, gdyby nie ja.

Same widzicie, dokąd to wszystko zmierzało.

— Cześć, Leah — powiedziałam.

Dan przywitał się ze mną wcześniej, ale ona była tak pochłonięta zabawą z moim własnym psem, że mnie, jego właścicielkę, już trudno jej było zauważyć.

-Witaj, Melanie - zaszczębiotała. - Piękny dzień, prawda?

Był luty. Luty w Nowym Jorku. Śnieg owszem, nie padał, ale żeby piękny?

— Tak — odparłam. — Jest rześko, aż chce się żyć. Jest miła? Ja też potrafię.

Tymczasem Leah brała już swoją teczkę.

— Chętnie bym pogadała, ale mam pełną poczekalnię zwierzaków. - I ruszyła w kierunku drzwi, potem zatrzy-

mała się nagle i wskazała na salon. - Zapomniałam zapytać, jak ci się podoba nasz nowy kolor.

Nasz nowy kolor. O. Tak mnie zaabsorbowała zdrada Bustera, że nie zauważyłam.

- Wybraliście żółty - powiedziałam. Za moich czasów ściany miały głęboki niebieski odcień.

- W zasadzie to musztardowy - informowała Leah.

- Musztarda Frencha czy Guldena?

- To żółty - roześmiał się Dan. - Leah pomyślała, że będzie cieplejszy od niebieskiego, i muszę się z nią zgodzić.

-Jest bardzo ciepły - przyznałam mu rację, czując, jak gorąca fala niechęci sięga mojej szyi i twarzy. - Chcecie tak pomalować całe mieszkanie?

- Ale w różnych odcieniach - mówiła Leah. - Podoba mi się, kiedy jest jakaś ciągłość, a nie każdy pokój w zupełnie innym kolorze.

I bardzo dobrze, uznałam. Pozbądź się niebieskiego z salonu, zielonego z jadalni i bordo z sypialni. Ale pamiętaj, jesteś tylko przelotną znajomością i w chwili, kiedy znikniesz z horyzontu, twój urynowy kolor też zniknie ze ścian.

- Świetny pomysł - odparłam z szerokim uśmiechem.

Położyła rękę na moim ramieniu.

- Bardzo, ale to bardzo się cieszę, że nie masz nic przeciwko.

I wyszła. Odwróciłam się do Dana, żeby zapytać, jak mu poszło z pracą, ale on się odezwał pierwszy.

- A nie mówiłem, że jest świetna?

- Kto? - zapytałam, jakbym nie wiedziała.

- Leah - odparł. - Zawsze taka radosna. Nie można się przy niej smucić, nawet gdyby się chciało.

Ricardo byłby szczęśliwy, słysząc te słowa.

- Rzeczywiście, jest radosna. Ale z drugiej strony ma ku temu mnóstwo powodów. Jak widzę, już nie tylko się spotykacie, ale praktycznie mieszkacie razem, planujecie wspólną przyszłość.

- Owszem, mieszka ze mną - przyznał, a ja gdzieś głęboko w środku pomyślałam, że chciałabym mieć to na taśmie. Jednak inna część mnie nie była już taka zadowolona, to ta odpowiedzialna za mój wewnętrzny konflikt. - Ale to wciąż początki, nic nie jest na stałe. Mówiłem ci zresztą, Mel. Jeśli mój stan cywilny będzie się miał zmienić, ty i twoja prawniczka dowiedziecie się pierwsze.

Kiwnęłam głową, znów czując wyrzuty sumienia z powodu czynu, którego się dopuściłam. Co do cholery się ze mną działo? Dlaczego się w ogóle wahałam?

Tak nieswojo się czułam, myśląc o Desiree i pozostałych osobach spiskowego dramatu, że zmieniłam temat.

- Masz jakieś wieści z uczelni? Wydał usta.

- Columbia i Rutgers mnie odrzuciły.

- Och, Dan, tak mi przykro. I wtedy się uśmiechnął.

- Ale ci z LIU zaprosili mnie na kolejne spotkanie! Zanim mogłam zademonstrować swoją radość, on

zrobił to pierwszy. Wziął mnie w ramiona i tańczył ze mną w kółko, a ja zamiast się wzdragać albo chociaż wycofać dyplomatycznie, dałam się ponieść. Ponieść jego radości i chęci podzielenia się nią ze mną. W tamtej chwili, kiedy się obejmowaliśmy i znów byliśmy jak magnesy, miałam wrażenie, że jestem w Minco tego wieczoru, gdy mi się oświadczył. Nie było między nami gorczy ani tych wszystkich złych lat. Znów stałam na werandzie jego rodzinnego domu, gdzie wyznawał mi miłość i zapewniał, że nasze życie będzie łatwe i proste, a ja już nigdy nie będę się musiała martwić o pieniądze.

Skończyliśmy tańczyć, a ja stałam dalej, ale w nowojorskim salonie, zastanawiając się, czy aby nie zwariowałam. Nie byłam w Minco, a Dan nie wyznawał miłości. W każdym razie nie mnie. Był poniedziałek i powinnam iść do pracy.

- Masz ochotę uczcić to kawą? - zapytał z takim błagalnym spojrzeniem, że nie mogłam się oprzeć.

Tłumaczyłam się sama przed sobą, że nie codziennie Dan bywa o krok od zdobycia posady trenera, i skończyło się na kawie. I spóźnieniu się do pracy. Oraz telefonie do Weezie w czasie lunchu, żeby spotkała się ze mną możliwie szybko. Kiedy zapytała, o co chodzi, odparłam:

- Potrzebuję interwencji.

- Narkotyki?

- Nie! - Znowu to samo?

- Prawie nie pijesz, więc alkohol też odpada — zastanawiała się. - Jedzenie? Hazard? Pornografia internetowa?

- Chodzi o Dana, Weezie. Ja, eee, zaczynam o nim inaczej myśleć, bardziej pozytywnie.

- Tylko tyle? - W jej głosie usłyszałam ulgę.

- Nic nie rozumiesz. Zaczynam się zastanawiać, czy projekt z Desiree ma sens.

- Jak to? Przecież odliczasz dni dzielące cię od wolności.

-Wiem, ale teraz nie jestem już tego taka pewna. Musiałabyś zobaczyć, jak on się zmienił. Jakby Leah machnięciem różdżki go zaczarowała. I zmiany są na dobre, nie zrozum mnie źle, ale nie podoba mi się, że ma na niego aż taki wpływ.

- Zaczekaj. Więc teraz chcesz go chronić?

- Chyba tak.

-Ale dlaczego? Przecież już za niego nie odpowiadasz. - Przerwała na chwilę. - Nie rozumiem. Masz jakiś problem z Leah?

— Właśnie! Otóż to. Wszystko mi zabiera: Dana, Bu-stera, mieszkanie. Przemalowuje je na żółto, wiesz?

— Więc chcesz, żeby zniknęła z jego życia?

Czy tego chciałam? Czy tylko mi się wydawało? To wszystko było takie dziwaczne.

— Czy raczej chcesz Dana z powrotem? — wypytywała Weezie. — O to chodzi?

— Nie - powiedziałam. I zaraz dodałam: - Może.

— Mel, to szaleństwo. Przecież tak długo go nienawidziłaś.

— Dlatego potrzebuję interwencji. Czuję, że moja nienawiść słabnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Spotkałyśmy się w połowie drogi między Manhattanem i Westport, w drogiej restauracji hotelu Hilton w Westchester County. To jedna z tych knajp, gdzie wymagają marynarki. Wieczorami w tygodniu zaglądają tu biznesmeni, a w weekendy całe rodziny. Serwują jedzenie, które udaje wykwintne, a w rzeczywistości lokal ma po prostu zawyżone ceny.

- Nards zgodził się zostać sam? - zapytałam, gdy Weezie wypija pierwszy łyk martini.

- Owszem. I tak pracuje dziś do późna.

- Nie wiedziałam, że laryngolodzy pracują do późna. Są w ogóle nagle operacje ucha?

- Nie przyjmuje pacjentów - wyjaśniła mi przyjaciółka. - Siedzi nad papierami.

- Myślałam, że ten nowy lekarz miał go odciążyć?

- Tak. Ale właściwie dołożyła tylko papierkowej roboty.

- Dołożyła?

- To kobieta. Molly Corbett. Świetne referencje, bardzo inteligentna, niesamowicie oddana pracy. - Weezie skosztowała kurczaka za trzydzieści dolarów. W Boston Market bardzo podobny kosztuje sześć. — Ale opowiadaj o Danie. Przecież nie spotkałyśmy się, żeby gadać o nudnym Nardsie i o mnie.

Opowiedziałam jej, jak Dan się zmienił — o poszukiwaniach pracy, wolontariacie, rozmowach o naszym małżeństwie, jego refleksji nad sobą i odmłodzonym wyglądem przystojniaka z okładki.

— Gdyby był taki rok temu, całkiem możliwe, że nie odeszłabym od niego. I powiem ci jedno: ta chemia między nami tak zupełnie nie umarła. Kiedy mnie ostatnio dotknął, miałam ochotę się na niego rzucić.

— To dlatego, że już dawno się na nikogo nie rzucałaś. Powinnaś się z kimś przespać.

— Możliwe — powiedziałam z westchnieniem. I pomyślałam o Evanie, jak prawie się pocałowaliśmy i jak dobrze się z nim czułam, kiedy spacerowaliśmy po okolicy i kiedy mieszałam u niego ziemniaki na piecu. Ale ledwie jego twarz zdążyła mi się pojawić przed oczami, a już zastąpiła ją twarz Dana. — Boję się, że nie dam rady. Wcześniej byłam taka pewna swoich uczuć, wiedziałam, czego chcę od siebie, od facetów, od pracy. A teraz? — Wzruszyłam ramionami.

— To wszystko z powodu Leah — upierała się Weezie. — Zanim się pojawiła, miałaś Dana dla siebie. Mogłaś go kochać, zostawić, nienawidzić, co tylko chciałaś. Teraz, kiedy jest z nią, twoja rola w jego życiu nie jest już taka ważna, więc czujesz się zagrożona. To normalna reakcja -minie, zobaczysz.

Zastanawiałam się nad tym, przeżuając krewetki za trzydzieści pięć dolarów, które w Red Lobster można kupić za dziesięć.

— No tak, czuję, że ona się wpycha tam, gdzie nie powinna — przyznałam. — I nie podoba mi się, że wyciąga Dana z dołka, gdy mnie się to nie udało. I to, że Buster się w niej zakochał, i że ma ładniejsze włosy od moich.

Weezie się roześmiała.

— Chciałaś pierwszą ligę, to masz i włosy z najwyższej półki.

— Desiree. — Zrobiłam minę. — Ty i twoje świetne pomysły.

— Mel, dajże spokój. Chciałaś się wyplątać z alimentów i Desiree trafiła w dziesiątkę, znajdując ci Leah. Te-

raz wszystko układa się po twojej myśli. To normalne, że odkąd na scenę weszła Leah, Dan wydaje ci się znów bardziej atrakcyjny. Owszem, stara się zrobić coś ze sobą, i owszem, znów dobrze wygląda. Mówi ci rzeczy, na które czekałaś. Ale jeśli myślisz, że go kochasz, to się mylisz. Tu chodzi o nią i o to, że zajęła twoje miejsce. Wszyscy zawsze chcemy tego, czego nie możemy mieć.

Wypiłam trochę wody mineralnej za pięć dolarów, której bardzo podobna wersja płynie z mojego kranu.

- Pewnie masz rację.

- Mam rację. Wynajęłaś Desiree, żeby znalazła kogoś dla Dana, i ona to zrobiła. Jest w tym naprawdę dobra.

Weezie jeszcze nie skończyła mówić, kiedy zauważyłam, że do restauracji pewnym krokiem wchodzi Nards z jakąś rudą. W pierwszym momencie nie zorientowałam się, ale już po chwili z otwartymi ustami obserwowałam, jak trzyma jej ramię i podsuwa krzesło, by wreszcie usiąść tuż obok niej przy ustronnym rogowym stoliku dla dwojga.

Siedziałam jak przymurowana. Nie miałam pojęcia, jak się zachować. Nards w moich oczach był zawsze oddanym i kochającym mężem, nigdy nie brałam pod uwagę innej ewentualności. A tu proszę — złapany na gorącym uczynku z rudą.

- Mel? Co się dzieje? - spytała Weezie. - Dziwnie wyglądasz.

Przecież musiałam jej powiedzieć, prawda? Zresztą nie miałam wyboru. Wystarczyłoby, żeby poszła do toalety, a i tak by ich zobaczyła.

- Może jednak Desiree wcale nie jest taka dobra — zaczęłam. Nie da się tak od razu przejść do sedna.

- Skąd ten pomysł? Weź na przykład nas, mnie i Nardsa, jacy jesteśmy szczęśliwi...

- Nards wcale nie jest w pracy.

Boże. Serce mi się krajało. Biedna Weezie. -Ależ jest — powiedziała, jakbym się głupio przy czymś upierała.

— Nie, Weezie, odwróć się przez lewe ramię i spójrz w prawo.

Gwałtownie odwróciła głowę, zobaczyła dwa obejmujące się gołąbki i znów spojrzała na mnie. Oczy miała wielkie jak nasze talerzyki z pieczywem.

-To doktor Corbett! - powiedziała i wypila duszkiem całe martini wraz z oliwką i cebulką.

Ścisnęłam jej rękę. Czułam się taka bezradna. Chciałam ją pocieszyć. Ale jak?

— Musi być jakieś wyjaśnienie — podjęłam próbę.

— To doktor Corbett! — powtórzyła automatycznie jak robot. Była kompletnie zaskoczona. A kto by nie był?

— Jesteś pewna, że to ona?

Kiwnęła głową. Twarz miała bladą jak ściana.

— Czy jest możliwe, że to tylko robocza kolacja? — zapytałam. - No wiesz, może chcieli na spokojnie obgadać najnowsze odkrycia na temat kultur bakteryjnych kolonizujących gardło.

Znów się odwróciła. I dokładnie w tym momencie Nards pobierał próbkę bakterii z gardła doktor Corbett -własnym językiem.

Weezie oparła głowę na stole i zaczęła szlochać.

— Nigdy w życiu nie pomyślałam, że mnie zdradzi - usłyszałam, choć trudno ją było zrozumieć, bo mówiła bezpośrednio do obrusa. — Wyszłam za niego, bo miał być uczciwy i godny zaufania. Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę uwierzyć.

— Chcesz, żebym poszła z nim porozmawiać? — zaproponowałam.

— Może przeżywa kryzys wieku średniego i trzeba mu przypomnieć, że ma pewne zobowiązania.

-Jest za młody na kryzys wieku średniego - jęczała Weezie. - Najnormalniej w świecie ma romans. Nienawidzę go. I nienawidzę Desiree za to, że nas ze sobą poznała.

Desiree nie zbierała dziś zbyt pochlebnych opinii.

- No to co chcesz zrobić?

Przez kilka sekund nie odpowiadała, całym jej ciałem wstrząsał szloch. Potem nagle podniosła głowę, otarła oczy, wyprostowała się i wstała, chociaż nieco chwiejnie.

- Chcę konfrontacji. Oto co zrobię. Idę do niego.

I natychmiast pomaszerowała do Nardsa i rudej. Ze swojego miejsca widziałam tylko, że Nards jest przerażony, ruda patrzy zrozumiale, a Weezie zachowuje się jak prawdziwa dama. Nikogo nie znokautowała. Powiedziała coś do nich, odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Co im powiedziałaś? — spytałam z zapartym tchem. Ale melodramat. Zupełnie nieprawdopodobne. Mąż mojej najlepszej przyjaciółki, facet, którego nigdy bym nie podejrzewała o zdradę, ma romans.

- Najpierw, że kurczak jest jak z gumy, więc proponuję, żeby zamówili krewetki - relacjonowała. — A potem powiedziałam Nardsowi, żeby się niepotrzebnie nie trudził i nie wracał do domu.

- O, nie - westchnęłam smutno, widząc ból w jej oczach. — Chcesz zostać dziś u mnie? Mam rozkładaną sofę.

- Dzięki, ale nie, przecież są dzieci. - Umilkła na moment, zbierając myśli. — Zakochał się we mnie, kiedy robiłam zawrotną karierę. Potem zostałam żoną i matką na pełny etat, a on mówił, że kocha mnie jeszcze bardziej. A teraz co? Znudzony żoną i matką na pełny etat, wdaje się w romans z kobietą, która robi zawrotną karierę. Co nam to mówi o mężczyznach? I o tym, czego tak naprawdę chcą?

- Nic ponad to, że wszyscy chcemy tego, czego nie możemy mieć - odparłam. — Sama mi powiedziałaś, że

postrzegam teraz Dana w takim pozytywnym świetle tylko dlatego, że nie mogę go już mieć. Może i Nards się zreflektuje, tak jak ja.

Tyle że ja się nie zreflektowałam. Nie tydzień później, nie dwa i nawet nie trzy. W zasadzie te rewelacje o Nardsie odniosły skutek odwrotny. Dan wydawał mi się jeszcze bardziej godny pożądania i szacunku, bo pamiętałam, jakim wiernym był mężem. A na brak okazji na pewno nie mógł narzekać. Ostatecznie był gwiazdą sportu, i to w kraju, który wielbi gwiazdy sportu, więc gdzie tylko pojawiała się drużyna, natychmiast zjawiały się też kobiety. Dziewczyny rzucały się na niego, ale on nigdy nie tracił kontroli nad sytuacją. Nie był święty - wiedziałam, że flirtował - ale udało mu się unikać tych klubów, w których bawili się zwykle zawodnicy, i większość czasu spędzał sam. Tłumaczył wszystkim, że „jest domatorem”, i przez całą swoją karierę zachował nienaganną reputację. Dopiero kiedy się między nami popsulo i przestaliśmy ze sobą sypiać, zaczął się włóczyć po nocy i wracać nad ranem, ale wtedy nie obchodziło mnie już, co robi.

Może i nie masz pracy, ale nie jesteś zdrajcą, myślałam, czekając w poniedziałek rano, aż Dan przywiezie Bustera.

Kiedy przyszedł, zaprosiłam go na kawę - taki nasz nowy zwyczaj.

- Mam też trochę ciasta z posypką - powiedziałam. - Eee, sama je upiekłam.

Evan pożyczył mi książkę „Radość gotowania”, a ja wykorzystałam jeden z przepisów. Skoro Leah umie gotować, to ja też.

Dan patrzył z niedowierzaniem.

— Ty upiekłaś? — zapytał z dobrodusznym uśmiechem.

— Ja. Zaraz ci kawałek ukroję.

— Co prawda liczę teraz kalorie, ale nie ma mowy, żeby mnie ominęło takie historyczne wydarzenie. Poza tym mamy co świętować.

— Tak? Jeszcze jedna rozmowa?

Położył mi ręce na ramionach i spojrzał na mnie tymi błękitnymi oczami, które przy naszym pierwszym spotkaniu tak mnie zaczarowały.

— Zostałem trenerem w LIU.

Zapisałam z radości, aż Buster się przestraszył.

— Boże, Dan! To niesamowite!

— Wiem, sam wciąż nie mogę uwierzyć. Jesienią będę trenował CW Post Pioneers. Ja. - Ze zdumieniem kręcił głową. - Mam pracę. I co ty na to?

Co ja na to? Cieszyłam się, oczywiście, ale byłam też z niego dumna. Zawsze wiedziałam, że znajdzie pracę, jeśli tylko spróbuje, i teraz spróbował. Nie był już dzidziąsem. Wziął się w garść, wziął życie za bary, wziął na siebie odpowiedzialność za nie, dojrzał. A tylko tego przecież chciałam, niczego więcej. Dla niego, dla nas. Ale teraz nie było już „nas”. Należał do Leah, a ja byłam tylko dzinem, który to sprawił. I nagle moja dotychczasowa konsternacja ustąpiła miejsca przygnębieniu.

— Myślę, że będziesz wspaniałym trenerem - powiedziałam, z trudem przybierając wesoły ton. Taki jak Leah. - Zawsze ci to powtarzałam.

— Fakt. — Jego ręce wciąż spoczywały na moich ramionach, patrzył mi w oczy. Kolana jeszcze się pode mną nie uginały, ale czułam przyspieszony puls. - Ciagle mi to mówiłaś, ale byłem zbyt... - Przerwał i odsunął się. Podszedł do kanapy. - Nie ma sensu rozpamiętywać przeszłości. Mam pracę i to się liczy.

— Racja. A okazja rzeczywiście wymaga świętowania.

Podaliśmy mu kawę i ciasto, usiadłam obok niego i z zapartym tchem obserwowałam, kiedy gryzł pierwszy kęs czegoś, co zasadniczo było mieszaniną cukru i masła.

- No i? - zapytałam, kiedy przeżuwał. -Jest...

- No mów.

- Czekał chwilę - powiedział z pełnymi ustami. Poczekaliśmy więc.

- Smakuje jak... jak u mojej mamy. Uśmiechnęłam się.

- Nie przesadzaj. Twoja mama świetnie piecze. Będę zadowolona, jeśli to ciasto jest w ogóle zjadliwe.

-Jest pyszne. Słowo honoru. Doceniam, że je upiekłaś. — Roześmiała się. - Pamiętasz, jak wtedy próbowałaś upiec suflet?

Ryknęłam śmiechem. Kilka miesięcy po transferze Dana do Giantsów trener z żoną przyszli do nas na kolację. Zamiast zamówić catering w całości, postanowiłam ambitnie sama przygotować deser - deser trudny nawet dla tych, którzy znają się na rzeczy. Ale podczas próby generalnej przeprowadzonej dzień wcześniej okazało się, że gotowanie powinnam jednak zostawić zawodowcom.

- Mój suflet bardziej przypominał frisbee.

- I równie dobrze smakował.

- Dzięki Bogu, że mieliśmy tę tartę z jabłkami. Śmialiśmy się jeszcze przez chwilę. Nastrój w pokoju

był tak swobodny, tak zupełnie odmienny od tego panującego podczas długich miesięcy wzajemnych złościwości. A Dan znów taki pociągający jak kiedyś i trudno było nie czuć...

Nie. Nie powinnam czuć absolutnie nic. Jasne, jego nowa posada mi imponowała, a zmiana w zachowaniu zdumiewała do tego stopnia, że uznałam nawet, iż mogli-

byśmy dać sobie drugą szansę, gdyby w pobliżu nie kręciła się Leah, ale przecież się kręciła. I to aż za bardzo, a ja pozostawałam jedynie byłą żoną.

Właśnie chciałam mu zaproponować kolejną kawę, gdy zadzwonił dzwonek.

- Kto tam? - zawołałam.

- Evan - odpowiedział głos. - Fajnie, że cię jeszcze złapałem. Chcę cię o coś zapytać.

Evan. Idealne wycucie czasu. To znaczy Evan był zawsze u mnie mile widziany, ale Dana miałam dla siebie tylko raz w tygodniu i nie uśmiechało mi się odsyłać go tak wcześnie do Leah.

- Jestem trochę zajęta - powiedziałam przez drzwi.

- Kto to jest Evan? - zapytał Dan. Miał dziwny wyraz twarzy, jakby zaskoczony, że w ogóle mogę prowadzić jakieś życie towarzyskie.

- Sąsiad.

- Nie za wcześnie trochę na wizyty?

- Mieszka...

- Hej, Melanie - Evan znów zadzwonił - otwórz. Jedno pytanie i już mnie nie ma, obiecuję.

- To chyba coś ważnego - stwierdził Dan. - Lepiej już pójdę.

Odstawił kawę, wstał i ruszył do wyjścia. A ja za nim.

- Możesz zostać, jeśli oczywiście masz ochotę - zapewniłam go i otworzyłam drzwi.

- O - powiedział Evan, zauważając Dana. - Przepraszam cię, Melanie. Nie wiedziałem, że masz gościa.

-Nic się nie stało — odparłam. — Mój mąż przywiózł Bustera.

-Traffic Dan Swain. - Evan, w swoim malarskim fartuchu i dżinsach, wydawał się zaskoczony obecnością Dana, nie pełen podziwu jak kibic, bo w zasadzie nie interesował się sportem, ale zdziwiony widokiem faceta,

o którym tyle się ode mnie nasłuchał. — Miło mi poznać - przywitał się. - Jestem Evan Gillespie.

Spodziewałam się, że Dan poczęstuje go swoim reklamowym śnieżnobiałym uśmiechem, który po tylu latach popularności tak naturalnie mu przychodził, ale on w odpowiedzi praktycznie warknął. Nie żartuję - górna warga nawet mu nieco podskoczyła.

Albo nie zauważając tego chłodnego powitania, albo chcąc za wszelką cenę być miłym, Evan chwycił Dana za rękę i potrząsnął nią przyjaźnie.

— Witaj, kolego — wydukał w końcu mój były mąż. Kolego? O co tu chodzi? Zabrzmiało okropnie zarozumiale, jakby to nie był Dan. Zawsze serdecznie się witał z nieznanymi i chętnie podawał dłoń, robił wszystko, żeby się czuli swobodnie. Ale nie tym razem. Z jakiegoś powodu odczuł natychmiastową i trudną do wyjaśnienia niechęć do Evana.

— Evan bardzo mi pomaga - powiedziałam, próbując jakoś rozładować tę niezręczną sytuację. — Nazywa mnie swoją damą w opresji i zawsze mnie ratuje, jak robię coś głupiego.

— A Melanie nie jest najłatwiejszą osobą do ratowania — zażartował Evan. — Potrafi być zادیorna, zresztą ty pewnie wiesz to najlepiej.

Dan znów się spiął — dziwne! — i powiedział:

— Mnie zawsze wydawała się raczej łagodna. Prawda, kotku?

I objął mnie, niemal tak, jakby chciał jasno zaznaczyć swoje terytorium. Jak Boga kocham, nie miałam pojęcia, co o tym myśleć.

— Evan jest świetnym malarzem — postanowiłam jakoś podtrzymać rozmowę.

— Portrety czy coś w tym rodzaju? — Dan znów przybrał pełen wyższości ton, zupełnie do niego niepodobny.

- Nie. Najczęściej maluję morze. Dla mnie woda ma w sobie coś magicznego.

- To co ty właściwie robisz w Nowym Jorku? - pytał Dan, nagle ekspert od malarswa. - East River nie wydaje się specjalnie inspirująca.

-Tu mam swoją bazę - wyjaśnił Evan. - Po inspirację wyruszam na wyspy.

- Powinieneś zobaczyć obraz, który namalował na Bahamach - zwróciłam się do Dana. Wciąż mnie obejmował i wciąż nie przypominał tego przemiłego faceta, jakim zawsze był dla nieznajomych. - Jest tak realistyczny, że czujesz się, jakbyś tam był.

Evan uśmiechnął się do mnie.

- Chyba cię wynajmę jako agentkę od reklamy. Ale na razie mam pytanie, bo po to przyszedłem, a nie chcę cię zatrzymywać. Macie z Busterem czas w środę wieczorem? Planuję jeszcze jedną kulinarną ucztę u Evana.

- Evan jest też wspaniałym kucharzem. Karmi nawet Bustera - poinformowałam Dana.

Aon?

- O, widzę, że kolega opiekuje się wszystkimi wokół. Znowu ten „kolega"! Rany!

Pomyślałam, że jak Evan sobie pójdzie, wszyscy troje poczujemy się lepiej.

- Bardzo chętnie przyjdziemy. Dzięki za zaproszenie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Evan i odwrócił się do Dana, by znów uścisnąć mu dłoń, tym razem na pożegnanie. - Miło było cię poznać, kolego.

Oczywiście nie było w tym nic miłego, ale ostatecznie wyszedł i napięcie odczuwalnie opadło.

Dan zdjął rękę z mojego ramienia, spojrzął na zegarek i oznajmił, że musi lecieć. Ja sama byłam już niezłe spóźniona.

Potem zatrzymał się jeszcze na progu i powiedział:

- Kotku, wpadłaś facetowi w oko.
- Evanowi? — odparłam zdumiona tą uwagą. — Czemu tak myślisz?
- Czemu? - Tym razem zaprezentował w końcu swój reklamowy uśmiech. - Bo wiem, o czym mówię. Swoją pozna swego.

Kiedy wyszedł, oparłam się o drzwi i gapiłam za nim jak jakaś zwariowana fanka, a jego słowa dzwoniły mi w uszach. Nie zauważyłam, żeby Evan coś do mnie czuł, i w ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Nurtowało mnie natomiast pytanie, czy to Danowi nie „wpadłam w oko”. Nie dawniej. Teraz. I czy dlatego traktował Evana z taką pogardą.

No bo jak inaczej wyjaśnić to, co się właśnie stało? Jak wyjaśnić tę zmianę nastroju po przyjściu Evana? Dan miał przecież świetny humor - najlepszy z możliwych. Świętowaliśmy, wspominaliśmy, cieszyliśmy się swoim towarzystwem. I wtedy zjawił się Evan, a Dan nagle jakby przestał być sobą. Potraktował mojego znajomego niemal z pogardą, można by pomyśleć, że uznał go za rywala.

Rywala! Oczywiście! Dan nigdy nie widział mnie z innym facetem, a biorąc pod uwagę moje skłonności do pracoholizmu i wyrażany głośno brak zainteresowania miłością, zapewne uznał, że już nigdy mnie z żadnym nie zobaczy. A tu proszę, oto jestem, z samego rana atrakcyjny facet u moich drzwi. Dan był zazdrosny!

Wróciłam do mieszkania, zataczając się, jakbym była pijana. Opadłam na kanapę i poczekałam spokojnie, aż ta informacja do mnie dotrze. Dan był zazdrosny. Samo myślenie, że kiedyś, w dalekiej przyszłości, ułożę sobie z kimś życie, to jedna rzecz, ale patrzenie, jak rozmawiam z tym innym mężczyzną na żywo i przyjmuję zaproszenie na randkę, to coś zupełnie innego. I na to najwyraźniej nie był przygotowany.

Ciągle jeszcze mnie kocha, myślałam zaszokowana. Nie potrafił się ode mnie uwolnić, tak samo jak ja nie umiałam pozwolić mu odejść.

To musiała być prawda. Jego związek z Leah nie był aż tak silny, jak się wydawało. Nie zdobyła jednak jego serca, to niemożliwe, skoro zależało mu na mnie.

A zależało. Tak, mojemu byłemu - który wreszcie się pozbierał, dostał dobrą pracę i stał się facetem, jakim zawsze chciałam, żeby był - wciąż na mnie zależało.

W tej sytuacji, wiedząc, że Leah nie stoi mi już na drodze, że nic nie stoi mi na drodze, postanowiłam go odzyskać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

— Zwariowała pani — stwierdziła Desiree. Tak gwałtownie kręciła głową, że niemal spadła jej peruka, tym razem kruczoczarne kręcone włosy. — Zostało tylko trzydzieści dni. Trzy-dzie-ści. Właściwie już się pani udało, Melanie. Można powiedzieć, że jest pani w domu, wolna.

— Ale ja nie chcę być wolna. Chcę być w domu bezpieczna i mieć ustabilizowaną sytuację rodzinną. Z Danem - wyjaśniałam. Siedziałam w gabinecie Desiree zaledwie kilka godzin po spotkaniu z nim. - Popęłniłam błąd i teraz chcę, żeby mi pani pomogła go naprawić.

— Przekonując Leah, żeby rzuciła Dana? - drwiła Desiree. — Ja łowię serca, pamięta pani? A nie łamię ich. Poza tym umówiliśmy się na drugą ratę, jeśli będzie z nim przez trzy miesiące, i niech tak zostanie.

— A gdybym zapłaciła pani za wyciągnięcie jej z tego związku? — przekonywałam.

Zastanawiała się przez chwilę.

— Przyznaję, że rzeczywiście kocham pieniądze bardziej niż inni - powiedziała w końcu - ale nawet ja nie wpłacę się w coś tak niedorzecznego.

— To wcale nie jest niedorzeczne - protestowałam. -Dan nie kocha Leah. Kocha mnie. Nie chcę jej zranić, naprawdę, ale w sumie wyświadczy jej pani przysługę, przekonując ją, że Dan nie jest facetem dla niej. To będzie misja od Boga.

— Spokojnie, spokojnie. Wystarczy tych „misji”. To w końcu moje hasło. — Zirytowała się. Oczekiwała po-

chwały za swoją pracę, a nie błagania, by wrócić do stanu wyjściowego. - Poza tym skąd przekonanie, że Dan panią kocha? Bo był ostatnio miły? Bo zostaje na kawę? Bo odezwał się w nim macho, gdy zjawiał się pani nadgorliwy sąsiad?

- Z wszystkich tych powodów, plus jeszcze coś: on nigdy nie przestał mnie kochać.

- Więc dlaczego nadal realizuje pani czeki?

- Bo nasz system sprawiedliwości mówi, że ma do tego prawo.

Oniemiała z wrażenia.

- Czy pani jest na prochach?

- Nie! - Naprawdę byłabym wdzięczna, gdyby wszyscy przestali mnie już o to pytać. - Nadal nie skaczę ze szczęścia, że muszę mu płacić, ale jak tylko zacznę pracę, zrezygnuję z czeków. A z pewnością nie będzie ich potrzebował, jak będziemy razem. - Pomyślałam, ile bym zaoszczędziła, gdybyśmy byli razem. Jedno mieszkanie zamiast dwóch. Jeden rachunek za gaz, prąd i wodę. Wszystko jedno zamiast dwóch. - Musi pani tylko przedstawić Leah jakiemuś innemu klientowi. Skoro jest taka super, nie powinno nastęczać to większych trudności.

Desiree patrzyła na mnie bez słowa.

- Nie zgadzam się. Mam skrupuły. Wytrzymałam jej wzrok.

- A ja mogę szepnąć słówko o pani nowym dziale w biurze konsumenta. Byłam tu, kiedy rozmawiała pani z Lyndą Fox.

- No to co? Ja mogłabym się wygadać, kto poddał mi ten pomysł. Już widzę, jak zarozumialcy u Piercea, Shelleya i Steinberga skaczą z radości na wieść, że ich wiceprezeska nie tylko postanowiła pozbawić byłego męża należnych mu alimentów, ale jeszcze namówić inne kobiety, by zrobiły to samo.

— Przekonujący argument. — Szantaż nigdy nie był moją mocną stroną. Też miałam skrupuły. No, w każdym razie kiedyś miałam.

Desiree oparła się o biurko, a jej liczne naszyjniki natychmiast zabrzęczały, objijając się o siebie.

— Proszę mnie uważnie posłuchać. Niech miną te trzy miesiące, żeby Dan stracił prawo do alimentów. Pani mi zapłaci, a potem może sobie go pani brać.

— Akurat, przecież nie będzie chciał ze mną gadać, jak się wyda, co zrobiłam.

— Co się ma wydać?

— Ze podstawiłam mu Leah. Że wrobiłam go w mieszkanie z nią. Że wynajęłam ludzi, którzy go śledzili. Że wykorzystałam jego brak znajomości szczegółów naszej ugody. Że tak wszystko zaplanowałam, żeby stracił alimenty, nawet o tym nie wiedząc. I myśli pani, że po tym wszystkim rzuci mi się w ramiona?

— Nigdy się nie dowie. Owszem, może sobie pluć w brodę, że nie doczytał drobnej czcionki, ale dlaczego miałby za to winić panią? A kto mu powie, że to w ramach spisku stracił i kasę, i dziewczynę? Bo ja na pewno nie.

— A jeśli Leah nie odejdzie? Im dłużej z nim zostanie, tym trudniej ją będzie przekonać.

-Tak czy inaczej ja po dziewięćdziesięciu dniach umyłam od tego ręce. - Dla podkreślenia tych słów Desiree machnęła pulchnymi dłońmi.

— A jeśli pani do tego czasu nie zmieni zdania, możecie to już załatwić z Leah między sobą.

Przemyślałam radę Desiree i uznałam, że ma rację. Przeczekałam jeszcze miesiąc, a potem odbiorę Dana Leah. W sumie warto mieć spokój z alimentami, zanim przejdę do ostatecznej rozgrywki. W ten sposób sprawa będzie o wiele bardziej przejrzysta. On straci pieniądze, ja

z całego serca będę mu współczuć i będziemy żyli długo i szczęśliwie. Trudno, Leah musiała zostać jeszcze na trzydzieści kolejnych dni. Nie szkodzi. Tymczasem postanowiłam przygotować grunt do kampanii odzyskania Dana. Będę ostrożna i delikatna, żeby go nie wystraszyć. Doprowadzę do tego, by wyznał mi swoje uczucia, tak że przejście będzie bezbolesne. Za miesiąc stanie się jasne, że potrzebowaliśmy tego rozstania, ale że o wiele lepiej jest nam razem.

Przygotowanie gruntu zaczęłam od zapadnięcia na chorobę psychiczną zwaną zastępczym zespołem Miin-chhausena. Z bólem to przyznaję, ale wymyślałam choroby Bustera, żeby zdobyć uwagę mężczyzny.

We wtorek zadzwoniłam do Dana i powiedziałam, że z Busterem jest coś nie tak.

- Leah mówiła coś o katarakcie - przypomniał mi Dan.

- Tak, wiem - odparłam - ale to nie oczy. On traci równowagę, dziwnie chodzi. Jakby się o coś potykał.

- Zabrałaś go do weterynarza?

- Miałam zamiar, ale nie chcę wyjść na histeryczkę. Mógłbyś najpierw przyjechać i powiedzieć, co ty o tym myślisz? Może jednak przesadzam, ale chcę być pewna.

- OK, nie ma sprawy.

Przyjechał wieczorem, przyjrzał się Busterowi, stwierdził, że jego zdaniem pies jest zdrowy, i zaproponował, żebyśmy uważniej go obserwowali.

- A w przyszłym tygodniu, u mnie, może go też poobserwować Leah - dodał.

Leah. Czy ja ciągle muszę o niej słuchać?

- Kurczę, już prawie wpół do ósmej - zauważyłam, zanim Dan zdążył ruszyć do wyjścia. - Może poszlibyśmy coś zjeść? Niedaleko jest taka węgierska knajpka. Chyba nigdy tam nie byłeś.

Wydawał się zdziwiony, że zaproponowałam wspólną kolację - w końcu coś takiego nie zdarzyło się od czasu separacji — ale mile zdziwiony.

— Naprawdę bym chciał, ale Leah na mnie czeka. Wychodzimy dziś z jej znajomymi.

A więc Leah ma znajomych? To dobrze, pomyślałam. Będzie ich potrzebować, gdy Dan wróci do mnie.

— Rozumiem — powiedziałam lekko. — Może innym razem.

— Jak najbardziej.

— Dzięki, że przyszedłeś, Dan. Bycie samotną matką bywa chwilami trudne.

— Świetnie sobie radzisz. - Poklepał mnie po ramieniu i wyszedł.

W środę po południu zadzwoniłam do niego z pracy z wiadomością, że Busterowi chyba się pogorszyło. Zaproponował, że przyjedzie o szóstej.

— Widzisz? Lewa noga jakby mu opadała — powiedziałam, podnosząc lewą nogę Bustera i pozwalając jej, no cóż, opaść.

— No, ale chodzi zupełnie normalnie. Zresztą on też się przecież starzeje. Może to kwestia wieku i nie potrafi już skakać tak jak kiedyś.

— Może.

I wtedy wydarzyła się rzecz zdumiewająca. Dan spojrzął na zegarek i powiedział:

— A jak wczorajsza kolacja? Wciąż aktualna? W brzuchu wszystko mi się zaczęło przewracać.

— No jasne.

— Leah ma jakieś seminarium, więc możemy wypróbować to węgierskie jedzenie.

Cała w euforii już miałam się zgodzić, kiedy przypomniałam sobie, że przecież umówiłam się z Evanem — na pewno uwija się już przy gorącym piecu. Nie ma mowy

o odwołaniu kolacji, którą ktoś gotuje dla ciebie i twojego psa. Zresztą jak zawsze cieszyłam się na spotkanie z nim

i wcale nie chciałam nic odwoływać. A jednak trudno było powiedzieć Danowi „nie” — przecież usiłowałam go odzyskać.

- Kurczę, nie mogę - powiedziałam, nie kryjąc rozczarowania. -
Idziemy z Busterem do Evana.

Na początku udał, że nie kojarzy, o kim mówię.

- Do tego faceta, który był tu wtedy rano?

- Właśnie.

I kogo on chciał nabrać?

- Wydawał się w porządku. Raczej nie typ seryjnego mordercy ani nic w tym rodzaju.

Uśmiechnęłam się.

- Jest bardzo fajny. Polubiłbyś go.

- A ty go lubisz, Mel?

To nie było żartobliwe pytanie. Wyraz twarzy też miał poważny. Przez chwilę myślałam, że od razu wyzna mi swoje uczucia, biorąc pod uwagę, jak na mnie patrzył, ale może był tak samo zdezorientowany jak ja, zanim zrozumiałam, co naprawdę czuję. Może bał się odrzucenia, a nie potrafił sam przed sobą się do tego przyznać. A może zwyczajnie chciał być w porządku wobec Leah i dlatego się powstrzymał. Tak czy inaczej, ja wiedziałam, że to na mnie mu zależy. Potrzebował tylko więcej czasu, żeby sobie to wszystko poukładać.

- Lubię go - odparłam. - Jest dobrym przyjacielem.

- W takim razie miłego wieczoru - powiedział i zrobił coś, czego nie robił już od ponad roku: pocałował mnie w policzek. Gdy pukałam do drzwi Evana z Busterem przy nodze, wciąż czułam ten pocałunek.

- Bałam się, że mnie wystawisz — powiedział Evan, wpuszczając nas do mieszkania, w którym unosił się aromatyczny zapach przypraw. —
Spóźniliście się.

- Przepraszam. Zaczęłam coś robić i straciłam poczucie czasu.

- Ten twój wielki projekt?

- Właśnie.

- Wybaczam ci. - Wziął mnie za rękę i poprowadził do małego płótna umieszczonego na sztalugach w rogu pokoju. - Nie mogłem się doczekać, żeby ci to pokazać.

Spojrzałam na obraz. Olejny. I oczywiście jego ulubiona sceneria - turkusowe morze na Karaibach - ale tym razem nie było sztormu, tylko słońce, którego promienie odbijały się w spokojnych falach niewielkiej piaszczystej zatoczki. Na plaży stał mały mops z wysoko podwiniętym ogonkiem, jak u Bustera, i wkładał do wody łapkę. Mordkę też miał podobną - mnóstwo fałdek skórnych, a wśród nich okrągłe błyszczące oczy. Obraz był tak realistyczny, że niemal czułam, jak sierść psa dotyka wody.

Spojrzałam na Evana z podziwem.

- Niewiarygodne. Jest jak żywy. Zawsze gdy idziemy na plażę, wkłada do wody łapkę, dokładnie tak, jak to namalowałeś, a potem ucieka jak szalony na stały ląd. Nigdy nie posuwa się dalej. Nigdy!

Roześmiał się.

- Bardzo dobrze mi się go malowało. To dla mnie coś nowego. I pomyślałem, że może ci się spodoba.

- Żartujesz? Jest cudowny. Skończony? Mogę go kupić?

- Nie, nie jest jeszcze skończony, a o tym, czy jest na sprzedaż, porozmawiamy później. Teraz muszę się skupić na naszej kolacji.

Znowu wziął mnie za rękę i tym razem zaprowadził do kuchni. Na piecu stał wielki gar z wodą i drugi z aromatycznym sosem pomidorowym.

- Serwuję dziś makaron. Mam nadzieję, że lubisz. Powiedziałam, że bardzo, i zaoferowałam swoją pomoc, a potem dalej wychwalałam obraz, żłopiąc jedno-

cznie pinot noir, który przyniosłam. Nie umiałam pić tak jak Weezie i nawet niewielka ilość alkoholu męciła mi w głowie, jeśli wypiałam ją zbyt szybko, ale tego dnia byłam strasznie rozemocjonowana i bardzo się starałam skoncentrować na gospodarzu, a nie odpływać myślami do Dana. Bo choć Evan był bardzo atrakcyjny i tak się mną zajmował, to jednak moje myśli krążyły gdzie indziej. Więc sączyłam to wino w nadziei, że pomoże mi się uspokoić.

- Wszystko w porządku? - spytał Evan, kiedy po kolacji siedzieliśmy na kanapie. On raczył się kawą bezkofe-inową, ja dopijałam resztę wina.

- Było pyszne - wybełkotałam. Nie byłam pijana, ale język mi się plątał i nie myślałam do końca trzeźwo. No dobra, byłam pijana.

- Nie pytam o jedzenie - wyjaśnił. - Mówię o tych sprzecznych sygnałach.

- Sprzecznych sygnałach? - Wyszło mi bardziej „sprzesznych sygnałach”. Nie tak źle jak na kogoś z płaczącym się językiem.

- No tak. Powiedziałaś, że masz dość i Dana, i alimentów, a tu proszę, widzę was w poniedziałek w najlepszej komitywie. O co chodzi?

- Ostatnio jakoś lepiej się między nami układa. Usiadł bliżej i objął mnie.

- O ile lepiej?

Evan był niezwykle spostrzegawczy, przynajmniej jeśli chodziło o mnie. Zdałam sobie sprawę, że z nim nie ma sensu udawać. Przecież to do niego się zwracałam, ilekroć potrzebowałam pomocy. Więc czemu nie miałabym mu wyznać prawdy? I tak musiałam komuś o tym powiedzieć, bo inaczej chyba by mnie rozerwało. Weezie miała własne problemy, więc nie chciałam jej jeszcze dokładać moich. A dlaczego by nie obnażyć duszy przed

przyjacielem i sąsiadem? Dlaczego? Bo w pijanym widzie nie powinno się obnażać duszy przed nikim z wyjątkiem barmana.

— Lubię cię, Evan — odparłam. — Inaczej by mnie tutaj nie było.

— Lubisz mnie jak? - Pochylił się, jakby chciał mnie pocałować, a ja się odsunęłam.

Kiwnął głową.

— No tak, sprzeczne sygnały. Lubisz mnie, ale wciąż nie możesz zapomnieć o swoim piłkarzyku, zgadza się?

- Tak - przyznałam. - Kiedy się rozstaliśmy, chciałam tylko zemsty. Teraz chcę go odzyskać.

Evan zdjął rękę z mojego ramienia, mina mu zrzędła.

- No, no. Przyznaję, jestem rozczarowany. - Przerwał i jeszcze bardziej się ode mnie odsunął, jakbym go mogła czymś zarazić. - A co się zmieniło?

- On się zmienił, Evan. Ma teraz pracę.

- Czy to właśnie musi zrobić facet, żeby zdobyć twoje serce? Mieć pracę?

— To bardzo dużo. Przeanalizował też swoje życie i zabrał się za siebie. Szanuję to.

-Ja również. A alimenty? Bo to chyba najbardziej cię bolało?

- Nie będę ich już płacić. Za jakiś miesiąc problem przestanie istnieć.

Evan nie bardzo rozumiał.

— A co się wydarzy za miesiąc? Zachichotałam.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - Powinnam się wtedy zamknąć, ale nie.

Wino zrobiło swoje.

— Wiedzieć co?

- No więc ten projekt, o który zawsze mnie pytasz... -Tak?

— Już niedługo go zamykam.

- Chyba nie nadążam. Jak projekt finansowy ma się do twojej relacji z Danem?

Znów chichotałam. Jeszcze teraz mi wstyd, gdy sobie to przypomnę.

- Bo widzisz, w naszej ugodzie mamy z Danem taką klauzulę o wspólnym pożyciu.

- Wiem, my z Kaitlin też ją mamy.

- Tak? No to lepiej uważaj. — Pogroziłam mu palcem. — Bo ona może wynająć Desiree i wszystko szlag trafi.

- Wynająć? Mówisz bez ładu i składu. - Wziął do ręki butelkę, zobaczył, że jest pusta, i przewrócił oczami.

- Bez ładu i składu? — Odbiło mi się. — Ugoda mówi, że Dan nie może mieszkać z inną kobietą dłużej niż trzy miesiące, bo wtedy traci prawo do alimentów. Projekt polegał na tym, żeby znaleźć mu taką kobietę. I udało się.

- Znalazłaś mu jakąś kobietę? — Teraz Evan był zupełnie skonsternowany.

- Leah Purcell. Jest weterynarzem i bardzo, ale to bardzo zakochała się w Danie. Mieszka z nim już sześćdziesiąt dwa dni! A ja mogę to udowodnić! Mam swoich szpiegów! — Każdy przykład mojej zdrady opatrywałam wykrzyknikiem, jakbym się spodziewała, że Evan za każdy z nich poklepie mnie po ramieniu, jakbym zasługiwała na oklaski, a nie wygwizdanie. (Powtarzam po raz trzeci, byłam pijana!).

Twarz mu się nachmurzyła.

- I naprawdę ty go z nią poznałaś?

- No co ty. Wynajęłam Desiree. Nie było tanio, ale to najlepsze biuro matrymonialne w Nowym Jorku. Poznała ze sobą Weezie i Nardsa, a oni się pobrali, choć teraz Nards sypia z tą nową lekarką, więc chyba tak najlepiej to im się nie układa.

Evan wstał i stanął przede mną, kładąc ręce na biodrach.

- Dan nie pamięta o tej klauzuli, prawda?

-Nie.

- Leah też nic o tym nie wie?

- Leah nie wie o niczym. Jest zbyt zajęta remontem mieszkania, mojego mieszkania.

- Więc żyje sobie szczęśliwie z tą kobietą i nie ma pojęcia, że za chwilę nie dostanie kasy?

- Wcale nie żyje z nią szczęśliwie. Kocha mnie, a ja jego i jak tylko mu o tym powiem, na pewno każe się jej wyprowadzić.

Przez kilka sekund Evan patrzył na mnie, jakbym miała sześć głów. Trudno mu się zresztą dziwić. Nigdy nie byłam okrutna, ale to, do czego się przyznałam, to jednak przesada.

- Uważasz, że jestem okropna - powiedziałam, zanim się odezwał.

- Uważam... — Przerwał, żeby się opanować. — Uważam, że jeśli to jest twój sposób okazywania miłości, to bardzo się cieszę, że dowiedziałem się teraz.

- Evan, proszę cię. Nie bądź taki. Przecież to normalne, że ludzie nie chcą płacić alimentów. Faceci marzyli o takich spiskach od lat. Założę się, że Kaitlin siedzi teraz w domu i trzyma kciuki, żebyś naruszył warunki umowy.

- To co prawda nie twoja sprawa, ale Kaitlin nie płaci mi ani centa.

-Nie?

- Nie. Sam się utrzymuję.

- Ze sprzedaży obrazów?

- A dlaczego nie? Przecież sama wciąż powtarzasz, że mam talent.

- Bo masz. Tylko że...

- Tylko że co? Na obrazach się nie wzbogacę? Zapłaciły za to, co dziś bez wahania zjadłaś.

- Ale Evan, potrzebujesz więcej pieniędzy niż tylko na jedzenie.

- Tak? No to ile potrzebuję? — zapytał. — Albo mam lepsze pytanie: ile ty potrzebujesz? Zapytaj siebie: ile pieniędzy muszę mieć, żebym była szczęśliwa?

Nie odpowiedziałam. Kolacja podchodziła mi do gardła. Chciałam go poprosić o coś na niestrawność, ale po namyśle stwierdziłam, że lepiej nie.

- Posłuchaj, wiem, że byłaś biedna. Wiem, że twój ojciec nie pracował. Wiem, że musiało ci być bardzo ciężko i że to na pewno wpłynęło na twoje widzenie świata. Ale zapytam jeszcze raz: ile pieniędzy musisz mieć, żeby być szczęśliwą?

Wzruszyłam ramionami.

- Tyle, żeby czuć się bezpiecznie. Wszyscy potrzebujemy poczucia bezpieczeństwa. Nawet ty, Evan.

- Zgadza się, ale moje jest tutaj - powiedział, kładąc rękę na sercu. — Nie ma związku z jakimś świetnym stanowiskiem ani przytulnym wygodnym gabinetem. Jest właśnie tutaj. Może zajeżdża to trochę na New Age, ale kiedy w siebie wierzysz, pieniądze same przychodzą, Melanie. Nie musisz walczyć o nie pazurami. I nie musisz manipulować ludźmi. Może kiedyś to zrozumiesz.

Siedziałam i słuchałam go. To znaczy słyszałam, co mówi. Ale zupełnie to do mnie nie docierało. Nie dopuszczałam tego do siebie, a i wino nie pomagało.

Przekonany, że sprawa jest przegrana, Evan zawołał Bustera.

- Czas do domu, piesku.

- Czekaj, Evan - spanikowałam. - Chyba nas nie wyrzucasz? Bardzo sobie cenię twoje zdanie i podziwiam twoje przekonania. Ale zrozum, że...

- Wyrzucam tylko ciebie — odparł, pomagając mi wstać z kanapy i popychając mnie do drzwi. - Buster może zostać.

- Nie mógłbyś spojrzeć na to z mojej perspektywy? — walczyłam do końca. - Uważam, że Dan mnie wykorzy-

stuje i chciałam naprawić tę niesprawiedliwość. To jedyny powód, dla którego znalazłam mu Leah.

— A nie przyszło ci do głowy, że to właśnie dzięki niej tak się zmienił? Że gdyby nie jej miłość i wsparcie wcale nie stałby się tą osobą, którą podobno chcesz odzyskać?

— Dan powiedział mi, że Leah ma na niego pozytywny wpływ, i jestem przekonana, że jest jej bardzo wdzięczny. Ale to mnie kochał już na studiach i w głębi duszy kocha nadal. Widziałam to w poniedziałek, kiedy przyszedłeś. Zachował się w stosunku do ciebie jak palant, bo był zazdrosny.

— Może i był zazdrosny — mówił Evan — ale to mógł być zwykły odruch, impuls pozostały z przeszłości. To wcale nie dowód, że cię kocha.

— Właśnie, że tak.

— Melanie, posłuchaj. A co, jeśli jego definicja miłości zmieniła się wraz z jego stosunkiem do życia? Co, jeśli dojrzewając, uznał, że jest gotów na dojrzały związek?

Nie odpowiedziałam, bo pokój zaczął mi nagłe wirować przed oczami. I dlatego, że nie znałam odpowiedzi.

Evan otworzył drzwi i gestem dał do zrozumienia, że mam wyjść.

— Muszę pozmywać naczynia.

— Możemy nadal być przyjaciółmi? - zapytałam jak czternastoletnia dziewczynka, potykając się o próg.

— Dobranoc, Melanie.

I zamknął za mną drzwi.

— Mam to uznać za nie? — zawołałam jeszcze.

Czekałam przez chwilę na odpowiedź - wyobrażałam sobie nawet, że drzwi się otwierają i Evan staje w nich z przebaczącym uśmiechem — ale odpowiedziała mi tylko cisza.

— Szkoda, że jest taki zły na mamusię, wiesz, Busterku — mówiłam, gdy wlekliśmy się do domu. — To byłoby

straszne, gdyby w ogóle przestał mnie lubić. Dobrze, że możemy się przynajmniej skupić na odzyskaniu tatusia, prawda?

Pies wydał ciche stłumione szczeknięcie. Wtedy pomyślałam, że usłyszał kogoś w korytarzu i szczeknął w mojej obronie, ale teraz wiem już, że robił mi wyrzuty - był tak samo zdegowany jak Evan.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Następnego ranka zadzwoniłam do Evana, ale odezwała się tylko poczta głosowa. Już chciałam zostawić wiadomość, że przepraszam, że jest mi wstyd i przykro i mam nadzieję, że możemy... Nie. Uświadomiłam sobie, że w zasadzie nie mam mu do powiedzenia nic konkretnego. Żałowałam, że sprawiłam mu ból, że go rozczarowałam, a może nawet zraziłam do siebie, ale cóż, jestem, jaka jestem. Nawet jeśli Dan się zmienił, to ja nie.

Kontynuowałam swoją nierozsądną kampanię. Powiedziałam Danowi, że Buster znów ma problemy z utrzymaniem równowagi (jakbym to właśnie ja mogła się w tej sprawie wypowiadać), więc od razu przybiegł. Po stwierdzeniu, że pies jest zdrowy, posiedzieliśmy chwilę razem. I znów wspominaliśmy dawne czasy. Przypomniłam mu między innymi wycieczkę na Bermudy, kiedy przez cały pobyt padało. On opisał, jak ilekroć odważyliśmy się pobiec do restauracji, okrywaliśmy się prysznicową zasłonką, a i tak byliśmy przemoczeni do suchej nitki. Ja dodałam, że wycieraliśmy się nawzajem po każdym posiłku i stawaliśmy przy elektrycznej suszarce do ubrań, żeby się ogrzać, a on na to, że gdy skończyły się nam ręczniki, przez cztery dni musieliśmy zamawiać posiłki do pokoju. Przyznałam, że według mnie to nasze uwięzienie w pokoju okazało się najlepsze z całej tej wyprawy. On się uśmiechnął i powiedział, że myśli tak samo.

W pewnym momencie Dan położył mi rękę na kolanie.

— Przeżyliśmy cudowne chwile, prawda, kotku. I to nie było pytanie.

Buster natomiast cały czas skakał dookoła jak klaun, cały zadowolony. Miałam wyrzuty sumienia, że wykorzystuję go w celu naprawienia mojego związku, ale nie było wątpliwości, że im więcej czasu spędzamy z Danem razem, tym stajemy się sobie bliżsi.

Miałam nadzieję, że przez weekend spotkam gdzieś Evana i spróbuję jakoś wyprostować nasze stosunki, ale nigdzie go nie było. Wpadłam za to na Patty, która promieniała -i wcale nie dzięki kosmetykom.

— Widziałaś może Evana? — zapytałam w pewnym momencie, gdy rozmawiałyśmy na korytarzu.

— Nie, ale poznałam faceta przez Internet — odparła uszczęśliwiona. — To dopiero miesiąc, ale jest niesamowity.

— Super. Gratulacje. — A to niespodzianka. — Jak udało ci się zapomnieć o Jasonie i alimentach?

— Uznałam, że to przeszłość, i ruszyłam do przodu. I chyba te przepłakane noce też mi pomogły. Powinnaś spróbować.

— Nie ja — odparłam i machnęłam ręką. — Ja nigdy nie płacę.

— Może właśnie dlatego jesteś sama — powiedziała Patty, po czym znikła w swoim mieszkaniu.

Co ona tam wie, pomyślałam. Poza tym przecież już niedługo nie będę sama. Jeszcze tylko trzy tygodnie i Dan straci alimenty, a wtedy ja go pocieszę, a Desiree pocieszy Leah. Milutkie i zgrabniutkie zakończenie.

W sobotę wieczorem pracowałam sobie spokojnie, gdy zadzwoniła pani Thornberg. Pytała, dlaczego do niej ostatnio nie zaglądam. Powiedziała, że się za mną stęskniła.

- Mnie też pani już trochę brakuje - odparłam, bo w zasadzie tak było. Należała do tych niewielu osób, których jeszcze do siebie nie zraziłam, i fakt, że jej pomagałam, gdy nikt inny nie chciał tego robić, częściowo łagodził to, jak fatalnie się wtedy ze sobą czułam.

- Właśnie robię pastę jajeczną, do której dodaję kilka sekretnych składników. Mogłabym zrobić kanapkę i tobie, pooglądałybyśmy razem telewizję.

No dobra, może i symbolizowała mi matkę. W każdym razie nie miałam nic przeciwko spędzeniu z nią czasu, więc przyjąłam propozycję.

Kiedy przyjechałam, pocałowała mnie na powitanie, mówiąc, że przydałoby mi się zrzucić kilka kilogramów, a potem poprosiła, żebym otworzyła słoiczek z mieszanką warzyw w occie, z którym męczy się już od godziny. (Warzywa okazały się jednym z sekretnych składników, drugim był pieprz ziołowy). Jadłyśmy kanapki na małych rozkładanych stolikach przed jej mikroskopijnym telewizorem.

- Twój były ciągle mocno trzyma z tą ćpunką - powiedziała w czasie reklamy. - Wychodzili gdzieś kilka godzin temu i jak zwykle narobili rumoru. Chciałam im zwrócić uwagę, żeby przestali trzaskać drzwiami, ale byłam zbyt zmęczona.

- Mam przecucie, że już niedługo będą razem - odparłam, uśmiechając się z wyższością.

Pani Thornberg ściszyła telewizor i spojrzała na mnie.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Zwykle przecucie. - Nie miałam zamiaru wyjawiać jej prawdy, nie po tym, jak zareagował Evan.

- Nie wydaje mi się, żebyś miała rację - powiedziała sceptycznie, kręcąc łysiejącą głową. - W nocy nadal przełamują barierę dźwięku, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Roześmiałam się.

- Rozumiem, ale nie przejmowałabym się tym. Oczywiście, że uprawia z nią seks, pomyślałam. Seks

pełen wyrzutów sumienia, bo gdyby miał wybór, wolałby się kochać ze mną. Gdyby tylko wiedział, co ja czuję -gdybym poszła do niego i po prostu mu powiedziała - nie posiadałby się z radości i znów bylibyśmy razem, a on nie zmuszałby się już do orgazmów.

W każdym razie zakładałam, że tak właśnie jest.

Kiedy program Lany ego Kinga dobiegł końca, oczy pani Thornberg zaczęły się zamykać. Pomogłam jej wstać z fotela i przebrać się w koszulę nocną, położyłam ją do łóżka i włożyłam protezy do kubeczka ze środkiem czyszczącym.

- Zostaniesz w pokoju gościnnym? — zapytała niewyraźnie, chwytając mnie za rękę tak mocno, że aż zabolalo.

- Muszę wracać do psa, ale poczekam, aż pani zaśnie.

- Dobrze z ciebie dziecko.

Siedziałam więc przy jej łóżku kolejne piętnaście minut. Ona w tym czasie odpłynęła w krainę snów, a moje krążenie w dłoni wróciło do normy.

Pochyliłam się nad jej łóżkiem, poprawiłam kołdrę, tak jak lubiła, i na palcach wyszłam z pokoju.

Ledwie nacisnęłam klamkę drzwi wejściowych, usłyszałam Dana i Leah.

- Nigdy tak świetnie się nie bawiłem w ciemnej sali kinowej - powiedział, cały czas się śmiejąc. - I nawet mi nie przeszkadzało, że film był taki nędzny.

Leah odpowiedziała mu swoim ha, ha, ha.

- Przecież nie widziałeś filmu, Swainy, bo za bardzo byłeś zajęty mną.

Żyłka na mojej skroni nagle wyskoczyła — moja żyłka Dana - i poczułam zazdrość. Ale tylko do czasu, aż wytłumaczyłam sobie, że Dan owszem, zajmował się w kinie Leah, lecz pełen wyrzutów sumienia, bo gdyby miał wybór, wolałby zajmować się mną.

Otworzyłam drzwi trochę szerzej, żeby ich lepiej widzieć. On szukał w kieszeni kluczy, a ona na nim wisiała.

— Uważam, że w przyszłym tygodniu powinniśmy spędzać wieczory w domu - powiedziała Leah. - Będziemy mieć Bustera, a wiem, jak cenisz sobie czas z nim. Mel chyba go często zostawia, ale my nie musimy.

Co za tupet! Mel wcale nie zostawia Bustera! Mel nie jest niedobłą matką! Mel tak dobrze opiekuje się psem, że Leah nawet się nie śniło!

No dobra, zostawiłam go wtedy samego, ale miał swoje zabawki, ulubione przysmaki i wygodne łóżeczko. A mnie nie było zaledwie kilka godzin. Jak ona śmie!

Odczekałam, aż wejdą do środka, a potem szybko pobiegłam do windy. Kiedy wróciłam do domu, przytuliłam Bustera i dałam mu jeden z jego najulubieńszych smakołyków. Powiedziałam mu też, jak bardzo go kocham, niezależnie od tego, co kto mówi. Zareagował atakiem kaszlu. Poprosiłam go więc o przebaczenie za to, że wciągnęłam go w ten cały diabelski spisek, i kaszel zelżał.

Kiedy rano w niedzielę poszłam do kuchni, żeby zrobić sobie kawę, Buster stał przy swojej misce i znów kaszłał.

— Coś wleciało nie do tej dziurki, Busty?

A kiedy przyklęłam przy nim, zemdłał. Stracił przytomność! Przysięgam na Boga, było to tak przerażające, że wrzasnęłam, jakby mój ukochany pies właśnie zmarł. W każdym razie ja myślałam, że zmarł.

Położyłam się na podłodze obok niego, szukając ręką jego serca, żeby wyczuć jakieś tętno, puls, oddech, cokolwiek.

Jest! Puls! Oddychał! Ale jak mógł zemdleć? Przecież był zdrowy. Tylko udawał, że nie jest.

Zadzwoiłam do Dana. Cała rozhisteryzowana. Przyjechał błyskawicznie. Do tego czasu Buster ożył, ale wciąż jeszcze nie doszedł całkiem do siebie.

- Pewnie mi nie uwierzysz po tych wszystkich fałszywych alarmach - mówiłam - ale najpierw zaczął kaszleć, a po chwili leżał jak nieżywy.

Zostałam w ten sposób ukarana za zastępczy zespół Miinchhausena, byłam tego pewna. Patrzenie, jak umiera mój pies, to pokuta za wszystkie moje złe uczynki. Powinna mi dać do myślenia. Zawrócić ze złej drogi. To ja powinnam tam leżeć, a nie biedny niewinny Buster.

- Ależ oczywiście, że ci wierzę - zapewniał Dan, bo tak wspaniale potrafiłam go okłamywać. - Musimy go zbadać.

Kiedy przywieźliśmy Bustera, pan Patrick Kelly, weterynarz, już na nas czekał, a wraz z nim Olivia, jego żona, asystentka i prawa ręka. To naprawdę wzruszające, że jest w Ameryce choć jeden lekarz, który odbiera telefon w niedzielę. Wzruszyło mnie również to, że nie zostałam potraktowana jak kłamliwa, podstępna i wszczynająca fałszywe alarmy psychopatka, którą byłam. Pan Kelly wysłuchał uważnie mojego opisu objawów, z powagą pokiwał głową, a potem zapewnił mnie, że wykona wszystkie konieczne badania.

- Czy podczas badania możemy zostać z Busterem? - zapytałam, z całej siły ściskając rękę Dana, podobnie jak on moją.

- Może najpierw zbadam go sam - powiedział weterynarz. - Ale zapewniam państwa, że jest bezpieczny. Badanie jednak może chwilę potrwać, dlatego proszę się spróbować uspokoić. Obydwojemu wam by się to przydało.

Usiedliśmy więc w poczekalni, której ściany wyłożono tapetą z sylwetkami zwierząt, takimi z kreskówek. Nie było żadnych innych pacjentów. Tylko my i szum świetlówek.

Zwróciłam się do Dana.

-Jeśli Busterowi coś się stanie, ja tego nie przeżyję.

Przyciągnął mnie do siebie, mocno objął i powiedział łagodnie:

-Ja też nie. Ale nic się nie stanie, wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

I tak zostaliśmy, objęci, na całą wieczność, bo gdy czeka się na informację o stanie zdrowia kogoś bardzo bliskiego, czas okropnie się dłuży. Kiedy tak siedzieliśmy w milczeniu, ciągle wypominałam sobie to niecne wykorzystywanie mojego psa. Zachorował z mojej winy. Mój egoizm doprowadził go do tego omdlenia. Gdybym po prostu pogodziła się z warunkami ugody, jak radziła mi Robin, gdybym przestała pielegnować w sobie gorycz i gniew, gdybym skupiła się bardziej na przyczynach rozpadu małżeństwa niż na pieniądzach, Buster nie zemdlałby w mojej kuchni. To moja wina, ale nadszedł już czas, by wszystko naprawić.

Spojrzałam na Dana, który dalej mnie obejmował, i pomyślałam, że jeśli naprawdę żałuję tego, co zrobiłam, powinnam powiedzieć mu prawdę.

Nie, nie tę prawdę o wyrolowaniu go z alimentów — nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, że mogłabym stracić i jego, i Bustera - ale prawdę o moich uczuciach do niego. Nie mogłam już czekać do końca miesiąca. Miałam gdzieś alimenty. Chciałam tylko swojego mężczyzny - pierwszego i jedyne, jakiego kochałam - i to był moment, żeby go odzyskać, ten moment, kiedy potrzebowałam dowodu, że mój świat nie wali się w gruzy.

— Dan? - zaczęłam. Odsunęłam się od niego, żeby spojrzeć mu w twarz.

— Wiem - odparł. - Ja też się boję jak cholera. Pokiwałam głową.

— Ale dobrze, że w takiej chwili mamy siebie, prawda? To znaczy, kiedy musisz przechodzić przez coś takiego, jest trochę łatwiej, gdy masz przy sobie kogoś, z kim już coś przeżyłeś, tak mi się wydaje.

Ścisnął moją dłoń.

- Bez wątplenia. A my przeżyliśmy niejedno. Uśmiechnęłam się z nadzieją.

- Ostatnio tak dobrze się dogadujemy, że aż zaczynam się zastanawiać, dlaczego się w ogóle rozstaliśmy.

- Przez ostatnie dwa miesiące rzeczywiście jest bardzo dobrze, nie zaprzeczę.

No dobra, powiedziałam sobie. Najwyraźniej myśli tak jak ja. Zraniłam go, więc nie przyjdzie po prostu i nie powie, że wciąż mnie kocha. To naturalne, że ja pierwsza muszę wyciągnąć rękę. Wszystko pasuje.

- Dan - zaczęłam więc raz jeszcze. - Mam nadzieję, że wiesz, jak się cieszę, że dostałeś tę pracę, i jaka jestem z ciebie dumna, że zdecydowałeś się wrócić do życia.

- Zawsze chciałem, żebyś była ze mnie dumna. Kiedy byliśmy razem, nie myślałem praktycznie o niczym innym.

- A teraz? - zapytałam ostrożnie. Nie zdawałam sobie sprawy, jak trudno będzie to z siebie wydusić. Nie wiedziałam, że aż tak bardzo boję się odrzucenia.

- Teraz?

- Czy myślisz o mnie teraz, kiedy nie jesteśmy już razem?

- Oczywiście, że myślę. Jesteś matką mojego psa. -Roześmiał się. - I wszystko będzie dobrze, mówię ci.

- Tak, wiem — powiedziałam. - Ale Dan, miałam na myśli nas dwoje. Wiem, że to ja odeszłam i jeszcze do niedawna byłam na ciebie zła, ale...

- Dałem ci ku temu powód.

- No tak, ale ja pozwoliłam, żeby ta złość mnie zaślepiła, i nie potrafiłam dostrzec w tobie tego wspaniałego człowieka, jakim jesteś. Owszem, miałeś swoje problemy, ale ja zapomniałam, że przecież dzięki tobie skończyłam studia, opiekowałeś się mną i przedstawiłeś potencjalnym klientom.

- Zrobiłem to z miłości, Mel, po prostu.

— No właśnie. Å propos miłości, muszę ci coś powiedzieć. — W gardle mi zaschło, a pod pachami miałam mokro. Zjadały mnie nerwy. Nie tylko życie mojego psa wisiało na włosku, ale i moje własne. Przynajmniej tak to odczuwałam.

— Śmiało. Mnie możesz powiedzieć wszystko.

— Naprawdę?

— Mel, na mnie możesz liczyć. Zawsze. Zrobiłem i powiedziałem ci wiele przykrych rzeczy, to prawda. Ale tu, w głębi, wciąż mi na tobie zależy. Nigdy nie powinnaś w to wątpić.

Zależało mu. Powiedział to. Teraz tylko ja muszę powiedzieć, że chcę go z powrotem, i będziemy żyć długo i szczęśliwie.

— Mnie też na tobie zależy - powiedziałam więc. Znów ścisnął moją rękę.

— Cieszę się. To o wiele lepsze niż ciągła walka.

— No tak — dodałam trochę sfrustrowana tymi przyjacielskimi pogaduszkami — ale nie jestem pewna, czy mnie dobrze zrozumiałeś.

— Myślę, że tak. Sporo razem przeżyliśmy. Łączy nas szczególna więź. Mamy Bustera. Więc od teraz gramy w tej samej drużynie.

Nie, jednak nie rozumiał.

Zrobiłam głęboki wdech i odchrząknęłam.

— Dobra, Dan. Krótko: chcę, żebyśmy się zesli. Kiedy wypowiadałam słowo „zesli”, obok gabinetu

doktora Kelly'ego, który znajdował się na parterze, przejechała straż pożarna, a wycie jej syreny zagłuszyło wszystkie inne dźwięki.

— Chcesz, żebyśmy co? — pytał Dan, przykładając rękę do ucha jak, nie przymierzając, Jed Ornbacher.

— Chcę, żebyśmy znów byli razem — spróbowałam ponownie. - Kocham cię. Nadal. Teraz. Zawsze. Proszę,

powiedz, że też mnie kochasz, żebyśmy mogli podrzeć dokumenty rozwodowe i zacząć od nowa.

Kręcił głową i wzruszał bezradnie ramionami. Podczas mojego wyznania przejechały dwa kolejne wozy strażackie, więc nie usłyszał nawet jednej sylaby z tego, co powiedziałam.

Odczekałam kilkanaście sekund, aż uznałam, że pole jest czyste. I zaczęłam jeszcze raz.

— Chcę być twoją...

— Proszę państwa - tym razem przerwał mi weterynarz.

Obydwoje zerwaliśmy się z krzesel.

— I co z Busterem? — zapytaliśmy jednym głosem.

— Jest stabilny - odpowiedział. — Muszę przeprowadzić jeszcze jedno badanie. Potem porozmawiamy. Chciałbym się tylko upewnić, że wszystko w porządku.

Zasypaliśmy go pytaniami, na które obiecał wkrótce odpowiedzieć. Kiedy znów zniknął w gabinecie, my z Da-nem usiedliśmy.

— Chciałaś mi coś powiedzieć — zwrócił się do mnie Dan.

— Tak. — Kolejny raz zebrałam się w sobie. — Ja...

— Mel. - Dan wziął mnie za rękę. - Ja wiem, co chcesz powiedzieć.

-Tak?

— No pewnie. Ale nie musisz mnie już przeproszać. Oboje ponosimy winę za to, co się stało. Byliśmy parą szalonych dzieciaków, które nie miały pojęcia o małżeństwie. Ważne, że się staraliśmy.

Niezupełnie to chciałam powiedzieć, ale wspomniał małżeństwo i tego się trzymajmy.

— Otóż to. I teraz, gdy jesteśmy starsi i mądrzejsi — brnęłam dalej — możemy spróbować jeszcze raz.

Dan się rozpromienił.

— No wiesz. Czytasz w moich myślach.

— Dan, naprawdę? - Teraz ja się rozpromieniłam.

— Tak. Uznałem, że mogę spróbować jeszcze raz. Nieśmiało spuściłam oczy.

— Z Leah — dokończył Dan. Gwałtownie podniosłam głowę.

— Co takiego?

— Nie planowałem ci tego dzisiaj powiedzieć — ciągnął — ale może dobra nowina cię rozweseli.

— Jaka dobra nowina? Nic nie rozumiem — tylko tyle z siebie wydusiłam. Nagle zrobiło mi się zimno. Zaczęłam szczękać zębami.

Dan obdarował mnie kolejnym promiennym uśmiechem, gdy ja tymczasem zaczęłam nerwowo kręcić włosami, zakręcać je, okręcać, wiązać kosmyki w supełki.

— No wiesz, wciąż mnie wypytywałaś, czy mam zamiar związać się z Leah na poważnie, a ja odpowiadałem, że nie ma mowy, pamiętasz?

Zęby nadal mi szczękały, palce zaplątały się we włosy, a na dokładkę czułam ostry kłujący ból nad prawym okiem.

— No więc teraz to coś bardzo poważnego - kontynuował Dan, nie czekając na moją odpowiedź. — Tak poważnego, że się zaręczyliśmy.

— Zaręczyliście się? — Nie, to niemożliwe, to się po prostu nie dzieje naprawdę. Wyobrażałam sobie kilka scenariuszy, ale takiego nie przewidziałam.

Dał mi kuksańca w ramię.

— Wiem, co sobie myślisz. Po ślubie stracę prawo do alimentów, ale ty chyba będziesz z tego zadowolona.

Wcale nie byłam zadowolona. Wręcz przeciwnie. Mimo to wciąż głupkowato się do niego uśmiechałam.

— Właściwie — nawijał dalej, podczas gdy ja siedziałam jak oniemiała - mogłem dalej żyć z Leah bez ślubu

i inkasować twoje czeki. Ale po pierwsze, w zasadzie nigdy nie czułem się w porządku, biorąc od ciebie te pieniądze i wydając je na niepotrzebne gadzety, które zresztą wcale mi się nie należą, niezależnie od tego, co mówi mój adwokat. Jako trener będę się w stanie utrzymać. No, może nie na poziomie Traffica Dana Swaina, ale jakoś sobie poradzę.

Kiwnęłam głową, gapiąc się na niego jak ostatni matoł.

— A po drugie - ciągnął, jakby po pierwsze nie wystarczyło, i to w zupełności — naprawdę chcę się z nią ożenić. Chcę się z nią ożenić tak bardzo, że planujemy uroczystość w Minco. Przyjadą jej rodzice i kilkoro przyjaciół, w przyszłym miesiącu.

W przyszłym miesiącu. Zapewne dokładnie tego dnia, gdy wygasają alimenty. Kiedy to planowałam otworzyć szampana i świętować z Desiree. Tego dnia, którego teraz mogę sobie strzelić w łeb. Uwielbiam tę ironię losu.

Od tej chwili widziałam poruszające się usta Dana, ale nie potrafiłam już odróżnić słów. Byłam zbyt załamana, żeby cokolwiek zrozumieć.

— Hej — powiedział w pewnym momencie. — Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

— No pewnie — skłamałam.

-To dobrze, bo to musisz usłyszeć. Po ślubie wyprowadzamy się ode mnie, najprawdopodobniej do niej. Możesz wracać do 32G, Mel. Bez żadnych sztuczek. Chcę, żebyś dostała je z powrotem.

— O — odparłam niezwykle elokwentnie.

— Co do Bustera, spędzaj z nim tyle czasu, ile chcesz. Teraz, kiedy nie skaczemy już sobie do gardeł, możemy zapomnieć o całym tym prawniczym bełkocie. Jeśli będzie na przykład u nas, a ty akurat w środę za nim zatęsknisz, możesz zwyczajnie przyjść. Leah zgadza się na

wszystko, co leży w interesie Bustera. Bardzo go kocha. Będzie o niego dbała tak samo dobrze jak o mnie.

No proszę, czyż to nie wzruszające? I jakie słodkie. Mogłam wrócić do swojego własnego mieszkania i przestać utrzymywać byłego mężusia, jak również spędzać z własnym psem tyle czasu, ile tylko zapragnę. Wszystko, czego chciałam, a przynajmniej wydawało mi się, że chciałam. Jak już wspomniałam, ironia losu bywa bolesna.

Wykonałam wysiłek, z miernym skutkiem, by pogratulować Danowi i podziękować za te wszystkie hojne gesty z jego strony. A potem jakby uciekło z nas powietrze, czekaliśmy więc dalej w dość niezręcznej ciszy, aż weterynarz wyjdzie w końcu z gabinetu.

No i w końcu wyszedł, trzymając na rękach przygaszonego Bustera, by zapoznać nas z wynikami badań, z których najważniejsze było USC

Nasz pies, jak się okazało, ma coś nie w porządku z zastawką dwudzielną, która znajduje się między lewym przedsionkiem i lewą komorą. To bardzo częsta przypadłość u starszych psów, powiedział lekarz. Jednym z typowych objawów są omdlenia spowodowane chwilowym niedotlenieniem mózgu. Leczenie daje zwykle bardzo dobre wyniki.

I przeszedł do szczegółów terapii — coś na uregulowanie ciśnienia krwi, dieta niskosodowa, diuretyk - a na koniec dodał, że dysfunkcja zastawki w żadnym wypadku nie oznacza wyroku śmierci.

— Z odpowiednio dobranymi środkami Buster pożyje jeszcze długie lata — zapewnił nas. — Komora trochę się powiększy, ale nie ma zagrożenia atakiem serca.

Dzięki Bogu, pomyślałam, gdy weterynarz zaczął dokładniej objaśniać stan zdrowia Bustera. Będzie dobrze. Już ja tego dopilnuję. Dam mu wszystko co trzeba i będę

go trzymać z dala od wszelkich zagrożeń, aż Busterek będzie znów kwitnący mimo tej dopiero co odkrytej wady. Komory i zastawki to nie żarty, ale Buster nie umrze. Nie umrze.

Zerknęłam na Dana, który z uwagą słuchał weterynarza. Na jego twarzy malowała się niewypowiedziana ulga, że Buster przeżyje. Ja oczywiście też ją czułam. Tak głęboko, jak nigdy w życiu. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na mojego złotego chłopca i znów znalazłam się w emocjonalnym piekle.

Nie mogłam uciec od rzeczywistości - rzeczywistości, którą sama stworzyłam - że Dan był zaręczony, że w przyszłym miesiącu bierze szybki ślub, że zaczyna nowe życie. Nawet jeśli bardzo mnie kochał, a wierzyłam, że tak jest, teraz kochał również Leah. Leah, która akceptowała go takim, jaki jest, zachęcała do pracy nad sobą i kochała się z nim i w sypialni, i w wannie. Leah, która była dobra dla zwierząt. Leah, która miała doskonałe włosy i piersi. Leah, która „poruszała właściwe struny”. Leah, za którą zapłaciłam dziesięć tysięcy, żeby mogła stanąć na drodze Dana.

Mój mózg zarejestrował ostatnie słowa pana Kelly'ego i coś mnie w nich uderzyło: ciągle powtarzał, że serce Bustera jest bezpieczne i nic mu nie grozi, gdy tymczasem moje serce właśnie pękło z rozpacz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Kolejny tydzień Buster spędzał u Dana. W sumie to się cieszyłam, że nie jest ze mną. Gdyby mu się coś stało, Leah była przecież weterynarzem. Wiedziałyby, co robić.

Poza tym w tym czasie nie potrafiłam się porządnie zatroszczyć o siebie, a co dopiero o psa. Po takim wydatku emocjonalnym i energetycznym, jaki zafundował mi Dan, załamalam się i wpadłam w depresję. Nie w taką depresję, kiedy człowiek snuje się po domu w szlafroku i zapomina umyć zęby, a stosik nieotwartych kopert rośnie na biurku. Moja depresja polegała na tym, że płakałam. Tak, ja. Nagle zaczęłam płakać jak prawdziwa beksa. Beczałam, kiedy budziłam się rano, zawodziłam przy śniadaniu i łkałam, oglądając wywiad Katie Couric z autorką książki o hermetycznym środowisku nastolatek. Czułam się tak, jakby wszystkie łzy, które nazbierały się we mnie przez długie lata wstrzymywania ich, nagle zaczęły się wylewać, a ja nie mogłam już nic zrobić. Wylewały się i wylewały niezależnie od miejsca i czasu. Niektórzy cierpią z powodu nietrzymania moczu, ja miałam problem z nietrzymaniem łez. Potrzebowałam czegoś w rodzaju pieluchy na oczy dla dorosłych.

Płacz stał się szczególnie kłopotliwy w pracy. Wylewałam łzy przy biurku, na spotkaniach i na lunchu z Berniem, który okazał się przysłowiową kroplą przepełniającą czarę. Kiedy zapytał, czemu cały czas płaczę, powiedziałam mu prawdę.

— Z powodu Dana — wyznałam nad talerzem spaghetti alia puttanesca, którego czerwony sos klócił się

z rudymi włosami Berniego. - Teraz, kiedy żeni się z inną, zrozumiałam, jak bardzo go kocham.

- Posłuchaj, Mel, współczuję ci, naprawdę - powiedział bez cienia współczucia - ale już od dłuższego czasu nie jesteś sobą. A teraz jeszcze to... to... - Zaczął obgryzać paznokiec, niezbyt dobry znak, tym bardziej że przed sobą miał przecież dużo smaczniejszych rzeczy. - No... ten płacz przy klientach. To niedopuszczalne.

- Chyba zacznę brać zolofit albo paxil czy coś w tym rodzaju - mówiłam, zastanawiając się, jakie leki brała Roberta Chapman, kobieta, którą wylał z powodu problemów po rozwodzie. Oczywiście zakładając, że w ogóle coś brała. — Co prawda przynoszą efekt dopiero po kilku tygodniach, ale jeśli dasz mi szansę...

Pokręcił głową.

- Nie mogę. Za duże ryzyko.

- To znaczy? - zapytałam i oczywiście Izy od razu pociekły mi ciurkiem po policzkach, prosto w makaron. Nigdy nie potrafiłam przewidzieć, kiedy nastąpi „wyciek”, co było bardzo żenujące.

- To znaczy, że musimy się rozstać. -Tak?

- Tak. Musisz odejść, Mel. I tak trzymałem cię dłużej niż kogokolwiek innego.

- Odejść... - Otarłam twarz serwetką, ale łzy płynęły dalej. - Przecież jestem wiceprezesem, Bernie - przypomniałam mu, jakby nie pamiętał. - Twoim atutowym asem. Ostatnio rzeczywiście zajmowałam się mniej ważnymi portfelami, ale jak tylko wyplączę się z tej sytuacji z Danem, będę jak dawniej. I poradzę sobie ze wszystkimi Jedami Ornba-cherami tego świata, a ty będziesz mógł się wyluzować.

- Przykro mi, podjąłem już decyzję.

- Ale nie możesz mnie zwolnić - błagałam. - Przecież nie znajdziesz nikogo odpowiedniego na moje miejsce.

Nachylił się do mnie i powiedział bez krztyny wyczucia, przynajmniej jak na kogoś, kto twierdził, że mu na mnie zależy:

— Już znalazłem.

— Kogo?

— Steffi. Osłupiałam.

— Masz na myśli moją asystentkę?

— Już od miesiący odwała za ciebie robotę - powiedział, dalej obgryzając paznokcieć.

— Możliwe - zgodziłam się z nim. - Jest bardzo efektywna, ale na pewno nie jest gotowa na taki awans. Poza tym jest lojalna w stosunku do mnie. Nigdy by się na to nie zgodziła. Gdybyś zaproponował jej moje stanowisko, na pewno...

— To ona przyszła do mnie — oznajmił.

— Co takiego? -Tak, Mel.

Ta zdradziecka dziwka! Byłam przerażona. Tak przerażona, że na moment przestałam płakać. Może to był klucz - powstrzymywać łzy strachem.

Bernie mówił dalej, wychwalał moje zasługi i oddanie dla firmy, a potem zaoferował hojną odprawę, której szczegóły wyjaśnił mi w kadrach.

— Na pewno spadniesz na cztery łapy — dodał na koniec. - Kiedy już będziesz gotowa, pojawi się mnóstwo propozycji. Musisz tylko ustalić swoje priorytety.

Miał rację. Powinnam ustalić swoje priorytety, a jednym z nich był szef, który nie obgryza paznokci.

W drodze do domu zadzwoniłam do Weezie. Nie rozmawiałyśmy już przez... hm, w każdym razie zbyt długo. Od kiedy zapadłam na zastępczy zespół Miinchhausena, wciąż byłam zajęta.

- Nie uwierzysz, co się stało — zaczęłam, gdy odebrała. - Bernie mnie wylał.

Spodziewałam się czegoś w rodzaju: „O Boże!” albo: „Żartujesz!” czy też: „A to drań”. Zamiast tego jednak Weezie rzekła:

— A co to ma wspólnego ze mną?

Znowu się rozplakałam. Na szczęście byłam w taksówce, więc nikt nie widział, jak ocieram łzy rękawem swetra.

- Co się stało? - zapytałam. — Jesteś na mnie zła?

-Jestem na ciebie wściekła — odparła. - Moje małżeństwo się rozpada, a moja najlepsza przyjaciółka gdzie jest? Na pewno nie obok mnie.

— Och, Weezie. Przecież wiesz, jaka jestem zakręcona z powodu Dana i Leah, ale ...

- Zakręcona wokół własnych spraw, mówiąc innymi słowy. A przyszło ci kiedyś do głowy, że świat wcale nie kręci się wokół Melanie Banks?

— Przepraszam — powiedziałam. - Powinam poświęcić ci więcej uwagi.

- Owszem, powinnaś. Ale wiesz, jak się głębiej nad tym zastanowić, to właściwie zawsze byłaś zajęta wyłącznie sobą. W dniu, kiedy się poznałyśmy, założyłaś z góry, że moje życie jest doskonałe, co pozwalało ci bez przerwy nawijać o swoich problemach, o tym, jak to nic w życiu nie przychodzi ci łatwo i że o wszystko musisz walczyć. I wiesz co? Mam dość takiej przyjaźni. Koniec z tym.

— Nie mów tak — prosiłam, całkowicie zaskoczona tym wybuchem. Ale miała rację. Od incydentu z Nard-sem nie pofatygowałam się do Connecticut i nawet nie zadzwoniłam, żeby zapytać, co u niej. Ale Weezie była moją opoką. Nie mogłam jej teraz utracić. Nie teraz, kiedy straciłam już i pracę, i Dana. - Poprawię się, Weezie, zobaczysz.

— Najpierw ustal swoje priorytety — powiedziała moja przyjaciółka, powtarzając słowa Berniego. - Muszę kończyć, cześć.

Rozłączyła się. Wtedy rozplakałam się już tak rozpaczliwie, że łzy zmoczyły tapicerkę w taksówce. Kierowca wykrzykiwał coś w obcym języku, którego nie potrafiłam zidentyfikować, na co jeszcze bardziej się rozryczałam. Odkąd Dan oznajmił o swoich zaręczynach, wciąż przybawało mi powodów do płaczu.

Już w Hotelu Złamanych Serc szlochałam najpierw przy wiadomościach, potem gdy jadłam fasolkę prosto z puszki, a następnie kiedy próbowałam odnaleźć swoje CV i zdałam sobie sprawę, że nigdy go nie napisałam. Nie musiałam. Pierce, Shelley i Steinberg zatrudnili mnie zaraz po studiach dzięki nadzianym klientom, których mogłam wprowadzić do firmy przez swój związek z Danem. Nie znałam innego pracodawcy. Dokąd miałam teraz pójść?

Jest mnóstwo miejsc, sama sobie odpowiedziałam wciąż zapłakana. Znajdę nową firmę i zapracuję tam na nowe wspomnienia - firmę, która zaproponuje mi cudowną, motywującą i dobrze płatną pracę. Tylko kto mnie przyjmie, gdy się dowie, że wyleciałam z Pierce'a, Shelleya i Steinberga?

Pierce, Shelley i Steinberg.

Chlip, chlip, chlip.

Próbowałam wymyślić inne profesje dla siebie, kiedy już skończę płakać. Miałam MBA, to się chyba liczy. Mogłabym zrobić jeszcze CPA i zostać zaprzysiężonym rewidentem księgowym.

Księgowym.

Chlip, chlip, chlip.

A może zostawię finanse i zajmę się czymś bardziej kreatywnym. Mogłabym na przykład projektować biżu-

terię albo robić modne szale na drutach czy nawet zostać malarzem jak Evan. Evan.

Chlip, chlip, chlip.

Ciekawe, czy jest dziś w domu, pomyślałam, otwierając kolejną paczkę chusteczek i wydmuchując nos. Może się uspokoił po ostatnim i zechce wysłuchać moich smutnych historii? Pocieszy mnie, zrozumie i doradzi? Nazywał mnie przecież swoją damą w opresji, prawda? No, w tej chwili rzeczywiście byłam w niezłej opresji.

Wzięłam chusteczki, klucze i powlokłam się do jego mieszkania. Miałam właśnie nacisnąć dzwonek, gdy doleciały mnie ze środka jakieś odgłosy. Ktoś coś przesuwiał? Przeciągał po podłodze? Meble?

Zadzwoiłam. Kiedy od razu nie otworzył, w pierwszym odruchu chciałam uciec, ale jednak zadzwoniłam ponownie.

- Idę! — zawołał, jakby brakowało mu tchu.

Odczekałam jeszcze kilka sekund i drzwi się otworzyły. Robił wrażenie zaskoczonego moim widokiem. A może zaskoczyły go tylko moje zaczerwienione zapuchnięte oczy, czerwone plamy na skórze oraz zaczerwieniony i zapuchnięty nos?

- Wszystko w porządku? - zapytał, przyglądając się uważnie mojej twarzy. — To znaczy nikt nie umarł ani nic takiego?

- Buster ma dysfunkcję zastawki dwudzielnej i najedliśmy się przez niego strachu, ale nic mu nie będzie.

- To duża ulga. — Westchnął ciężko. - Przykro mi, że cię to spotkało.

- Mnie też.

Włosy spadały mu na czoło, a na twarzy, podobnie jak na koszulce, widać było ślady potu. Najwyraźniej kie-

dy zadzwoniłam, wykonywał jakąś ciężką fizyczną pracę. W każdym razie na pewno nie malował.

— Mogę wejść? Wiem, że nie jestem tu ostatnio mile widziana, ale naprawdę muszę z kimś pogadać.

— O Busterze czy o kochasiu? — zapytał zmęczonym głosem i westchnął.

— O kochasiu - przyznałam niemal szeptem. Gardło miałam tak ściśnięte, że ledwie mogłam mówić.

— Co tym razem narozrabiałaś? Namówiłaś go, żeby drugi raz stanął przed ołtarzem?

To pytanie uruchomiło kolejny strumień łez.

— Tak. Z nią.

Evan przewrócił oczami, otworzył szerzej drzwi i wciągnął mnie do środka.

Chyba trochę zmiękł. Przynajmniej na tyle, żeby tolerować moją obecność.

— Mam tu bałagan, ale kanapa jest OK. Siadaj.

— Dzięki. - Kiedy usiadłam, rozejrzałam się wokół i zobaczyłam kilka kartonów postawionych tu i ówdzie, niektóre zalepione taśmą i opisane czarnym mazakiem, inne wciąż otwarte. - Po co te pudła?

— Wysłuchajmy najpierw twojej historii. Podać ci coś do picia? Najlepiej coś bezalkoholowego? Nie chciałbym powtórki z ostatniego razu.

— Nie, dzięki. Wszystko się posypało.

— To widać na pierwszy rzut oka. Czy mi się wydawało czy też mówiłaś, że nigdy nie płaczesz?

— Bo tak było. Ale teraz Dan się żeni z Leah. W przyszłym miesiącu. Na domiar złego wylali mnie, a moja najlepsza przyjaciółka się do mnie nie odzywa.

Przysiadł na oparciu.

— Więc jestem twoją ostatnią szansą na kontakt międzyludzki?

— Tak to wygląda.

— No dobra, wracając do kochasia, powiedziałaś mu, że ciągle go kochasz, a on mimo to żeni się z nią?

— Nie powiedziałaś mu. On był szybszy ze swoją nowiną. A potem nie było już sensu wyjawiać moich niewinnych uczuć do niego.

— Niekoniecznie. Może gdyby wiedział, zmieniłby zdanie.

Pokręciłam głową.

— On szaleje na jej punkcie. W każdym razie na tyle stracił głowę, że jest gotów zrezygnować z alimentów.

Evan zaklaskał.

— Brawo. Przynajmniej on ma jakieś zasady.

— Zasluguje na to, ale i tak boli. Bardzo boli.

I znów łyzy. Na twarzy. Na ubraniu. Na kanapie Eva-na, której tapicerka podobna była do mojej - miękka i wygodna jak druciak.

— Już dobrze, dobrze. Rozumiemy, że jesteś zdruzgotana — powiedział, a potem ześliznął się z oparcia, usiadł obok i objął mnie ramieniem. - Więc twój plan diabli wzięli?

— I to jak - odparłam, opierając głowę na jego ramieniu. - Dan jest z Leah, a ja jestem bez pracy i moje życie to jeden wielki kanał.

— Czy to termin techniczny?

— Nie. - Odwróciłam się do niego i wtuliłam w jego tamię. Znów szlochałam, dławiałam się i parskałam, a większość moich wydzielin wylądowała na jego T-shircie.

— Słuchaj, mówiłem serio o powiedzeniu Danowi o tym, co do niego czujesz - mówił, głaszcząc mnie po włosach. — Może związał się z Leah tylko dlatego, że ty go nie chciałaś, i odwoła ten ślub, jeśli dla odmiany będziesz z nim szczerą.

— Nie mogę mu powiedzieć o Desiree i całym tym planie.

- A niby dlaczego?
- Przecież sam to przed chwilą powiedziałeś. Ma zasady. Już nigdy by się do mnie nie odezwał. Ty też się do mnie nie odzywałeś, jak ci powiedziałam.
- Ale jestem tu teraz, prawda? Udało mi się uśmiechnąć.
- I jestem ci za to bardzo wdzięczna.
- Chciałam dotknąć jego twarzy, ale on nagle wstał i zaczął rozciągać mięśnie szyi.
- Chyba coś sobie naciągnąłem — powiedział. - Pewnie przez to podnoszenie.
- Właśnie, nie powiedziałeś mi, co tu robią te pudła. - Jedne idą do magazynu, a niektóre zabieram ze sobą.
- Dokąd? - Nie potrafiłam ukryć paniki. Za nic w świecie nie chciałam, żeby Evan się wyprowadził. No bo kto wtedy będzie pokazywał mi okolicę i najlepsze knajpki z pastrami, kto zaskoczy mnie zabawką dla Bu-stera i wreszcie kto doprowadzi mnie do pionu, kiedy zbłądzę?
- Ustaliliśmy już z Kaitlin warunki rozwodu, więc jadę na Bahamy.
- Żeby malować?
- To też. I żeby znaleźć trochę spokoju. Wynająłem dom na Abaco, na miesiąc, potem mogę przedłużyć umowę. Bez telefonu i bez komputera — tylko szum fal. W tej chwili nic mnie tutaj nie trzyma, więc to chyba dobry moment.
- I znów łzy. Całe mnóstwo łez.
- Ale ty nie możesz wyjechać. Nie możesz. Oparł ręce na biodrach i zapytał:
- A niby dlaczego?
- Bo zawsze mnie ratujesz: kiedy zapomnę klucza, wysypią mi się śmieci czy potrzebuję domowego obiadu.

- Wynajmij sobie nianię.

- Ale przede wszystkim — kontynuowałam, ignorując jego sarkazm — potrafisz mnie wysłuchać, kiedy muszę się wygadać o Danie. Ty mnie słuchasz, Evan, i rozumiesz mnie. Z tobą nie muszę udawać.

Evan roześmiał się smutno.

- No tak, rozumiem cię. Sęk w tym, że mam już dość słuchania o twoim byłym mężu. I nie chcę być tylko ramieniem, w które możesz się wyplakać. Chciałbym -w każdym razie chciałem — żebyśmy stworzyli razem coś nowego, ale ty jesteś tak uczepiona Dana, że w ogóle nie pomyślałaś o mnie w tych kategoriach. Więc się zmywam. Wyjeżdżam. Nie ma mnie.

Co mogłam powiedzieć? Albo zrobić? Chociaż bardzo mi na Evanie zależało i choć bardzo mnie pociągał, nie byłam gotowa na nowy związek. Miał rację — tkwiłam po uszy w poprzednim.

- Może któregoś dnia spojrzysz na to wszystko jaśniej i ustalisz swoje priorytety — powiedział, wracając do pakowania. Już trzecia osoba nudzi mi o priorytetach. Proszę, jacy zgodni. - Trzymasz się przeszłości, bo to coś, co dobrze znasz, więc daje ci poczucie bezpieczeństwa, tak dla ciebie ważnego.

- Myślisz, że tylko o to chodzi? Że chcę Dana, bo go znam?

- Może tak być. Lepszy diabeł znany i tak dalej. Pamiętasz ten obraz z Busterem?

- Jak mogłabym zapomnieć?

- Kiedy go zobaczyłaś, powiedziałaś, że jest realistyczny, że Buster zawsze moczy łapę, a potem ucieka. Może ty też wkładasz do wody tylko stopę i uciekasz? Może uważasz, że bezpieczniej jest na pewnym gruncie? Ale nie ma czegoś takiego jak bezpieczeństwo. Już ci to mówiłem.

Wzruszyłam ramionami.

— Słyszę cię i wiem, że jesteś bardzo mądry, ale nie wydaje mi się, żeby tym razem chodziło o bezpieczeństwo. Czuję, że wciąż Kocham Dana.

— No dobrze.

Podszedł do kanapy i podał mi rękę. Wzięłam ją, a on mnie pociągnął. Staliśmy twarzą w twarz, tak blisko, że czułam zapach jego potu, zauważyłam małą dziurkę w koszulce i tętnicę na jego szyi, która poruszała się w miarę bicia jego serca.

— W takim razie powinnaś mu o tym powiedzieć. Niczego nie ukrywaj. Pozwól, żeby zobaczył cię taką, jaka rzeczywiście jesteś. Choć na twoim miejscu zrobiłbym coś z tym czerwonym nosem. Mam tu trochę białej farby, jest wodoodporna, możesz brać do woli.

— Nie chcę, żebyś wyjeżdżał - powiedziałam na granicy kolejnego wybuchu płaczu. - Bahamy są tak daleko.

— Wcale nie. Tylko trzy godziny.

— Mogę cię odwiedzić? Teraz nie muszę już prosić o urlop.

— Lepiej się nie kontaktujmy — orzekł Evan. — Nie, dopóki wciąż jesteś...

Zamiast skończyć zdanie, patrzył na mnie przez chwilę, potem pochylił się i pocałował mnie w usta. To był ten pocałunek, do którego wcześniej nie udało nam się dojść, i zupełnie mnie tym zaskoczył. A może to cudowne doznania, jakich doświadczyłam, tak mnie zaskoczyły? Rozpałyły. W każdym razie pocałunek Evana Gillespiego był bardzo namiętny, a ja zareagowałam podobnie. Nogi niemal się podę mną ugięły.

— No — powiedział, kiedy się rozdzieliliśmy. — Nie chciałem bez tego odjeżdżać, Melanie.

— Wiesz — odparłam, usiłując złapać oddech i dojść do siebie — przyjaciele mówią do mnie Mel. Przyjaciele, których zresztą opuściłam w potrzebie.

— Mnie interesuje coś więcej niż przyjaźń, na wypadek gdybym nie wyraził tego dostatecznie jasno.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, objął mnie w talii i odprowadził do drzwi.

— Mam jeszcze jedno pytanie, zanim się pożegnamy

- powiedział na progu.

— Wyjawiłam ci już wszystkie swoje sekrety — odparłam. - To niewiarygodne. Znasz moją prawdziwą twarz, a mimo to mnie pocałowałeś.

-To dopiero facet, no nie? A mówią, że prawdziwych dżentelmenów już nie ma.

— Zabawne, ale kiedy się poznaliśmy, powiedziałam dokładnie to samo.

— Co samo?

— A mówią, że prawdziwych dżentelmenów już nie ma. Przyszedłeś do Patty oddać jej proszek do prania, który ci pożyczyła. Nie miałam pojęcia, że okażesz się największym dżentelmenem, jakiego znam.

— Pochlebstwo ci nie pomoże. I tak muszę się pakować.

— W porządku — powiedziałam, żałując tego bardzo.

— Ale chciałeś mnie o coś zapytać?

— Chodzi o ten wieczór, kiedy przyszedłeś do mnie pierwszy raz. Zadzwoniła twoja komórka, rozmawiałeś z kimś krótko, a potem wyszedłeś do jakiejś starszej pani.

— No, zgadza się.

— Więc czy ta kobieta rzeczywiście istnieje czy tylko chciałeś się już stąd zmyć, żeby dalej knuć swoje spiski?

— Jedno i drugie — przyznałam i opowiedziałam mu historię mojej relacji z panią Thornberg, łącznie z tym, jak bardzo ją polubiłam. - Teraz z przyjemnością ją odwiedzam, lubię z nią pobyć, pomóc jej, dotrzymać towarzystwa, żeby nie była taka samotna, przez co i moja samotność jest łatwiejsza do zniesienia.

Czy to znaczy, że jest jeszcze nadzieja dla mnie i moich priorytetów?

— Nadzieja jest zawsze.

Pocałował mnie delikatnie w policzek, ledwie muskając go wargami, po czym odesłał mnie do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

— Proszę jeszcze o kilka minut cierpliwości — powiedziała Taylor, asystentka Desiree. Było wpół do dwunastej następnego dnia. Od jedenastej czekałam na Panią Swatkę Doskonałą. Nie bardzo mi się uśmiechało siedzenie tam i patrzeć w sufit, ale z drugiej strony nie miałam dokąd pójść.

- Ktoś u niej jest? Czy może wyszła kupić kolejną parę puszystych kapci?

- Kapci? Jest z klientką - odparła oburzona Taylor. Ona, w przeciwieństwie do Steffi, była lojalna w stosunku do swojej szefowej. - Ale na pewno...

I dokładnie w tym momencie w drzwiach gabinetu Desiree pojawiła się Lynda Fox, królowa zawodowych turniejów golfowych korzystająca z usług Działu dla Rozwiedzionych. Wyglądała dużo lepiej niż ostatnio. Pewnie wpadła, żeby przejrzeć listę potencjalnych kandydatek dla byłego mężusia.

Kierowała się do wyjścia, gdy podeszłam i dotknęłam jej ramienia — wielkości mojego uda. No, w końcu jest zawodową sportsmenką i do jej obowiązków należy zażywanie sterydów.

- Co to ma znaczyć? — zawołała, odsuwając gwałtownie rękę, jakbym była jakimś zbieraczem autografów. — Co pani sobie myśli?

- Myślę, że mogę panią ostrzec przed popełnieniem poważnego błędu - powiedziałam, zniżając głos. - Niech mi pani uwierzy, tak naprawdę wcale nie chce pani podsunąć mężowi superlaski, żeby wykręcić się od alimentów.

Ze zdziwieniem uniosła brwi.

— A kto powiedział, że po to przyszłam?

— Spokojnie, to ja wymyśliłam tę strategię. Mój eks to Traffic Dan Swain, były zawodnik Giantsów. Spiknęłam go z pierwszoligową zawodniczką Desiree i teraz bardzo tego żałuję, bo on chce się z nią ożenić.

Brwi opadły na swoje miejsce, uśmiechnęła się i klepnęła mnie w plecy z taką siłą, że niemal upadłam.

— Gratulacje! Ma go pani z głowy, więc czemu pani narzeka?

— Wciąż go kocham — odparłam ze łzami w oczach. Cały ranek nie płakałam, ale wiedziałam, że to długo nie potrwa. - Za późno to sobie uświadomiłam.

— Niedobrze, ale ja nie kocham byłego, więc nie mam się o co martwić. Mówiąc szczerze, to nie mogę już na niego patrzeć. Za każdym razem gdy przyjeżdża do dzieci w tych nowych ciuchach, nowych butach i nowym samochodzie, najchętniej bym go udusiła.

— Też tak miałam, ale nauczyłam się, że pieniądze to nie wszystko.

Co? Ja to powiedziałam? Może moje zatoki były już tak zatkane, że nie potrafiłam jasno myśleć?

— Kochana, na jakim świecie pani żyje? — dziwiła się Lynda Fox. — Nie po to kobiety walczyły o swoje prawa, żeby teraz połowę wszystkiego miały oddawać facetom. Nie to było celem Glorii Steinem.

— A może właśnie było — odparłam. — Może równouprawnienie oznacza równe prawa dla obydwu płci.

I to też ja powiedziałam?

Odsunęła się ode mnie, jakby mi nagle wyrósł penis.

— Musi pani jasno ustalić swoje priorytety — powiedziała, przyłączając się do chóru.

— Moje priorytety są bardzo jasne. To raczej pani powinna przemyśleć swoje postępowanie. Może pani stracić dużo więcej niż to, co wygrała pani w turniejach.

— Przypomina mi pani moją koleżankę, Margery Pinckney, ona też usychała z tęsknoty za swoim byłym. Wyszła za kręgarza, mieli piątkę dzieci, w tym stypendystkę Rhodesa i kryminalistę, który odsiaduje dziesięć lat za napad z bronią w ręku. Rozwiedli się głównie z powodu kłopotów z synalkiem na odsiadce. Tak czy inaczej, krę-garz ożenił się powtórnie i miał kolejne dziecko, a Margery została sama, żałując swojej decyzji. Wpadła w taką depresję, że przeklęła sobie język. Co prawda pięknym diamentowym kolczykiem, ale jednak. Przeszkadzał jej w jedzeniu i wpadła w anoreksję.

Patrzyłam na nią bez słowa zdumiona jej brakiem wrażliwości. Po raz kolejny nawijała o sprawach, o których nie miała prawa rozpowiadać. Co za papla.

— Tak więc — ciągnęła, jakby podsumowując — w przeciwieństwie do pani i Margery, ja nie chcę odzyskać męża.

— Zrozumiałam - odparłam i odsunęłam się na bok, żeby mogła przejść.

Potem weszłam do Desiree - tego dnia wybrała brązową perukę i obwiesiła się sporą ilością złotych naszyjników — i opowiedziałam jej o zaręczynach Dana. Znała już całą historię od Leah, to oczywiste, ale nadałam jej niepowtarzalny styl, ani na chwilę nie przestając płakać.

— Niechże się pani uspokoi — rzekła na koniec, kiedy sięgałam do torebki po następną paczkę chusteczek. Zużyłam ich już całe wielkie pudło. — Przeczuwałam, że tak się to skończy.

— Że się pobiorą? Czy że będę chciała odzyskać Dana?

— Że się pobiorą i że pani będzie chciała odzyskać Dana, i że w efekcie będzie mi pani musiała zapłacić, mimo że nic pani nie zyskała.

— Może powinna pani zostać wróżką, a nie prowadzić biuro matrymonialne? — powiedziałam z przekąsem.

— Mogę coś zasugerować?

— Jeśli powie pani, że muszę ustalić sobie jasne priorytety, zacznę krzyczeć.

— Chciałam tylko powiedzieć, żeby umyła pani włosy. Wygląda pani okropnie.

— Przechodzę teraz trudny okres. Jestem naprawdę przygnębiona.

-W takim razie dam pani radę, jaką zwykle daję swoim klientkom. Jeśli chce pani zwrócić na siebie uwagę przedstawiciela płci przeciwnej, musi pani zadbać o wygląd.

Dosłownie opadła mi szczęka. Zwrócić uwagę przedstawiciela płci przeciwnej? Czy ona mnie w ogóle nie słucha?

— Ja nie jestem pani klientką. W każdym razie nie taką jak cała reszta.

— A czy nie powiedziała mi pani przed chwilą, że chce odzyskać Dana? Wszystko zaczyna się na pierwszej randce. I musi pani wtedy wyglądać tak dobrze jak to możliwe.

— O czym pani mówi? Przecież on się zaręczył z Leah. Nie dotarło to do pani?

— Och, Melanie, Melanie — westchnęła Desiree. — Czyżby pani zapomniała, że jedną z usług oferowanych przez moje biuro są porady miłosne? I sporo czasu poświęciłam, by doradzić Leah, co ma zrobić, żeby Dan się w pełni zaangażował, zgadza się?

— No i co?

— No i to, że teraz pani potrzebuje porady, co zrobić, żeby do pani wrócił.

Mrugałam z nadzieją, że Desiree zniknie i w ogóle okaże się, że cała ta przygoda z nią to tylko wytwór mojej wyobraźni, coś jak przygody Dorotki w „Czarnoksiężniku z Krainy Oz”. Desiree wydawała mi się wtedy połączeniem czarodzieja, złej wróżki i jakiegoś bliżej nie sprecyzowanego skrzata.

- Sprzedałaby ją pani, żeby mi pomóc?
- Nikogo nie sprzedaję - odparła. - Oferuję pani swoje bogate doświadczenie, to wszystko. Reflektuje pani czy nie?
A co miałam do stracenia? Byłam zdesperowana.
- Czemu nie?
- W porządku. Proszę bardzo. Jeśli Dan rzeczywiście kocha Leah, nic nie da się zrobić. Ale jeśli ma choćby najmniejsze wątpliwości, pani zyskuje szansę.
- Oświadczyły nie wskazują raczej, że ma wątpliwości — zauważyłam.
- A nigdy pani nie słyszała o zerwanych zaręczynach?
- No tak, ale...
- Nie ma żadnego ale. Ja nie proponuję, żeby jej go pani ukradła, nie „sprzedaję jej”, jak to pani ujęła. Proponuję jedynie, żeby pani sprawdziła, czy Dan ma wątpliwości, czy otwiera się dla nas jakieś okno, możliwość działania.
- I jak mam to sprawdzić?
- Zapukać w to okno. Zobaczyć, czy ktoś jest w domu.
- Błagam. - Przewróciłam oczami. Nie dość, że chciwa, to jeszcze nieźle stuknięta.
- Musi pani o niego walczyć. Skończyć z tymi histeriami i po prostu powiedzieć mu, co pani czuje. Nawet jeśli da pani kosza, nie będzie przecież gorzej niż teraz.
- Co racja, to racja. Niżej nie mogłam upaść. A przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.
- To najlepszy sposób - przekonywała. - Niech pani jeszcze raz spróbuje, przynajmniej będzie wiadomo, na czym pani stoi.
- Wstałam z krzesła, chusteczką wycierając ciekące łzy.
- Dzięki, ale nadal żałuję, że w ogóle panią spotkałam.

— Przyszła tu pani z własnej nieprzymuszonej woli i sama podwoiła stawkę - przypomniała mi Desiree. - To pani chciała się bawić w Boga, nie ja.

— Żeby tylko Dan się nie dowiedział.

— A niby skąd? Kto miałby mu powiedzieć? No właśnie. Kto?

Wróciłam do domu i umyłam włosy. Z wszystkich rad Desiree ta akurat nie była taka zła, szczególnie że rywalizowałam z Leah, która ma włosy doskonałe. Przyłożyłam też lód na twarz, bo od ciągłego płaczu cała była zapuchnięta, szczególnie powieki. Potem włożyłam dzinsy i sweter i zadzwoniłam do Dana. Zapytałam, czy mogłabym przyjść teraz do niego odwiedzić Bustera. Zgodził się. Zapytałam, czy będzie w domu. Odparł, że raczej tak, ale jeśli musiałby wyjść, wpuści mnie Isa. Poprosiłam, żeby jednak został, bo chcę z nim porozmawiać. Powiedział, że to brzmi poważnie. Ja potwierdziłam, że jest poważne.

Grunt był przygotowany. Ostatni raz spojrzałam w duże lustro i wyszłam zdecydowana albo odzyskać byłego męża, albo pogodzić się z losem i oddać zwycięstwo Leah.

— No i co pani powie na taką nowinę? — zapytał Ricardo, gdy tylko weszłam do holu. — Założę się, że nawet pani do głowy nie przyszło, że pan Swain ożeni się z opiekunką.

— Rzeczywiście, nie przyszło — przyznałam, co było oczywiste.

— Firma ubezpieczeniowa nie musi się już chyba martwić, że nie wróci na noc. — Roześmiał się. — Tak się nim zajęła, że już nie może bez niej żyć, prawda?

— Tak to wygląda. — Miałam nadzieję, że uda mi się uniknąć tej rozmowy, ale Ricardo, jak wiadomo, nigdy nie opuszczał posterunku, więc nie sposób go było ominąć.

— Może dam im ten notes w prezencie ślubnym. Żeby pamiętali, jak zaczął się ich romans.

Notes. Boże. To obciążający dowód, który nigdy nie może wpaść w ręce Dana. Rozkazałam mu natychmiast mi go zwrócić. Powiedziałam, że to ja dam im go w prezencie.

Przez chwilę opowiadał jeszcze, ile to kociaków pracuje jako opiekunki. Dodał, że sam spotyka się z pielęgniarką, która nosi jego potomka.

— Siedmioro dzieci, niezły dorobek, co? Trudno uwierzyć, prawda?

— Trudno będzie uwierzyć, jeśli zdecyduje się pan zrobić z tej pielęgniarce uczciwą kobietę — odpowiedziałam. Nie zależało mi już, żeby mu się podlizywać, bo konspiracja się skończyła. Chciałam iść pogadać z Danem.

Kiedy w końcu wpuścił mnie na górę, w drzwiach spotkałam Ise, kolejną współpracowniczkę, której wolałabym uniknąć.

— Dzień dobry, chérie. Słyszała pani już? Wzięłam głęboki wdech, po czym powoli wypuściłam powietrze.

— Tak, słyszałam. Dan zaręczył się z Leah. Wszystko wiem.

Rozpromieniła się.

— Ja to sprawiłam. Rzuciłam na nich zaklęcie — na nią, żeby spała tu przez te dziewięćdziesiąt dni, a na niego, żeby nie chciał już pani pieniędzy.

— Dobra robota — pochwaliłam ją. No tak, mam to, na co zasłużyłam.

— I mam te wszystkie zdjęcia w pani cyfrowym aparacie — dodała z dumą.

Zdjęcia. Kolejne dowody mojego oszustwa.

— Może mi go pani oddać?

— Oczywiście, chérie. Jest u mnie w domu. Niech pani wpadnie kiedyś wieczorem.

Akurat. Mam dość kłopotów i bez zadawania się z naćpanymi synalkami i złodziejami samochodów.

— Dobrze, w takim razie niech tymczasem zostanie u pani, ale proszę chwilowo nie przynosić go do pracy.

W tym momencie do przedpokoju wpadł Buster. Zaraz za nim wszedł jego pan.

— O, jest moje słoneczko — zwróciłam się do psa, choć takie same uczucia żywiłam do jego pana. - Jak się czujesz, Busty? Kaszel minął?

— Lekarstwa działają cuda - powiedział Dan, a Isa machnęła do mnie ścierką i znikła. - Minął i kaszel, i zmęczenie.

Przyjrzałam się uważniej Danowi — włożył sweter, który dostał ode mnie na Gwiazdkę, więc jeszcze bardziej zatęskniłam za naszym wspólnym szczęśliwym życiem. Niestety, tęsknota często wywołuje łzy, więc od razu poczułam je pod powiekami. Miałam już dość tego nieustannego płaczu, nie mówiąc o zażenowaniu, że rozklejam się przed facetem, którego powinnam oczarować, ale one spływały mi po policzkach, a potem dalej, na brodę. No pięknie.

— Hej - powiedział Dan autentycznie zaniepokojony. - Co się dzieje?

Podał mi rękę i pociągnął do góry, bo wcześniej, witając się z Busterem, przykucnęłam na podłodze. Zaprowadził mnie na kanapę, a ja usiadłam na miękkiej poduszce, schowałam głowę w dłoniach i zaczęłam żałośnie szlochać. Tak bardzo chciałam być jak Leah, cała w skowronkach, a tu proszę, otwarta krwawiąca rana.

— Z Busterem wszystko będzie dobrze — pocieszał mnie Dan i pocierał mi plecy. - Musisz w to wierzyć, Mel.

Chlip, chlip, chlip.

— Nigdy cię takiej nie widziałem - dodał. - Chcesz trochę wody?

Kiedy ruszył do kuchni, wymamrotałam:

— Wypłakałam dosyć wody, żeby zapełnić cały zlewozmywak.

- W porządku, nie chcesz wody. - Usiadł obok mnie, czekając, aż zaczerpnę tchu. - Wiedziałem, że martwisz się Busterem, ale nie miałem pojęcia, że aż tak. Leah potwierdza diagnozę i plan leczenia Kelh/ego. Ma Bustera na oku, a on czuje się przy niej bardzo dobrze.

Chlip, chlip, chlip.

- Mel, zaczynam się o ciebie martwić. Ty nigdy nie płakałaś. Gdzie ta twarda dziewczyna, którą znałem?

- Wymiękla! - Podniosłam głowę. Nagle było mi obojętne, czy zobaczy moje zapuchnięte oczy, usta i nos. A co za różnica?

- To znaczy? - zapytał ze zdumieniem.

- Zamieniłam się w tę żalną fabrykę łez, bo żenisz się z Leah.

Proszę. Powiedziałam to.

- Daj spokój. - Zachichotał delikatnie, jakby nie rozumiał, że mówię poważnie. — To nie ma sensu. Teraz, kiedy nie musisz płacić alimentów, powinnaś się cieszyć.

- Mam gdzieś alimenty. Chcę ciebie.

- Mnie? — Patrzył na mnie osłupiały. — Od kiedy?

- Od... od... od kiedy stałeś się facetem, jakim zawsze chciałam, żebyś był.

- O, teraz się ze mnie nabijasz. Uspokój się, proszę cię. — I znów zaczął masować mi plecy.

- To prawda, Dan. Wziąłeś życie w swoje ręce, jesteś odpowiedzialny. Udowodniłeś, że popełniłam błąd, odchodząc od ciebie i kończąc nasze małżeństwo. Kocham cię, Dan. Nigdy nie przestałam cię kochać, choć powiedziałam ci wiele okropnych rzeczy, a ty powiedziałeś wiele okropnych rzeczy mnie. Chcę, żebyśmy znów byli razem.

Kiedy w końcu dotarło do niego, że mówię serio, cofnął rękę, tym razem tak, jakby się bał, że coś ode mnie złapie. Wyraźnie wytrąciłam go z równowagi.

Chlip, chlip, chlip.

Wstał z kanapy i zaczął chodzić po pokoju.

- Nigdy w życiu bym się tego nie spodziewał.

- Ani ja. Ale tak właśnie czuję i nie potrafię dusić tego w sobie. Nie chcę niszczyć twojego szczęścia, przysięgam, że nie. Ale musiałam ci powiedzieć. Na wypadek gdybyś ty też czuł jeszcze coś do mnie.

Zatrzymał się i spojrzał mi oczy.

- Ale ja kocham Leah. -Tak?

- A ona mnie — dodał, unikając odpowiedzi. - Zawsze będziesz mi bardzo bliska, Mel. Mówiłem ci to już u weterynarza. Ale być znów razem? — Pociągnął się za ucho. Zawsze tak robił, gdy czuł się niepewnie. I znowu zaczął chodzić tam i z powrotem. Najwyraźniej dałam mu do myślenia. — Kiedy się rozstaliśmy, cały czas powtarzałaś, że za nic do mnie nie wrócisz. A przecież cię o to prosiłem. I to nieraz. W końcu ci uwierzyłem i przestałem prosić. A teraz to?

- Przyznaję, że moment nie jest najlepszy. Ale co miałam robić? Nie przychodzić do ciebie? Patrząc, jak żenisz się z Leah, nie mówiąc ci o swoich uczuciach?

- Może.

- Ale dlaczego? Masz co do niej jakieś wątpliwości? -Nie.

- Jesteś pewien?

- Wątpliwości mam co do ciebie. Gdybyśmy rzeczywiście się zeszli, czy coś by się zmieniło? Tak, miałbym pracę, ale ty wciąż dniami i nocami przesiadywałabyś w biurze. I tak nigdy bym cię nie widywał.

- Bernie mnie wylał. Nie jestem już wiceprezesem. Przez ciebie snułam się tylko z kąta w kąt i nie mogłam się skupić na pracy. W końcu tego nie wytrzymałam.

- O kurczę, nie wiedziałem. Przykro mi.

— Niepotrzebnie. Znajdę inną pracę, ale nie mam już zamiaru spędzać w niej całego życia. Skończyłam z obsesją na punkcie bezpieczeństwa. Moje bezpieczeństwo jest teraz tutaj. — Położyłam rękę na sercu, jak niegdyś Evan.

Dan, zupełnie skonsternowany, kręcił głową.

— Więc chcesz się w końcu zatrzymać i cieszyć życiem?

— Właśnie. Lepiej późno niż wcale. Chcę cieszyć się życiem z tobą, Dan. Proszę cię, powiedz, że ty też tego chcesz.

— Ciągle nie bardzo rozumiem. Najpierw byłem tym najgorszym z najgorszych, a teraz nagle zostałem kandydatem na człowieka roku?

— Wiem, jak to brzmi, ale świat się zmienia. Ludzie się zmieniają.

Nagle twarz mu pociemniała, a w oczach pojawił się gniewny błysk.

— Nie mogę tego słuchać. Po prostu nie mogę. Kocham Leah, za miesiąc się pobieramy. Uważam, że powinnaś już iść.

Był zły — takiej reakcji się nie spodziewałam. Przewidywałam zdziwienie, zadowolenie i lojalność w stosunku do Leah, ale nie złość.

— Mam wyjść?

— Tak. A wiesz dlaczego? Bo rzeczywiście działasz mi na nerwy i mam już tego dość.

W jednej chwili przestałam płakać. Mówię wam, najgorsze to ich wystraszyć, wtedy uciekną i zaszyją się w jakiejś jamie.

— Naprawdę nie chciałam cię zdenerwować - zapewniłam go.

Zdałam sobie sprawę, że skoro już teraz działam mu na nerwy, to co by było, gdyby się dowiedział, że zatrudniłam biuro matrymonialne i umówiłam go z Leah? Nie dowie się. Nie mogę do tego dopuścić.

— Po prostu idź już - powiedział. - Proszę cię.

— No dobra, idę już, idę.

Pocałowałam Busterka, potem ostatni raz spojrzałam z tęsknotą na Dana. Nie mieściło mi się w głowie, że to naprawdę koniec. Ale wyraził się jasno, że mnie po prostu nie chce.

— Czuję się trochę tak, jakbyśmy się zamienili miejscami - powiedziałam na odchodne. - Ty masz pracę i jasną przyszłość przed sobą, a ja jestem bezradna i samotna. — Ruszyłam w kierunku drzwi. — Ale wiesz co? To nawet dobrze, że tak się stało. Teraz mogę lepiej zrozumieć, przez co przechodziłeś, kiedy byliśmy razem. Wiem już, co to znaczy wszystko stracić.

Patrzył na mnie w milczeniu. Zaciśnięte usta i determinacja na jego twarzy mówiły mi, że walczy ze sobą, by utrzymać emocje na wodzy. Otworzyłam drzwi, wyszłam i zamknęłam je za sobą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Nie od razu pojechałam do domu. Weszłam na chwilę do pani Thornberg. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na moją zrozpaczoną i roztrzęsioną osobę, żeby wyciągnęła ramiona. Rzuciłam się w nie i pozwoliłam, by mnie przytuliła. Miała takie kruche kości, że bałam się, iż mogę je złamać.

— Wiem, wiem — powiedziała, kołysząc mnie delikatnie. W jej oddechu wyczułam zapach ogórków konserwowych, które wraz z wszechobecnym w mieszkaniu aromatem kulek na mole tworzyły nieco odstręczającą kombinację, ale ważniejsze było uczucie, które mi okazywała. — Żeni się z ćpunką, a ty się martwisz, jak przyjmie to wasza psinka?

— Nie. Nie o to chodzi - odparłam. - Zresztą nigdy tak naprawdę o to nie chodziło.

— Jak to? — zapytała.

— Zawsze mówi pani, że dobra ze mnie dziewczyna, ale w rzeczywistości jestem bardzo, bardzo zła.

Przez tę dziwną, ale silną więź, która nas połączyła — to, że ona wciąż mnie o coś prosiła, a ja byłam na jej zawołanie i przez to czułam się lepszym człowiekiem — odważyłam się opowiedzieć jej całą prawdę.

Tak, przyznałam się do wszystkiego, łącznie z wykorzystaniem jej do szpiegowania Dana i Leah. Kiedy skończyłam, przez kilka minut siedziała w milczeniu. W końcu powiedziała:

— Mam indyka z delikatesów, mogę ci zrobić kanapkę. Z majonezem. Musztardą. I rosyjskim sosem. A nawet z kapustą kiszoną.

Oniemiałam. A gdzie oburzenie? Gdzie bura? Oskarżenia? Czemu nie napadła na mnie jak na swoich zakłócających spokój sąsiadów? Przecież moje przewinienia były dużo poważniejsze niż puszczenie głośnej muzyki po dwudziestej pierwszej.

— Dziękuję, ale nie jestem głodna — odparłam. — Wolałabym usłyszeć, jak mnie pani przekona, że nie jestem okropna.

— Zbłądziłaś, ale nie jesteś okropna — stwierdziła. -Ja też oszukiwałam męża i nie urządziłam sobie za karę samobiczowania.

— Naprawdę? Jak? — pytałam, wyobrażając sobie faceta z nieciekawym tupecikiem i nieczynnymi jądrami.

— Sprzedawałam swoje ubrania, żeby mieć trochę własnych pieniędzy - wyjaśniła i zachichotała na to wspomnienie. - Wypominałam ci twoją karierę, ale tak naprawdę to ci zazdroszczę. Za moich czasów dostawałyśmy od mężów kieszonkowe, a ponieważ mój był sknerą, musiałam wykazać się kreatywnością.

— I co pani robiła?

— Co kilka miesięcy zanosłam swoje modne ciuchy do bardzo dobrego sklepu z używaną odzieżą przy Sześćdziesiątej Szóstej i Lex. Sprzedawali je, płacili mi, a ja mogłam robić z pieniędzmi, co tylko chciałam — iść do kina, muzeum, kupić inne fatałaszkę albo wydać wszystko na wyścigach.

— Na wyścigach?

— Masz z tym jakiś problem?

— Nie. — Zdusiłam śmiech. — A mąż się nie zorientował? Musiał się chyba zastanawiać, gdzie znikają pani ubrania.

— A czy ta gwiazda futbolu zza ściany zauważyła kiedyś, że przestałaś nosić jakąś konkretną sukienkę?

— Nie przypominam sobie takiej sytuacji.

— No widzisz. Mężczyźni nie zwracają na to uwagi. Za bardzo absorbują ich nasze biusty.

Tym razem nie mogłam się powstrzymać. Pani Thornberg była płaska jak te plastry indyka, które trzymała w lodówce.

- Ale moje oszustwo było jednak gorsze, nie uważa pani?

- Chyba tak. Ale spójrz na to z innej strony, ser-deńko. Poznając go z Leah, wyświadczyłaś mu nie lada przysługę. Gdyby nie ty i ta Desiree, nie chodziłby z takim promiennym uśmiechem na ustach. Kiedy kogoś kochasz, czasami wystarczy, że widzisz jego szczęście.

- Nawet jeśli nie jest ze mną?

- Właśnie tak. Dostał od ciebie prezent. Anonimowy. Jeśli tak na to spojrzysz, będziesz mogła wytrzeć łzy i żyć dalej.

Zostałam u pani Thornberg kilka godzin - ona mówiła, ja słuchałam, razem jadłyśmy. To znaczy ja jadłam, a ona dziobała.

Po tej wizycie czułam się lepiej. Słowa pocieszenia, które usłyszałam, sprawiły, że złożyłam przysięgę: pogodzę się z faktem, że straciłam Dana, i uznam, że umawiając go z Leah, oddałam mu przysługę. Miałam zamiar zacząć nowe życie. Naprawdę.

W piątek i sobotę pisałam CV i sprzątałam mieszkanie, a w niedzielę pojechałam do Connecticut odwiedzić Weezie. Zdałam się na jej łaskę, błagając o przebaczenie i przyrzekając, że będę lepszą przyjaciółką. Zgodziła się dać mi jeszcze jedną szansę. Przyznała też, że nie tylko ja jestem winna zaistniałej sytuacji. Ona nie była ze mną szczerą w sprawie problemów z Nardsem (które zaczęły się na długo przedtem, zanim na scenę wkroczyła doktor Corbett), bo nie potrafiła się przyznać do porażki. Widziała, że odkąd pojawiło się drugie dziecko, Nards nie może sobie znaleźć miejsca. Była przekonana, że kiedy rzuciła pracę, by zająć się domem, przestała go interesować.

- Zupełnie się zmienił - mówiła, gdy siedziałyśmy na parkowej ławce niedaleko jej domu. W powietrzu czuło się już wiosnę i cieszyłam się, że mogę pobyć na świeżym powietrzu, ale przede wszystkim dlatego, że znów między nami wszystko gra. - A przecież to on chciał, żebym została w domu, pamiętasz?

- No jasne, ale powiedz mi, czy to możliwe, że zostając w domu, ty też się zmieniłaś? - pytałam. — To znaczy może zajmowałaś się bardziej dziećmi, a jemu poświęcałaś za mało uwagi? Może brakuje mu tej Weezie, która lubiła się całować w hotelowych restauracjach na przykład?

- O, więc bierzesz teraz jego stronę?

- Nie. Próbuję spojrzeć z obu stron. Kiedyś tego nie robiłam. Nigdy się nie zastanawiałam, czego faceci chcą, czego potrzebują i do czego mają prawo. Ale ostatnio zrozumiałam, że wcale tak bardzo się od nas nie różnią pomimo całego tego gówna o Marsie i Wenus. Każdy chce, żeby druga strona go wspierała, żeby o niego walczyła i zabiegała. Wszyscy chcemy się czuć seksownie, pragniemy, by nas pożądanym. I wszyscy mamy prawo do szacunku za to, kim jesteśmy, a nie za to, ile zarabiamy.

- Nards nie narzeka na to, że nie zarabiam. Nie o to mu chodzi.

- Nie, ale ty narzekasz, że tak jest zajęty zarabianiem, że nie zajmuje się dziećmi. Może nie da się tego połączyć. Ja próbowałam i zobacz, jak się to skończyło. Chciałam, żeby znalazł pracę, ale tak byłam zajęta swoją, że nie zauważyłam, iż potrzebuje mojego wsparcia, podbudowania wiary w siebie. I wtedy zjawiała się Leah, dając mu wszystko to, czego mnie brakowało - była słodka, troskliwa, pełna cierpliwości i wiary w niego. Nic dziwnego, że się w niej zakochał.

- Ależ ty taka byłaś, Mel. Nie deprecjonuj siebie.

- Byłam na początku - zgodziłam się z nią. - Ale nietrudno wspierać jednego z najlepszych zawodników w kraju. O co tu się troszczyć?

Gadałyśmy i gadałyśmy, i obu nam bardzo dobrze to zrobiło. Weezie obiecała, że spotka się z Nardsem i spróbuje znaleźć z nim jakąś wspólną płaszczyznę porozumienia. Ja przyrzekłam, że przestanę myśleć o Danie i zajmę się swoim życiem i swoją przyszłością bez niego.

Jedna z nas nie dotrzymała obietnicy.

Tego niedzielnego wieczoru siedziałam sobie na łóżku, przeżuwałam kęs ciągnącego się batonika Milky Way podgrzanego uprzednio w mikrofalówce i przeglądałam ogłoszenia w „New York Timesie”, gdy nagle usłyszałam dzwonek. Wzdrygnęłam się. Zegarek na nocnej szafce wskazywał wpół do jedenastej. Nikogo o tej porze nie oczekiwałam, to jasne.

W pierwszej chwili przyszła mi na myśl Patty, ale zaraz sobie przypomniałam, że ona w zasadzie już jakby nie mieszka w Hotelu Złamanych Serc, bo większość nocy spędza u nowego faceta.

Potem pomyślałam, że może to Evan, bo miał wyjechać dopiero za kilka dni.

Idąc do drzwi, chichotałam, przypominając sobie te wszystkie razy, kiedy widział mnie w nie najlepszej formie. Teraz miałam na sobie stare zniszczone spodnie od dresu i jeszcze starszą bluzę, dodatkowo cała byłam w nugacie. Biedny Evan.

Spojrzałam przez wizjer, żeby się upewnić, że to rzeczywiście on, a nie jakiś zbir, i aż zatoczyłam się do tyłu, widząc, kto stoi za drzwiami: Dan.

Super, pomyślałam, gorączkowo zlizując z palców pozostałości batonika. Co on tu robi i czemu muszę wyglądać jak ostatni flejtuch?

Poprawiłam włosy, szczypnęłam się w policzki (właściwie porządnie się spoliczkowałam) i nakazałam sobie spokój. To w końcu mój były mąż, na litość boską. Który za miesiąc żeni się z piękną. Co za różnica, jak wyglądam? Na pewno przyszedł mnie opieprzyć, że „działałam mu na nerwy”.

— Dan - powiedziała po otworzeniu drzwi, gdy wparował do pokoju, mijając mnie bez słowa. - Jeśli chodzi o tamto...

— Żebyś wiedziała, że chodzi o tamto - wszedł mi w słowo, wyraźnie poruszony. — Przyszedł do mnie, płakałaś jak bóbr i pokazałaś mi się ze strony, której — przerwał, żeby się trochę opanować - której nie widziałem od bardzo długiego czasu. Bezradna, otwarta, szczerza. Żadnej krytyki. Żadnych osądów. Tylko miłość. Nagle znów byłaś moją dziewczyną z dawnych lat, przy której czułem się jak król. Zaczęłam wspominać, jak to wtedy było. -Uniósł ręce, jakby nie mógł uwierzyć w to, co mówi. — Czy ty to słyszysz? Przecież jestem zaręczony z Leah. Za chwilę bierzemy ślub w Minco. To nie ma sensu.

Niepotrzebnie się martwiłam o swój wygląd. On wyglądał zdecydowanie gorzej. Nieogolony, ciemne cienie pod oczami. A włosy — no, powiedzmy, że nie mnie jednej przydałby się szampon.

-Ależ oczywiście, że ma sens. Przypomniałam ci dziewczynę, którą kochałeś - powiedziała z rosnącą nadzieją. Czy to możliwe, że jednak go nie straciłam? Że zbyt pochopnie przyznałam się do porażki? - Pytanie brzmi: czy wciąż ją kochasz?

-Tamtej dziewczyny nigdy nie przestałem kochać - odparł, stając przede mną. - Ale nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Jak rozpoznać, czy to prawdziwe uczucie czy tylko pozostałość po dawnej miłości.

— Musisz to sprawdzić. Odsuwanie tego od siebie nie zda się na nic ani tobie, ani mnie.

Wziął moją twarz w swoje dłonie.

- Sprawdzić?

- Sprawdzić.

- Na przykład tak?

Przysunął swoją twarz przerażająco blisko do mojej i wyszeptał moje imię. A ja pomyślałam: O Boże. To mi się nie śni. To nie jakaś żałosna fantazja. Ciągle mnie kocha tak jak ja jego.

-Tak.

Pocałował mnie. Zaczęło się niepewnie, nawet niezręcznie, jakbyśmy zardzewieli, nie pamiętając, jak zadowolić partnera, z którym niegdyś byliśmy tak blisko. Ale stopniowo coraz mocniej i gwałtowniej się obejmowaliśmy, nic więc dziwnego, że po chwili wylądowaliśmy na kanapie. Kiedy w końcu kilka minut później oderwaliśmy się od siebie, nie mogąc złapać tchu, zdumieni tym niespodziewanym kontaktem fizycznym, żadne z nas się nie odezwało. Spojrzeliśmy tylko na siebie, zaczerpnęliśmy powietrza i zaczęliśmy od nowa. Przez pełne dwie godziny całowaliśmy się, obściskiwali i miętosili. Cały czas w ubraniach, jak nastolatki na pierwszej randce. Albo raczej jak byli małżonkowie przeprowadzający rozpoznanie terenu.

Odkryliśmy, że wciąż jest między nami coś czarownego. Nie było mowy o pomyłce. Może to coś zdarza się tylko między byłymi kochankami, bo jest zakazane i jednocześnie takie znajome, ale z pewnością daliśmy się temu porwać. Żadne z nas nie chciało i nawet nie było w stanie przestać.

- Mam problem, kotku - wyszeptał w pewnym momencie. - Nie jestem jakimś draniem, który prosi kobietę o rękę, a potem wychodzi i robi to z byłą żoną.

- Oczywiście, że nie — powiedziałam cudownie nabrzmiałymi ustami.

- Zajmiemy się tym krok po kroku.

Skinął głową i zrobił następny krok - pocałował mnie jeszcze raz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Nie przespaliśmy się ze sobą, jeśli o to chodzi. Tego niedzielnego wieczoru było tylko wielkie całowanie. Feeria pocałunków, namiętnych, głębokich i gorących. Kiedy w końcu Dan wstał z kanapy, dochodziła północ. Zapytałam, czy powiedział Leah, że idzie do mnie. Skłamał, jak się okazało, mówiąc jej, że ma spotkanie z kolegą ze studiów. Ja na to, że w zasadzie nie skłamał, bo przecież poznaliśmy się na studiach. Dan stwierdził, że nie odpowiada mu takie wymykanie się do mnie. Powiedziałam, że to nie jest zwykle wymykanie się, bo okoliczności są wyjątkowo niesprzyjające i nie ma właściwie zasad, według których powinno się postępować. Dan na to, że nie chciałby pod żadnym pozorem skrzywdzić Leah, bo ją kocha. Na to ja, że myślałam, że kocha mnie. On, że tak, kocha mnie. I oto przed nami, drodzy państwo, mężczyzna pełen sprzeczności.

W poniedziałek rano wrócił z Busterem i znów się całowaliśmy. Nie potrafiliśmy oderwać od siebie rąk ani myśleć racjonalnie — jak za dawnych lat, gdy traciliśmy poczucie rzeczywistości. Żadne z nas nie musiało biec do pracy (on co prawda był zatrudniony, ale jeszcze nie na pełny etat), więc zostawiliśmy świat gdzieś z boku, pozwalając, by Hotel Złamanych Serc stał się naszym hermetycznym miejscem schadzek.

Zwracam uwagę, że seks nadal nie wchodził w grę. Dan się upierał, że nie powinien „tego robić”. Póki pozostawaliśmy ubrani, mimo rozpiętych rozporków i guzi-

ków, tłumaczył sobie, że technicznie nie zdradza Leah. Ale mimo to dręczyły go wyrzuty sumienia, mętlik w głowie i brak zdecydowania.

- Rozumiem, że czujesz się rozdarty - mówiłam do niego, gdy przerwaliśmy na chwilę akcję. - Ale może jeśli to zrobimy, a ty zobaczysz, jak dobrze jest nam razem, poczujesz się bardziej komfortowo z faktem, że znów jestem w twoim życiu, i wtedy znajdziesz w sobie odwagę i przekonanie, żeby jej powiedzieć, że to koniec.

- Nie wiem - wahał się Dan. — Nie mogę zrozumieć, jak to się w ogóle może dziać.

I tak to szło — gorąca namiętność przerywana obawami o Leah — przez resztę tygodnia. A ponieważ nie miałam w sumie nic do roboty, oprócz oczywiście szukania pracy, pozwalałam sobie na marzenia na jawie.

Wyobrażałam sobie Poważną Rozmowę Dana z Leah. Leah będzie oczywiście zdruzgotana, ale znajdzie pociechę w swojej pracy ze zwierzętami, a potem z pewnością pojawią się nowi wielbiciele urzeczeni jej słodyczą, hartem ducha i zmysłowym ciałem.

Wyobrażałam sobie, że znów się z Danem pobieramy. Nie urządzimy ślubu w Minco, tylko zaplanujemy elegancką uroczystość na Manhattanie w którymś z lokali polecanych przez magazyn „New York”. Wystąpiłabym w jakimś jasnym kostiumie, ecru albo delikatny beż, a on miałby na sobie ciemny garnitur, nie do końca oficjalny, a jednak elegancki. Jego rodzice i rodzeństwo z radością przylecą z Oklahomy, by na powrót powitać mnie w rodzinie, tak szczerze, jak potrafią tylko mieszkańcy tamtych stron. Weezie i Nards, dopiero co pogodzeni, wystąpią w rolach świadków, a ich dzieci będą sypać przed nami płatki róż ze słomianych koszyczków. Napiszemy, a potem wygłosimy swoje własne przysięgi, w których rzecz jasna nawiążemy do naszego rozstania, ale ogólnie będą

błyskotliwe i wzruszające. Kiedy sędzia pokoju ogłosi nas „mężem i żoną”, ktoś z gości zawoła: „Znowu?”, a wtedy wszyscy wybuchną śmiechem i zaczną klaskać, a najgłośniej moja prawniczka Robin.

Wyobrażałam sobie nasz miesiąc miodowy — w Paryżu albo może w Rzymie. Jak zwiedzamy, pstrykamy setki zdjęć i jemy w najdroższych restauracjach, a potem jedziemy odpocząć nad morze (Cap d'Antibes albo Positano, zależy), aby tam wśród prawdziwie malowniczych krajobrazów uczcić nasze powtórne małżeństwo.

Wyobrażałam też sobie, że wracamy do Nowego Jorku, do naszego dawnego mieszkania, i zaczynamy wspólne życie. On trenuje CW Post Pioneers, którzy zdobywają mistrzostwo już w pierwszym sezonie z nim, a ja, oprócz pławienia się w blasku jego chwały jako żona trenera, zaczynam własny mały interes. Może sklep z antykami. Albo sieć salonów manikiuru z wietnamską obsadą. Urodzą się nam dzieci — cudowne dobrze wychowane małe blondaski, sobowtóry Dana. On będzie chciał czwórkę, ja dwójkę, więc kompromisowo zdecydujemy się na troje. Pani Thornberg zastąpi im babcie, będą uwielbiać z nią zostawać, a ona z radością się nimi zajmie. Ilekroć będziemy z Danem wyjeżdżać, pozwoli im zostawać na noc w swoim pokoju gościnnym. Zrobi dla nich pastę jajeczną, dodając swoje sekretne składniki. Oczywiście dzieciaki będą ją nazywać babcia.

Te rozmyślenia mnie uspokajały, sprawiały mi przyjemność i powodowały, że nie mogłam się doczekać codziennych wizyt Dana. W pewnym momencie nastąpił przełom. W czwartek powiedział, że nie może już znieść wyrzutów sumienia, że nie jest w stanie prowadzić dalej podwójnego życia.

Natychmiast zeszywniałam. Leżałam obok niego w swoim łóżku, w którym spędziliśmy całe popołudnie, całując się, obejmując i bawiąc z Busterem — prawdziwa

rodzinka. Jego oświadczenie było jak szpilka dla mojej bańki rodzinnego szczęścia.

- Co to znaczy? - zapytałam. - Ze jesteś gotowy dokonać wyboru?

- Nie. Nie jestem gotowy. W tym cały problem.

- W takim razie co?

- Potrzebuję więcej czasu z tobą. Ale nie chodzi mi o krycie się po kątach. Chcę, żebyśmy się zachowywali jak normalna para i robili te wszystkie rzeczy, które robią normalne pary. Żebyśmy się nie spieszyli.

- Nie ma sprawy - odparłam z ogromną ulgą. — Ale co z Leah? No i co ze ślubem?

- Chyba będę musiał go przełożyć albo odwołać, nie mam pojęcia, jak to się załatwia — mówił z bólem. — Powiem jej, że muszę to jeszcze raz przemyśleć, bo wszystko jakoś tak za szybko poszło. Znamy się przecież ledwie, eee, jakieś trzy miesiące. Zakochaliśmy się, wprowadziła się, zaręczyliśmy się. Barn, barn, barn. Raz, dwa i gotowe. Powiem jej, że potrzebuję czasu na zastanowienie, czy rzeczywiście jestem tego taki pewien. A cóż innego mogę zrobić? Przecież nie mogę się teraz ożenić. Nie, kiedy czuję do ciebie to, co czuję.

Pocałowałam go, pogłaskałam po czole i powiedziałam, że go kocham.

- Kiedy masz zamiar oznajmić jej tę nowinę? Wzruszył ramionami.

- Chyba w najbliższych dniach. Leah to wspaniała kobieta. Nie zasługuje na to, żeby ją oszukiwać.

A ja oszukałam Dana. Znów ta ironia: mój były, którego uznawałam kiedyś za czarny charakter, okazał się człowiekiem o wiele lepszym ode mnie.

- Przepraszam - powiedziałam. - Nigdy nie chciałam jej skrzywdzić.

- Daj spokój, przecież nawet jej nie znałaś.

- No tak.

Nie znałam jej. Znałam jedynie jej kartotekę medyczną, wykształcenie, wzrost, wagę oraz wszystkie pozostałe dane. Boże, jak ja się nienawidziłam.

-Tak naprawdę chodzi o to, że kiedy odłożę ten ślub, nie będzie już nad nami tej presji. Będziemy mieć tyle czasu, ile potrzeba, żeby się przekonać, czy to coś prawdziwego.

- A masz co do tego jakieś wątpliwości?

- Myślałem, że z Leah wiąże nas coś prawdziwego. I może tak jest, a ja tylko żyję przeszłością. To nie byłby pierwszy raz, przynajmniej według ciebie.

Znów go pocałowałam. On przyciągnął mnie do siebie i oddał pocałunek.

- Czy to było prawdziwe? - zapytałam. Wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Musimy spróbować jeszcze raz.

Później tego samego wieczoru przyszedł Evan. Następnego dnia rano wyjeżdżał i chciał się pożegnać.

Ucieszyłam się z tej wizyty, Buster zresztą też. Wciąż drżałam na myśl, że nie będzie go już w Hotelu Złamanych Serc, że nie będę go widywać i nie poznam go lepiej, ale robił to, co musiał, a ja nie mogłam mu stawać na drodze. To nie było moje miejsce.

- Przyniosłem wam prezent na pożegnanie - powiedział i wręczył mi płaski pakunek w szarym papierze.

— Evan, czemu przynosisz nam prezenty, skoro to ty wyjeżdżasz? - zaprotestowałam, myśląc znów, jak bardzo mi go będzie brakowało.

Miałam wrażenie, że niezależnie od tego, co głupiego zrobiłam i jak bardzo spieprzyłam swoje życie, on i tak przychodził, albo na ratunek, albo przemówić mi do rozsądku. Gdyby nie Dan, podejrzewałam, że między

nami... No tak, bezsensowne spekulacje — przecież byłam z Danem i tylko to się liczyło.

— Otwórz — powiedział. Oczy mu błyszczały przejęciem jak dziecku w Wigilię Bożego Narodzenia.

— Już się robi. — Rozerwałam papier i zobaczyłam dwa obrazy. Pierwszy już widziałam — przedstawiał Buste-ra na skraju morza, jak wkłada do wody łapkę. — A więc skończyłeś go!

— Skończyłem. Mój pierwszy obraz z psem — roześmiał się. — I zapewne ostatni. W każdym razie jeden z nich.

— No co ty? Jest świetny. - Bardzo mi się podobał, bardziej niż wcześniejsza wersja. Evan dodał kolorów, cienie i fakturę oraz mordkę Bustera jak prawdziwą. Wszystko było takie realistyczne.

Spojrzałam na drugi obraz. Ta sama sceneria — piaszczysta zatoczka, spokojne morze i niebieskie niebo — ale tym razem pies zaryzykował i wszedł do wody. Unosił się na łagodnych falach, a widoczna ponad wodą główka lśniła delikatnie w promieniach słońca.

— Postanowiłem namalować jeszcze jeden - wyjaśnił Evan. - Tym razem mały mops nie uciekł na stały ląd. Pływa sobie beztrąsko i niczym się nie przejmuje. Widzisz, jaki jest wolny? Jaki odważny? Nie martwi się o bezpieczeństwo. Po prostu cieszy się chwilą.

— Widzę. — Mentalnie rozumiałam przesłanie tego obrazu, owszem, jednak wciąż kurczowo trzymałam się Dana i emocjonalnie był mi obcy. Wtedy jeszcze tak. — Jest piękny. Obydwa są piękne.

— I są teraz twoje.

— Zaraz. Nie możesz mi ich tak po prostu dać — protestowałam. — Chcę je kupić.

— Nie ma mowy. To prezenty pożegnalne. Powieś je sobie gdzieś i myśl o mnie.

Uściskałam go. W porównaniu z umięśnionym Danem, z jego sylwetką zawodowego piłkarza, Evan był smukły i szczupły. I ciemny — włosy, skóra, oczy — podczas gdy Dan to typowy blondyn. Kontrast był uderzający, nie mogłam się chyba związać z dwoma mężczyznami bardziej różniącymi się od siebie fizycznie. Ale przecież ja się nie związałam z Evanem, skąd więc w ogóle to porównanie?

— A co słyhać u ciebie i kochasia? — zapytał, siadając na kanapie.

— Poszłam za twoją radą i powiedziałam mu, co czuję. -I?

— Odkłada ślub.

Evan nie zareagował od razu. Patrzył na mnie pełnym dezaprobaty wzrokiem, prawie jakby mu było mnie żal.

— To jest dobra wiadomość — wyjaśniłam mu, siadając obok niego.
— Jesteśmy sobie przeznaczeni.

— Nie sądzę, żeby Leah podzielała tę opinię.

— Na pewno nie, ale chyba lepiej, że zawiedzie ją teraz niż po ślubie, prawda?

— Posłuchaj, nie znam ani Dana, ani Leah, i to wszystko to nie moja sprawa, jak już mówiłem chyba ze sto razy, ale czy on powiedział ci wprost, że nie kocha Leah?

— Powiedział, że się pogubił i nie chce popełnić błędu.

— Powtarzam pytanie: czy powiedział ci, że nie kocha Leah?

— Nie. Ale powiedział, że kocha mnie. Evan westchnął.

— Melanie, nie można kochać dwóch kobiet. Nie tak samo w tym samym czasie. Ja też zawsze będę kochał Kaitlin, mimo że bardzo mnie zraniła, bo była moją pierwszą prawdziwą miłością i tyle razem przeżyliśmy. Ale zdałem sobie sprawę, że zacznę się zakochiwać w tobie, i to zupełnie inna...

Przerwał w środku zdania, kiedy się zorientował, co powiedział. Obydwoje siedzieliśmy w pełnym zdumienia milczeniu.

— Nie miałam pojęcia — odezwałam się w końcu. — To znaczy, wiedziałam, że coś się między nami dzieje, ale miłość?

— Może - odparł. - Gdybyś na to pozwoliła. Teraz to sfera domysłów, bo wybrałaś kogoś innego. Ale tak, myślałem, że właśnie w tym kierunku zmierzamy. — Roześmiał się. — Zaczęło się chyba tego wieczoru, kiedy zatrzasnęłaś drzwi do swojego mieszkania. Przyszedł w tym swoim T-shircie, z gołym tyłkiem, i uwiodłaś mnie.

— Nie, Evan, ale poważnie. Kiedy się zorientowałeś, że coś do mnie czujesz?

— Kiedy zobaczyłem, że jesteś tą kompetentną Zosią Samosią, którą życie zmusiło, by zbyt szybko dorosła. Nie miałaś prawdziwego dzieciństwa, Melanie. Nigdy nie miałaś czasu, żeby próbować nowych rzeczy i cieszyć się tym albo robić coś dla samej czystej przyjemności. Może to się stało, gdy gryzałaś tę kanapkę i miałaś taki durny wyraz twarzy. W każdym razie cieszyłem się, że mogę doświadczać tych nowych rzeczy razem z tobą.

— To naprawdę miłe wspomnienie — powiedziała wypełniona nagle uczuciem, które nie w pełni rozumiałam.

— Myślę, że mogliśmy przeżyć coś wspaniałego — powiedział Evan, patrząc na mnie tymi swoimi czarnymi zniewalającymi oczami. - Nigdy się nie dowiem na pewno, ale uważam, że mieliśmy szansę na dojrzałą miłość, taką, która akceptuje zarówno mocne strony, jak i słabości.

— Jak mógłbyś mnie kochać, wiedząc, jak okropnie traktuję ludzi? Wzruszył ramionami.

- Na tym polega akceptacja. Nie wierzę, żebyś chciała kogokolwiek skrzywdzić. Po prostu za bardzo się bałaś i przeszłaś na tryb awaryjny.

- Rzeczywiście jesteś wyrozumiała — z niedowierzaniem potrząsnęłam głową.

- A czy ty tak właśnie kochasz Dana? Czy kochasz go tylko wtedy, gdy jest grzeczny?

- Grzeczny? Nie w tym rzecz. Ale teraz zachowuje się tak jak kiedyś, gdy byliśmy razem szczęśliwi. Odzyskał wiarę w siebie i to wszystko zmieniło.

- Ale to Leah dała mu tę wiarę. Zmienił się za jej sprawą. Bo ofiarowała mu bezwarunkowe wsparcie i kochała go również wtedy, gdy był w dołku. Możesz to powiedzieć o sobie?

- Niezupełnie, ale on mnie kocha, Evan.

- Nie przeczę, i myślę nawet, że ta miłość nigdy nie umrze. Ale ty jesteś jego przeszłością. Jego przyszłością jest Leah. Gdybyś go naprawdę kochała, potrafiłabyś to dostrzec i pozwoliła mu odejść.

- A może mówisz tak tylko dlatego, że jesteś żywotnie zainteresowany, co będzie dalej ?

Uśmiechnął się z żalem.

- Mówię tak, bo to prawda. Kiedy kogoś kochasz, chcesz, żeby był szczęśliwy nawet bez ciebie.

Przewróciłam oczami.

- Chyba umówiliście się z panią Thornberg. Ona też poczęstowała mnie taką mówką, choć wcale jej o to nie prosiłam.

- No i dobrze. Może ci się utrwali. Ale pamiętaj jeszcze o jednym: zwyczajni ludzie stają się bohaterami, gdy potrafią oddać to, czego najbardziej pragną.

- Więc to dlatego wyjeżdżasz? - droczyłam się z nim, odwlekając pożegnanie. — Żeby mnie oddać i zgrywać bohatera?

— Nie. Nie jestem bohaterem, a tylko byłym redaktorem z głową pełną górnolotnych cytatów. — Wstał z kanapy. — Wyjeżdżam, bo na Bahamach jest cholernie piękna pogoda. Będę się wygrzewał w słońcu, czytał książki i malował, co mi podyktuje serce.

— To chyba jakiś raj. A jeśli nigdy nie wrócisz?

— Nie będziesz musiała wysłuchiwać moich pouczeń. Odprowadziłam go do drzwi.

— A tak na poważnie, kiedy znów cię zobaczę?

— Zapisałem ci adres. Jest razem z obrazami. - Wyprostował się i ściągnął ramiona, jakby zbierając siły. - Ale obiecaj mi coś. Nie będziesz pisać, dopóki nie rozwiąże się ta sprawa z Danem.

— Obiecuję.

— I jeszcze jedno.

— Co tylko chcesz.

— Gdyby Dan się kiedyś dowiedział, że to ty go wrobiłaś, nie wypieraj się. Po prostu się przyznaj. Jeżeli wasz związek zniesie taką prawdę, może jest silniejszy, niż mi się wydaje.

— On się nie dowie.

— Ale gdyby jednak. Gdyby się dowiedział, zachowaj się jak bohater. Bądź gotowa oddać to, czego najbardziej pragniesz.

— Dobra, już dobra. Obiecuję i to. Coś jeszcze? -Tak. — Objął mnie i zbliżył swoją twarz do mojej,

jakby chciał mnie pocałować, ale potem zmienił zdanie i tylko szybko mnie uścisnął. - Dbaj o Bustera - szepnął.

— Spokojna głowa - odparłam i poczułam, jak ściska mnie w gardle.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Dan nie odzywał się przez dwadzieścia cztery godziny. Domyśliłam się, że pewnie załatwia sprawę z Leah, sadza ją na kanapie i tłumaczy, o co chodzi, ustala, kiedy się od niego wyprowadzi, i proponuje na pocieszenie zakup pierścionka. Potem przypomniałam sobie jeszcze, że wybierał się na imprezę, by razem z innymi sportowcami złożyć swój autograf, który potem zlicytują na cele dobroczynne. Wiedziałam, jak bardzo to lubi, więc cieszyłam się ze względu na niego, choć z tego powodu nie mógł być ze mną. No i proszę. Widzicie, jaką się stałam altruistką?

We wtorek zajęłam się swoimi sprawami - podzwo-niłam po konkurencyjnych firmach, które próbowały mnie niegdyś do siebie zwerbować. Oznajmiłam, że teraz gotowa jestem do nich dołączyć i zaoferować swoje nieprzeciętne zdolności. Nikt mnie nie chciał.

Najwidoczniej wieści szybko się rozchodzą: Melanie Banks jest utalentowana, ale nieprzydatna. Były plotki

o moich ostatnich niedociągnięciach. I o tym, że zabrali mi Jeda Ornbachera. I oczywiście plotki o moim nadużywaniu narkotyków, które — choć zupełnie bezpodstawne — potraktowano bardzo poważnie. Jak to ujął jeden z moich byłych kolegów: „Przyjdiesz do nich z bagażem, a dziś nikt nie potrzebuje kolejnego dyrektora z bagażem”.

Bagaż. A kto, na litość boską, go ze sobą nie dźwiga? Wszyscy jesteśmy tworam i własnej przeszłości, błędów

i pomyłek. Gdyby nie wychowywał mnie ojciec, który ledwie wiązał koniec z końcem, czy dokonałabym wy-

borów, jakich dokonałam? Gdybym jako nastolatka nie pracowała w trzech miejscach jednocześnie, nauczyłabym się dbać o związek tak, jak nauczyłam się dbać o finanse klientów? Gdybym nie żyła w strachu, że zabraknie mi pieniędzy, czy wyrosłabym na taką nieustępliwą i wciąż zmagającą się z losem kobietę, dla której nie liczy się nic prócz bezpieczeństwa? Zapewne nie, jak zauważył Evan. Ale czymże jest bagaż, jeśli nie serią następujących po sobie decydujących momentów życia? Zresztą on po prostu jest i nie ma sensu się z niego tłumaczyć. Sztuczka polega na tym, żeby sobie z nim poradzić i zmienić się, a ja czułam, że naprawdę się zmieniłam. Byłam teraz nową, lepszą Melanie - akurat wtedy, gdy nikt mnie nie chciał.

No, nikt z wyjątkiem Dana, pomyślałam, wyczekując jego telefonu.

Do środy po południu wciąż nie dał znaku życia, więc zaczęłam się martwić. Może Leah namówiła go jednak, by nie przekładał ślubu? Uwiodła go swoimi reklamowymi włosami, cukrową osobowością i stałą dobrze płatną pracą? Przekonała, że to zwykłe przedweselne nerwy, a nie rzeczywiste wątpliwości?

Już miałam się poddać swoim lękom i zadzwonić do niego, gdy usłyszałam pukanie do drzwi. A właściwie walenie. Nie mogłam sobie wyobrazić, dlaczego ktoś nie używa dzwonka, skoro już jest.

— Dan! - zawołałam, kiedy po otwarciu okazało się, że to mój były mąż. Zmarnowany i posepny. Objęłam go w pasie. - Tak się cieszę, że jesteś. Nie mogłam się już doczekać - opowiadaj.

Zamiast mnie objąć, odsunął moje ręce, jakby nie mógł znieść ich dotyku. Nawet Buster wyczuł panujący w powietrzu chłód, przestał wesoło merdać ogonem i wlaź do swojego bezpiecznego legowiska. Ludzie mó-

wią, że psy potrafią wyczuć zbliżającą się burzę, i mój nie był tu wyjątkiem.

— O co chodzi? - zapytałam, kiedy Dan powoli wszedł do środka. Był przygarbiony, cały zapadnięty, jakby dostał w brzuch i nie mógł oddychać. Zastanawiałam się nawet, czy się z kimś nie bił, ale nie zauważyłam siniaków. — Coś poszło nie tak z Leah?

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, ale w jego oczach nie dojrzałam uśmiechu.

— Można to tak ująć.

— Więc ześwirowała, kiedy jej powiedziałaś, że chcesz przełożyć datę ślubu?

— Można to tak ująć.

Odsunął się ode mnie i zaczął bezładnie chodzić po pokoju, to podnosząc jakiś ołówek, to znów gazetę, a potem odkładając je na miejsce. Dziwaczne, mówiąc łagodnie.

— Dan — spróbowałam ponownie. — Czy mógłbyś się na chwilę skupić i powiedzieć mi, co się dzieje?

Na to on gwałtownie się odwrócił i spojrzał na mnie ze złością.

— Ja mam mówić tobie, co się dzieje?

— Jesteś bardzo zdenerwowany - ciągnęłam. - Może usiądziesz, a ja zrobię ci kawę?

Wtedy podniósł rękę i wymierzył we mnie palec.

— Ty już lepiej zostań tam, gdzie jesteś. Kotku.

W jego głosie słyszałam sarkazm, drwinę, coś toksycznego. Nie miałam pojęcia, co mogło go tak wkurzyć.

-W porządku. Więc może oboje usiądziemy? — I z tymi słowy usiadłam na kanapie, wskazując mu ręką miejsce obok siebie.

— Przestań mnie w końcu kontrolować. Jeśli mam ochotę stać, będę stał.

O-ho.

- Jak chcesz. Tylko mi powiedz, co cię tak zdenerwowało.
 - Dobrze wiesz co.
 - Nie, nie wiem. W zasadzie od poniedziałku nie dałeś znaku życia. Myślałam, że zadzwonisz i wszystko mi opowiesz. Jak zareagowała Leah?
 - Leah. - Znow ten wymuszony śmiech. - Twierdzi, że naprawdę mnie kocha.
 - Pewnie tak jest - stwierdziłam. - Ale nas łączy długoletnia. ..
 - Udawała nawet, że o niczym nie wie.
 - Nie wie? O czym?
- Przyłożył dłonie do ust i wyszeptał:
- O wielkim spisku.
- Wielkim spisku? O co mu chodzi, do cholery?
- Usiłuję cię zrozumieć, Dan, ale no nie wiem, może jesteś przemęczony. Połóż się na chwilę i zdrzemnij. Co o tym myślisz, dobry pomysł?
 - To do ciebie podobne. Boże, jak ja cię nienawidzę. Teraz ja się poczułam, jakby uderzył mnie w brzuch.
 - Nienawidzisz?
 - Dobra, daj sobie spokój z tą amnezją. Wrobiłaś mnie. Tak bardzo nie chciałaś mi płacić tych alimentów, że wynajęłaś Leah, żeby ze mną zamieszkała. Wydało się, kotku.
- Boże. Boże, Boże, Boże. O matko kochana. Nie mogłam złapać oddechu, serce tak mi się ścisnęło, jakby go w ogóle nie było. Dowiedział się. Może niedokładnie, ale jednak. Wiedział. Tylko skąd? Od kogo? Boże, Jezu kochany, nie.
- „Gdyby Dan się kiedyś dowiedział, że go wrobiłaś, nie wypieraj się”. Obiecałam to Evanowi. Ale nie mogłam stracić Dana. Nie teraz, kiedy odkryliśmy się na nowo.
- Przyznaj się, do diaska - wykrzykiwał tak głośno, że przestraszył Bustera, który aż szczechnął. - Wrobiłaś

mnie. Obydwie z Leah mnie wrobiłyście. Jestem chyba najgłupszym sukinsynem, jaki chodzi po tej ziemi.

„Gdyby się dowiedział, że go wrobiłaś, nie wypieraj się”. Chciałam być bohaterką. Naprawdę. Ale nie potrafiłam wydusić z siebie prawdy.

— Nikogo nie wrobiłam - powiedziałam. — Wydaje ci się, że coś wiesz, ale to jakieś idiotyczne nieporozumienie.

Prawie do mnie podbiegł, znów wymierzając we mnie palec.

— Leah się przyznała! Kiedy jej powiedziałem, co usłyszałem, przyznała, że kobieta z biura matrymonialnego umówiła ją ze mną w parku tego dnia, kiedy się poznaliśmy. Oczywiście zaprzeczyła, że wie cokolwiek o twoim udziale. Wy, kobiety, lubicie się trzymać razem. Będzie miała udział w zyskach z zaoszczędzonych alimentów za to, że mieszkała ze mną te dziewięćdziesiąt dni? Tak się umówiłyście?

Więc uznał, że działałyśmy w porozumieniu. Nic dziwnego, że wściekał się też na nią.

-Jak mogłaś zapłacić za to, żeby wyrolować mnie z czegoś, co mi się prawnie należało? - mówił, kręcąc głową równie zdumiony, co wściekły.

- I jak mogłaś tak się zabawiać moimi uczuciami? Powiedziałaś, że mnie kochasz. Świetny dowcip! Pieprzony żart!

„Gdyby się dowiedział, że go wrobiłaś, nie wypieraj się”. Te słowa wciąż dźwięczały mi w głowie. „Jeżeli wasz związek zniesie taką prawdę, może jest silniejszy, niż mi się wydaje”. Dobra, Evan. Zmusiłeś mnie, żebym obiecała, i obiecałam, więc proszę bardzo.

— Dan, to wszystko nie jest tak, jak myślisz — zaczęłam.

— Błagam — warknął. - Tak mówi każdy kłamca.

— Chcę powiedzieć, że jest gorzej, niż myślisz. Nie wrobiłam tylko ciebie. Wrobiłam też Leah.

- Akurat ci uwierzę - fuknął. - Jeśli chcesz się przyznać, to się przyznaj.

- W każdym razie uwierz w jedno: ja naprawdę cię kocham. Powiem ci wszystko, całą okropną prawdę, ale cokolwiek pomyślisz na końcu, nie waż się sądzić, że kłamałam co do moich uczuć.

- Melanie, ty nie masz uczuć. W końcu to zrozumiałem.

Poczułam napływające łzy, ale szybko je powstrzymałam. Musiałam być silna i opowiedzieć całą historię, nie załamując się, żeby zrozumiał, dlaczego to zrobiłam, i żeby dał się przekonać, że zrobię wszystko, by to naprawić.

Powiedziałam mu więc, jaka byłam wściekła z powodu tych alimentów i jak jeszcze bardziej wkurzała mnie jego rozrzutność.

- Specjalnie się z tym nie kryłaś, żabuchno - zadrwił Dan.

- Wiem - przyznałam mu rację. - Ale Robin Baylor przypomniała mi o tej klauzuli w naszej ugodzie - wspólne pożycie przez dziewięćdziesiąt dni. Wyjaśniła, że jeśli przez ten okres zamieszkacie razem, mój obowiązek alimentacyjny automatycznie wygaśnie.

- Założę się, że na samą myśl ciekła ci ślinka.

- Owszem. Ale ty wciąż powtarzałeś, że nie zamierzasz się wiązać, i zupełnie o tym zapomniałam.

- I co się nagle zmieniło? Zapaść na rynku obligacji? Zły dzień na giełdzie? Czy po prostu to jednak nie na twoje nerwy przelewać kasę na konto faceta?

- Może wszystko po trochu. Nie wiem. Ale ty też nie byłeś w porządku z prywatnymi czarterami, najdroższymi ciuchami i szampanem, specjalnie kłułeś mnie tym w oczy.

- Przecież już za to przeprosiłem. Teraz rozmawiamy o tobie.

- W porządku. Chciałam tylko zarysować kontekst całej sytuacji.
- Olej kontekst i przejdź do biura matrymonialnego.
- Dobra, już dobra. To biuro, przez które poznali się Weezie i Nards. Oni zasugerowali, żebym spotkała się z właścicielką, a ona znajdzie kogoś dla ciebie.
- Super. A ja zawsze myślałam, że mnie lubią.
- Bo tak było. Ale potem dużo straciłeś przez swoje zachowanie. Nie tylko ja byłam na ciebie wkurzona.
- Nic nie powiedział, więc kontynuowałam.
- Poszłam do niej, przejrzałyśmy listę kandydatek i mówiąc w skrócie, wybrałam Leah, żeby tego dnia spotkała się z tobą w parku.
- Po co wszystko komplikować opowiadaniem o Jelly i Rochelle?
- Zakładając, że jest tak słodka i śliczna, że nie będę w stanie się jej oprzeć?
- Tak. Ale ona o niczym nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że pewien rozwiedziony od niedawna piłkarz jest zbyt dumny, żeby skorzystać z usług biura, więc nie powinien się o nim dowiedzieć.
- Więc jednak mnie okłamała.
- Ale tylko w kwestii, skąd znalazła się w parku. Nie wiedziała, że to mój plan i że chciałam pozbyć się alimentów.
- Zmrużył oczy.
- Chcesz mi powiedzieć, że ona jest trochę mniejszą oszustką niż ty.
- Nie jest oszustką. - Przełknęłam kolejną porcję łez. —Tylko kobietą, która cię kocha.
- Bzdura. — Machnął na mnie ręką. — Kiedy postanowiłyście o mnie zawalczyć? No bo najpierw mnie z nią umawiasz, a potem nagle chcesz, żebym z nią zerwał. Nagła zmiana planu? Dostanie premię, jeśli się wycofa?

- Oczywiście, że nie. Kiedy zacząłeś się zmieniać, kiedy miłość Leah zaczęła cię zmieniać, nie mogłam tego nie zauważyć. Zamiast uciekać przed życiem, wziąłeś się z nim za bary. Nie spóźniałeś się z Busterem. Skończyłeś się włóczyć po nocnych klubach i zacząłeś szukać pracy. Zostałeś trenerem, a zawsze się zarzekałeś, że nigdy tego nie zrobisz. Widząc, jak odpowiedzialnie podchodzisz do życia, zdałam sobie sprawę, że znów cię kocham, i nikt nie był tym zaskoczony bardziej ode mnie.

- Nie wciskaj mi kitu. Znów mnie kochałaś, bo wiedziałaś, że masz z głowy alimenty.

- Nieprawda. Nie pożalowałam ci ani centa, od kiedy wziąłeś się w garść. Pieniądze przestały mieć dla mnie znaczenie. Chciałam tylko odzyskać ciebie.

-Więc postanowiłaś zapłacić Leah, żeby znikła, a my dwoje odeszlibyśmy szczęśliwie w dal w zachodzącym słońcu?

- Leah nie ma nic wspólnego z tym, że znów chcę z tobą być.

- Jasne, że ma. Nie chciałaś mnie, dopóki nie zauważyłaś, że zaczynam kochać ją. - Westchnął ciężko. - To chore. Wychodzę stąd i nie mam zamiaru wracać.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

- Czeka! - zawołałam, biegnąc za nim - Musisz mi uwierzyć, że żałuję, bardzo.

- Daj spokój. Żałujesz jedynie, że się dowiedziałem. Stałam w drzwiach, blokując mu przejście.

- Mylisz się - powiedziałam i zamilkłam na moment. - Ale w zasadzie jak się dowiedziałeś?

Kiedy Dan patrzył na mnie z nachmurzoną miną, ja przebiegłam w myślach listę moich wspólników, zastanawiając się, który z nich mógł mnie wydać.

Desiree? Zainterweniowała w imieniu Leah, swojej pierwszoligowej klientki, gdy Dan chciał przełożyć ślub?

Mało prawdopodobne, bo to obciążało Leah, więc Dan tym bardziej nie chciałby stanąć na ślubnym kobiercu. Ricardo? Czyżby rzucił jakąś idiotyczną uwagę

o moim zainteresowaniu „opiekunką”, która zostaje na noc? Ale przecież nie wiedział nic o Desiree. To nie on.

Isa? Wygadała się o mnie i aparacie cyfrowym? Przyniosła aparat do pracy i pokazała Danowi zdjęcia? Była słabym ogniwem, ale też nie miała pojęcia o Desiree. Więc nie ona puściła farbę.

No to może pani Thornberg? Wiedziała o Desiree, ale przecież zastępowała mi matkę! Była po mojej stronie! Nie ma mowy, żeby szepnęła Danowi choć słówko o moich niecnym postępkach.

W takim razie Weezie? Ona wymyśliła cały plan, ale to moja najlepsza przyjaciółka. Owszem, ostatnio się na mnie obraziła, ale pogodziłyśmy się już i teraz było jak dawniej. Poza tym w tej chwili martwiła się własnym rozsypującym się małżeństwem, nie moim. Dwójka dzieci i błądzący mąż zajmowali pewnie cały jej czas.

Nards? On współtworzył plan. Czyżby poczuł nagłą potrzebę wygadania się Danowi, w geście męskiej solidarności? Nie wierzę. Miał na głowie praktykę i romans, więc po co spotykałby się z facetem, którego nie widział od dwóch lat?

W takim razie — nie, to niemożliwe. Owszem, Evan wiedział o wszystkim, ale nigdy w życiu nie sabotowałby mojego związku z Danem. „Kiedy kogoś kochasz, chcesz, żeby był szczęśliwy, nawet bez ciebie”. Tak powiedział. Czy mógł przed wyjazdem spotkać się z Danem? Albo do niego napisać? Nie. Na pewno nie.

— Dowiedziałem się wczoraj — powiedział Dan — na imprezie, gdzie rozdawałem autografy.

-Co? Niby jak?

— Robią teraz imprezy mieszane, wszystkich sadzają przy jednym długim stole. Baseballista siedzi obok teni-

sisty, tenisista obok hokeisty, a hokeista obok łyżwiarza. Zgadnij, kto mi się trafił.

- Dan, proszę cię, nie mam pojęcia - odparłam, uświadamiając sobie, że za moment moje życie legnie w gruzach. - No mów.

- Golfistka znana jako Lynda Fox. Ze zdziwienia otwarłam usta.

- Lynda Fox?

-Japa jej się nie zamykała ani na chwilę. Podczas podpisywania zupełnie się wyłączyłem. Ale potem, po imprezie, gdy się żegnaliśmy, nagle wyskoczył ten kawałek o tobie i biurze matrymonialnym. Jedno jest pewne - zepsuło mi to humor na resztę dnia.

Lynda Fox? W życiu bym nie pomyślała, że ta jedna krótka rozmowa - kilka głupich zdań, w których wymknęło mi się nazwisko byłego - wróci w taki sposób, by mnie dręczyć. Ale Dan miał rację - nie potrafiła zamknąć japy. Nie przyszło jej pewnie do głowy, że wyjawiając mój sekret, wyjawia też swój.

-I co powiedziała?

- Wszystko o tej Dezarze.

- Desiree.

- Nieważne. Mówiła, że to ty wpadłaś na ten genialny pomysł, by biuro pomagało wywinać się z alimentów. Kiedy to usłyszałem, od razu poszedłem do Leah, a ona uzupełniła luki.

Nie mogłam się z tym pogodzić. Wydała mnie jakaś golfistka? A przecież robią wrażenie takich nieszkodliwych.

- Leah nie mogła wypełnić wszystkich luk - zauważyłam, nadal blokując drzwi. Dan ważył o wiele, wiele więcej niż ja i z łatwością mógł mnie podnieść i przestawić, ale pozostał dżentelmenem, nawet wtedy. - Nie mogła ci powiedzieć, jak bardzo żałuję tego, co zrobiłam.

Och, Dan. Gdybym dostała jeszcze jedną szansę, nigdy nie mieszałabym się w twoje prywatne życie ani nie próbowała pozbawić cię alimentów. Jedyna rzecz, której nie żałuję, to te nasze ostatnie wspólne dni. Były cudowne.

- Wiesz, co ja o nich myślę? -Nie.

- Że to przeszłość. -Dan.

- Taka jest prawda. Za każdym razem kiedy wyobrażałem sobie, że mówię Leah o odwołaniu ślubu, nie potrafiłem tego zrobić. I w końcu dotarło do mnie, że to właśnie z nią chcę spędzić resztę życia, a ty jesteś tylko dawnym przyzwyczajeniem, z którym nie potrafię zerwać.

- Mówisz tak, bo jesteś zraniony i zły, i...

- Ale teraz powiedziałem jej, żeby się wyniosła, a tobie mówię, żebyś się odsunęła. Skończyłem z wami obydwoma. Wypuść mnie.

Nie ruszyłam się na centymetr.

- Zejdź mi z drogi.

- Nie pożegnałeś się z Busterem - przypomniałam mu. Kiepskie, wiem, ale co miałam robić?

Odwrócił się do psa.

- Do zobaczenia w poniedziałek, Busty. I znów spojrzał na mnie.

- Zadzwoń najpierw, żeby Isa na pewno była i mogła ci otworzyć.

- A ty gdzie będziesz?

- Gdzie indziej. Co do mieszkania, jak tylko zacznę pracę i dostanę regularną pensję, znajdę własne i wyprowadzę się. Widzisz, kotku? Wygrałaś. Masz swoje pieniądze. Masz mieszkanie. Udało ci się. Gratulacje.

Odsunęłam się, a on przeszedł. Nie mogłam już nic powiedzieć ani zrobić, nie było sensu przeciągać tego żalosego spektaklu. Miał rację. Wygrałam. Hura.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Na weekend wybraliśmy się z Busterem do Connecticut, żebym ja mogła się wypłakać na ramieniu Weezie, a Buster pobawić z dziećmi. Kiedy przyjechaliśmy, było bezchmurnie i ciepło, kwitły wiosenne kwiaty, śpiewały ptaszki i pachniał świeżo skoszony trawnik. Dziękowałam Bogu, że jestem z dala od Manhattanu, czyli miejsca zbrodni. Moich licznych zbrodni.

Kiedy wjechałam na podjazd, ze zdziwieniem zauważyłam samochód Nardsa. Nie wprowadził się jeszcze na dobre, ale od czasu do czasu spędzali razem noc. Pracowali nad swoim związkiem metodą małych kroków. A dokładnie kroków weekendowych.

— Chyba nie masz nic przeciwko, żeby on też został na noc? — szepnęła Weezie, kiedy wyciągałyśmy z samochodu moje rzeczy.

— Przeciwko? Jesteś cała w skowronkach, więc mogę się tylko cieszyć.

— Zdaliśmy sobie sprawę, że oboje popełniliśmy błędy. Małżeństwo to nie bułka z masłem.

— Ale rozwód jest gorszy, więc cokolwiek robicie, żeby do niego nie doszło — tak trzymać.

Weszliśmy do domu, gdzie czekał już Nards — skruszony, ale zadowolony z powrotu do domu, nawet tymczasowego. Doskoczył do mnie, objął mnie i powitał tak serdecznie, jakbym była jego od dawna nie widzianą siostrą.

— Od razu chcę ci powiedzieć, że bardzo mi wstyd za to, co zrobiłem — powiedział zażenowany. — Będę szczęśli-

wy, jeśli uda mi się odzyskać choć połowę zaufania Weezie. I twojego zaufania również, Mel. Widziałaś mnie wtedy w hotelu i pewnie...

— Jestem ostatnią osobą, która mogłaby osądzać innych - przerwałam, chcąc mu trochę ułatwić tę sytuację. — Szczególnie po mojej porażce z Danem.

- No właśnie, to następna sprawa - mówił Nards. - Mam wyrzuty sumienia, że namawiałem cię na Desiree. Jeśli mógłbym w jakikolwiek sposób ci to wynagrodzić albo pomóc naprawić wasz związek z Danem, proszę cię, powiedz mi.

— Dzięki, ale naszego związku już się nie da naprawić.

- Nie mów tak. Dan ma swoje słabości, ale nigdy nie był facetem, który chowa do innych urazę.

— Teraz chowa, możesz mi wierzyć. Nawet dwie. Dołączyła do nas Weezie i usiedliśmy we trójkę w ich przytulnym saloniku.

— Dwie co? — zapytała jak zawsze ciekawa i rzeczowa Weezie.

- Urazy - odrzekłam. - Dan chowa teraz urazę do mnie i do Leah.

— I naprawdę myśli, że ona brała udział w spisku? -dziwiła się. - A ona była tylko jeszcze jedną samotną kobietą szukającą miłości.

- I znalazła ją — dodałam. - Naprawdę bardzo go kocha. Dała mu to wszystko, czego ja nie potrafiłam.

- Och, przestań się już kajać i skupmy się na tym, jak zamierzasz go odzyskać.

- Nie zamierzam. To Leah powinna go odzyskać, a ja chcę jej w tym pomóc.

— Co takiego? — zawołali równocześnie Weezie i Nards.

Kiedy tylko to powiedziałam, wiedziałam, że tak właśnie chcę zrobić. Dan powiedział, że wybrał Leah, że

to z nią chce spędzić resztę życia. Ja byłam jego przeszłością, ona przyszłością. „Kiedy kogoś kochasz, chcesz, żeby był szczęśliwy, nawet bez ciebie”. Znow głos Evana. I pani Thornberg. Ale po raz pierwszy te słowa nie zabrzmiały dla mnie czysto retorycznie. Zabrzmiały prawdziwie. „Zwykły człowiek staje się bohaterem, gdy potrafi oddać to, czego najbardziej pragnie”. Może w końcu nawiązałam kontakt z moją wewnętrzną bohaterką.

- Właśnie to. Od kilku dni o tym myślę i jestem już tego pewna.

- Pewna czego? - pytała zdezorientowana Weezie.

— Odnajdę Leah, pogadam z nią i pomogę jej go odzyskać - powtórzyłam. — To jedyny sposób, w jaki mogę odkupić swoje winy względem Dana.

— To wspaniałomyślne z twojej strony — powiedział Nards, patrząc na mnie z szacunkiem. Zawsze lubił prawić morały. Nigdy bym nie pomyślała, że spojrzy na mnie jak na swój moralny ideał.

— On kiedyś był wspaniałomyślny dla mnie — odparłam. — Czas się odwdzińczyć.

Zastanawialiśmy się potem, jak można połączyć dwoje ludzi, którzy już sobie nie ufają. Zgodziliśmy się wszyscy, że opcja z udziałem Desiree nie wchodzi w rachubę. Skończyłam z nią, a poza tym i tak nie było mnie teraz na nią stać, przecież straciłam pracę.

- Uda nam się - mówiła Weezie. — Do niedzieli na pewno coś wymyślimy.

Ale niestety nie wymyśliłyśmy.

W poniedziałek rano wiozłam Bustera do Dana. Bałam się, że go nie będzie. Bałam się, że będzie. Ale on, tak jak zapowiedział, wyszedł wcześniej. Drzwi otworzyła mi Isa. Wyjaśniła, że Dan załatwia jakieś sprawy, a potem jedzie na spotkanie do LIU.

- Co do niej, zabrała wszystkie swoje rzeczy — dodała, mając na myśli Leah. — Wesela nie będzie.

- Czy Dan jest bardzo przygnębiony? - zapytałam. Gdy o tym myślałam, prawie mnie mdliło: to ja powiedziałam przecież Ricardowi, że pan Swain jest w tak złym stanie, że potrzebuje opieki Leah. Teraz stan pana Swaina rzeczywiście jest niepokojący i przydałaby się opieka Leah. Co ja narobiłam? Jak w ogóle mogłam zrobić coś takiego?

- Niestety, chérie. Na nocnej szafce wciąż trzyma jej zdjęcie.

- Zawsze żył przeszłością, wspominając dawne dobre czasy, kiedy był najszczęśliwszy. Jeśli zachował jej zdjęcie, to znaczy, że wciąż ją kocha.

- Skoro tak, to dlaczego się wyprowadziła? Westchnęłam.

- Jest przekonany, że go oszukała. Sądzi, że wiedziała o moim planie i pomagała mi.

- Ale to nieprawda. Robiłam te zdjęcia za jej plecami. Mogłabym mu je pokazać, wtedy sam zobaczy, że jest niewinna.

Rozważałam przez chwilę ten pomysł, bo prawdopodobnie pomógłoby to Leah, ale ostatecznie go odrzuciłam. Już fakt wynajęcia Desiree wystarczająco go zdenerwował. Jeśli się dowie, że i Isa była w to wplątana, może się wściec i wyrzucić ją z pracy. Na to nie mogłam pozwolić, miała przecież Reggiego na utrzymaniu. A to spory problem. Dosłownie spory.

Poszłam do sypialni i przyjrzałam się zdjęciu Leah. Kolorowe ujęcie z Busterem, co mnie zaskoczyło. (Spodziewałam się zdjęcia solo, z rozwianym brązowym błyszczącym włosom). Leżała obok niego na podłodze, policzek przy policzku, i uśmiechała się promiennie. Nie byłam z nią emocjonalnie związana, ale nawet ja się wzruszyłam jej widoczną miłością do Bustera.

— Ładne zdjęcie, prawda? — powiedziała Isa, wchodząc za mną do pokoju. - Szalała za Busterkiem, a pan Dan uwielbiał to w niej.

Nie, nie znałam Leah, ale skoro szalała za Busterkiem, to chyba nie mogła być tak całkiem zła.

Jak to już miałam w zwyczaju, przed wyjściem wstąpiłam do pani Thornberg. Już od godziny męczyła się z pilotem

— trzeba było wymienić baterie, a ona nie potrafiła podnieść klapki ani paznokciem, ani spinką do włosów, ani nawet kluczem - więc ucieszyła się, że przyszłam. Dzięki mojemu scyzorykowi rozwiązałam problem i mogła później obejrzeć Larry'ego Kinga.

— Co słyhać? - zapytała, kiedy siedziałyśmy w kuchni, zajadając ogórki konserwowe. Czułam się u niej jak w domu, do tego stopnia, że przestał mi przeszkadzać ich zapach. To samo dotyczyło zapachu kulek na mole. No i cieszyłam się, że protezy wciąż trzymają się mocno, więc może je gryźć. (Oczywiście ogórki, nie kulki na mole).

— Postanowiłam pójść za pani radą i spróbować pogodzić Dana i Leah.

— Ja dałam ci taką radę?

— Powiedziała pani, że jeśli go kocham, powinnam chcieć jego szczęścia, nawet jeśli to oznacza, że nie będzie ze mną.

— Cieszę się, że słuchałaś.

— Zawsze pani słucham. Cmoknęła zadowolona.

— Większość młodych ludzi uważa, że my, seniorzy

— co za głupie słowo — nie wiemy, co mówimy. Jakbyśmy wszyscy cierpieli na alzheimera czy co. A niektórzy z nas mają jeszcze klepki na swoim miejscu, wiesz?

— Tak, wiem. Dlatego jak już powiedziałam, postanowiłam posłuchać pani rady. Pytanie tylko, jak mam to

zrobić. Jak sprawić, żeby Leah wróciła do Dana i żeby mu wybaczyła, że jej nie uwierzył? I w ogóle jak to zrobić, żeby wytrzymali ze sobą choć pięć minut, nie mówiąc już o przekonaniu ich do ślubu?

— Trudne zadanie - przyznała pani Thornberg. - Ale nie niewykonalne.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Mój mąż i ja nieźle się kiedyś posprzeczailiśmy, jeszcze przed ślubem, a jednak stanęliśmy w końcu przed ołtarzem.

— O co ta kłótnia, jeśli mogę zapytać?

— Pamiętasz, jak ci mówiłam, że był sknerusem? Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

-Tak.

— Rzeczywiście był. Dał mi pierścionek zaręczynowy z brylantem wielkości ziarnka grochu. Nie, połówki ziarnka grochu. Jego rodzice byli wtedy grubymi rybami w branży bieliźniarskiej. Więc pomyślałam sobie: tylko na tyle ich stać?

— I co pani zrobiła?

— Oddałam mu ten pierścionek. Uważałam wtedy, że najważniejsze są pieniądze, byłam ignorantką, która w dodatku musiała postawić na swoim. Oskarżyłam go o skąpstwo, a on nazwał mnie naciągaczką. Obydwoje oczywiście tego żalowaliśmy, ale głupi upór nie pozwolił się nam do tego przyznać. Co za bezsens.

— Więc zerwała pani zaręczyny?

— Tak. Pogodził nas wtedy Harry, brat męża. Nie sądziłam, że to możliwe, bo w ogóle się do siebie nie odzywaliśmy.

— No i jak mu się to udało?

Podrapała się po brodzie, jakby chciała odświeżyć pamięć. Zauważyłam, że wyrasra jej tam pojedynczy włos.

— Harry wiedział, że oboje kochamy muzykę.

- Klasyczną?

- Nie, muzykę taneczną. Swing. Był taki zespół, bardzo wtedy popularny, The Jack Gordon Band, chyba, często słuchaliszmy ich płyt i tańczyliśmy do nich. Więc Harry kupił każdemu z nas ich ostatni przebój. Mnie powiedział, że to prezent od jego brata, któremu tak bardzo „jest wstyd”, że nie może się zdobyć na to, by dać mi go osobiście. Jemu powiedział, że to prezent ode mnie, a ja za bardzo „się wstydzę”, żeby dać mu go osobiście. I tak to wszystko zorganizował, że oboje przyszliśmy na tańce, gdzie grał nasz zespół. No cóż, ponieważ oboje myśleliśmy, że to drugie przeprasza, wpadliśmy w tę pułapkę i zostaliśmy razem. Reszta, jak mówią, to już historia.

- Próbuję wymyślić, jaki z tego morał.

- Morał jest taki: jeśli chcesz, żeby się zesзли, musisz się odwołać do czegoś, co ich łączy, jakiegoś wspólnego zainteresowania.

Wzruszyłam ramionami.

- Dan lubi futbol, ale Leah... Ja nawet nie znam jej, a co dopiero jej zainteresowania.

- Nie jesteś głupia, coś wymyślisz.

- Ostatnio czuję się głupia. Nie mam pracy, nikt mnie nie chce zatrudnić, a Hotel Złamanych Serc zaczyna mi się jawić jako pałac w porównaniu z opcją nocowania w samochodzie.

- Myślałam, że wprowadzasz się tu obok, gdy tylko on zacznie na dobre trenować. Nie tak mówiłaś?

- On to zaproponował. Ja nie podjęłam jeszcze decyzji.

Odłożyła ogórek i poszła po torebkę. Pogrzebała w portfelu i wyciągnęła plik banknotów, który mi podała.

- Masz, weź - powiedziała. - To wszystko, co mam przy sobie.

- Nie, dziękuję - zaprotestowałam. - Nie mogłabym.

— Nic się nie przejmuj — mówiła, nadal wpychając mi pieniądze. — Nazwij to pożyczką, jeśli dzięki temu poczujesz się jak bizneswoman.

Nie wzięłam od niej pieniędzy. W ogóle nie mogłam uwierzyć, że mi je zaproponowała. Przecież to ja wciskałam wszystkim gotówkę, a przynajmniej takie odnosiłam wrażenie.

— Jestem wzruszona, naprawdę — powiedziałam. — Bardziej niż może sobie pani wyobrazić. Ale poradzę sobie. Teraz, kiedy odzyskałam szacunek do siebie i mogę już patrzeć w lustro, nie wzdrygając się, praca też się jakoś ułoży.

Pani Thornberg pogłaskała mnie po głowie.

— Dobre z ciebie dziecko. Na pewno uda ci się z tymi dwoma gołąbeczkami. A tymczasem moja ręka znów nie daje mi żyć. Chyba ją nadwyreżyłam, kiedy siłowałam się z tym pilotem. Myślisz, że mogłabyś mi pomóc wymyć lodówkę?

Pomogłam jej wymyć lodówkę. I zrobić porządek w spiżarni. Pomogłam jej też wytrzeć podłogę w kuchni. A kiedy to wszystko robiłam, ona wspominała opowiedzianą mi dopiero co historię, jak to Harry pogodził ją z narzeczonym i dzięki niemu stanęli na ślubnym kobiercu.

— Pamiętaj — mówiła. - Harry odwołał się do naszych wspólnych zainteresowań, a potem umówił nas w tym samym miejscu w tym samym czasie. I już.

Kiedy układałam alfabetycznie jej przyprawy, szorowałam lodówkę i wycierałam podłogę, cały czas myślałam, jak powielić dokonanie jej szwagra. Ale dopiero gdy wróciłam do domu i pomyślałam o Evanie - o tym, jak bardzo brakuje mi jego i jego mądrych rad — wpadłam na pewien pomysł.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Nie wiedziałam, gdzie mieszka Leah, więc musiałam wyszukać jej adres w książce telefonicznej. Nie figurował w niej. Zadzwoiłam więc na informację, ale też go nie mieli. Była chyba jedną z tych samotnych kobiet, które bronią się w ten sposób przed zaczepkami zboczeńców. Nie mogłam jej za to winić, ale w tej sytuacji musiałam zrezygnować ze spokojnej rozmowy w domowym zaciszu, na którą miałam nadzieję.

Przechodząc do planu B, nabrałam otuchy, bo znalazłam w książce numer jej kliniki weterynaryjnej. Jak widać nie przejmowała się zboczeńcami, którzy mieli zwierzaki.

We wtorek po południu przekroczyłam próg Praktyki Weterynaryjnej Leah Purcell usytuowanej na Upper East Side. Nie poszłam tam z pustymi rękami.

- Dzień dobry, słucham pani - przywitał mnie młody, nieco zniewieściały recepcjonista siedzący za szklaną szybą. Odsunął ją, gdy kilka razy w nią stuknęłam.

- Chciałam porozmawiać z doktor Purcell - powiedziałam.

Recepcjonista o imieniu Adam, jak widniało na identyfikatorze, obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem - zapewne dlatego, że przyszedłam bez zwierzęcia. W poczekalni było ich pełno, głównie psy i koty, ale również fretka i jedna czy dwie papużki.

- Jest pani umówiona? -Nie.

- Dziś nie mam już ani jednego wolnego terminu.

- Nic nie szkodzi, poczekam, aż pani doktor skończy przyjmować.
Mam do niej pewną prywatną sprawę.

- O — Adam wydawał się zaintrygowany. — Jak się pani nazywa?

- Sissy.

Wzdrygnął się, jakbym go spoliczkowała.

- W stanie Nowy Jork można by to podciągnąć pod przemoc słowną.

- Nie rozumie mnie pan - tłumaczyłam czym prędzej. Nie chciałam od razu na początku popsuć mojej misji dobrej woli tak niefortunnym incydentem. — Nie sugeruję, że jest pan gejem, to po prostu moje imię. Sissy. Sissy Swain.

Nie moja wina, że cała rodzina Dana tak właśnie nazywa jego siostrę Susanne. Może w Oklahomie tak już mają. I zgadza się, liczyłam na to, że udając jego krew-niaczkę, uzyskam audiencję u Leah. Bo byłam pewna, że mnie nie będzie chciała oglądać.

- Powiem jej, że pani tu jest - odparł nabzdyczony Adam. Wstał i zasunął szybę, dokładając do tego więcej starań, niż to było konieczne.

Usiadłam między kobietą z warczącym dobermanem a mężczyzną z jeszcze bardziej warczącym owczarkiem niemieckim. Nie jestem masochistką, ale poczekalnia była pełna i powinnam się cieszyć, że w ogóle mogłam usiąść.

W którymś momencie Adam przywołał mnie gestem dłoni.

- Pani doktor zgodziła się na rozmowę z panią, ale tylko dlatego, że zdaje sobie sprawę, z jak daleka pani przyjechała.

- Bardzo panu dziękuję — odpowiedziałam z lekkim południowym akcentem. Możliwie, że wyrzuci mnie, jak tylko zobaczy, że nie jestem siostrą Dana, ale i tak chciałam spróbować. Na początek muszę wsunąć stopę między drzwi.

Przez ponad godzinę dzielnie znosiłam warczenie, szczyrzenie zębów i ogólnie nieprzyjazne zachowanie psów po lewej i prawej stronie. Kiedy Leah je przyjęła, podobnie jak wszystkie inne zwierzęta obecne w poczekalni, i odesłała do domu wraz z właścicielami, Adam zaprowadził mnie do gabinetu, zamknął drzwi i zostawił z Leah sam na sam.

Gdy weszłam, stała odwrócona do mnie tyłem, przeglądając jakąś ogromną ciężką księgę. Nawet w białym fartuchu i z włosami związanymi w niedbały kok wyglądała jak zjawisko. Chrząknęłam, żeby zwrócić na siebie jej uwagę.

Odwróciła się i natychmiast zaczęła wyrzucać z siebie bezładne słowa. Gdyby z powodu złości naprawdę mogło się dymić z uszu, w gabinecie w jednej chwili zrobiłoby się szaro.

- Ty? Adam mówił, że... Ty? Jak mogłaś podać się...

- Leah - powiedziałam - proszę cię, uspokój się. - Ciekawe, czy ja bym się uspokoiła na jej miejscu. Raczej dałabym sobie w gębę.

- Udawałaś siostrę Dana! - Mówiąc to, walnęła księgą w biurko. TRACH. Obydwie podskoczyłyśmy na ten dźwięk.

- Pomyślałam, że inaczej mnie nie wpuścisz - odparłam spokojnym tonem, żeby jeszcze bardziej jej nie denerwować. — Musiałam z tobą porozmawiać.

- Porozmawiać ze mną? Chciałaś mi ukraść Dana! Dlaczego miałabym cię wpuszczać?

- Bo masz przemiły charakter. Dan zawsze wychwalał cię pod niebiosa, jaka to jesteś miła. On kocha cię, Leah. Nigdy nie powinnam była między was wchodzić.

- Więc po co to zrobiłaś? - zapytała. - I dlaczego tak obrzydliwie go oszukiwałaś? Co za podłość - płacić Desi-ree, żeby wyłgać się z alimentów!

— Wiem, masz rację. To było podłe i będę tego żałować do końca życia. Ale mój błąd nie musi przecież przekreślać twoich szans.

— Mówisz to teraz, bo zostawił nas obydwie. — Opadła na swój biurowy fotel, jakby uszło z niej całe powietrze, a wraz z nim ta pozytywna energia, która tak inspirowała Dana.

— Chcę naprawić szkody, które wyrządziłam — oznajmiłam i usiadłam naprzeciwko niej. — Chcę wam pomóc być znowu razem.

— Daruj sobie.

— Naprawdę, Leah, uwierz mi. Chcę, żeby Dan był szczęśliwy, a to jest możliwe tylko z tobą.

Odwróciła głowę i zagryzła wargę.

— Nawet gdybym ci uwierzyła, to i tak nigdy się nie wydarzy. On myśli, że byłam z tobą w zмовie. Uważa mnie za taką samą oszustkę jak ty.

— Wcale nie — skłamałam. Obiecałam sobie, że nie będę już kłamać, spiskować i konspirować, ale to obecne kłamstwo powiedziałam w zbożnym celu. Miało pomóc dwojgu uczciwym i działającym w dobrej wierze ludziom odnaleźć prawdziwą miłość. A to przecież nic złego, prawda? — Rozmawiałam z nim i wszystko mu wyjaśniłam, więc teraz już wie, jak było. I nie uważa, że byliśmy w zмовie. Wie, że ciebie wrobiłam tak samo jak jego.

Spojrzała na mnie, w jej oczach dojrzałam nadzieję.

— Już mnie nie obwinia?

— Nie. I wciąż chce się z tobą ożenić. Żałuje, że w ciebie zwątpił.

Leah uniosła jedną ze swoich idealnie wyregulowanych brwi.

— Więc dlaczego nie zadzwonił?

— Bo za bardzo mu wstyd. Jest przekonany, że nie zechcesz go wysłuchać.

- Powinien się wstydzić - odparła, zaciskając usta.

- Naprawdę mnie zranił tym, jak mnie potraktował -zwyczajnie wyrzucił na ulicę. A teraz nie potrafi nawet podnieść słuchawki, żeby mnie przeprosić?

- Smutne, prawda? Byłam jego żoną przez trzynaście lat. Dan ma wiele wspaniałych cech, ale jest też takim małym macho, wiesz? Niczego na świecie nie pragnie tak bardzo, jak cię przeprosić, pogodzić się z tobą i wziąć ślub w Oklahomie, jeśli tylko będziesz go jeszcze chciała. Ale jest zbyt dumny, żeby przyjść tu z podwiniętym ogonem i błagać cię o to.

- Więc wysłał cię? - powiedziała sceptycznie. -Tak, ponieważ to ja doprowadziłam do całej tej

sytuacji - znów skłamałam. - Kiedy mu wyjaśniłam, że niesłusznie ukarał cię za moje błędy, poprosił, bym była jego posłańcem. Mówił, że jestem mu to winna, i ma rację. - Wyciągnęłam paczkę, którą ze sobą przyniosłam.

— Nalegał, żebym ci to dała.

- Co to jest? - spytała, przyglądając się pakunkowi tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć.

- Coś, co upamiętnia wasze wspólne zainteresowanie, miłość, którą dzielicie.

Podaliśmy jej paczkę nad biurkiem. Odpakowała ją ostrożnie, a kiedy zobaczyła, co jest w środku, na jej twarzy pojawiła się konsternacja.

- Obraz olejny?

- Obraz z Busterem - dodałam. - Dan zamówił go dla ciebie, to miał być prezent ślubny. Wie, jak bardzo kochasz Bustera, oboje zresztą go kochacie, więc pomyślał, że to będzie najlepszy prezent.

Przyglądała mu się przez chwilę.

-Jest bardzo, ale to bardzo piękny - powiedziała w końcu, uśmiechając się po raz pierwszy od mojego przyjścia. To dodało mi odwagi. Dodało mi bardzo, ale to bardzo dużo odwagi.

— Widzisz, że pies wszedł cały do wody? Pływa sobie beztrąsko i niczym się nie przejmuje? — pokazywałam jej. — Buster boi się wody. Zwykle moczy tylko łapkę i od razu ucieka jak najdalej. Przesłanie obrazu jest takie, że pies podejmuje ryzyko, a Dan miał nadzieję, że to właśnie zrobisz, lecąc z nim do Minco, by wziąć ślub.

Kiedy na mnie spojrzała, po jej policzku spłynęła pojedyncza łza.

— Nie mogę uwierzyć, że zlecił namalowanie dla mnie obrazu. Nikt jeszcze niczego dla mnie nie namalował. To porusza we mnie jakąś czułą strunę.

— Wspaniale — powiedziałam — ale czy to wystarczy, żebyś mu wybaczyła? Czy jesteś gotowa zapomnieć o swoim bólu, o cierpieniu i przyjąć ten prezent jako zaproszenie, by razem z Danem dać się ponieść falom wspólnego życia?

Wiem, wiem. Samą mnie zemdliło. Ale moja hiperbola zadziałała. Widziałam to. Harry Thornberg mógłby się ode mnie uczyć.

— Jak w tej sytuacji mogłabym mu nie wybaczyć? — odparła, patrząc na prezent, który dostałam od Evana. — Obraz Bustera. To dowodzi, jak dobrze mnie zna.

— Właśnie.

— Może teraz, kiedy okazał skrucę, jest jeszcze przed nami jakaś przyszłość.

— Och, Leah. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że to słyszę. — Klaskałam z radości, gdy nagle zauważyłam, że ona podnosi słuchawkę. — Co robisz?

— Dzwonię do Dana. Zrobił pierwszy krok, teraz moja kolej.

— Nie! - Wyrwałam jej słuchawkę z dłoni i odłożyłam na miejsce. - To znaczy, wiesz, to nie jest najlepszy pomysł.

— Dlaczego?

-Jak już mówiłam, gdy w grę wchodzi uczucia, Dan należy do starej szkoły. — Przewróciłam oczami, żeby podkreślić jaskiniowe przekonania mojego byłego męża. - Nie możesz tak od razu lecieć do niego z tym obrazem. Umarłby ze wstydu. Nie jest jeszcze gotowy na rozmowę z tobą. Przecież nie potrafił sam tu przyjść, prawda?

- Ale jeśli chce, żebyśmy znów byli razem...

- Oczywiście, że chce, ale jego ego doznało szwanku. Zanim z tobą porozmawia, musi się poczuć dobrze sam ze sobą. — Boże, jak ja nie cierpię tego wyrażenia. - Wiedziałaś, że jego ulubionym wspomnieniem związanym z tobą jest dzień, w którym się poznaliście w Central Parku? On grał w piłkę, a ty przechodziłaś obok i skradłaś mu serce.

Leah westchnęła jak zakochana nastolatka i powiedziała:

- Tak? To również moje ulubione wspomnienie.

- Dobrze się składa, bo właśnie tam chce się z tobą spotkać. W przyszłym tygodniu, w środę o drugiej po południu. Na boisku na North Meadow przy Dziewięćdziesiątej Siódmej.

- W przyszłym tygodniu? A dlaczego nie jutro?

Bo wcale nie będzie go tam łatwo zaciągnąć, pomyślałam, więc muszę mieć na to trochę czasu.

- Zależało mu dokładnie na tym dniu. Musi być dla was w jakiś sposób ważny.

- Hm, nie mam pojęcia, o co może mu chodzić.

- Posłuchaj, prosił mnie, żebym cię przekonała do spotkania, więc staram się, jak mogę - powiedziałam trochę mocniej niż zamierzałam. Odliczyłam do dziesięciu i zaczęłam od nowa: - No więc spotkasz się z nim w tym miejscu, gdzie zaprowadziło was przeznaczenie? Gdzie po raz pierwszy ze sobą rozmawialiście? Gdzie zakwitła wasza miłość? Zaryzykujesz ten wielki skok na głęboką wodę, by odzyskać swojego mężczyznę? - O rany. Nagle przy-

szło mi do głowy, że może mogłabym zarabiać pisaniem piosenek country.

Leah rozważała przez chwilę propozycję Dana.

- A skąd mam wiedzieć, że on przyjdzie? A jak stchórzy?

- Przecież to jego pomysł — przypomniałam jej.

- Niby tak. Ale skoro jego ego tak cierpi, to...

- Przyjdzie, zobaczysz. A jak nie, to nie jest facetem, za jakiego go bierzemy.

Znów się zastanowiła, marszcząc czoło.

- Wiesz, Melanie, równie dobrze to może być jeszcze jeden twój przekręt. Żeby znów mnie wystawić.

- Dobra. Nie ufaj mnie - powiedziałam. - Zaufaj miłości. - Raczej nie piosenki country, stwierdziłam. Ale mogłabym wymyślać hasła na kartki Hallmarku.

- Zaufaj miłości - powtórzyła za mną, kiwając głową. - To mi się bardzo, ale to bardzo podoba. Przywodzi na myśl powieściowe romanse.

Niech będzie, mogę pisać i harlequiny. Ale najpierw muszę przekonać Dana, żeby również zaufał miłości.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Oczywiście, że czułam się okropnie, wręczając Leah obraz Evana. W końcu mi go przecież dał, choć mógł sprzedać i zarobić. Poza tym to dzieło sztuki, a nie jakiś tandetny bibelocik, który można podarować komuś, kogo ledwie się zna.

Co więcej, miał dla mnie szczególną wartość nie tylko dlatego, że przedstawiał Bustera, ale dlatego, że był od Evana, któremu zależało na mnie do tego stopnia, żeby przez ten obraz przekazać mi ważną lekcję. Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, żeby się z nim rozstawać — ani z tym drugim, na którym Buster tylko moczy łapkę - gdyby pani Thornberg nie opowiedziała mi tej historii o swoim szwagrze i muzyce, dzięki której pogodzili się z narzeczonym. Leah rzeczywiście uwierzyła, że obraz to gest pojednania ze strony Dana, pozostało mi więc tylko przekonać Dana, że ten drugi obraz to gest pojednania ze strony Leah, i ich związek zostanie naprawiony tak jak związek pani Thornberg. Miałam nadzieję, że Evan będzie ze mnie dumny i tym razem go nie rozczaruję.

Szkopuł w tym, że Dan tak dalece się ode mnie odizolował, iż dostarczenie mu obrazu stanowiło nie lada wyzwanie. Po wizycie u Leah przez kilka dni próbowałam się do niego dodzwonić, ale nigdy nie udało mi się usłyszeć żywej osoby — zawsze tylko poczta głosowa. Chciałam go odwiedzić, ale poinstruował Ricarda, żeby wpuszczał mnie tylko wtedy, kiedy go nie ma, a w domu jest Isa.

Wykombinowałam więc, że zaskoczę go w jego stałych miejscach - gdzie spotkał się z Jelly i Rochelle - ale niestety przestał je odwiedzać. Nie był już leniwym dzidziąsem bez pracy i celu w życiu. Był trenerem drużyny studenckiej zajęтым przygotowaniem zawodników do zbliżającego się sezonu. Tak przynajmniej mówiła Isa.

Ostatecznie to pani Thornberg znalazła rozwiązanie, kiedy zwierzyłam się jej ze swoich kłopotów. Za jej namową przyniosłam obraz do niej i zostałam na noc w pokoju gościnnym. Następnego ranka czatowałyśmy w przedpokoju z uszami praktycznie przyklejonymi do ściany, czekając, aż Dan wyjdzie z mieszkania. Wtedy pani Thornberg otworzyła drzwi, przywitała się z nim i zapytała, czy mógłby jej pomóc otworzyć słoik z miodem, który chciała dodać do owsianki.

- Moja ręka wciąż jest niesprawna - wyjaśniła - odkąd pośliznęłam się na mokrej posadzce w holu na dole. I nadal nie wiem, kto jest za to odpowiedzialny.

Przez chwilę przerzucali piłeczkę - on powiedział, że się spieszy na spotkanie, ona, że ból jest nie do wytrzymania i chyba weźmie morfinę albo coś. Ostatecznie Dan oznajmił, że z przyjemnością jej pomoże, i zanim się spostrzegłam, już wchodzili do mieszkania. Przełknęłam ślinę i przygotowałam się na jego reakcję, kiedy mnie zobaczy.

- Matko - powiedział, patrząc na mnie ze złością. - Jeśli myślisz, że przyparłaś mnie do muru, to grubo się mylisz. - Był w garniturze, więc pewnie nie kłamał o spotkaniu. Ale nie miałam zamiaru pozwolić mu wyjść, może się odwracać i grozić, że to zrobi, ile tylko chce. Kiedy przestał w końcu fukać i prychać oraz pociągać się za ucho, stanęłam z nim twarzą w twarz.

- Dan, musisz mnie wysłuchać. - W pierwszym odruchu chciałam go dotknąć, pogłaskać, ale wiedziałam, że taka demonstracja uczuć nie spotka się z dobrym przyjęciem.

— A ty musisz przestać mnie nękać — warknął do mnie Dan.

— No już, już - wtrąciła się pani Thornberg, stając między nami jak sędzia. — Melanie jest moim gościem. Byłabym wdzięczna, gdyby traktował ją pan z szacunkiem.

— Więc musi pani znaleźć kogoś innego do otwarcia tego słoika. Nie da się traktować z szacunkiem ludzi, których się nie szanuje.

— Daj mi tylko kilka minut - powiedziałam. - Nie chodzi o nas, ale o ciebie i Leah. Poprosiła, żebym coś ci przekazała. Coś ważnego.

Spiął się, zaciskając zęby na dźwięk jej imienia.

— Więc wciąż trzymacie sztamę?

— Och, dałbyś już spokój. - I nagle jego upór mnie ośmielił. Początkowo chciałam podejść do niego delikatnie, jak do Leah, ale teraz uznałam, że w jego przypadku lepsza będzie kochająca, ale twarda ręka.

— Nigdy nie trzymałyśmy sztamy. Widziałam ją zaledwie dwa razy w życiu. No, może trzy. I zawsze w twoim towarzystwie. Nic nie wiedziała o moich planach ani o alimentach. I lepiej w to uwierz dla swojego własnego dobra.

— Niby dlaczego?

— Bo ona cię kocha, a ty kochasz ją. Niestety, jesteś zbyt prymitywny, żeby się do tego przyznać.

— Czy ktoś ma ochotę na owsiankę? - zapytała pani Thornberg. — Podobno obniża ciśnienie.

— Nie, dziękuję — odparłam, puszczając do niej oko. — Potrzebujemy tylko krótkiej rozmowy sam na sam.

— Oczywiście — powiedziała, znikając zaraz w kuchni. Uosobienie dyskrecji.

— A teraz — zaczęłam, kiedy zostaliśmy sami — czy pozwolisz, żebym dała ci ten prezent od Leah?

Stał z założonymi rękami i stukał nogą o podłogę, zniecierpliwiony i zawzięty.

- Skoro nie trzymacie razem, dlaczego akurat ty miałabyś przekazywać prezent od niej?

- Bo tak bardzo przeżywa całą tę sytuację, że boi się przyjść do ciebie sama - wyjaśniłam. - Myśli, że jej nienawidzisz. Do cholery, odizolowałaś się od nas obydwu. Stwierdziła chyba, że ja nie dam się tak łatwo spławić.

- Rzeczywiście jesteś upierdliwa, Melanie.

- Uznała, że jestem jej coś winna za to, co zrobiłam - kontynuowałam.

- Więc kiedy poprosiła, bym została jej wysłannikiem, zgodziłam się.

Świadoma, że może mi w każdej chwili zwać, szybko podbiegłam do zapakowanego obrazu i podeszłam z nim do niego.

- Zanim ci go dam, jeszcze raz chcę cię przeprosić za to, że próbowałam ukraść ci pieniądze, do których miałeś pełne prawo.

- Nie jestem zainteresowany. Powiedz to komuś, komu na tym zależy.

- Ale przede wszystkim - ciągnęłam niewzruszona - chcę cię przeprosić za to, że skłóciłam was z Leah. Tak dobrze do siebie pasujecie. Zbyt dobrze, byś pozwolił mnie czy komukolwiek innemu was rozdzielić. Zakochała się w tobie, kiedy byłeś w dołku, i była przy tobie, gdy wracałeś do życia, pomogła ci zmienić się z chłopca, którego poślubiłam, w mężczyznę, którym się teraz stałeś. I to w kilka krótkich miesięcy. To ona tego dokonała. Była twoim mistrzem. Kochała cię bezwarunkowo. Nigdy o tym nie zapominaj.

- Nie mogę zapomnieć, że umówiła ją ze mną twoja baba z biura matrymonialnego.

- Leah była klientką Desiree. I co z tego?

- Nic mi nie powiedziała. Pozwoliła, bym myślał, że spotkaliśmy się przypadkowo.

- No wiesz! Nie popełniła przecież morderstwa! Błagam, odpuść to już sobie.

Leciuteńko, ledwie dostrzegalnie się uśmiechnął.

- Czy razem z prezentem miałem też dostać bure?

- Nie. Ona jest dużo miłsza ode mnie.

- Nie zaprzeczę.

- Więc zobacz, co jest w środku. I wręczyłam mu paczkę. Potrząsnął nią.

- Jesteś pewna, że nie rozerwie mnie na kawałki?

- Po prostu otwórz. To coś, co upamiętnia wasze wspólne zainteresowanie, miłość, którą dzielicie.

Odpakował prezent i natychmiast się uśmiechnął, tym razem naprawdę promiennie, zachwycony tym, co widzi.

- Kurczę. To przepiękny obraz Bustera.

- Leah zamówiła go dla ciebie w prezencie ślubnym — informowałam.

— Wie, jak bardzo kochasz naszego psa, i pomyślała, że taki obraz będzie miał dla ciebie szczególne znaczenie.

- Naprawdę to zrobiła? - powiedział z niekłamanym podziwem w oczach.

- Tak - potwierdziłam.

- Jest niesamowicie realistyczny - komentował, studiując szczegóły.

- Autor świetnie uchwycił podobieństwo, to wykapany Busterek. Widzisz, jak moczy tylko łapkę i nie chce wskoczyć do wody? Na pewno jej opowiadałeś, że Buster tak właśnie robi — mówiłam z niewinnym uśmiechem zakonnicy. Ale twardej zakonnicy. - Chciała ci w ten sposób przekazać, że chociaż pies boi się rzucić na głęboką wodę, ona nie, i podejmie ryzyko. Wyjdzie za ciebie, choć znacie się zaledwie trzy miesiące.

Spojrzał mi w oczy.

- Naprawdę zamówiła go dla mnie? Mówisz zupełnie serio?

- Tak, po raz drugi.

- W takim razie chylę przed nią czoła. Doskonały pomysł na prezent ślubny - przyznał.

- Owszem, ale teraz to coś więcej. Leah chce ci w ten sposób powiedzieć, żebyś i ty podjął ryzyko i nie pozwolił umrzeć uczuciu, które was połączyło.

Dotknął pieska na obrazie i ciężko westchnął. A ja, wietrząc zwycięstwo, przystąpiłam do ataku.

- Więc przestaniesz w końcu unosić się głupią dumą? Przestaniesz pielęgnować w sobie urazę i złość? Przyjmiesz ten prezent od Leah jako dowód jej miłości do ciebie? Miłości, która trwa, mimo że tak brutalnie się z nią obszedłeś? Stopisz lód swego serca i zrobisz ten wielki skok, by razem z Leah dać się ponieść falom wspólnego życia?

Tak, wiem, wyszło jeszcze bardziej melodramatycz-nie niż z Leah, ale zaczynało mi się to podobać.

- Więc Leah uważa, że wciąż możemy być razem?

- Ze wszech miar.

- Nawet po tym wszystkim, co jej powiedziałem?

- To właśnie znaczy „bezw warunkowo”, wiesz? Nastąpiła chwila ciszy.

- Nie wiem, czy w ogóle powinienem się pakować w związek. Wymagowałaś mnie emocjonalnie, Mel, i powoli staję dopiero na nogi. Wolałbym się teraz skupić na nowej pracy.

- Skupić na pracy? Przecież to Leah cię namówiła, żebyś jej poszukał!

- No tak, ale...

-To chociaż z nią porozmawiaj.

- Dobra, już dobra. Zadzwonię do niej kiedyś.

- O nie, nie. Tak łatwo się nie wymigasz. Spotkaj się z nią.

Dan wił się przede mną jak piskorz.

- Nie jestem jeszcze gotów na spotkanie. Boże kochany, co za uparciuch.

- Posłuchaj, kiedy poprosiła mnie o przekazanie obrazu, miała jeszcze jedną prośbę. Chciałaby się z tobą spotkać w Central Parku, na boisku, w środę o drugiej - w miejscu, gdzie się poznaliście. Wydaje mi się, że próbuje w ten sposób na nowo rozbudzić to, co oboje tam poczuliście. Jeśli pójdziesz i uznasz, że nie kochasz jej tak bardzo, jak myślę, w porządku, niech tak zostanie. Ale idź. Zobacz się z nią. Tylko ten jeden raz.

- Nie mogę. W środę o drugiej mam spotkanie.

- No to je przełoż. Zawsze mi powtarzałeś, że praca była dla mnie ważniejsza niż nasz związek. Może teraz zastosujesz się do własnych nauk?

Zawahał się.

- Nie chcę jej robić niepotrzebnych nadziei. Jeśli przyjdę, może pomyśleć, że...

- Jeśli przyjdiesz, będzie wniebowzięta, zaufaj mi.

- Zaufać tobie? - Roześmiał się. - A na jakiej podstawie? Cały czas tylko mną manipulujesz.

I nie miałam zamiaru przestać, dopóki nie będzie szczęśliwy, nawet beze mnie.

- OK - powiedziałam. - Mnie nie musisz ufać. Zaufaj miłości.

Wiem, wiem. Dan to facet, a ich normalnie nie biorą takie słodkie kawałki, szczególnie typy jaskiniowców, ale miałam już tę rolę przeciwioną. Na początek dobra była twarda ręka, na wielki finał lepiej się natomiast nadają ckliwe tekściki.

- Zaufaj miłości? - powiedział drwiąco. - To brzmi, jakbyś naoglądała się ostatnio romansów.

- Może i brzmi - zgodziłam się z nim. W sumie mogę pisać scenariusze zamiast piosenek country, kartek dla Hallmarku czy harlequinów. - Ale to jeszcze nie znaczy, że nie powinieneś spróbować.

- Ty się naprawdę nigdy nie poddajesz, co?

- Wszyscy mi to mówią.
 - A mówili ci też, że mógłbym cię pozwać, gdybym chciał?
 - A chcesz?
 - Nie, ale tylko dlatego, że wolę już ten koszmar mieć za sobą.
 - Dobry wybór. No więc jak, zaufasz swojej miłości do Leah i jej miłości do ciebie i spotkasz się z nią w tym parku? - zapytałam, z uwagą patrząc na mężczyznę, który przez te wszystkie lata wywoływał we mnie wszelkie istniejące uczucia, mężczyznę, któremu na zawsze oddałam kawałek swojego serca, mężczyznę, któremu lepiej będzie z kimś innym. - Wybaczysz jej, Dan?
 - Tobie też mam wybaczyć?
 - Bardzo bym chciała.
 - Zastanowię się nad tym.
- I jakby nigdy nic wyszedł z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, niosąc pod pachą obraz Evana.
- Kiedy zamknęły się za nim drzwi, do pokoju wbiegła pani Thornberg, w podnieceniu wymachując rękami.
- No i co? Udało się?
 - Sama nie wiem.
 - Powiedział, że pójdzie w środę do parku?
 - Nie powiedział, że nie pójdzie.
 - Mężczyźni. — Pani Thornberg wzruszyła ramionami. — Przez was, wyzwolone kobiety, oni się teraz nawet boją przejść przez ulicę. Za moich czasów mężczyźni wiedzieli, kim są.
- Położyłam dłoń na jej kościstym ramieniu.
- Za pani czasów my nie wiedziałyśmy, kim jesteście. To też nie było zbyt fajne.
 - Może następne pokolenie jakoś to wyrówna? Obydwie wiedziałyśmy, że to raczej mało prawdopodobne, więc zmieniłyśmy temat.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

W środę po południu, dokładnie za piętnaście druga, czaiłyśmy się z Weezie w Central Parku za kępą drzew i krzewów. Boisko, przy którym Dan i Leah mieli się spotkać, znajdowało się sto metrów od naszego punktu obserwacyjnego - na tyle blisko, by przez lornetkę śledzić rozwój wypadków, i na tyle daleko, żeby nie dać się przyłapać.

Na boisku trwał mecz, grupa dzieciaków biegała za piłką, ale my oczywiście skupiłyśmy uwagę na Leah. Przyszła dość wcześnie, zaraz po nas. Była podekscytowana i niepewna. W spódniczce mini i obcisłym sweterku wyglądała bardzo seksownie.

- Nie przesadzałaś, to rzeczywiście laska - zauważyła Weezie, która nigdy wcześniej jej nie widziała.

- W dodatku niesamowicie miła — dodałam. - Żaden z niej superumysł, ale Dan byłby głupi, pozwalając jej odejść.

- Przez ostatnie trzynaście lat miał w domu superumysł - skomentowała Weezie, klepiąc mnie czule po ramieniu.

- Dzięki, ale mogłam jednak być nieco miłsza.

- Pewnie mogłaś, ale spójrz tylko, co teraz dla niego robisz. Dla nich obojga. Jeszcze ci tego nie mówiłam, ale zmieniłaś się ostatnio w osobę autentycznie wspaniałomyślną, moja droga. Oglądanie swojego faceta z inną nie jest łatwe. Wiem z doświadczenia.

- Łatwiejsze, niż się spodziewałam — odrzekłam. — Wygląda na to, że nie tylko Dan musiał dorosnąć.

Weezie zamierzała odpowiedzieć, ale zauważyłam blondyna idącego w stronę Leah i uciszyłam ją.

- Jest! - zawołałam pełna nadziei.

- Wcale nie - zweryfikowała Weezie, a moja nadzieja wyparowała. Ona miała teraz lornetkę, a więc i lepszy widok.

- No to gdzie on jest?

- Uspokój się - Weezie próbowała przemówić mi do rozsądku. - Nie ma jeszcze drugiej. Mówiłaś, że ją kocha. Przyjdzie.

- Mówiłam też, że się nie zdeklarował - przypomniałam jej. - Nie chce jej zwodzić.

- Założę się, że przyjdzie.

-To lepiej niech się pospieszy. Zaczynam marznąć, nie wzięłam swetra ani kurtki. - Wiosenna aura skłoniła mnie do włożenia dżinsów i bluzki bez rękawów. Ale teraz zaczęło wiać, temperatura spadła, a moje ręce pokryły się gęsią skórką.

- Rozgrzejesz się, jak zobaczysz owoce swojej pracy - pocieszała mnie Weezie.

Więc czekałyśmy dalej. Minęła druga. Potem pięć po drugiej. Dziesięć po. Piętnaście.

- No dobra, gdzie on się, do cholery, podziewa? - jęknęłam. - Leah wygląda, jakby jej serce pękało. Jak nie przyjdzie, to go chyba zabiję.

- Ile mu damy czasu? - pytała Weezie, już nie taka pewna wyniku misji.

- Chyba tyle co Leah.

Minęło dwadzieścia po drugiej. A potem dwadzieścia pięć. I wpół do trzeciej. Zrobiło się za dwadzieścia pięć trzecia.

- Ona chyba płacze - relacjonowałam, obserwując Leah przez lornetkę.

- Wcale się jej nie dziwię. Stoi tu od czterdziestu pięciu minut.

— Nie mogę uwierzyć, że nas wystawił — powiedziałam.

— Ja też byłam pewna, że przyjdzie — dodała Weezie, kiwając głową.

— Czy ta sprawa z Desiree mogła aż tak dać mu się we znaki, żeby na dobre zraził się do kobiet? Nawet do tej, z którą chciał się żenić?

— Kto wie. - Weezie westchnęła. — Mówiłam to już i powtórzę raz jeszcze: słaba płeć to mężczyźni. Wcześniej umierają, więcej palą i piją, rozbijają się w samochodach, wylatują z...

— Daj mi lornetkę.

Złapałam ją i spojrzałam, mrużąc oczy. Leah opuściła swoje stanowisko i powolnym zrezygnowanym krokiem szła wzdłuż boiska. Wyglądała jak samotna zagubiona istota poszukująca swojej bratniej duszy.

— Jeśli Dan nie przyjdzie w ciągu pięciu minut, ona sobie pójdzie i już nic nie będę mogła zrobić.

I oddałam jej lornetkę sfrustrowana, że plan nie wypalił.

— Boże — powiedziała nagle Weezie z lornetką przy oczach.

— Co jest?

— Patrzy na nas. Kryć się!

Pociągnęła mnie za bluzkę i wylądowałam z nią w krzakach. Kryłyśmy się tam jak żołnierze w obozie wroga, kucając jak najniżej i starając się wytrwać bez ruchu.

— O, nie. Zobaczyła nas - powiedziałam, gdy na moment wystawiłam głowę. - Idzie tu i nie wygląda na zadowoloną.

— Co jej powiemy? Że korzystamy z wiosennego słońca?

Przebiegłam w myślach inne możliwości, które usprawiedliwiałyby naszą obecność tutaj dokładnie w tym sa-

mym czasie, kiedy Dan i Leah postanowili się pogodzić: obserwacja ptaków, tai-chi, poszukiwanie okazji na spotkanie kółka ogrodniczego. Ale i tak nas przyłapała.

- A myślałam, że robię dobrze — powiedziałam, zamykając oczy, żeby nie widzieć, jak Leah przybiega i wrzeszczy. Wiem, że jestem tchórzem, ale nie zniosłabym jej gniewu i rozczarowania, które wymierzy we mnie, i to nie bez powodu.

- Czekaj — mówiła tymczasem Weezie. - Zawróciła i poszła z powrotem na boisko. A teraz zaczęła biec.

Otworzyłam oczy.

- Biec?

— Tak, zobacz. - Podała mi lornetkę. Rzeczywiście, Leah zmieniła kurs i biegła w stronę boiska, skąd pewien blondyn - przystojny blondyn, którym mógł być tylko Dan - spieszył w jej kierunku.

- Jest! - zawołałam, mając ochotę krzyczeć, ale jakoś się powstrzymałam. - Gdyby to puścić w zwolnionym tempie, mamy reklamę szamponu. Te włosy. Są naprawdę piękne.

Jak para podglądaczy najgorszego gatunku patrzyłyśmy, jak się obejmują. On ją pocałował. Ona jego też. Były łyzy. Objęcia. Miłość. Tyle było tam miłości, że czułyśmy ją nawet sto metrów dalej. Ale wiecie co? Nie wzdrygnęłam się podczas tego pojednania. Zauważyłam jedynie delikatny dreszcz, gdy zaczęło do mnie docierać, że Dan całuje Leah, a nie mnie. W końcu pozwalałam mu odejść. Powiem więcej, nie tylko pozwalałam mu odejść, ale cieszyłam się, widząc jego radość. I nawet niechęć do Desiree była jakby mniejsza. Desiree nie należała może do osób z zasadami, ale kojarzyła ludzi w pary, a ja aż do tamtej chwili nie rozumiałam, jaką to może dawać satysfakcję.

— Jak myślisz, czemu przyszedł tak późno? — zapytała Weezie.

- Kto wie - odparłam. - Może nie mógł się zdecydować. Był na tyle niepewny, że to go paraliżowało?

- Mężczyźni to rzeczywiście słabsza płęć.

- A ja jestem teraz zbyt słaba na dyskusje o różnicach płci. Muszę coś zjeść. Pizzę. I napić się piwa. W dużych ilościach.

- Chcesz w nim utopić swoje smutki? - zapytała, z niepokojem kładąc mi dłoń na ramieniu.

-Wręcz przeciwnie. Chcę świętować zwycięstwo. Przyłączysz się?

Weezie się uśmiechnęła.

- Nie tylko się przyłączę. Ja stawiam.

Chyłkiem opuściłyśmy naszą bazę i czym prędzej pobiegłyśmy na Piątą Aleję, gdzie wskoczyłyśmy do taksówki i pomknęły do Hell's Kitchen.

Na miejscu kupiłam pizzę, a Weezie sześciopak i wkrótce świętowałyśmy w Hotelu Złamanych Serc. Objadałyśmy się właśnie pizzą z pepperoni, grzybami i cebulą, gdy zadzwonił telefon. To była Leah.

Przygotowałam się na jej oskarżenia. Zauważyła w parku, jak ukrywam się w krzakach, i pewnie jej się to nie spodobało.

-Jeśli masz zamiar mi wyrzucać, że szpiegowałam was z Danem, to chcę ci powiedzieć, że to wcale...

- Nie mam zamiaru nic ci wyrzucać - przerwała mi.

- Wiem, że chciałaś dla mnie jak najlepiej. Bardzo, ale to bardzo chciałaś się upewnić, czy Dan przyjdzie.

Oniemiałam. Byłam przekonana, że podejrzewa mnie o niecne motywy.

- Rzeczywiście chciałam się upewnić, czy przyjdzie — powiedziałam wciąż zdumiona jej zdolnością przebaczenia.

- Powiedział, dlaczego się spóźnił? Pewnie walczył ze sobą, nie mogąc zapomnieć o tym wszystkim, co mu zrobiłam.

Roześmiała się.

- Nie, przyczyna była zupełnie inna. Okazuje się, że nawet Trafne Dan Swain czasami musi stać w korku jak każdy inny człowiek.

- To znaczy?

- Jechał taksówką, gdy na ulicy wybuchł pożar i cały ruch zatrzymano. Nie chciał czekać, więc wysiadł i resztę drogi przebiegł.

- Chcesz mi powiedzieć, że utknął w korku? - mówiłam, uświadamiając sobie, że gdyby nie pożar, zjawiłby się w parku o drugiej, co oznaczało, że wcale nie musiał toczyć żadnych wewnętrznych walk, bo od razu miał zamiar przyjść, a u pani Thornberg nic nie powiedział, żeby dla odmiany teraz mnie „zagrać na nerwach”.

Leah dziękowała mi za to, że dałam jej możliwość pogodzenia się z Danem.

- Więc znów jesteście razem? - zapytałam z nadzieją, że mój podstęp połączył ich na dobre.

- I to jak. Przekładamy datę ślubu, ale jednak odbędzie się w Minco.

Ta wiadomość wywołała w moim brzuchu ledwie delikatne drzenie, żadne tam wielkie rewolucje, które czułam, gdy po raz pierwszy usłyszałam o ich ślubie.

- Bardzo mnie to cieszy.

- Bez ciebie byłoby to niemożliwe, obydwójce zdajemy sobie z tego sprawę.

-Nie przesadzaj. Jeśli masz na myśli obrazy, to jest mój sposób zadośćuczynienia.

- Pomysł z obrazami był naprawdę genialny - mówiła Leah. - A teraz, kiedy już wiemy, że należą do ciebie, chcemy ci je jak najszybciej zwrócić. Miałam na myśli to, że zleciłaś Desiree znalezienie Danowi partnerki.

- Powtórzę jeszcze raz: przepraszam, nap...

- Ale ja mówię poważnie! Gdybyś nie wybrała mnie, nigdy bym nie poznała Dana. Dziękuję ci.

- A, w takim razie nie ma za co, proszę bardzo. Leah się rozłączyła. A ja zwróciłam się do Weezie: -To było dziwne. Spodziewałam się syczącej zmił,

a zostałam poklepana po ramieniu.

- No przecież pogodziła się ze swoim facetem. Czemu nie miałyby być wdzięczna? - Weezie upiła trochę piwa. Na górnej wardze została jej piana. - Teraz, kiedy ona jest znowu z Danem, a ja z Nardsem, zostajesz ty.

- Co ja?

- Faceci, Mel. Na pewno ich pamiętasz. Kiedy pozwolisz sobie na takiego?

- Pozwolisz sobie? Jakby byli tuczący czy coś?

- Dobra, dobra, słuchaj. Miałaś jakieś wieści od Evana? Evan. Taka byłam skupiona na Danie i Leah, że

w ogóle o nim nie myślałam. No, w każdym razie nie przez ostatnią dobę.

- Nie, a on powiedział, że nie mam się z nim kontaktować, dopóki nie zakończę sprawy z Danem.

- No więc do dzieła! Sprawa z Danem zakończona. Na co czekasz? Dzwon do niego.

Łatwo jej mówić. Była mężatką. Nie musiała wracać do świata singli, w którym nie ma nic pewnego i w ogóle nie można się poczuć bezpiecznie. Cały czas człowiek myśli tylko: „Czy mu się spodobam?“, „Czy nie byłam zbyt podobna do jego byłej dziewczyny?“ i „Czy potrafię jeszcze raz zaufać?“. Wszystko to takie zniechęcające. I w ogóle po co to komu?

- Zadzwonisz? - naciskała Weezie.

- Evan nie ma telefonu. Wynajmuje bungalow na Abaco, żeby móc w spokoju malować. Przecież ci mówiłam.

- No to go odwiedź. „Na Bahamach jest lepiej“. To chyba ich hasło reklamowe, no nie?

- Daj spokój. Mam ot tak, wsiąść do samolotu i polecieć? To jest takie...

- Takie jak spotkanie Dana i Leah w parku? Żadne nie wiedziało, czy to drugie przyjdzie, tak? Owszem, zgadza się. To się nazywa zaryzykować. I wierzyć. Wszystkich wokół przekonywałaś, żeby to zrobili, a teraz nadeszła twoja kolej.

- Leah i Dan wyznali sobie miłość już wcześniej -zauważyłam.

- Evan też wyznał ci miłość.

- Niezupełnie. Powiedział, że zaczynał się we mnie zakochiwać.

- Słonko, on się zakochał i ty dobrze o tym wiesz. -Uśmiechnęła się. -
Pytanie tylko, co ty czujesz do niego.

Nie odpowiedziałam od razu. Chciałam być szczerą i bezpośrednią, taka jak Evan.

- Hm. Czuję, że chciałabym mieć szansę pobyc z nim dłużej bez tej całej sprawy z Danem na głowie - odparłam. - Evan mi się podoba, bardzo, tyle wiem, podziwiam wartości, które wyznaje, i sposób, w jaki patrzy na świat. No i uważam, że ma talent. O, i jest odpowiedzialny. Nie odsuwa się od ludzi, żeby obcować tylko ze sztuką. Chcę chyba powiedzieć, że byłoby cudownie, gdybyśmy mogli być razem.

Weezie roześmiała się z diabelskim błyskiem w oku.

- Więc koniecznie musisz się wybrać na Bahamy. I to jak najszybciej.

- A co, jeśli w międzyczasie on sobie kogoś znalazł? Na pewno jest tam miliard kobiet w bikini, które non stop go kuszą.

Weezie wzniosła oczy ku niebu, jakby zde gustowana moją głupotą.

-Jeśli ostatnie wydarzenia czegoś cię nauczyły, to chyba tego, że ludzie nie włączają i wyłączają miłości na zawołanie jak światła. Ona trwa. Potrafi przetrwać kłótnie, trudności finansowe, zdrady, a nawet rozwody.

Kiwnęłam głową. Weezie i Nards byli najlepszym tego dowodem. Dan i ja również.

- Co oznacza, że jeśli Evan cię kocha, to cię kocha.

- Wielkie „jeśli”.

- Jeśli pojedziesz, dowiesz się na pewno — przekonywała. — Zrobisz dokładnie to, co zrobił Buster na jego obrazie — zaryzykujesz, zamiast stać bezpiecznie na brzegu.

- A pieniądze? Nie mogę sobie ot tak, pofrunąć do rajów. Muszę znaleźć pracę.

- Och, Mel, Mel. — Weezie znów zwróciła oczy ku niebu. — Pieniądzy masz dość. Wypłacili ci taką odprawę, że możesz spokojnie wziąć rok urlopu. Myślałam, że pozbyłaś się już tej paranoi z więzieniem dla dłużników.

- Bo się pozbyłam, ale kiedyś w końcu i tak muszę znaleźć pracę.

- Kiedyś w końcu tak. — Dopiła piwo i spojrzała na mnie. — Właściwie sama się nad tym zastanawiam.

- Serio? - Zawsze twierdziła, że taka jest zadowolona z roli żony i matki.

- Dzieciaki są już w szkole, a w domu zatrudniliśmy pomoc — odparła. — Chciałabym znów pracować, ale nie w żadnym gnieździe szerszeni jak Pierce, Shelley i Steinberg.

- Więc myślisz o zmianie zawodu?

- Nie. Myślę o założeniu własnej firmy. — Uśmiechnęła się. - I przydałby mi się partner.

Ze zdumienia rozszerzyły mi się oczy. -Ja?

- A któż by inny?

- Nie, no, to by było fantastyczne! Super! Ale jak to zrobić?

Słuchałam jak urzeczona, gdy Weezie przedstawiała mi swoje pomysły na firmę konsultingową. Naszą własną firmę konsultingową. Zaczęłybyśmy spokojnie, wynajmując przyzwoity lokal w centrum, i rozszerzały dzia-

łałność w miarę potrzeb. Dwie gwiazdy finansów znów razem, tylko teraz, dla odmiany, z możliwością wyboru pory i czasu pracy i bez typów w stylu Berniego nerwowo spoglądających człowiekowi przez ramię.

-Dzięki mailom, faksom i telekonferencjom możemy obsługiwać klientów właściwie z każdego zakątka świata - tłumaczyła Weezie coraz bardziej przejęta. -W razie potrzeby mogłabym pracować w domu, a ty - zachichotała - w swoim bungalowu na Abaco.

Zabrzmiało to jak spełnienie marzeń. Robiłabym to, co umiałam najlepiej. Za partnerkę miałabym najlepszą przyjaciółkę. Zarabiałabym, nie musząc poświęcać życia osobistego. Warto się zastanowić, a w dodatku żadnych minusów, przynajmniej na razie.

- Opracuję wszystkie szczegóły, bo ciebie nie będzie - zaproponowała.
- I kiedy wrócisz, budżet i biznesplan będą czekać na twoją akceptację.

- Mnie nie będzie? - powiedziała ze śmiechem. -Więc jednak wyjeżdżam?

- Wyjeżdżasz na plażę do Evana.

- A kiedy, jeśli można zapytać?

-Jutro - odparła. - Buster przez ten tydzień jest u Dana, więc możesz zostać do niedzieli wieczorem. Musimy tylko zabukować bilety, kupić ci jakiś seksowny kostium i wysłać cię do tego Picassa.

Na myśl o Evanie westchnęłam. Zamknęłam oczy i oparłam się wygodnie w fotelu. Wyobraziłam sobie, jak zaskakuję go w jego domku - bez kawałków sera zwisających z nosa i bez gołego tyłka wystającego spod przy-krótkiej starej koszulki, bez karykaturalnej zaczerwienionej i zapuchniętej twarzy i bez dawnych uczuć do byłego męża nie pozwalających rozkwitnąć miłości do niego. Wyobraziłam nas sobie we dwoje bez żadnych obciążeń. To był ładny obrazek.

- Ziemia do Melanie - Weezie potrząsała moją stopą. - Dokąd odleciałaś?

Otworzyłam oczy.

- Pomyślałam, że w sumie mogę to zrobić.

- Ale co? Pracować ze mną czy polecieć do Evana?

- Jedno i drugie.

Weezie wyskoczyła z fotela i rzuciła się na mnie.

- Zadzwoń do linii lotniczych. A ty się pakuj. Uśmiechnęłam się.

- A ciebie kto mianował szefem? Myślałam, że jesteśmy partnerkami.

-Ty możesz porządzić, jak wrócisz. Będziemy się zmieniać w zależności od sytuacji.

Chciałam coś powiedzieć - podziękować jej, że zawsze mogę na nią liczyć, że tyle mnie nauczyła o przyjaźni, że mogę jej wszystko powiedzieć, a ona jest ze mną szczerą do bólu - ale Weezie mnie powstrzymała.

- Idź się pakować.

- Tak jest!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Następnego ranka o siódmej czterdzieści pięć siedziałam już w boeingu 757, lot do Fort Lauderdale. Tam miałam się przesiąść do dziewiętnastoosobowego samolotu na Trasure Cay, jedną z bardziej cywilizowanych wysp Aba-co. I dopiero stamtąd promem miałam dotrzeć na Green Turtle Cay, małą wysepkę, na której Evan wynajmuje swój domek.

Opis podróży, samoloty, promy, wszystko to brzmi dość niewinnie i beztrzesko, ale może być bardzo mylące, bo wcale się tak nie czułam. Wręcz przeciwnie. Byłam kłębkiem nerwów. Panicznie bałam się najłżejszych nawet turbulencji i zawsze unikałam małych samolotów z silnikami turbośmigłowymi — są jak samochody, tylko ze skrzydłami. Mimo to jednak uznałam, że dla Evana warto ryzykować życie. Skoro znalazłam w sobie tyle odwagi, by się wybrać do niego bez zaproszenia, powinno mi jej wystarczyć na całą tę rozchwianą i rozkołysaną podróż.

W zasadzie miałam szczęście, że z dnia na dzień udało mi się kupić bilet w drugiej klasie na linii Nowy Jork—Floryda, jeśli wziąć pod uwagę masę ludzi z drugim domem na Florydzie, którzy regularnie latają na tej trasie. Jeszcze więcej szczęścia miałam, dostając miejsce przy oknie. Dwadzieścia minut po starcie samolot unosił się nad wybrzeżem, a ja, żeby się uspokoić, odwróciłam się do pasażera siedzącego obok mnie. Zawsze tak robiłam - jeśli on lub ona się nie denerwowali, gdy samolot nagle obniżał pułap albo zaczynało nim trząść, brałam to za dobry znak.

Mężczyzna obok mnie w tym konkretnym samolocie był po sześćdziesiątce, tak mi się przynajmniej wydawało. Miał na sobie granatową bluzę, ciemnozielone spodnie, różowy sweter i białe buty. Innymi słowy zamienił obowiązującą na Manhattanie czerń na wielokolorową kreację typową dla południowej Florydy. Czytał książkę -powieść popularyzującą teorię, że Bóg jednych zabiera do nieba, a innych nie — i wydawał się nią całkowicie pochłonięty. Może się zastanawiał, do której grupy należy.

Siedziałam obok niego jak na szpilkach, podekscytowana i niepewna, jak się zakończy moja przygoda, i po prostu musiałam z kimś pogadać. Więc zagadnęłam go, przerywając mu lekturę. A on odłożył książkę bez cienia irytacji i dał się wciągnąć w rozmowę, co świadczyło

o jego dobrym sercu. Uznałam, że trafi jednak do grupy, która pójdzie do nieba.

Na początku rozmawialiśmy o niczym. Ma na imię Charles, ale mówią do niego Chuck. Zona, dwoje dzieci

i troje wnucząt. Jest dermatologiem w Fort Lauderdale, gdzie prowadzi prywatną praktykę. Wraca od wnuków z Long Island. I takie tam.

Potem, jak to się często zdarza między pasażerami, którzy wiedzą, że to jednorazowe spotkanie, rozmowa przeszła na bardziej osobiste tematy. Przynajmniej z mojej strony. Byłam ostro nakręcona i jak już wspomniałam, buzia mi się nie zamykała.

Opowiedziałam Chuckowi o Evanie, jak mnie wspierał w bardzo trudnym okresie mojego życia, jak postanowił na poważnie zająć się malarstwem, kiedy wylali go z wydawnictwa, i o tym, jaka jestem zdenerwowana swoją spontaniczną decyzją, by go odwiedzić, i że teraz, kiedy oboje zostawiliśmy przeszłość za sobą, będziemy mogli się do siebie zbliżyć. (Naprawdę nie umiałam się zamknąć).

Chuck zapytał, czy to u mnie normalne, że mam wysypkę, gdy jestem zdenerwowana. Ja zapytałam, dlaczego

pyta. A on na to:

- Bo chyba zdrapała pani już całą skórę lewej ręki.

Jest cała w krostkach.

Spojrzałam na rękę i zobaczyłam okropną wysypkę. Taka byłam zaprzątnięta Evanem, że nie zauważyłam nawet, jak zdrapuję własną skórę.

- Teraz, kiedy mi pan o tym powiedział, czuję, jak bardzo mnie swędzi.

Przyjrzał się bliżej źródłu świądu i poprosił, bym pokazała drugą rękę. Zrobiłam to i ku swojemu przerażeniu zobaczyłam takie same zmiany skórne.

- Nigdy wcześniej nie miałam pokrzywki.

- To nie pokrzywka - odparł, kiedy już dokładnie obejrzał moje ręce, szyję i małe zaczerwienienie pod lewym uchem. Wszędzie miałam wysypkę. - Czy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin była pani w lesie?

Powiedziałam, że nie. On jednak zapytał, czy jestem tego pewna. Ja na to, że jak najbardziej jestem pewna. I wtedy przypomniałam sobie Central Park.

- Ale to nie był właściwie las - wyjaśniłam - tylko kępa krzewów i byłam tam zaledwie kilka minut.

Pokiwał głową i roześmiał się cicho. Zapytałam, co go tak śmieszy, a on odparł, że ludzie często biorą sumaka jadowitego za nieszkodliwą roślinę.

- Sumak jadowity? - krzyknęłam. Dwukrotnie zdarzyło mi się coś podobnego po weekendowych wypadach z Danem i za każdym razem miałam ochotę się zabić. Nigdy tak mnie nic nie swędziało. Nigdy moja skóra nie była tak malinowoczerwona, w dodatku cała w krostkach. Nigdy nie byłam zmuszona przez tydzień chodzić tylko w prześcieradle, aż wysypka wreszcie zaczęła wysychać i mogłam znieść dotyk innego materiału. Nigdy wcze-

śniej też nie zużyłam całej kadzi mieszaniny tlenku cynku i wody wapiennej.

Powiedziałam Chuckowi, że to nie może być to. Nie akurat teraz. On na to, że bardzo mu przykro, ale postawiłby na tę diagnozę swoją trzydziestoletnią karierę dermatologa.

- Niech pani spróbuje się nie drapać - ostrzegał. - Proszę też unikać słońca i kąpieli, zarówno morskich, jak i w wannie, a także kontaktu fizycznego z innymi osobami. To zaraźliwe.

Kiedy jego diagnoza do mnie dotarła, zaczęłam rozważać możliwość wybicia szyby i wyskoczenia z samolotu. Ten facet zniszczył właśnie moje wyobrażenie, że tym razem na spotkanie z Evanem będę w najlepszej możliwej formie, a nie jak zwykle w najgorszej. Nie wspomnę już, że czułam się winna z powodu Weezie, bo przecież wyciągnęłam ją ze sobą do parku, więc ona też musiała to złapać.

Ale oczywiście nie wybiłam szyby i nie wyskoczyłam. Spędziłam natomiast kilka minut w głębokim zamyśleniu, przypominając sobie najpierw to, co powiedziała o miłości Weezie (że trwa), i zaraz potem to, co powiedział Evan (że polega na akceptacji zarówno mocnych stron, jak i słabości), i postanowiłam dokończyć podróż, co równało się podjęciu dodatkowego ryzyka.

No bo gdyby się nad tym zastanowić, to czym jest skok w głęboką wodę, jak nie pojawieniem się na progu domu ukochanego mężczyzny bez zaproszenia i od razu na wstępie pokazaniem mu, jaką się jest naprawdę?

Ręce zaczynały już swędzieć nie do wytrzymania, doprowadzało mnie to do szału. Jakby po rozpoznaniu przez profesjonalistę wysypka mogła się rozwijać bez umiaru.

Kiedy usiłowałam powstrzymać się jakoś od zderzenia z siebie skóry, przyszło mi do głowy pytanie, przez które ta historia zatoczyła krąg, wracając do swojego początku.

— A tak z ciekawości — zwróciłam się do Chucka, który tymczasem zdążył już wrócić do lektury. - Czy takie poparzenia zdarzają się równie często u kobiet i mężczyzn?

— Teraz, kiedy pani zapytała, widzę wyraźnie, że w ostatnich latach liczba zachorowań wśród kobiet wzrasta — powiedział, podnosząc wzrok znad książki. - Pewnie dlatego, że wy, kobiety, zaczęłyście uprawiać ziemię, chodzić po górach, polować i łowić ryby, robić rzeczy, które kiedyś zastrzeżone były dla mężczyzn. — Znów się roześmiał pod nosem. — Chciałyście równouprawnienia, to je macie.

No tak, pomyślałam, kiedy on zaczął czytać. Mamy je i bardzo dobrze. Tyle że czasami wiąże się z tym jakaś uciążliwość.

Na lotnisku w Fort Lauderdale miałam trochę czasu, więc wstąpiłam do sklepu. Kupiłam krem z kortyzonem i lek z diphenhydraminą. Potem poszłam do toalety, zażyłam tabletkę i posmarowałam się kremem, który w przeciwieństwie do różowej mieszaniny z tlenkiem cynku, był biały. Kiedy spojrzałam w lustro, zauważyłam, że wysypka pojawia się na twarzy, jedna plamka na brodzie, druga na lewym policzku, a trzecia na czubku nosa, więc nałożyłam krem również na twarz. Rozumiecie? Wyglądałam jak potwór. Albo jak kibice, którzy malują twarze, żeby zaakcentować swoje poparcie dla ulubionej drużyny.

Dwie godziny później zakończyłam podróż drugim samolotem, a towarzyszące temu lotowi turbulencje zniosłam stosunkowo bezboleśnie. Dzięki diphenhydraminie byłam lekko śnięta od samego startu aż do lądowania, a nierówności czułam wyłącznie na własnej skórze.

Ale dopiero podczas piętnastominutowej przejażdżki promem zaczęłam się naprawdę rozluźniać. Nagle dotarło do mnie, że jestem w raj. To było jak utopia. Odwiedza-

lam już wcześniej Karaiby, zresztą Bermudy i Hawaje też, i każda z wysp była na swój sposób przepiękna, ale Abaco urzekła spokojem i brakiem oznak turystyki masowej. Nie było tu wielkich hoteli. Ani wielkich fast foodów. Ani wielkich turystów z kamerami (no dobra, było kilku, ale zostali na Treasure Cay, żeby grać w golfa).

Kiedy płynęłam na Green Turtle, podziwiałam widoki: wodę koloru turkusowoszmaragdowoszafirowego, jaki widuje się tylko w filmowych basenach albo w snach, plaże z mięciutkim piaskiem, który aż prosi, by zatopić w nim stopy, bujną tropikalną roślinność, kołysane wiatrem palmy, drzewa obwieszane grapefruitami, pomarańczami, orzechami kokosowymi i wszystkim, o czym tylko sobie człowiek zamarzy, popołudniowe niebo, niebieskie, ale upstrzone wielkimi strzępiastymi chmurami wiszącymi tak nisko, że miałam wrażenie, jakbym ich mogła dotknąć. Przysłuchiwałam się też rozmowom podekscytowanych turystów takich jak ja i tubylców, których melodyjne głosy opowiadały sobie nawzajem o mijającym dniu pracy.

- Przepraszam, czy na Green Turtle jest jakieś miasto? - zwróciłam się do jednej z miejscowych kobiet. Pytałam nie dlatego, że stęskniłam się za miastem. Broń Boże. Ale zastanawiałam się, czy cywilizacja naruszyła już piękno tych wysp.

Kobieta, która była z trójką dzieci, uśmiechnęła się.

- Chodzi pani o New Plymouth?

- Chyba tak - odparłam, wyobrażając sobie asfaltowe drogi, korki i całą resztę, którą zostawiłam za sobą.

- To jest nasza osada — poinformowała, wskazując za doki, do których dobijał właśnie prom.

Osada. Rozejrzałam się dookoła i odetchnęłam z ulgą. Oprócz pustych zatoczek i łagodnych zielonych pagórków pokrytych lasem, na południowym krańcu

wysepki zauważyłam miasteczko w klimacie osiemnastowiecznego portu Nowej Anglii. Przy wąskich uliczkach stały rzędy drewnianych domów z bogatymi ozdobnikami, ulice nie były zatłoczone samochodami, ale ciche i wręcz dziewicze, jeśli nie liczyć kilku gdaczących kur. Nic dziwnego, że wyspy Abaco nazywają rodzinnymi, pomyślałam. I nic dziwnego, że Evan je pokochał.

— New Plymouth jest bardzo małe — dodała kobieta niemal przepraszającym tonem, mylnie odczytując wyraz mojej twarzy jako rozczarowanie. - Tylko czterystu mieszkańców.

Połowa populacji Minco, pomyślałam, przypominając sobie, jak bardzo się bałam takich małych miasteczek i tego, że nie można w nich zrobić prawdziwej kariery. Ale już się nie boję.

Po zejściu z promu sięgnęłam do kieszeni, by wyciągnąć kartkę z adresem Evana.

- Przepraszam panią jeszcze raz - zwróciłam się ponownie do kobiety. — Ciągle panią zaczepiam, ale może mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie mam szukać tego adresu? - I pokazałam jej kartkę.

Zaczęła się śmiać. Śmiać! Nie wiedząc jeszcze wtedy, że ludzie z Abaco ogólnie są szczęśliwsi niż ludzie gdziekolwiek indziej na świecie i śmieją się po prostu dlatego, że są szczęśliwi, byłam przekonana, że śmieje się ze mnie.

- Niech pani nic nie mówi - powiedziałam, przewracając oczami. - Wysiadłam na niewłaściwej wyspie, tak?

- Westchnęłam. - Tak byłam zajęta swoją wysypką i chłopakiem, do którego jadę. Właściwie to nie mój chłopak. To znaczy najpierw muszę go odnaleźć i powiedzieć, że chcę z nim być. No więc tak byłam tym zaaferowana, że mogłam coś przeoczyć, kiedy robiłam wczoraj rezerwację. Spieszyłam się i...

Zamilkłam, gdy kobieta zaczęła kręcić głową.

- Nie, nie - powiedziała ze śmiechem. Co za wesoła osoba! Jaki wesoły kraj! - Próbowałam pani powiedzieć, że dom, którego pani szuka, jest na końcu tej ulicy - dojście zajmie pani dwie minuty.

- Naprawdę? Więc nic nie poplątałam? Zaprezentowała tak szeroki uśmiech, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam.

- Nic a nic - odparła. — Jest pani dokładnie tu, gdzie chce pani być.

Tak więc same widzicie — byłam dokładnie tam, gdzie chciałam być. I miałam nadzieję - no, „nadzieję” to mało powiedziane - że Evan będzie na mnie czekał i że mnie przyjmie z całą tą wysypką i w ogóle.